

Lisa Jackson

DRESZCZE

Created with

 **nitro**^{PDF} professional

download the free trial online at nitropdf.com/professional

*Jackowi i Betty Pedersonom, wspaniałym rodzicom,
cudownym przyjaciółom i ludziom, którzy wierzyli,
że mogą dokonać wszystkiego.
Mamo, Tato, dziękuj!*

Prolog

Szpital Naszej Pani od Cnót
Nowy Orlean, Luizjana

Czuła jego oddech.

Ciepły.

Zniewalający.

Zmysłowy i wywołujący kłopot.

Czuła obecność, od której zjeżyły się jej włosy na karku, cierpła skóra, a na plecach pojawiły się kropelki potu.

Serce jej waliło. Nie mogła się poruszyć. Stała w ciemności i gorączkowo przeszukiwała wzrokiem mroczne kąty swojego pokoju. Przez otwarte okno słyszała kumkanie łabędzi na pobliskich moczarach i stukot przejeżdżających daleko pociągów.

Ale on tu był razem z nią.

Odejdź, chciała powiedzieć, ale powstrzymała się w nadziei, że nie dostrzeże jej, stojącej przy oknie. Po drugiej stronie ulicy latarnie rzucały na ziemię mdłe, błękitne światło; zdała sobie nagle sprawę, że jest okryta tylko cienką nocną koszulą, sylwetka jest widoczna na tle upiornej poranki.

Oczywiście, widzi ją i zaraz znajdzie.

Jak zawsze.

Zaszczyło jej w gardle. Zrobiła krok do tyłu i oparła się rękami o okienne framugi. Może tylko wyobraziła sobie jego obecność. Może wcale nie słyszała odgłosu otwieranych drzwi. Może po prostu zbyt szybko wybudziła się z wywołanego lekiem snu. W końcu nie było jeszcze tak późno, dochodziła dopiero ósma wieczorem.

Może jednak jest bezpieczna w tym pokoju, swoim pokoju, na drugim piętrze.

Może.

Sięgnęła do lampki na nocnym stoliku, kiedy usłyszała ciche szuranie na deskach podłogi.

Krzyk uwił jej w gardle.

Wzrok powoli przyzwyczajał się do półmroku. Spojrzała na skłębioną pościel na łóżku. Spała niespokojnie. Na toalecie stały lampa i dwa zdjęcia w ramach - portrety jej córek. Po drugiej stronie pokoju był kominek. Widziała ozdobne kafelki, kratki i puste miejsce nad gzymszem, gdzie kiedyś wisiało lustro.

Gdzie on jest? Spojrzała na wysokie okna. Za nimi panował gorący październikowy wieczór. Widziała w szybie swoje odbicie: drobna, niewysoka, smutne złote oczy, wysokie kości policzkowe, lśniące kasztanowe włosy. A za nią... Czy to tylko jej wyobraźnia?

Czy ktoś się tam skrada?

Na tym właśnie nie polegał problem. Czasami się chował.

Ale zawsze był gdzieś w pobliżu. Zawsze. Czowała jego miski zapach, słyszała miękkie, stanowcze kroki w korytarzu, dostrzegała przemykanie cię.

Nie było przed nim ucieczki. Nigdy. Nawet w środku nocy. Lubił ją zaskakiwać, zachodził z nienacką od tyłu, kiedy siedziała przy biurku, pochylał się nad nią, kiedy klęczała przy łóżku. Zawsze był gotów przycisnąć usta do jej karku i dotknąć jej piersi. Podniecało ją to, choć go nienawidziła. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że czuła na plecach jego erekcję. Nigdy nie była bezpieczna, ani pod prysznicem, ani we własnym łóżku.

Co za ironia, że umie cili ją właśnie tutaj... dla jej bezpieczeństwa.

- Odejdź - szepnęła. Serce waliło jej jak młotem, w głowie czuła młotek. - Zostaw mnie w spokoju.

Zamrugnęła i wytrzymała wzrok.

Gdzie on jest?

Spojrzała nerwowo w stronę szafy. Tylko tam mógł się schować. Obliznęła wargi. Drewniane drzwi były uchylone, lekko, ale wystarczająco, by ten, kto krył się w środku, mógł patrzeć przez szparę. Co mignęło. Oczywiście?

Bo nie.

Może to on. Czeka.

Czuła gęsią skórę na całym ciele. Powinna kogoś zawołać, ale jeśli to zrobi, znowu ograniczą jej wolność, nafaszerują lekami... albo jeszcze gorzej. Przestań, Faith. Do tej paranoi! Ale jeśli niece w szparze oczy patrzyły na nie, czuła jego wzrok. Objęła się ramionami, drapiąc się nerwowo po ramionach.

Może to tylko zły sen. Koszmar. Czy nie tak mówiły siostry, cicho, uspokajając je? Poklepywały ją po ramieniu i patrzyły na nią ze współczuciem i niedowierzaniem. Zły sen. Tak! Makabryczny koszmar. Nawet pielgniarka zgodziła się z zakonnice. I lekarz, chłodny profesjonalista, który rozmawiał z nią tak, jakby była małym dzieckiem.

- Ale Faith, nikt ci nie leży - powiedział z protekcyjnym uśmiechem. - Wiesz przecież. Jesteś tylko... trochę zagubiona, to wszystko. Jesteś tu zupełnie bezpieczna. Pamiętaj, to teraz twój dom.

Poczuła gorące łzy pod powiekami i zaczęła się drapać coraz mocniej. Dom? To okropne miejsce? Zamknęła oczy i zacisnęła palce na wezłowie łóżka.

Czy naprawdę jest tak chora, jak mówi? Czy naprawdę widzi ludzi, których wcale przy niej nie ma? Ci głębiej to powtarzają i teraz sama nie jest już pewna, co jest prawdą, a co nie. Może to spisek? Może chce, by uwierzyła, że jest tak szalona, jak twierdzi?

Usłyszała kroki.

Zadrżała; drzwi szafy się uchylły.

- Słodki Jezu. - Cofnęła się, drąc i nie spuszczając wzroku z szafy.

Rozejrzała się, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, ale zabrali jej nawet nóż do otwierania listów.

Podniosła oczy. Był tu, widziała go teraz wyraźnie, wysoki mężczyzna, zagradzający jej drogę do drzwi. Było za ciemno, żeby dostrzec jego twarz, ale wiedziała, że uśmiecha się złośliwie.

Był Szatanem Wcielonym. Nie mogła przed nim uciec. Jak zawsze.

- Proszę, nie. - Jej głos brzmiał słabo, nogi drżały.

- Co, nie?

Nie dotykaj mnie... nie kładź ręk na moim ciele... nie mów, że jestem piękna... nie całuj mnie...

- Wyjdziesz. - Dobry Boże, nie miała broni, nic, co mogłoby go powstrzymać.

- Bo co?

- Bo zacznij krzyczeć i zawołam strażników.

- Strażników - powtórzył niskim głosem, w którym słyszała rozbawienie. - Tutaj? - Cmoknął, jakby mówił do nieposłusznego dziecka. - Już tego próbowała.

Wiedziała, że mu ulegnie. Jak zawsze.

- Strażnicy? Uwierzyli ci ostatnim razem?

Oczywiście, że nie. Dlaczego miałoby jej wierzyć? Dwóch chudych, przyszczach chłopców. Nawet nie ukrywali, że uważają ją za wariatkę. Choć użyli tych, bardziej wyszukanych słów. Omamy... Paranoja... Schizofrenia...

A może w ogóle nic nie mówili? Może. Może tylko patrzyli na nią współczująco, ale i wygłodniałym wzrokiem. Czy jeden z nich nie powiedział, że jest seksowna? Drugi złapał ją za pośladki... a może to wszystko to było tylko złym snem?

- Odejdź - szepnęła znowu, wbijając paznokcie w ramiona.

- Przestań, Faith - ostrzegł ją. - To nic nie da. Jestem tu, żeby ci pomóc. Wiesz o tym.

Pomóc jej. Nie... nie, nie, nie!

Miała ochotę skulić się na podłodze. Walcz! - nakazał jej jednak jakiś wewnętrzny głos. Nie pozwól, by ci zmusił, do robienia tego, czego nie chcesz robić! Masz wolność.

Ale było już za późno.

Teraz był blisko niej, znowu cmoknął. Widziała różowe, wilgotne koniuszki języka.

- Faith - powiedział chrapliwym szeptem. - Chyba znowu była bardzo niegrzeczna dziewczynką.

- Nie - jej knęła. Znowu... Znowu poczuła, jak narasta w niej to okropne podniecenie.

- Nie wiesz, że to grzech tak kłamać?

Spojrzała na ścianę, na której wisiał krzyż. Poruszył się? Zamrugała i przez chwilę wydało się jej, że Jezus spogląda na nią łagodnie, ale karcąco.

Nie, to niemożliwe. We śnie w gary, na lito boskie.

To tylko wizerunek, nic więcej...

Chwytał ją z trudem powietrze, oderwała wzrok od umięszonej twarzy Jezusa i spojrzała na kominek... zimny teraz i pusty. Powiedzieli, że to ona sama zabiła wiszącą nad nim kiedyś lustro, w napadzie szału. I że pociła się odłamkami szkła, bo jej własne odbicie sprawiało jej ból.

Ale to on to zrobił. Ten diabeł, którego jedynym celem było zadawanie jej bólu. Odmówiła mu, a on uderzył w lustro pięścią.

Tak było.

A może nie? Patrz teraz na krew za swoimi paznokciami, nie była tego pewna. Co się ze mną dzieje?

Chciała go zabić... chciała się obronić!

Zamknęła oczy i jej knęła przeciwnie. Nie wiedziała już, w co wierzyć. Cofnęła się do okna. Chciała odsunąć się od niego, od pokusy, od grzechu.

Gdzie jest jej mąż? I jej dzieci? Co się stało z dziewczynkami?

Ogarnęła ją panika. Zamrugała szybko, usiłując się skupić. Dziewczynki są bezpieczne. Muszą.

Skup się, Faith. We śnie w gary. Gina i Abby są z Jacques'em. Przyjadź dzisiaj, pamiętasz? Dziś są twoje urodziny.

A może nie?

Cofnęła się jeszcze trochę.

- Jesteś zagubiona, Faith, ale ja mogę ci pomóc - rzekł spokojnie, jakby nic się między nimi nie wydarzyło, jakby wszystko było tylko wytworem jej wyobraźni, jakby nigdy jej nawet nie dotknął.

Dobry Boże, jak bardzo musi być szalona?

Odwróciła się szybko, zahaczając stopami o brzeg dywanu. Dostrzegła w szybie odbicie swojej upadającej sylwetki. Widziała, jak rzucił się w jej stronę, poczuła na sobie jego dłonie.

- Nie! - krzyknęła, upadając.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Szybą pękła.

Krata z którego wylała z chrząstliwym wypadła z framugi.

Krzyknęła, Faith zamachała w powietrzu ramionami, usiłując uchwycić się parapetu, wystąpiła w murze, cegły, cegogokolwiek! Ale było za późno. Zachwiała się i runęła w dół. Kawałki szkła poszarpały jej nocną koszulę i skórę na obnażonych nogach.

W ułamku sekundy zrozumiała, że już po wszystkim. Już nigdy nie będzie cierpieła.

Faith Chastain zamknęła oczy, spadając w ciemność gorącej, dusznej nocy.

Rozdział 1

Dwadzieścia lat później

Cambrai, Luizjana

Chciałam ci tylko życzyć urodzinowe - powiedziała siostra do automatycznej sekretarki.

Abby stała po rodku swojej małej kuchni. Słuchała i zastanawiała się, czy jednak nie podnieśli słuchawki. W końcu postanowiła, że nie. Nie była w nastroju. Spędziła cały dzień w swoim studiu w Nowym Orleanie, udając się z dziećmi, które miały własne pomysły na to, jak powinien wyglądać portret boonarodzeniowy. Teraz miała tylko ochotę na kieliszek wina. Może dwa. A nie na wysłuchiwanie życzeń urodzinowych.

- No to... zadzwoni do mnie, jak już wrócisz. Na Zachodnim Wybrzeżu jest jeszcze dość wcześnie, wiesz. Chciałabym... chciałabym z tobą porozmawiać, Abby. Trzydzieści lat to w pewnym sensie przełom.

Tak, pomyślała Abby, pod wieloma względami. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła butelkę chardonnay. Kupiła ją miesiąc wcześniej, kiedy spędziła, że jej przyjaciółka, Alicia, odwiedzi ją w Luizjanie.

- Kiedy... kiedy odłuchasz tę wiadomość... to znaczy, zakładając, że nie słuchasz jej teraz... tylko nie chcesz ze mną rozmawiać... W każdym razie zadzwoni do mnie, dobrze? - Gina urwała na moment. - Minęło dużo czasu, Abby - dodała. - Pora zakopać topór wojenny.

Abby nie była tego całkiem pewna. Odkręciła wodę i opłukała kieliszek, na którym od dwóch lat zbierał się kurz.

- Wiesz, Abby, że nie chodzi tylko o ciebie - przypomniała Gina.

- Oczywiście, że nie. Chodzi o ciebie.

- Dla mnie to równie ciężkie. Ona była tak jak moja matka.

Abby zacisnęła zęby. Znowu zaczęła się zastanawiać, czy nie podnieśli słuchawki, i znowu zdecydowała, że nie. Sięgnęła do szuflady, wyciągnęła korkociąg i zaczęła otwierać butelkę wina.

- Słuchaj, Abs, naprawdę mam nadzieję, że nie siedzisz teraz sama w domu i nie słuchasz tego, co mówi... Powinnaś się jakoś zabawić.

Mam zamiar.

Klik! Gina odłożyła w końcu słuchawkę.

Abby odetchnęła głębiej i oparła się o kuchenny blat. Może powinna jednak podnieśli słuchawkę, przyjąć życzenia i udawać, że jest człowiekiem jednej, wielkiej, kochającej się rodziny. Ale nie potrafiła tego zrobić. Nie chciała. Nie chciała na tym być nieprzeszła. W końcu zaczęłyby rozmawiać o matce, o tym, co się zdarzyło.

pojawiłyby się te krępujące pytania o Nicka.

Odkorkowała butelkę.

Trudno wybaczyć siostrze, że spała z jej mężem. Oczywiście, to było dawno temu i zanim Abby wyszła za Nicka. Ale odkąd się o tym dowiedziała, to znaczy od pięciu lat, ta sprawa stała się miłą dla niej.

Cóż, Gina spotykała się z nim pierwsza, prawda?

No i co z tego? Abby naleła wina do kieliszka. Prawdopodobnie, Nick nie sprawdził się ani jako chłopak, ani jako mąż. Abby rozwiodła się z nim, a Gina przecież pozostała jej siostrą. Tego nie da się zmienić. Może trzeba w końcu zostawić to wszystko za sobą, pomyśleć, patrzeć przez uchylone okno na zapadający zmierzch. Wieczorne powietrze, pachnące ziemią i wodą, wpłynęło do środka. Grały cykady, a na zamglonym, lawendowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. To ładne miejsce, choć odosobnione. Abby i Nick kupili ten dom z nadzieją, że się staną typową amerykańską rodziną z dwójką dzieci i samochodem kombi.

Marzenia.

Otworzyła okno szerzej, bo wieczór był bardzo ciepły. Z daleka dobiegał stukot pociągu, bliżej, usłyszała, rozszczebiotał się pies. Przez gałęzie drzew przebiegał wschodzący księżyc.

Aparat leżał na blacie koło tylnych drzwi. Wieczór był tak cichy i spokojny, nagle powoli wiało tak intrygująco, że Abby postanowiła pstryknąć kilka zdjęć i skończy dawno rozpoczęty rolk filmowy. Teraz używała w pracy głównie aparatu cyfrowego. Wyszła na zewnątrz, a kot, Ansel, wymknął się za nią i wskoczył na ławkę pod drzewem magnolii. Zrobiła mu kilka zdjęć. Czemu nie miałyby uwiecznić dnia swoich trzydziestych piątych urodzin?

Nagle rozległ się głośnie trzask łamanej gałęzi.

Serce podeszło jej do gardła.

Odwróciła się szybko, pewna, że ktoś czai się w krzakach. Na rękach pojawiła się jej gęsia skórka, serce waliło jak młotem. Ale choć wytężyła wzrok, nikogo nie zauważyła. Zdenerwowana wróciła do domu i zawołała kota przez otwarte drzwi. Ansel nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Stał nieruchomo, wpatrując się czujnie w mroczne krzewy.

- Daj spokój, Ansel. Dostaniesz na dziś.

Kot zasyczał przeciągle, sierść na jego grzbiecie podniosła się powoli. Położył uszy po sobie, poruszył lekko ogonem i nagle rzucił się przez werandę w kierunku studia. Wiedziała, że nie da rady go złapać.

- No, no, ale bohater - mruknęła ironicznie, ale zamykając za sobą drzwi, cięgle była zaniepokojona. Nigdy dotąd nikt nie kręcił się koło jej domu, ale przecież zawsze jest pierwszy raz. Położyła aparat na stole w jadalni i poszła do kuchni. Czerwone wiatelko automatycznej sekretarki znów przypomniało jej o Ginie.

Nigdy nie były sobie bliskie. Może dlatego, że była młodszą niewielką różnicą wieku, zaledwie czternaście miesięcy? A może dlatego, że Gina była zawsze taka ambitna i dążyła do sukcesu? A może... może wina leżała, choćby chociaż trochę, tak po stronie Abby?

- Cholera - mruknęła, pociągając łyk z kieliszka. Zimne wino nie przyniosło ulgi.

Było gorąco. Wilgotno. Abby otarła pot z czoła chusteczką do naczyń. Może jednak powinna odebrać ten głupi telefon?

Nie. Nie była na to gotowa. Nie dziś. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie.

Dwadzieścia lat temu...

Przypomniała jej się ulubiona piosenka matki.

- Ani się waha - upomniała sam siebie. Nie będzie roztrząsać przeszłości, tak jak to robi od dwudziestu lat. Czas pójść do przodu, spojrzeć w przyszłość. Tak, obiecała sobie w duchu, zaczął dzień wieczorem.

wydarzyło się dokładnie dwadzieścia lat temu, kiedy jej matka kołysała ją trzydzieści lat - tak jak Abby dzisiaj. Tyle że Faith Chastain w dniu urodzin kołysała ją. W taki straszny, tragiczny sposób.

- Och mamo - szepnęła Abby. Wspomnienia, które tak bardzo chciała zostawić za sobą, napłynęły nieubłaganie.

Samochód ojca wjechał przez elazn i zatrzymał się przed starym budynkiem z czerwonej cegły, koło fontanny na podjeździe. Abby już zaczęła się interesować chłopcami, i rozmyślała włącznie o zaproszeniu Treya Hilliarda na potańcówkę u Sadie Hawkins. Wsiadła z samochodu, trzymając prezent z wielką kokardą w kolorze fuksji, i spojrzała w okno pokoju na drugim piętrze, który zajmowała jej matka.

Ale w pokoju nie paliło się światło.

Okno było ciemne.

Poczuła nagle, że stało się coś złego. „Mama?” - szepnęła, choć od dziesięciu lat nie zwracała się do matki w ten sposób. Ruszyła szybko schodami, kiedy usłyszała głośnie trzask.

Uniosła głowę.

Tysiące odłamków szkła migotało w błękitnym świetle.

A potem cicho rozdarł ten straszny krzyk. Z okna wypadła ciemna sylwetka i z chrzęstem łamanych koci uderzyła w beton podjazdu.

Ogarnął ją przeraźliwy strach. Upuściła prezent i rzuciła się w stronę czegoś na podjeździe nieruchomego kształtu. Pod głową matki rosła kałuża krwi. Wielkie złote oczy patrzyły w niebo.

- Abby! - Usłyszała głos ojca, dochodzący jakby z bardzo daleka. - Abby, nie! O Boże! Pomocy! Niech ktoś nam pomoże! Faith!

Osunęła się na kolana, zaczęła płakać i wołać matkę. W końcu czyjeś silne ręce odciągnęły ją od ciała.

Teraz zamrugała, usiłując otrząsnąć się z koszmaru.

- Jezu - szepnęła.

Nagle uświadomiła sobie, że z kranu cieką jej wodą. Ochlapała szybko twarz i szyję, a potem otarła je ściereczką do naczyń. Co się z nią dzieje? Czy nie obiecała sobie włącznie nie przed chwilą, że nie będzie o tym wyciekać?

- Weź się w gar - mruknęła i wzięła kieliszek do ręki. Przez chwilę patrzyła na niego, a potem go uniosła.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mamo - szepnęła, jakby Faith była z nią w pokoju, i upiła łyk wina. - Za nas.

Matka zawsze jej powtarzała, że to jest szczególna wieść, bo mają urodziny tego samego dnia. Mawiała, że są jak dwie krople wody.

Cóż... niezupełnie.

Nie.

Wcale nie.

- A teraz... odejdź, proszę - wyszeptała. - Zostaw mnie w spokoju.

Dopiła wino, zakorkowała butelkę i wstawiła ją do lodówki, a potem stanowczym ruchem postawiła kieliszek na blacie. Zrobiła to chyba zbyt gwałtownie, bo nóżka pękła i Abby skaleczyła się w kciuk.

- Włóż - mruknęła. Tylko tego jej brakowało. Wyjęła z szuflady plaster i owinięła ociekający krwi palec. Potem wytarła krople krwi z blatu, wyrzuciła szkło do kosza i poszła do garażu. Oparta o stos drewna stała tam tablica z napisem: na sprzedaż bez pośredników. Wzięła ją, zaniósła na koniec podjazdu i powiesiła na paliku, który po południu wbiła w ziemię.

- Doskonale - mruknęła, choć w sercu poczuła ukłucie żalu. Kiedy kupowali dom,

bardzo chciała znaleźć tu siebie.

I była taka głupia. Spojrzała na dom w zapadającym zmierzchu. Został przebudowany i odnowiony. Teraz znajdowały się w nim dwie małe sypialnie, łazienka i stryżek, gdzie mieściło się biuro. W drugim, mniejszym budynku, który pierwotnie miał być domkiem dla gości, Abby urządziła studio fotograficzne, ciemni i zainstalowała drugą łazienkę.

Pięć lat temu uznali, że dom jest idealny, i mieszkali w nim do czasu, kiedy wszystko się rozpadło. W końcu Nick wyprowadził się do innej kobiety... Nie, nie, było inaczej. Kobiety pojawiły się najpierw. Począwszy od Giny.

Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Nick Gierman, niegdyś szanowany spiker radiowy i dyskusyjny, był już zamknięty tym rozdziałem jej życia. Od dnia, w którym sędzia oficjalnie uznał ich małżeństwo za rozwiązane, minął rok.

Abby podniosła młotek, który zostawiła tu wcześniej, i cofnęła się, żeby sprawdzić, czy tabliczka wisi równo. Jeszcze raz przeczytała napis i numer telefonu.

Tak bardzo chciała wyjść na prostą. Zrobiła wszystko, co sugerowali jej różni specjaliści, choć prawdę mówiąc, ich rady nie na wiele się zdały. Próbowwała dać Nickowi jeszcze jedną szansę, ale nic z tego nie wyszło. Rozeszli się; jej został dom. Przyjaciele ostrzegali, że będzie jej przykro samotnie spędzać tu święta i rocznice, ale czas mijał, a jej wcale nie było aż tak ciężko. Może naprawdę straciła już serce do Nicka? Prawdopodobnie nigdy nie umiałaby dochować wierności.

Trzask!

Pękła jakaś gałązka. Znowu! Abby spojrzała w stronę, z której dobiegł dźwięk, spodziewając się zobaczyć oposa czy nawet skunksa, ale wokół było pusto i cicho. Umilkły nawet sycaki i cykady. Serce zaczęło jej bić szybciej, wytężyła słuch i nagle poczuła się całkiem bezbronna i samotna. Miała wrażenie, że ktoś jej się przygląda z krzaków. Zadrżała i natychmiast skarciła się w duchu. To urodziny i rozmowa o matce tak ją rozstroiły.

Uspokój się, powiedziała sobie. Idź do domu. Tabliczka wisi i zrobiło się już ciemno.

Kiedyś dostrzegła jakiś ruch w krzewach, usłyszała szelest liści. Zamarła.

Spod jednego z krzaków wypełził jakiś ciemny kształt. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, ale po chwili rozpoznała Ansel. Kot podszedł do niej, odwrócił głowę w stronę żarówki i głośno syknął.

Abby drgnęła.

- Na lito bosko - szepnęła, kładąc dłoń na sercu. - Przestań! Chcesz, abym dostała zawału? No to ci się prawie udało! - Schyliła się, żeby wziąć kota na ręce. - Ty też jesteś jakiś spięty. Może pójdziemy się napić? Dla mnie wino, dla ciebie wódka H₂O.

Ale zanim zdążyła go złapać, Ansel rzucił się podjazdem w stronę domu i po chwili wbiegł do garażu przez otwarte drzwi garażu. Cztery metry dalej pies siedzący rozszedkał się tak, że mógłby zbudzić zmarłego.

Abby zacisnęła palce na młotku. Znowu miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Do tego. Nie jesteś matką... Nie jesteś... szalona. Pies Pomerych szczeka. I co z tego?

Ruszyła do domu. Pod stopami szeleściły pierwsze jesienne liście. Weszła przez garaż do kuchni. Ansel siedział na parapecie nad zlewem. Patrzył w okno, nerwowo poruszając ogonem.

- No, o co chodzi? - spytała.

Kot nie oderwał wzroku od szyby.

- Wiesz, że nie wolno ci wskakiwać na blat.

Nie poruszył się.

Stała przy zlewku i wbiła wzrok w ciemne drzewa, otaczające niewielki ogródek. Okno było lekko uchylone.

Znowu zaczął szczekać pies. W tej samej chwili drewniany dom jęknął, zaskrzypiał

kota z parapetu, zamknęła okno i zasunęła zasuwki. Nie była szczególnie liliwa, ale od jakiegoś czasu miała do mieszkania na uboczu.

Ale to się wkrótce zmieni.

Przyjmie zaproszenie Alicji i przeprowadzi się do San Francisco. Będą dzieliły mieszkanie, jak w czasie studiów - z tą różnicą, że teraz obie są rozwiedzione, a Alicja ma pięcioletnie dziecko.

- Cudownie, prawda? - spytała kota, który, zrzucony z parapetu, schronił się pod stołem. - Tak, tak, Ansel, daj się, proszę bardzo. To i tak nie był najmiły dzień.

Zadzwonił telefon. Abby czuła się trochę winna, że nie odebrała telefonu siostry, teraz podniosła słuchawkę, nie patrząc na identyfikator numeru.

- Halo? - powiedziała, idąc do salonu.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Stała jak wryta i omal nie wypuściła słuchawki z ręki. To był Nick.

- Dziękuję.

- Pewnie jesteś zaskoczona.

Eufemizm roku.

- Nawet bardzo. Do głowy mi nie przyszło, że może zadzwoni.

- Abs - powiedział, pieszczotliwie przeciągając zdrobnienie. - Wiem przecież, że to dla ciebie trudny dzień, ze względu na matkę.

Nie wierzyła w to. Za dobrze go znała.

- I co, dzwonisz, żeby mi poprawić nastrój?

- Tak.

- Czujesz się świetnie - powiedziała z pełnym przekonaniem.

- To dobrze. Bardzo dobrze - odparł, wyraźnie zaskoczony, jakby spodziewał się, że zostanie jej w łóżku. - Naprawdę dobrze.

- Dziękuję. Do widzenia.

- Zaczekaj! Nie rozłączaj się.

Usłyszała w jego głosie determinację, a oczami wyobraźni zobaczyła, jak wyciąga do przodu wolną rękę, jakby chciał powstrzymać ją od odłożenia słuchawki. Zawsze tak robił, ilekroć czegoś chciał, a wydawało mu się, że ona go nie słucha.

- O co chodzi, Nick?

Stała teraz w salonie, gdzie kiedyś oglądali razem telewizję, jedli popcorn i omawiali różne sprawy.

Albo się kłócili. Co zdarzało im się bardzo często.

- Posłuchaj... masz jeszcze te rzeczy, które zostawiłem? - W końcu przeszedł do prawdziwego powodu rozmowy.

- Jakie rzeczy?

- No wiesz - powiedział lekko, jakby włączył sobie przypomnień. - Moje wózki, skrzynka z narzędziami... zestaw kijów golfowych. Sprzęt do nurkowania.

- Nie.

- Co?

- Pozbyłam się wszystkiego.

Spojrzała na biblioteczkę. Wśród innych albumów cięgle stały tam te ze ulubionymi zdjęciami.

- Co to znaczy, że się ich „pozbyła”? - spytał. Abby niemal widziała, jak mrugają niebieskie oczy. - Chyba nie rozdała moich rzeczy? - Jego głos brzmiał teraz zimno. Podejrzliwie. Oskarżycielsko.

- Oczywiście, że rozdałam - odparła bez cienia poczucia winy. - Dałam ci pół roku na ich zabranie, Nick. Znacznie dłużej, niż zamierzałam. Nie przyjechałam po nie, zaprosiłam więc Armii Zbawienia. Zabrali wszystko, łącznie z resztą twoich ubrań i tych mieci, które leżały w garażu i na strychu.

- Jezu, Abby! Niektóre z tych rzeczy były naprawdę cenne! Nie było żadnych mieci.

- To trzeba je było odebrać.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Abby zebrała się z siebie.

- Zaraz, zaraz... Nie pozbyła się moich nart, prawda? Nie zrobiłaby tego. Te rosignole są cięgle na strychu? - Słyszała w jego głosie niedowierzanie. Wróciła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyciągnęła butelkę z winem. - Abby, te narty kosztowały fortunę. Nie mogłam uwierzyć, że... Chryste, powiedz, że deska surfingowa jest cięgle w garażu.

- Niestety. - Abby pokręciła głową. - Jestem pewna, że deski tak je zabrali.

- Kupiłem ją na Hawajach! A kajak?

- Chyba poszedł na aukcji na rzecz Naszej Pani od Cnót.

- Naszej Pani?... To ten szpital, gdzie twoja matka...

- Fundusze poszły na kociół - przerwała. - Szpital od lat jest zamknięty.

- Kompletnie ci odbiło! - wybuchł Nick. - Jesteś tak sam wariatką, jak twoja matka!

Abby zacisnęła zęby, ale postanowiła, że nie da się w to wciągnąć. Przytrzymała słuchawkę ramieniem, odkorkowała butelkę. Skaleczony palec znowu ją rozboleł. Nie jest wariatką. Tylko raz zabrakło jej zdrowego rozsądku - wtedy, kiedy zgodziła się wyjść za Nicka.

- To jaki koszmar! Koszmar! Wyrzuciła te trzydziestki ósemki mojego ojca? - Nie odpowiedziała, więc dodał: - Wiesz, ten rewolwer?

- Wiem, co to jest. - Abby nie zwracała sobie głowy szukaniem drugiego kieliszka i wyciągnęła ulubiony kubek.

- To rewolwer mojego ojca! Miał... miał go od lat. Był policjantem, do cholery... ten rewolwer miał dla mnie wartość sentymentalną. Nie mogła się go pozbyć!

- Hm. - Nalała wino do kubka, ochlapując przy tym blat kuchenny. - Pewnie się zastanawiasz, co zrobiłaby z nim Armia Zbawienia.

- Oni nie biorą broni palnej.

- Naprawdę? - Pocięła długi łyk wina. - To może wzięły go zakonnice z klasztoru Naszej Pani? Naprawdę nie pamiętam.

- Nawet nie wiesz, kto go zabrał? Oddała rewolwer i nawet nie wiesz komu? Abby, ten rewolwer został zarejestrowany na moje nazwisko! Jeśli ktoś go użyje...

- Cóż, nie mogłam mieć czegoś tego pewno ci i niech to zostanie między nami, ale wiele wskazuje na to, że matka przełożona nie zajmuje się na boku przemytem narkotyków.

- To wcale nie jest mieszane!

- Ale jest, Nick. Nawet bardzo.

- Te rzeczy należą do mnie! Do mnie! - Abby była pewna, że uderzył się przy tym kciukiem w klatkę piersiową. - Nie miała prawa rozdáwać moich rzeczy!

- To pozwij mnie do sędu.

- Zrobi to! - rzucił ze złości.

- W takim razie nazywam się pani Sam-sobie-trzymaj-swoje-rzeczy. Nie prowadź tu magazynu. Jeśli byłyby takie cenne, czemu od razu nie zabrałaś ich ze sobą? Albo przynajmniej w ciągu następnego miesiąca?

- Nie mogłam to uwierzyć!

- To nie wierz. Nie wierz w to, Nick.

- To... to takie niskie, Abby. Jeszcze o tym usłyszysz, następną audycję poświęcę ci moim byłym i temu, jak sobie z nimi radzi.

- Rób, co chcesz. Nie będę słuchała ani dzwoniła do radia - rzuciła przez siebie i odłożyła słuchawkę. Właśnie, nie sprawdziła, kto dzwoni, zanim odebrała telefon. - Nigdy więcej - obiecała sobie i upiła kolejny łyk w nadziei, że wino ją uspokoi. Nick miał irytującą zdolność wyprowadzania jej z równowagi. Jak nikt inny. Wcześniej myślała, że poczuje satysfakcję, kiedy w końcu powie mu, co zrobiła z jego skarbami, ale zamiast tego czuła dziwną pustkę. Jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy lubowali sobie miłość, zrobiło to w ten sposób?

Poszła do salonu i mimo upału rozpałała ogień na kominku za pomocą zapalniczki do grilla. Płomień buchnął w górę, obejmując stertę przygotowanych wcześniej szczapek i starych gazet. Zawsze miała drewno na palenisku na wypadek spadku zasilania, tym razem jednak chodziło o coś innego. Zaplanowała ten mały rytuał na długo przed telefonem Nicka.

Z półki obok kominka zdjęła album ze słabymi fotografiami. Idąc za radą Alicji, przechowywała go przez cały rok po rozwodzie. Teraz nadszedł czas. Rozmowa z Nickiem tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że powinna wykonać swój plan.

Otworzyła oprawny w skórę album i spojrzała na pierwsze zdjęcie.

Tak, to oni, wie o polubieniu małżonkowie, pod przeźroczystymi plastikowymi osłonami. Panna młoda i jej oblubieniec. Nick, przystojny, dobrze zbudowany, obejmował ramieniem Abby, sporo od siebie niższy. Rudawe włosy okalały drobny kształt serca. Oczy błyszczały nadzieją.

- Do diabła z tym - mruknęła Abby, wyciągnęła zdjęcie z albumu i wrzuciła do ognia.

Znowu spojrzała na album. Zdjęcia rodzinne. Abby z ojcem i siostrami; Nick z rodzicami, i dwoma braćmi, z których jeden nie dorównywał mu pod żadnym względem. Adamem i Leksem. Na zdjęciu była też jego siostra, Anna, z matką.

- Nie czas na sentymenty - powiedziała Abby do Ansela, który wszedł do pokoju i wskoczył na sofę. Rzuciła zdjęcie na płonącą polanę.

Kolejny łyk wina i kolejne zdjęcie. Tym razem Nick, sam, wyprostowany i dumny w czarnym smokingu. Był naprawdę przystojny, musiała to przyznać. Tak, przyznała w duchu, kochała go kiedyś, ale to było całe wieki temu. On pracował w radiu w Seattle i stawał się coraz bardziej popularny. Przyszedł do jej studia, bo potrzebował nowego zdjęcia portretowego.

Natychmiast zaiskrzyło między nimi. Nick był pewny siebie, miał się dowcipkować. Abby zachowywała się tak, jakby fakt, że ma do czynienia z lokalnym osobistością, nie robił na niej najmniejszego wrażenia. Właśnie ten udawany brak zainteresowania tak go zaintrygował.

Pół roku później oświadczył się i został przyjęty, a jeszcze później Abby dowiedziała się, dlaczego przyszedł wtedy do jej studia. Została zarekomendowana przez jego współpracownika. Gina. Jedne z nich nie wspomniało, że byli takimi kochankami. O nie. To wyszło na jaw później, prawie miesiąc później - w dniu, w którym Gina złapała bukiet panny młodej. Tej nocy, kiedy Nick nazwał Abby imieniem jej siostry. Nick i Gina przysięgali, że ich romans skończył się na długo przed ich miłością, ale Abby w to nie wierzyła.

- Wspaniale, prawda? - zwróciła się do kota, który wdrapał się na oparcie sofy, ułożył

babk Abby i ziewn ł szeroko.

Szybko wytrzn ła z albumu reszt zdj i zacz ła wrzuca je do ognia. Skr cały si i zwiyały w płomieniach.

- Z prochu powstałe , w proch si obrócisz - szepn ła, kiedy ogie zacz ł przygasa . Sko czyła wino i przysi gła sobie, e teraz jej ycie zmieni si diametralnie.

Nie wiedziała jeszcze, jak bardzo prawdziwe były te słowa.

Prze lizn ł si mi dzy deskami połamanego płotu i spojrział na budynek, w którym wiele lat temu wszystko si wydarzyło.

Nocne owady brz czały cicho, a mdłe wiatło ksi yca ukazywało pop kane cegły, suche, wyszczerbione fontanny i zaro ni te trawniki. Ogród, gdzie kiedy były starannie przystrzy one ywopłoty i poro ni te wodnymi liliami stawy, został zrujnowany. Budynek z czerwonej cegły, z wykuszami zdobnymi w maskarony, chylił si ku upadkowi jak pi kna kobieta, z której zostały tylko skóra i ko ci.

Zamkn ł na chwil oczy. Przypominał sobie szpital w czasach jego wietno ci, dumn fasad i brudne sekrety, które si za ni kryły. Zapachy i d wi ki: szepty modlitwy, tłumione krzyki. Tu Bóg spotykał si z Szatanem.

Dom.

Otworzył oczy i ruszył zaro ni t chwastami cie k , najwyra niej od dawna zapomnian przez wszystkich. Poza nim.

Dwadzie cia lat to całe pokolenie.

Dwadzie cia lat to całe ycie.

Dwadzie cia lat to wyrok.

Dwadzie cia lat to do , by zapomnie .

Ale teraz nadszedł czas, by sobie przypomnie .

Wyj ł z kieszeni p k kluczy i szybko podszedł do tylnych drzwi. Wybrany klucz bez trudu obrócił si w zamku.

Wszedł do rodka i wł czył mał kieszonkow latark . Przyzwyczajają si znowu do tego miejsca, wrócił tu niemal dwa miesi ce wcze niej. Tyle czasu potrzebował, by si tu zadomowi i przygotowa .

W rodku było ciemno, latarka rzucała niewiele wiatła, ale w ci gu kilku ostatnich tygodni zd ył si ponownie zaznajomi z mrocznymi korytarzami, skrzypci cymi drewnianymi podłogami i zabitymi deskami oknami. Wbiegł lekko na schody i zatrzymał si na pode cie. Stary witra w oknie przetrwał w cudowny sposób. Skierował na niego snop wiatła i przypomniał sobie jej ciemn sylwetk na tle barwnego szkła.

Ale nie było czasu na wspomnienia. Odwrócił si i szybko ruszył schodami na drugie pi tro.

Do jej pokoju.

Poczuł ucisk w gardle na wspomnienie jej l ni cych, kasztanowych włosów, błyszcz cych oczu, które otwierała tak szeroko, kiedy j zaskoczył... linii jej policzków i szyi, któr tak pragn ł całowa ...

Tak bardzo jej po dał.

Nigdy nie po dał nikogo tak jak Faith.

Znowu poczuł znajomy ból, zaczynaj cy si w kroczu i obejmuj cy całe ciało. Na czoło wyst piły mu kropelki potu. Spodnie nagle wydały si za ciasne.

Z mocno bij cym sercem stan ł u szczytu schodów.

Pokój 307 znajdował si w połowie korytarza, dokładnie nad półkolistym podjazdem. Tu, w tym małym pomieszczeniu jego ycie zmieniło si na zawsze.

Ostro nie otworzył drzwi i wszedł do pokoju, gdzie wszystko si wydarzyło.

Nie tak dawno temu...

Ten pokój zajmowała Faith. Pi kna Faith. Przerza ona Faith. Dr ca Faith.

Znowu ogarn ła go fala wspomnie . Tak wyra nych, jakby nie min ło dwadzie cia lat.

Przypomniał sobie zapach jej skóry, słodki, niski głos, jej u miech, sposób, w jaki chodziła... po ladki unosz ce si pod spódnic .

Zacisn ł z by. Ból wzniecił w nim dawn dz , rozgrzewał krew, pulsował w skroniach.

Nie powinien jej po da .

To był grzech.

Nie powinien jej całowa .

To był grzech.

Nie powinien zdejmowa jej koszuli, by odsłoni piersi.

To był grzech.

Nie powinien jej bra , ociekaj c potem, podczas gdy ona zaciskała palce na jego ramionach i krzyczała z rozkoszy.

To było niebo.

I piekło.

Przeszedł przez pokój, gniewnie zaciskaj c dłonie w r kawiczkach. Faith. O, Faith, zostaniesz pomszczona.

Delikatnie, niemal z szacunkiem przesun ł palcami po framudze okna, a potem spojrział tam, gdzie kiedy stało jej łó ko. Pami tał, e w tym pokoju zawsze unosił si lekki zapach bżów i ró , a sło ce prze wiecało przez poruszone wiatrem mu linowe firanki.

Teraz było tu zupełnie pusto.

O wietlił latark zardzewiałe ruby, którymi kiedy przykr cono łó ko do podłogi. Wokół le ały martwe muchy, kilka z nich tkwiło jeszcze w starych paj czynach. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, z drewnianych framug okien i drzwi niszczyła si farba. Tapeta w kwiaty zbladła i odpadała od cian, z sufitu schodziły na ni ciemne, br zowe zacieki.

Tyle zła, tyle krzywdy wyrz dzono w tym małym pokoju.

Ogarn ł go ciemny, pal cy gniew.

W ko cu b dzie mógł naprawi wszystkie krzywdy.

Zem ci si .

Zacznie ju dzi .

Rozdział 2

Abby jechała samochodem, znacznie przekraczaj c dopuszczaln szybko . Była ju spó niona i starała si nadrobi stracony czas. Niebo zasnuwały ciemne burzowe chmury, przedni szyb zalewały strugi deszczu. Wł czyła wiatła.

Kiedy ycie staje si twarde, trzeba by twardym.

Przypomniało jej si credo Jacques'a Chastaina.

Próbowała stosowa si do tej zasady tak jak Gina, czuła jednak, e nigdy nie była tak silna jak ojciec i siostra. Pod tym wzgl dem tak e była podobn do matki.

Wjechała na autostrad do Nowego Orleanu, wł czyła radio i zacz ła słucha programu swojego byłego m a, co nie było rozs dne.

Zgodnie z zapowiedzi Nick po wi cił audycj zgorzkniałym byłym onom; kobietom, które nigdy nie zdołały si pogodzi z odrzuceniem i marz o tym, by ponownie wyj za m , ale nie maj na to najmniejszych szans. Kobietom brzydkim i grubym. Wrednym babom, które nie wiedz , gdzie jest ich miejsce.

Najwyraźniej nie ochłonął jeszcze po rozmowie, którą odbył z Abby poprzedniego wieczoru, i gadał jak nakręcony. Nie obchodziło go to, kogo może urazi.

Abby miała wielką ochotę zadzwonić i powiedzieć mu, jak bardzo się myli, choć zapewne w głębi duszy sam o tym wiedział. Chodziło mu głównie o to, by zdobyć jak najliczniejsze grono słuchaczy i ani on, ani stacja radiowa, dla której pracował, nie dbali o to, czy ci słuchacze go lubią, czy nienawidzą, czy po prostu fascynują ich jego obrazoburcze opinie.

Abby zrobiło się niedobrze. Tak, najwyższy czas pojechać do Nowego Orleanu, gdzie czekały na nią jeszcze pewne niezafatwione sprawy. A potem musi się stąd wynieść.

- Na przykład moja była ona to niezły numer - mówił Nick z udawanym zdumieniem. - Przy niej Mata Hari sprawia wrażenie Najwiśszej Pani. Nie.

Głośny wybuch miechu w studiu.

- Ale ty jesteś dowcipny - mruknęła Abby, zaciskając palce na kierownicy z taką siłą, że aż zbieleły jej kostki. Jak to może być, że kiedyś kochała tego drania?

- Po rozwodzie puściła mnie w skarpetkach, a teraz ma jeszcze czelność narzekać! O co jej chodzi? Dziewięćdziesiąt procent majątku to chyba do niej?

- Chciałaby ci odebrać wszystko - wtrącił się asystent Nicka, Maury.

Abby spojrzała na torebkę, w której miała telefon komórkowy. Zawsze umiała wygrać obronę rękami ze słownych przepychanek z Nickiem, a teraz chciałyby stanąć w obronie siebie samej i wszystkich innych oczernianych rozwodników i rozwódek na całym świecie.

Koła hondy zataczyły na mokrym asfalcie, kiedy trochę za szybko weszła w zakręt.

- ...wiecie - ciągnął Nick - chyba wszyscy ludzie wirują po rozwodzie. A kobietom odbija bardziej niż facetom. Niektóre, jak moja była, dostają paranoję i żyją w fikcyjnym świecie.

Idiota Maury wybuchnął miechem.

- Nie uwierzycie, co zrobiła.

Teraz! Abby zacisnęła zęby.

- Pozbyła się wszystkiego, co miało dla mnie jakkolwiek wartość. Rozumiecie, mój skądinąd cenny sprzęt. Moje narty, Rossignole, a jak i kijki golfowe, ręcznej roboty hawajski desk surfingowy... Dawała to wszystko Armii Zbawienia.

- Nie! - zawołał Maury ze zgrozą. Abby była pewna, że teatralnym gestem położyła przy tym dłoń na sercu.

- Tak. I wiecie co, to mi się bardzo nie podoba.

Na pewno, pomyślała Abby i już chciała zmienić stację, kiedy Nick dodał:

- Nie zrozumcie mnie źle. To piękna kobieta. Seksowna jak diabeł. Inteligentna. Ale czasem myli się, że ma nierówno pod sufitem.

- W końcu wyszła za ciebie, prawda? - rzucił wesoło Maury.

- Idioci - rzuciła przez zęby Abby, dodając gazu.

Nick zaczął się swobodnie.

- No tak, ale tu chodzi o coś więcej. Jej matka była chora psychicznie, poważnie.

- Ty cholerny draniu. - Abby się zdenerwowała. To było naprawdę niskie.

- Jeśli komuś z was była ona robi takie numery, dzwońcie i opowiedzcie nam o tym. Ja zadzwoniłem do swojej wczoraj, żeby złożyć jej życzenia urodzinowe i powiedzieć, że zamierzam przyjechać po moje rzeczy... Właśnie wtedy mi powiedziała, że oddała wszystko Armii Zbawienia. Łącznie z nartami. A doskonale wiedziała, że w zimie wybieram się na narty. Czy ktoś słyszał o takiej mciwości?

- O rany. - Maury był w swoim ywiole. - Czy wybierasz się na te narty ze swoją dziewczyną ?

- Oczywiście cie.

- A czy ona nie jest jakieś dwadzieścia lat młodsza od twojej byłej ?

- Piękna cie.

- Nooooo!

Abby zacisnęła znowu palce na kierownicy.

- Umówili się - cięgnął Nick - że przechowa moje rzeczy, i cznie z nartami, do czasu, a znajdzie sobie własne mieszkanie, bo po rozwodzie to ona dostała dom, studia, samochód... Prawie wszystko, co posiadali my.

- Ty zakłamany sukinyń - wycedziła Abby przez zaciśnięte zęby. Spłaciła połowę domu i studia, a samochód, mała honda, zawsze należała do niej. Nick jeździł lexusem. Wszystko zostało podzielone na pół.

- W dodatku pozbyła się wszystkiego, nawet rewolweru, który był pamiątką rodzinną. Powiedziała, że oddała to na cele dobroczynne.

- Na cele dobroczynne? - wtrącił Maury z niedowierzaniem.

Debil!

- Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby jakakolwiek organizacja dobroczynna przyjmowała broń palną. Jestem pewien, że to kłamstwo. Ale rozumiecie chyba, jak się czuję, wiedząc, że moja nie całkiem zdrowa na umyśle była ona mała rewolwer?

- Lepiej zmień adres.

- Tak, zmieni albo sam kupi broń - odparł Nick, co Maury skwitował kolejnym wybuchem śmiechu.

Abby poczuła, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej. Sięgnęła do torebki, wyjęła telefon i szybko wystukała numer stacji.

- KSLJ. Program Nicka Giermana - poinformował ją uprzejmy damski głos.

W ostatniej chwili Abby zreflektowała się i szybko przerwała połączenie. Nie daj mu tej satysfakcji. Nie słuchaj dłużej tych ałosnych, kłamliwych wynurzeń. W przeciwnym wypadku to on wygra.

Z niesmakiem wyłączyła radio i zorientowała się, że minęła zjazd z autostrady i spotkała na spotkanie w sprawie zdjęć lubnych. Chwytała lecie na tylnym siedzeniu portfolio i kuląc się w strugach deszczu, pobięła spotkać się z panem młodym, panną młodą i zapewne jej matką.

Co za ironia, pomyślała. Fotografuje dziesięćki nowe e-ców, a własne zdjęcia lubne wrzuciła do ognia.

Kto powiedział, że Bóg nie ma poczucia humoru?

Dokąd on ją zabiera?

Mary LaBelle, zwiędzona, zakneblowana, z opaską na oczach, zaczęła się modlić.

O pomoc.

O ratunek.

O zbawienie.

Było ciemno. Nic nie widziała. Czowała, że jest w jakimś samochodzie, najprawdopodobniej furgonetce, sędząc z odgłosu silnika. Nie widziała tej furgonetki, tak szybko wepchnęła ją na tylne siedzenie, pokryte szeleszczącymi plastikowymi foliami. Kierowca, mężczyzna, który zaszedł ją od tyłu, kiedy poszła pobiegać po kampusie, pojawił się znikąd. Najprawdopodobniej krył się za żywopłotem. Mary, która wracała już do akademika, nie zdołała dojrzeć jego twarzy. Czowała tylko siłę, kiedy chwycił ją od tyłu, nacięgnął jej worek na głowę i wykręcił rękę, tak że upadła na kolana. Chciała krzyknąć, ale przyłożył jej rewolwer do głowy. Zamknęła więc usta i pogodziła się z losami.

Bóg j uratuje.

A je li nie, to znaczy, e ju wzywa j do domu. Wiara doda jej sił... A jednak słuchaj c miarowego szumu silnika i d wi ków bryzgaj cej spod kół wody, czuła si jak skazaniec.

Pomy lała o rodzicach i poczuła lzy pod powiekami. Tak bardzo ich kocha! Nie mo e umrze ! Nie! Musi walczy o ycie. Była drobna, ale silna i wysportowana, w szkole redniej uprawiała tenis i dbała o kondycj . Dlatego wła nie biegła wieczorami.

Ale w miar upływu czasu zaczynała traci nadziej .

Nie była tak naiwna, by nie domy la si , co chce zrobi ten człowiek. Chce j zgwałci , a potem zabi . Nie mo e na to pozwoli . Gdyby udało jej si uwolni z wi zów, mo e zdołałaby si gn nad zagłówką i udusi go ta m , któr skr pował jej r ce.

Ale morderstwo to grzech, pami taj o tym. Mary. Poza tym mo e wtedy straci panowanie nad kierownic , dojdzie do wypadku i tobie tak e co si stanie.

Gdyby nawet doszło do wypadku, to co z tego? A gdyby zabiła człowieka w samoobronie, Bóg na pewno by jej wybaczył. Prosz , Jezu, prosz ...

Nawet wypadek byłby lepszy od tego, co zapewne planuje ten szaleniec.

Mary była tego pewna.

Ale nie potrafiła uwolni r k, bez wzgl du na to, jak si starała.

Ogarn ła j panika.

Mamo, kocham ci . Chciałam, eby była dumna z tego, e postanowiłam wst pi do zakonu.

Tatusiu, wybacz, e byłam taka głupia i pozwoliłam si porwa . Ostrzegale mnie, ebym nigdy nie biegła o zmroku. Chciale mi da bro , a ja odmówiłam... Bardzo tego teraz ałuj ...

Samochód zwolnił i zjechał z głównej drogi, zapewne autostrady, a zatem zbli ali si do celu. Mary gor czkowo próbowała uwolni r ce. Serce biło jej jak oszalałe, na całym ciele wyst pił zimny pot.

Uwolnij si , Mary. Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagaj .

- Nie dasz rady - powiedział. Mary drgn ła. Do tej chwili nie wymówił ani jednego słowa. Jego głos był spokojny, przera aj co spokojny. - Nie uwolniesz si .

Zrobiło jej si niedobrze ze strachu. Kim jest ten szaleniec? Dlaczego wybrał wła nie j ? Nie znała jego głosu, ale niczego nie mogła by pewna.

- Jeszcze tylko kilka minut.

Mary zac zła si modli . Zdrowa Mario, łaski pełna, Pan z tob ...

Samochód znowu zwolnił, a potem skr cił gwałtownie. Mary wyt yła słuch, ale znajome d wi ki ruchu samochodowego umilkły.

Błogosławiona ty mi dzy niewiastami i błogosławiony owoc ywota twojego, Jezus...

Jechali jeszcze przez chwil , która wydawała jej si wieczno ci . W ko cu samochód si zatrzymał. Serce podeszło jej do gardła.

wi ta Mario, Matko Bo a, módl si za nami grzesznymi, teraz i w godzin mierci naszej...

Silnik zgasł i Mary usłyszała krople deszczu spadaj ce na dach samochodu. Prawie nie oddychała.

Amen.

Drzwi otworzyły si , sekund pó niej została wywleczona z furgonetki.

Stopy zapadły si w co grz skiego, omal nie upadła. Wykr ciła r k , usiłuj c si uw

- Nie ruszaj się! - krzyknął. Wtedy z przerażeniem pojął, że skoro nie boi się mówić tak głośno, musi być tu sam... zupełnie sam.

- Rozwiń ci nogi, ale jeśli spróbujesz uciec... - Znowu przytknął jej do skroni zimny luf rewolweru. - Zabij cię.
Mary wiedziała jednak, że zabije ją tak czy inaczej. Postanowiła, że jeśli nadarzy się okazja, zacznie uciekać. Lepiej dostać kulę w plecy niż być gwałconym i bitym całymi godzinami. Musi uciec. Musi.

Ale on przejrzał jej plan. Jednym szybkim ruchem przeciął ją przez kostki, a potem nadgarstki i szybko chwycił ją za ramiona.

- Nawet o tym nie myślałem - rzucił ostrzegawczo. - Idziemy.

Zaciśnięte palce na jej ramieniu i zaczął ją popychać do przodu lufą rewolweru.

Słyszała cykady i kumkanie ślab, pod stopami czuła liście, z włosów na kark spływały krople deszczu. Wydawało jej się, że czuje zapach rzeki gdzieś blisko, ale nie była pewna. Rozplakała się. Potknęła się o coś i omal nie przewróciła. To zły sen, to musi być tylko zły sen.

- Teraz do góry - rozkazał, podniosła posłusznie stopę i weszła na dwa schodki. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.
- Wchodź.

O Boże, wiecie, co tu postanowił? Zabije.

W środku unosił się zapach kurzu. Wydawało jej się, że usłyszała na podłodze chrabot pazurów, jakby zaskoczone szczury próbowały się gdzieś ukryć. Potem za plecami zamknęły się drzwi.

Pchnęła się, zrobiła krok przed siebie i wtedy to usłyszała... jakiś stłumiony dźwięk, jakby był tu ktoś jeszcze.

Omaliem nie zemdląłem.

Dobry Boże, czy by przywiózł ją gdzieś, gdzie czekają na nią inni mężczyźni? Słyszała o barbarzyńskich, rytualnych mordach na kobietach i zebranych w sobie na przyjęcie tego, co jej mogło oczekiwać.

- Dobrze, bądź grzeczna - wyszeptał jej do ucha. Poczuli gorący oddech na karku. - Rób to, co mówi, a nie zrobię ci krzywdy. Bądź bezpieczna.

Nie wierzyła mu ani przez chwilę.

To pułapka.

- Rozbierz się.

Zmartwiła. Ogarnęła ją mdłość.

Przyłożył lufę do jej piersi. Przez chwilę miała zamiar nie posłuchać, w końcu jednak zrobiła to, co kazał. Zdjęła koszulkę i krótkie spodenki. Drżała na całym ciele. Nigdy dotąd w całym życiu nie czuła się tak bezbronna.

- Dobrze.

Znieruchomiała w majtkach i staniku. Czy by nie chciał, żeby rozebrała się do naga?

- A teraz włóż to.

Usłyszała, jak rozpiął jakiś długi zamek błyskawiczny. Podał jej coś z miękkiego, jedwabistego materiału - sukienkę? Opuściła ją i wsunęła w nią stopy.

- Odwróć się - rozkazał.

Po omacku znalazła górę sukienki i podciągnęła ją lekko, potem włożyła ręce w rękawy.

Mężczyzna stanął za nią i powoli zaplątał suwak. Jego oddech był gorący. Wilgotny.

- No, no - mruknął i przysunął się bliżej. Poczuli na swoich plecach jego pierś, a nie, przez cienki materiał sukienki, erekcję.

Jej oczy wypełniły się łzami. Chce ją zgwałcić... i ci inni, którzy czekają tu w milczeniu.

Dlaczego? Ojczy, dlaczego?

Objął ją ramieniem w pasie i przycisnął do siebie.

- Mary - powiedział. Drgnęła, bo znał jej imię. Nie porwał jej przypadkowo. Chciał włączyć jej. - Powiem ci, co masz zrobić, żeby się ocaliła. Słuchasz mnie?

Kiwnęła głową.

- Weźmiesz ten rewolwer i strzelisz w poduszkę.

Co?

- Tak, dam ci rewolwer, ale ty nie odwrócisz się, żeby zastrzelić mnie, dobrze? I tak na to nie pozwolę. Będzie go trzymał razem z tobą. O tak... - Wcisnął rewolwer w jej dłoń, spoconą dłoń i położył jej palec wskazujący na cynglu, a potem wyciągnął jej rękę do przodu.

- Musisz tylko nacisnąć, to wszystko.

Mary dygotała jak w gorączce. To jakieś szaleństwo. Nie, nie strzeliła po omacku w ciemność. Przyszło jej do głowy, że może to jakiś idiotyczny sztuczek, ale sama w to nie wierzyła.

- No, dalej - ponaglił.

Znowu usłyszała ten stłumiony dźwięk - śmiech? płacz? Skąd dochodzi i kto go wydaje? Czy ktoś chowa się w szafie, czy patrzy na nią? Jedna osoba? Czy więcej?

Gdyby mogła się nagle zbudzić w swojej sypialni!

- Masz pięć sekund.

Nie! I znowu ten dźwięk.

- Pięć.

Proszę, pomóż mi. Ojczy.

- Cztery.

Nie opuszczaj mnie, błagam.

- Trzy.

Jestem Twój pokornym sługą.

- Dwa.

Miej litość nad moją duszą!

- Jeden.

To on nacisnął spust.

Rewolwer wystrzelił, szarpnął jej rękę.

Przed nią rozległ się stłumiony jęk.

Zmartwiała z przerażenia. Czy by włączyła nie zastrzeliła innego człowieka?

Zacnęła krzyk przez knebel i wyrwała się gwałtownie, ale szalenie trzymał ją mocno. Jednym ruchem zdjął jej opaskę z oczu i wyjął knebel z ust. Zwymiotowała.

Potem podniosła głowę i w słabym świetle jedynej lampy zobaczyła, co zrobiła. Jakiś mężczyzna, którego twarz mgliście wydała jej się znajoma, siedział na krześle, z poduszką przywieszoną do klatki piersiowej. Ręce miał związane z tyłu, nogi w kostkach przywieszane do nóg krzesła. Był pochylony do przodu, a przed nim, na podłodze, rosła powoli kałuża krwi. W powietrzu unosiły się białe pióra z rozdartej poduszki, powoli opadając na mokry, czerwony plam.

Mary, w sukience zalanej wymiocinami, z twarzą zalaną łzami, patrzyła, jak umiera.

- Zabiła go. Mary - powiedział niemal czule oprawca, przyciskając ją do siebie. -

dobrze o tym wiesz, prawda?

Nie odpowiedziała. Cokolwiek by powiedziała, nie miało to żadnego znaczenia. Wiedziała o tym.

- Właśnie zgrzeszyła, Mary - szepnęła.

Mary przeknęła linijkę. Wiedziała, co się zaraz stanie.

Ojczy, wybacz mi...

- A wszyscy wiemy, że cena grzechu jest mierna.

Powoli odwrócił rewolwer w jej dłoń i przytknął lufę do jej skroni.

Rozdział 3

Może by o trzeciej - powiedziała Abby, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

Od czasu, kiedy słuchała audycji Nicka, jadąc na spotkanie w sprawie lubu, na którym miała robić zdjęcia, minęły dwa dni. Z torbami z zakupami w jednej ręce, a portfolio w drugiej wracała do domu. Prawie cały dzień spędziła w studiu, przeglądając rachunki i zdjęcia dyplomowe studentów college'u, później wstąpiła do sklepu i szybko wróciła.

Rzuciła torbę z zakupami na kuchenny blat. Ansel siedział koło okna i obserwował ptaki, nerwowo poruszając ogonem.

- Uciekaj stąd - powiedziała cicho do kota i wróciła do rozmowy z kobietą, która chciała zobaczyć dom.

Tabliczka z napisem na sprzedaż bez podświetlenia wisiała przed domem zaledwie od dwóch dni, a już zadzwoniło kilku potencjalnych nabywców. Ta kobieta była pierwszą klientką, która chciała „obejrzeć nieruchomość” po usłyszeniu ceny. Abby poszła do salonu, zostawiła portfolio i wróciła do kuchni.

- Może pani powtórzy nazwisko? I numer telefonu? - poprosiła, wyciągając z torebki długopis. Zanotowała je szybko w lewym obok telefonu notatniku. - Dziękuję, do zobaczenia o trzeciej.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Do trzeciej zostały niecałe dwie godziny.

Na szczęście w domu panował względnym porządek - pomijając szarą koci sierść, która zbierała się w kątach. Mimo wysiłków nie była w stanie odkurzyć domu wystarczająco czysto, zwłaszcza kiedy Ansel przechodził linieniem.

- Może powinnam kupić gołarkę dla ciebie zamiast odkurzacza, co?

Kot podszedł do tylnych drzwi i zaczął miauczeć. Otworzyła je i wypuściła go na zewnątrz, a potem sama wyszła na ganek. Słońce z trudem przebiegało przez gęste chmury. Wydawało jej się, że przez chwilę zobaczyła na niebie błądzącego łukowca, która jednak szybko zniknęła.

- Chciałaby - mruknęła do siebie i wróciła do rodzka.

Rozejrzała się dookoła i doszła do wniosku, że będzie musiała jednak trochę posprzątać, zanim zacznie kogokolwiek wprowadzać do domu.

W sypialni rzuciła bluzkę i spodnie i przebrała się w „rzeczy do sprzedania”, ukochane stare dżinsy i poplamiony podkoszulek. Potem zebrała rozwichrzony kołki i zabrała się do polerowania stołów, mycia okien i pastowania drewnianych podłóg.

Włączyła telewizor i jednym uchem wysłuchiwała ostrzeżeń przed tropikalną burzą, zbierając się na Atlantyku. Po prognozie pogody zaczęły się reklamy, a potem nastąpił kolejny dalszy wiadomości.

Abby wycierała właśnie parapet, kiedy usłyszała coś, co przykuło jej uwagę.

- Nasza Pani od Cnót...

Podniosła głowę. I spojrzała na mały telewizor stojący na półce z książkami.

- ...Szpital znajdował się w tej okolicy od prawie stu lat - mówiła dwudziestoparoletnik.

widzicie państwo za mną, przechodził w tym czasie wiele zmian i kryje w sobie lada wiele, czasami sensacyjnych, historii.

O Boże, chyba nie wywlokł teraz tego, co stało się z moją matką?

Abby zeszywniała, jakby w oczekiwaniu ciosu.

- Wybudowano go na sierociniec, po drugiej wojnie światowej w budynku urządzono szpital, prowadzony przez katolicki zakon żeński.

Teraz kamera objęła cały, nigdy wspaniały budynek z czerwonej cegły.

- W ostatnich dziesięcioleciach mieścił się tu szpital psychiatryczny, lecz choć był własności prywatnej, także ucierpiał, kiedy skończyły się fundusze federalne. Po samobójstwie jednej z pacjentek, blisko osiemnaście lat temu został zamknięty...

Abby zacisnęła zęby i opuszczyła głowę. Widok na ekranie wydał jej się nagle i dziwnie nierealny.

Nad telewizorem, na górnej półce obok kominka, stała duża zdjęcie jej matki. Była na nim uśmiechnięta, ciemne włosy okalały miękko jej twarz, a złoto-brązowe oczy nie zdradzały cierpienia, jakich musiała doświadczyć jej dusza.

Abby podeszła do półki i wzięła fotografię do ręki.

- ...szpital zostanie wyburzony, prawdopodobnie w przyszłym roku, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem...

Abby szybko spojrzała na ekran. Mają zamiar zburzyć stary szpital?

- W przyszłości powstanie tu dom opieki dla osób starszych wraz z przylegającym do niego ośrodkiem zdrowia.

- Dziękuję, Dario - powiedział spiker w studiu, podnosząc lekko przed nim kartki. - Po przerwie dalszy ciąg informacji na temat losów szpitala.

- Nie, dziękuję. - Abby wyłączyła telewizor i twarz spikera zniknęła.

Westchnęła głębiej i zaczęła myśleć o tym, co usłyszała. I co z tego, że szpital, w którym jej matka zakończyła życie, zostanie zburzony? Co z tego, jeżeli nowy budynek zastąpi stary? Na tym właśnie nie polega postępek, prawda?

Postawiła zdjęcie matki na półce, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Nie było wody mineralnej.

- Do diabła.

Wzięła szklankę z kredensu i odkręciła kran. W starych rurach zabulgotało jej kłowie. Oparła się biodrem o blat, napełniła szklankę wodą i przypomniała sobie wszystkie powody, dla których postanowiła wrócić do Luizjany.

Bo właśnie ciwicie wcale nie miała ochoty tu wracać.

Uważała, że Seattle - ze względu na swój klimat, blisko gór, interesująca historia, a przede wszystkim ponad trzy tysiące kilometrów dzielące je od Luizjany - to dla niej wymarzone miejsce.

Obiecała sobie jednak, że wróci tam, gdzie jej życie zmieniło się na zawsze po tragicznej śmierci matki. Bo doszła do wniosku, że aby raz na zawsze odciąć się od duchów przeszłości, musi odwiedzić ten stary szpital, zrobić zdjęcie i jeszcze raz spróbować odtworzyć tę noc, którą pamiętała tak mgliście.

Zadzwoniła komórka w torebce, którą zostawiła w jadalni obok portfolio. Podeszła do niej szybko i wyciągnęła telefon.

- Halo?

- Cześć, Abby, tu Maury - usłyszała, nieprzyjemnie zaskoczona. - Maury Taylor. Pamiętasz? Pracuję z Nickiem.

- Tak, pamiętam cię, oczywiście - odparła chłodno. Maury idiota.

- Słuchaj... nie miała przypadkiem ostatnio wiadomości od Nicka?

- Nie - powiedziała powoli, podejrzewając, że to może być pułapka. Jeden z głupich kawałów Nicka. Był znany z tego, że wystawiał ludzi na pokaz w czasie programu, bawił się cudzym kosztem.

- Na pewno?

- Oczywiście. Po co miałabym się z nim kontaktować ?

- Nie wiem. - Maury wydawał się zdenerwowany. - On... eee... nie przyszedł wczoraj do studia. Nie zrobił programu. Musieliśmy puścić z tą moją starym materiałem z ubiegłego lata.

Abby nie bardzo chciało się w to wierzyć, a poza tym doszła do wniosku, że nic jej to nie obchodzi. Skończyła z Nickiem Giermanem raz na zawsze.

- Dlaczegoś dzisiaj, może mogłabym wiedzieć, gdzie on jest?

- Nie wiem... Pomyślałam, że może słuchała jednego z jego programów w tym tygodniu, tego o byłych małżonkach.

Abby nie odpowiedziała, ale nagle zrobiło jej się gorąco. Dławiła się, pomyślała, przypominając sobie wszystkie kłamstwa, które Nick tak gładko wypowiadał do mikrofonu. Zaciśnięła palce na telefonie.

- Nick... cóż, pewnie i tak już o tym wiesz... nie zostawił na tobie suchej nitki.

- I dlatego miałabym się z nim spotykać? - spytała drwiąco. Jako udało jej się opanować gniew. Ci głębiej nie była pewna, czy to nie pułapka. - Uroczy pomysł. Nie, nie mam pojęcia, gdzie jest Nick. Nie wiem.

- Nie, zaczekaj, Abby! - rzucił Maury gwałtownie, jakby się bał, że Abby odłoży słuchawkę. - Przepraszam. Ten program był... no wiesz, naprawdę ostry, ale słuchacze takie właśnie nie lubi...

- Do rzeczy, Maury.

- No wiemy... po tym programie Nick zniknął. Nie pojawił się w swoim klubie fitness, a wiesz, że zawsze po pracy chodzi na siłownię.

Tak, pamiętała. Nick miał obsesję na tym punkcie. Dbał o kondycję fizyczną przybrała u niego forma manii.

- Nikt nie miał od niego wiadomości. Poszedłem nawet do niego do domu, ale nie otworzył. Dzwoniłem na telefon domowy i na komórki, ale nie odbiera.

- Na pewno wkrótce się pojawi - powiedziała Abby lekko. Postanowiła, że nie da się w to wciągnąć.

- Ale...

- Nie widziałam się z nim. Jak zauważył ostatnio na antenie, jestem jego byłą żoną. - Była już naprawdę zła i z trudem panowała nad sobą. - Nie interesuje mnie, co robi. Dlaczego nie porozmawiasz z jego dziewczyną?

- Nia... tak, no cóż... Nick i Nia... - zaczął Maury, ale urwał.

- Co? - spytała niecierpliwie.

- Nia nie wie, gdzie może być.

Abby czuła, że Maury mógłby jeszcze coś dodać na ten temat, ale nie była zainteresowana.

- Może wie, tylko nie chce powiedzieć.

- Nie... To takie do niego niepodobne. - Maury był zaniepokojony. Powinno go zaniepokoić.

Wiednie. Niech sam się martwi o Nicka. Jej nie obchodziły chore zabawy byłego męża ani jego życie osobiste. Nie martwiła się o niego. Był znany z tego, że sfingowałby własny śmierć, gdyby mogło mu to przysporzyć popularności.

- Nie widziałam Nicka od ubiegłego weekendu, kiedy przyjechał po Hershey, psa, którym się wspólnie opiekujemy. Niestety, nie mogę ci pomóc. I lepiej, żeby Nick dobrze się opiekował moim psem.

- W porządku, w porządku... ale gdyby się z tobą skontaktował, powiedz mu, żeby natychmiast zadzwonił do studia. Producent jest naprawdę ciekawy.

- To wiednie. - Właśnie nie to miała ochotę usłyszeć. Rozłączyła się i postanowiła, że nie będzie więcej o tym myśleć. To, co robi Nick, nie ma żadnego znaczenia. Sprawy rozwiedzeni. Koniec i kropka.

A jego rzeczy zniknęły z garażu.

Poszła jednak do sypialni i otworzyła drugi szuflad nocnej szafki.

Jak zawsze od lat leżał tam rewolwer, należał kiedyś do ojca Nicka. Podniosła go i ogarnęła wyrzuty sumienia. Okłamała Nicka. Ale poczucie winy szybko minęło.

Na razie go zatrzyma.

- W porządku... Co my tu mamy? - detektyw Reuben Montoya, w dżinsach, podkoszulku i czarnej skórzanej kurtce, ruszył powoli w stronę niewielkiej, rozsypanej chaty na obrzeżach moczarów. Poranne słońce przebiegało przez gałęzie drzew. Czuł ostry zapach moczarów, zapach stojącej wody, gnijących roślin... i czegoś jeszcze... Po chwili zorientował się, że to odór rozkładającego się ciała.

Zrobiło mu się trochę niedobrze, ale opanował mdłości. Zazwyczaj potrafił wykonywać swoją pracę, nie zwracając ostatniego posiłku.

- Wygląda na morderstwo i samobójstwo - powiedział Don Spencer, niski mężczyzna o błękitnych oczach i krótko przyciętych rudawych włosach. - Ale nie wszystko pasuje. Ciągłe pracujemy. Zespół jest tu od godziny.

Montoya kiwnął głową i rozejrzał się dookoła. Chata została już otoczona siatką, przy której stało teraz kilku policjantów.

- Ty byłeś tu pierwszy? - spytał Montoya, podpisując stosowny dokument.

- Tak. Mieliśmy telefon od jednego z miejscowych... Władca, przyznał się, że wszedł do chaty. Jechał nad rzekę, zauważył, że drzwi są otwarte, i wszedł do rodka.

- Jest tu jeszcze?

Policjant kiwnął głową.

- Siedzi w swojej furgonetce, tam. - Spencer wskazał ruchem głowy starego czerwonego Dodge'a, który znajdował się w ostrym słońcu Luizjany. Z tyłu leżały mały kajak i sprzęt wędkarski. W samochodzie siedział czarny mężczyzna. - Nazywa się Ray Watson. Mieszka jakieś siedem kilometrów stąd w górę rzeki. Nienotowany.

- To jedyny wiadek?

- Jak dotychczas.

- Zatrzymaj go jeszcze trochę. Bardzo chciałbym zadać kilka pytań.

- Jasne.

Montoya marzył o papierosie, ale włożył białe ochraniacze na buty i ruszył w stronę chaty, starając się nie przeszkadzać fotografowi, który właśnie utrzymywał zarys korytarza prowadzącego do drzwi. Chwasty były zdeptane, wyraźnie ktoś tu niedawno chodził.

Montoya wszedł do rodka i stanął jak wryty.

- Co to jest, do diabła? - spytał. Znowu ogarnęła go mdłość.

W ostrym świetle policyjnych lamp dostrzegł pióra, krew i wymioty pokrywające podłogę. W powietrzu unosił się silny zapach zgnilizny, krwi, uryny i kurzu. Po wnętrzu chaty krzątało się kilka osób, zbierających odciski palców i szukających innych dowodów.

Po rodku leżało dwoje ludzi. Mężczyzna, biały, wysportowany, wyglądał na jakieś czterdzieści lat, leżał nagi jak go matka urodziła, z twarzą zwróconą do góry. Na jego piersi widniała rana od kuli i cienka struga zakrzepłej krwi. Była jednak mniej, niż można by się spodziewała. Widać zmarł szybko.

- Jezu - szepnął Montoya.

Druga ofiara, młoda kobieta w białej sukni lubnej, leżała na miejscu, jak

wymierzonym w głow . Długi ko ski ogon le ał na jej nagich plecach - suknia miała gł boki dekolt z tyłu. Jasne włosy na skroni były zlepione krwi .

Fotograf robił zdj cie za zdj ciem, błyskaj c fleszem, a Bonita Washington, która tu dowodziła, dokonywała pomiarów wokół le cych ciał. Czarne włosy zwin ła w ciasny w zeł na karku, brwi zmarszczyła w skupieniu.

- Podpisałe si , Montoya? - spytała, spogl daj c na niego znad okularów z kwa n min . Była Afroamerykank , dumn z tego. Lepiej było z ni nie zadziera . Bonita zarz dzała zespołem kryminologów elazn r k .

- A co my lała ?

- Tylko pytam. Bez mojego zezwolenia nikt tu nie wejdzie. Musz wiedzie , kto tu wchodzi, i mie to na li cie. A tobie nieraz ju zdarzało si nagina przepisy.

- Podpisałem si . Wszystko w porz dku.

- To dobrze. Gdzie Benz?

- Na urlopie z on . W Vegas. - Rick Benz był partnerem Montoi od lat, odk d przeprowadził si tu z Los Angeles. Montoya dopiero zaczynał prac w policji. - Wraca za kilka dni - powiedział, potarł zaro ni ty podbródek i u miechn ł si do Bonity. - Na razie b dziesz musiała radzi sobie ze mn .

- Szcz ciara ze mnie - odparła, u miechaj c si lekko, ale zaraz znowu spowa niała. - Uwa aj, gdzie stajesz i czego dotykasz. Ci gle zbieramy odciski.

Montoya spojrział na ni z ukosa.

- Bywałem ju na miejscach zbrodni i to do cz sto!

- W porz dku. - Zmarszczyła brwi, ale kiwn ła głow . - Jestem ju po wst pnych ogl dzinach. Wygl da na to, e wszystko wydarzyło si w tym pomieszczeniu. Z rozmieszczenia plam krwi i pozycji ciał wynika, e obie ofiary zostały zabite dokładnie w tym miejscu. Dłoni w r kawiczce wskazała podłog . - Ale niewykluczone, e mamy do czynienia z upozorowaniem.

- Upozorowaniem?

- Aha. To albo morderstwo i samobójstwo, albo podwójne morderstwo. Jeszcze nie wiem. Ale si dowiem.

Montoya nie w tpił w to ani przez chwil .

- My l , e m czyzna był przywi zany do tego krzesła. - Wskazała stare plastikowe krzesło stoj ce w k cie. - S na nim lady krwi i wida , e zostało przeci gni te po podłodze... Tu jest lad ci gni cia, a obok lady stóp. W butach. Nasz przyjaciel - spojrziała na martwego m czyzn - jest bosy. Nie znale li my tu m skich butów. lady s zbyt du e, by mogła je zostawi dziewczyna, my l wi c, e był tu kto jeszcze. Rosły m czyzna, s dz c ze ladów stóp. Na razie b dziemy go nazywa Rozmiar Dwana cie.

- Zabójca.

- Tak. Ten facet nosi rozmiar dziewi i pół, najwy ej dziesi . Wszystko tu sprawia wra enie, jakby kto to upozorował, ale nie do zr znie, eby my tego od razu nie zauwa yli. Czyli albo ten kto jest idiot , albo chce, eby my wiedzieli, e za tym stoi. Popisuje si przed nami. - Bonita spojrziała na Montoy znad okularów. - Na r kach kobiety jest troch krwi, ale co tu mierdzi.

- Kto zwymiotował?

- Ona, s dz c po stanie sukienki.

- Suknia lubna? Była pann młod ?

- Nie wiem. Nie s dz . Widzisz te rzeczy? Szorty i podkoszulek. Przebrała si . Albo kto j przebrał. Przed mierci , bo suknia jest cała zaplamiona krwi .

- Po co miałyby si przebiera ?

- Nie mam poj cia. Ale kimkolwiek jest zabójca, chce, eby my zauwa yli, e m czyzna jest rozebrany, nagi wobec całego wiata, a dziewczyna jest w drodze na swój lub... czy co w tym rodzaju.

Montoi nie podobała si ta sugestia. Spojrzał na le czego na wznak martwego m czyzn . Było w nim co ...

- Poznajesz go? - spytała Bonita, wskazuj c m czyzn ołówkiem.

- A powinienem?

- To Nick Gierman. Lokalna osobisto . Prowadzi szokuj c audycj w radiu.

- „Gierman i go cie”. - Montoya przypomniał sobie kontrowersyjnego radiowca. Nigdy nie miał okazji go pozna , ale widział jego zdj cie w gazetach.

- Miał przy sobie dowód, a tak e karty kredytowe i gotówk . Wszystko nietkni te, w ka dym razie w tej chwili na to wygl da. Dwie cie sze dolarów i pokwitowanie z bankomatu First Congressional Bank na Decatur Street, i z dat z ubiegłej nocy i godzin szóst trzydzie ci sze .

- Mógł zosta porwany mniej wi cej o tej porze. - Montoya postanowił sprawdzi kamery w banku.

- Mo e. A je li chodzi o ni ... - Bonita wskazała kobiet le c na Giermanie. - Nazywa si Courtney LaBelle. Znale li my dowód w portfelu. Nie miała przy sobie torebki, tylko płaski skórzany portfelik w kieszonce szortów. adnych kart kredytowych i tylko pi dolców. Ale miała przy sobie prawo jazdy, z którego wynika, e jest z tego miasta z Garden District. - Bonita pokr ciła głow ze smutkiem. - Osiemna cie lat. Lekarz obejrzał j ju i uwa a, e bior c pod uwag zeszywnienie, plamy opadowe i temperatur ciała, zgon nast pił dwa dni temu, prawdopodobnie mi dzy dziesi t wieczorem a trzeci rano. Na razie nie jest w stanie powiedzie nam nic bli szego.

- Niedługo po wizycie Giermana w bankomacie.

- Tak.

- Znała Giermana? - spytał Montoya, spogl daj c na dziewczyn . Jej skóra była woskowobiała, twarz zakrwawiona, ale nie mo na było mie w tpliwo ci, e jeszcze kilka dni temu była naprawd pi kna.

- Tego wła nie musisz si dowiedzie . Gierman miał podobno słabo do młodych dziewcz t, ta mogłaby mu wpa w oko.

Montoya zacz ł robi notatki. Bonita czasami strasznie go wkurzała, ale wiedział, e była dobra w pracy. Bardzo dobra.

- Mamy bro ?

- Tak. Rewolwer, dwudziestkadwójka. Znaleziony w dłoni dziewczyny.

Montoya spojrział na podłog . Na starych zakurzonych deskach wały si pióra, pomieszane z błotem i krwi .

- Sk d te pióra?

- Z poduszki. Prawdopodobnie przywi zano j do Giermana. Mo e zabójca chciał stłumi odgłos wystrzału. Zostawił j koło krzesła. Strzelał z bliskiej odległo ci. Jak ju mówiłam, lady na r kach i nogach Giermana wskazuj , e był skr powany. Wygl da na to, e nogi w kostkach przywi zano mu do nóg krzesła. S dz te , e usta zaklejono mu ta m . Nie ma jej teraz, ale na twarzy zostały lady jakiej klej cej substancji.

- Byli mał e stwem?

- Nie. Gierman był stanu wolnego, chyba rozwiedziony. Co do niej, nie ma pewno ci, ale na serdecznym palcu lewej r ki wida zadrapanie, jakby kto zdj ł pier cionek czy obr czk i zdarł jej przy tym sporo skóry.

- Jezu - mrukn ł Montoya, pochylaj c si nad dziewczyn .

- Zdaje si , e były problemy z przysi g mał e sk - powiedziała Bonita. Czarny hu

Montoya widział wiele dziwnych zabójstw, odkąd zaczął pracować w policji, ale to przechodziło wszelkie wyobrażenia. Wyprostował się.

- Mylisz, że mógł być jakiś udawany lub? Że zabójca był księdzem i najpierw włożył dziewczynie pierścionek na palec, a potem go zdarł? Znaleliście ten pierścionek?

- Nie, nie znaleźliśmy żadnej biuterii poza łańcuszkiem, który dziewczyna ma na szyi. - Bonita wskazała delikatny złoty łańcuszek z krzyżykiem złożonym z małych diamentów.

- A buty? - spytał. Zauważył teraz, że dziewczyna też ma białe stopy.

- Oboje mieli tylko adidas. Chyba wybrali się po wycieczkę albo właśnie nie wracali z siłowni. Oboje na początku mieli na sobie szorty, podkoszulki i sportowe buty, ale on został całkiem nagi, a ona w sukni lubnej. Brak butów, welonu ani pierścionka... Bardzo dziwne.

- Zgadza się.

Washington przycisnęła notatnik do piersi i włożyła ołówek do ust.

- Wiesz, ten facet wkurzał mnóstwo ludzi. Mnóstwo. Grupy religijne. Stowarzyszenia rodziców. Miał nawet jak spraw w sądzie. Był popularny, ale także nienawidzony.

- Nie lubiła go.

- Nie przepadałam za nim, fakt, ale pytanie brzmi: kto nienawidził go tak bardzo, by chciał go zabić?

- Courtney LaBelle? - podsunął Montoya.

- Nie, nie sądzę. Po co studentka college'u miałaby go sprowadzić tutaj, związać, a następnie zabić i siebie samą?

- Może był to rodzaj perwersyjnej zabawy seksualnej?

- On jest nagi, ale ona nie. On został przywiązany do krzesła, w pozycji mającej wyrażać uległość. - Bonita spojrzała na niego uważnie. - A poza tym suknie lubne raczej nie należą do rekwizytów sadomaso.

- Skąd wiesz?

- Cóż, jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz. Obrobienie, bicze, czarna skóra i tak dalej... - Uśmiechnęła się do niego artobliwie. - Ci głębiej stawiam na naszego pana Rozmiar Dwanaście, ale dowiemy się czegoś więcej, kiedy skończymy badanie ładów.

- Dobrze.

- Proponuję, aby postarał się zebrać jak najwięcej informacji o ofiarach.

Montoya sam wiedział, że będzie musiał się tym zająć, ale miał ochotę się kłócić.

- A co z resztą chaty?

- Chyba nikt tam nie wchodził, ale sprawdzamy wszystkie pomieszczenia, głównie ze strychem.

- Zamki w drzwiach?

- Stare i zardzewiałe. Zepsute. Pracujemy nad nimi.

- Czy ktoś wie, do kogo należy to miejsce?

Bonita spojrzała na niego ostro.

- Ktoś na pewno wie, ale nie ja. To jeszcze jedna rzecz, którą powinniśmy się zająć - odparła i wróciła do swojego rysunku.

Montoya wyszedł, minął dwóch mężczyzn badających odciski opon i podszedł do starego czerwonego pikapa. Za kierownicą siedział postawny czarny mężczyzna, wystukując palcami rytm granej w radiu piosenki.

- Ray Watson? - spytał Montoya, pokazując mu odznak przez okno.

- To ja. - Watson miał koło pięćdziesiątki, ciemną, płaską twarz o szeroko osadzonych oczach i kilka złotych zębów. Był ubrany w podkoszulek i dres, a na przetykanych siwizną włosach nosił podniszczoną czapkę bejsbolową. Na siedzeniu obok niego leżały: para krótkich wioseł, latarka i puszka tytoniu.

- Panie Watson, może mi pan powie, co pan tu zastał? I jak to się stało?

- Sam pan widział. - Watson szeroko otworzył oczy. - Niczego nie ruszałem. Tylko otworzyłem drzwi. Jechałem na ryby, jak zawsze, ale tym razem coś było inaczej niż zwykle... sam nie wiem... Zobaczyłem, że drzwi są otwarte, no to wszedłem do rodka. No oni tam byli, ci ludzie... - Pokręcił głową. - Nie wierzyłem własnym oczom. Facet nagusieki jak go Pan Bóg stworzył i kobieta ubrana, jakby się wybierała na własne wesele... - Spojrzał w stronę chaty, a potem prosto w oczy Montoi. - Popatrzyłem, zobaczyłem, że oboje nie żyją i zadzwoniłem na 911.

- Znał pan którąś z ofiar?

- Nie. - Watson stanowczo pokręcił głową.

- Kiedy to mniej więcej było?

- Jakie półtorej godziny temu. Koło piętej - odparł mężczyzna, spoglądając na zegarek. - Przyjeżdżałem wcześniej, żeby zacząłowi przed witem. Kiedy tydzień przejechałem, było jeszcze ciemno, ale po wzięciu latarki, jak zawsze, i jak już mówiłem, coś tu było nie tak. Czsto tydzień, więc wiem, jak to zwykle wygląda. Pomyślałem sobie, że lepiej sprawdzić, co jest.

- I wszedł pan do rodka.

- Zgadza się. - Watson zmarszczył nos, jakby na wspomnienie odoru, który kłosił się w chacie. - W tym celu czego takiego nie widziałem.

- Wie pan, do kogo należy to miejsce?

- Teraz nie. Kiedy chata należała do faceta nazwiskiem Bud Oxbow. Czasem wędrowali my tu razem.

- Gdzie jest teraz Oxbow?

- Przeszedł na emeryturę i przeprowadził się na północ, gdzie koło Chicago. Jakie pięć czy sześć lat temu. Nigdy tu nie mieszkał, tylko przyjeżdżał na ryby i przesiadywał w Lottie's Diner. Tam się poznaliśmy. - Watson podrapał się po głowie. - Chyba wspominał coś, że odziedziczył tę chatę po wuju, ale nie jestem pewny.

Montoya wypytał Watsona jeszcze raz, ale usłyszał to samo, co za pierwszym razem. Zwolnił go więc, zamienił jeszcze parę słów ze ledczymi przed chatą i doszedł do wniosku, że niczego więcej się tu nie dowie. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku miasta.

Zapowiadał się wspaniały dzień. Dwa trupy, a był dopiero polanek.

Rozdział 4

Jeszcze tylko kilometr - obiecała sobie Abby. Biegła truchtem wzdłuż drogi. Serce waliło jej jak młotem, bolały jej łydki, sportowe buty zapadały się w miękki asfalt. Pot zalewał jej oczy. Postanowiła, że pójdzie pobiegać, choć pogoda zmieniała się szybko i słonce zasłoniły ją gęste, ciemne chmury. Nie biegła od trzech tygodni i teraz mi nie odmawiały jej posłusztwa. Zaciśnięta jednak zębami i biegła dalej.

Kiedy mieszkała w Seattle, biegła przynajmniej trzy razy w tygodniu, ale w Nowym Orleanie panowały zwykle upały, a ulica, przy której mieszkała, była tak w skała, że z trudem mijały się na niej samochody. Abby znajdowała więc zazwyczaj jak wymówek, by odpocząć sobie nad kondycją.

Ale koniec z tym.

Dzień urodzin był kamieniem milowym; postanowiła, że bez względu na to, czy mieć

nie pozwoli sobie na utratę formy. Paliła ją w płucach i dostała kolki, ale dobiegła aż do skrzynki pocztowej Pomeroyów, a więc pokonała całe pięć kilometrów.

Zwolniła, mijając masywną bramę i ogrodzenie z kutego żelaza, oddzielające multimilionera od ciekawskich. Charles Pomeroy, razem ze swoją czwartą żoną, mieszkał w rezydencji przywódcy na myli *Przemin to z wiatrem*, którą otwierał dla publiczności dwa razy w roku: na Boże Narodzenie i Mardi Gras. Poza tymi dwoma dniami Abby nigdy nie bywała u swoich gości. Obracała się w innych kręgach niż Vanessa Pomeroy.

Od bramy dobiegło ją gromkie warczenie. Rottweiler Pomeroyów, wielki pies z karkiem niedźwiedzia, krążył za ogrodzeniem i wkrótce zaczął szczekać jak oszalały.

Daj spokój, pomyślała Abby, i ruszyła szybkim krokiem w stronę domu. Zatrzymała się przy tabliczce na sprzedaż bezpośredników i oparła o słupek, rozciągając napięte mięśnie nóg. Była zmęczona, ale czuła się dobrze, jakby rzeczywiście udało jej się zrobić dla siebie coś dobrego.

Telefon Maury'ego wytrząsnął ją z równowagi. Co teraz zamierza jej być mi?

- To nie twoja sprawa - powiedziała na głos i wróciła do domu.

Całe rano sprzedawała i odbierała telefony w sprawie sprzedaży domu. Potem poszła pobiegać, o wpół do drugiej miała spotkanie z klientami w studiu, następnie czekały jej dwie wizyty osób zainteresowanych domem. Para, która widziała dom poprzedniego wieczoru, chciała obejrzeć go jeszcze raz. Drugi potencjalny nabywca był samotnym mężczyzną.

Dobra wiadomość.

Wyjmowała gazetkę ze skrzynki, kiedy zza rogu wyszedł Ansel, z myszami w zębach.

- Co ty tu masz, na lito boską? - spytała. Mały gryzoł jeszcze i popiskiwał cicho. - Puść go! No już! I nie przynosź jej tu więcej, ani żywej, ani bez głowy.

W tej chwili usłyszała nadjeżdżący samochód. Odwróciła się i zmarszczyła brwi. Policja. Jak to zawsze mawiał jej ojciec? Policja przyjeżdża tylko z dwóch powodów, a jeden z nich nie jest dobry.

Albo ktoś zmarł.

Albo zaraz ci aresztują.

Zaschło jej w ustach.

Kiedy okazało się, że myszy udało się uciec w krzaki. Ansel rzucił się w pościg, ale Abby skupiła się teraz wyłącznie na policyjnym samochodzie i człowieku, który z niego wysiadał.

Był dość wysoki i mocno zbudowany, miał czarne włosy i ostre rysy, jakby w jego żyłach płynęła trochę indiańska krew, chociaż sprawiał wrażenie Latynosa. Nosił małą, starannie przystryżoną brodkę, w jednym uchu połyskiwało złote kółeczko.

- Abby Gierman? - spytał, zdejmując ciemne okulary. Miał czarne przenikliwe oczy i gęste brwi. Nie wyglądał jak gwiazda Hollywood, ale na swój sposób był bardzo przystojny.

- To ja.

Mrużył oczy w świetle słonecznym, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie: przynosił złe wieści. Prawdopodobnie najgorsze z możliwych.

Pomyślała o ojcu, umierającym powoli na raka i rozdemolowanych płucach, i poczuła, jak zaczynają jej dręcze kolana.

- Ale nazywam się Chastain. Abby Chastain.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął odznak.

- Kiedy jednak nazywała się pani Gierman - powiedział. - Detektyw Reuben Montoya, Departament Policji w Nowym Orleanie - dodał. Linią w słowach odznaka potwierdziła jego słowa.

- Ma pan do mnie spraw ? - zapytała.

- Niestety tak. Mo e wejdziemy do rodka?

- O co chodzi? - Nagle przypomniała sobie wczorajsz rozmow z Maurym. Maury niepokoił si o Nicka. Aten policjant nazwał j nazwiskiem byłego m a. Czyli jednak to nie ojciec! - O Bo e, chodzi o Nicka - wyszeptala, zakrywaj c usta dłoni . - Co si stało?

- Nie yje. Bardzo mi przykro.

Abby wydała cichy okrzyk, nogi nagle ugi ły si pod ni . Montoya błyskawicznie chwycił j pod rami . Zamkn ła oczy, które nagle wypełniły si łzami.

Nie yje? Nick nie yje? Niemo liwe! Przecie dopiero z nim rozmawiała, kłóciła si , dwa dni temu. Zamrugala, chc c powstrzyma gor ce, niechciane łzy.

- Nie... nie wierz ...

Ale twarz Montoi mówiła wyra nie, e to prawda, a nie kolejny wyglup Nicka, który miał mu przysporzy popularno ci.

- Przykro mi - powtórzył i pu cił jej rami , jakby nagle si zorientował, e jednak nie zemdleje. - Sk d pani wiedziała, e mówi o Nicku Germanie?

Abby wzruszyła ramionami, ałuj c w gł bi ducha, e ostatnia rozmowa z byłym m em zako czyła si kłótni .

- Wczoraj zadzwonił do mnie Maury Taylor. Szukał go. Bał si , e co mu si stało. A ja go spławiłam... My łałam, e to jeden z wyglupów Nicka... - Zamkn ła oczy i wzi ła gł boki oddech. - Nie mog w to uwierzy . Na pewno to jakie nieporozumienie.

- Nie ma mowy o pomyłce - powiedział Montoya stanowczo.

- Jezu Chryste. - Znowu łzy napłyn ły jej do oczu. - Co si stało? - spytała. Własny głos wydawał si dobiega gdzie z bardzo daleka, jakby kto inny wypowiadał te słowa. Wypadek... tak, to musiał by wypadek samochodowy...

- My l , e powinni my wej do rodka.

- Dlaczego? - spytała i wtedy dostrzegła w oczach Montoi co poza współczuciem. Podejrzliwi ? Serce zacz ło jej bi szybciej.

- Co si stało, detektywie? - zapytała ostrzej.

- Został zastrzelony. Z bliskiej odległo ci.

- Co?

- Zamordowany.

- Nie! Chwileczk ! - Abby cofn ła si o krok. - Kto do niego strzelił i go zabił?

- Zgadza si .

- Bo e, my łałam... my łałam, e to był wypadek samochodowy... - Abby prze egnala si odruchowo, jak wtedy, gdy była mał dziewczynk . Serce podeszło jej do gardła. Zacz ł pada deszcz, du e krople wody spływały jej po twarzy. - Kto? - spytała w ko cu. - Dlaczego?

- Tego jeszcze nie wiemy.

- O Bo e - podniosła głow i spojrzała w niebo, nie zwracaj c uwagi na krople deszczu padaj ce na jej policzki, spływaj ce po szyi.

- Pani Chastain. - Montoya zrobił krok w stron ganku.

Spojrzała na niego i zauwa yła, e ma mokre włosy, a koszula na ramionach zacz ła nasi ka wod .

- No tak, oczywi cie - powiedziała. - Wejd my do domu.

W kuchni ochlapała twarz wodą, potem otarła ją ciereczką do naczyń.

- Wszystko w porządku? - spytał Montoya łagodnie. Jakby go naprawdę obchodziła, jakby obchodziło go to, co czuje. No oczywiście, bywał już w takich sytuacjach. Czemu musiał przekazywać złe wieści ci. Ale jego bystre brzośce oczy rejestrowały każdą dyddziejczkę. Każdą reakcję Abby. Czowała to. I nie ufała mu. Ani trochę. Powoli wypuściła powietrze z płuc.

- W porządku? - powtórzył.

- Nie. Z całą pewnością ci nic nie jest w porządku - pokręciła głowę i złościła się ciereczką. - Nie mogłam w to uwierzyć. Wiem, że już to mówiłam, ale trudno mi to przyjąć. To znaczy... rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem.

- O czym rozmawialiście? - W recepcji Montoi nagle pojawił się notatnik.

Abby westchnęła i pokręciła głowę.

- Kłóciliśmy się. Jak zawsze. Tym razem o rzeczy, które tu zostawił, a ja się ich pozbyłam. Był bardzo zły. - Odwróciła wzrok. Nagle zdała sobie sprawę, że powinna uważać na każde słowo, które wypowiada przy tym człowieku. Nie był przyjacielem ani księciem, ani nawet znajomym. Był gliniarzem. - W każdym razie nie byliśmy w stanie się dogadać.

- Macie dzieci?

Pokręciła głowę, starając się nie okazać żalu, i otarła dłonie potem z karku. Pragnęła dzieci, przypominała sobie, chciała mieć szczęśliwą rodzinę. Po dwóch poronieniach była zdruzgotana, później jednak, kiedy małżeństwo z Nickiem zaczęło się rozpadać, uznała to, że nie była w stanie donosić ciążę, za błogosławieństwo.

- Nie, tylko kota i psa. Kiedy się rozstaliśmy, ja dostałam Anselę, kocurkę, a Nick Hershey naszego labradora. Ciężko było mi zniesić utratę psa, a nie wyobrazić sobie, co by było, gdybyśmy mieli dzieci. - Na myśl o psie ogarnęła ją panika.

- Co się stało z Hershey? Gdzie ona jest?

- W mieszkaniu Niemca jest teraz policja.

- Chcę mojego psa - powiedziała Abby stanowczo.

- Dużo pies, jak na takie mieszkanie.

- Wiem, wiem. Miałam zamiar go zatrzymać, ale Nick nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że przeprowadzi się do większego lokum, do domu z ogrodem... już niedługo, jak się działo. - Zmarszczyła brwi. - Jak mogła odebrać psa? Pojadam tam teraz.

- To niemożliwe. - Montoya pokręcił głowę. - Ciągłe badamy mieszkanie.

- Ale Hershey...

- Ja się tym zajmuję.

- Naprawdę?

- Tak. Jeszcze dzisiaj.

Ten prosty akt życzliwości ci ze strony policjanta dziwnie ją wzruszył.

- Dziękuję - szepnęła, przeczesując wilgotne włosy palcami. Zamrugnęła i poczęła nosić, czując, że zbiera jej się na płacz.

- W mieszkaniu Nicka jest policja? Mógłby pan tam zadzwonić i dowiedzieć się, czy Hershey nic się nie stało?

- Byłem tam wcześniej. Nic jej nie jest. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Została wyprowadzona na spacer, a potem zabrali ją do schroniska, ale jest cała i zdrowa. - Abby chciała zaprotestować, ale Montoya uspokajając co podniósł dłoń. - Naprawdę.

- W porządku, w porządku. To wszystko jest takie... dziwne. Straszne. Kto to mógł zrobić?

- Tego wła nie próbujemy si dowiedzie .

- Ale gdzie on był? Mówił pan, e sprawdzacie jego mieszkanie... Czy kto si tam włamał?

Dr czyły j tysi ce pyta . Czuła si tak, jakby to wszystko było tylko złym snem, jakby nie działo si naprawd . Ale widziała te wyra nie, e detektyw przygl da jej si uwa nie. Mo e s dził, e Abby co ukrywa. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Usi d my - powiedział.

Abby kiwn ła głow . Nogi miała jak z waty, zaprowadziła go jednak po kilku stopniach do salonu i usiadła w bujanym fotelu po babci. Siadała w nim zawsze, kiedy chciała pomy le . Potrafiła buja si , patrz c w okno, całymi godzinami.

Tym razem jednak siedziała zupełnie nieruchomo, zagryzaj c wargi i patrz c na policjanta, który sprawiał wra enie, jakby wszystko ju widział. Miał w skie wargi, białe z by i długi, lekko skrzywiony nos. Domy lała si , e pewnie kiedy go złamał, i to nie jeden raz. Był niew tpliwie przystojny i prawdopodobnie dobrze o tym wiedział. I z pewno ci potrafił to wykorzystywa . W koszuli z podwini tymi do łokci r kawami, d insach, z kolczykiem w uchu, nie wygl dał jak typowy policjant.

A to nie była typowa misja.

- Mo e chciałaby si pani napi wody albo czego innego? - zaproponował, ale pokr ciła głow .

- Nie, dzi kuj , nic mi nie jest. - Było to kłamstwo i oboje o tym wiedzieli. - Prosz mi powiedzie , detektywie - dodała - co si stało?

Montoya usiadł w rogu kanapy i opowiedział jej o tym, jak ciało Nicka zostało znalezione w opuszczonej chacie na mokradłach.

- ...problem w tym - ci gn ł - e pani m nie był...

- Były m - poprawiła go szybko, cho wszystko wydawało jej si nierealne, a głos Montoi zdawał si dobiega z daleka.

Montoya chrz kn ł i spojrzał na ni uwa nie.

- Pani były m nie był sam. W chacie znaleziono te zwłoki innej osoby.

- Co? - Abby szeroko otworzyła oczy. - Wi c zgin ło dwoje ludzi?

- Tak. - Kiwn ł głow .

Abby zmartwiała. A zatem czeka j kolejna zła wiadomo .

- Kto jeszcze został zamordowany?

Zawahał si .

- Na to wygl da.

- Jak to?

- Nie wiemy dokładnie, co zaszło. Ci gle nad tym pracujemy. Wszystko zostało upozorowane w taki sposób, by wygl dało na morderstwo i samobójstwo. W tej chwili podejrzewamy jednak, e było to podwójne morderstwo, i e ofiary zostały uprowadzone do opuszczonej chaty, mniej wi cej dwadzie cia kilometrów za miastem.

- Ale nie jeste cie tego pewni?

- Nie, jeszcze nie. Dopóki nie zbadamy wszystkich dowodów, b dziemy rozpatrywa wszelkie mo liwo ci.

- Ale... co si stało? Jak pan s dzi?

- Jak ju mówiłem, nie mamy pew...

- Wiem, co pan powiedział, detektywie, ale na pewno ma pan jakie przecucia, pra

intuicji. Człowiek, który widział setki miejsc zbrodni, zazwyczaj domyśla się, co się stało.

- Wkrótce się tego dowiemy.

- To niewiarygodne - wyszeptała. Nagle zrobiło jej się zimno, choć dzie było bardzo ciepły. - Kim jest ta druga osoba? - spytała, zastanawiając się, czy nie dowie się zaraz o śmierci kogoś innego, kto był jej bliski. Zaciśnięła palce na poręczach fotela na biegunach.

- Osiemnastoletnia dziewczyna, Courtney LaBelle. - Urwał na sekundę, przyglądając jej się uważnie. - Studentka pierwszego roku College'u Wszystkich Wiatrów w Baton Rouge.

Courtney LaBelle? Czy nie słyszała jej kiedyś tego nazwiska? Miała niejasne wrażenie, że tak, choć nie mogła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

- Znała ją pani?

- Nie. - Abby pokręciła głowę. - Osiemnaście lat? Niemal dziecko! Och, Nick... ty idioto!

- Czy pani byłaby mi ją znała?

- Nie wiem. - Abby usiłowała skojarzyć nazwisko z twarzą. - Może oboje ją znali? Może kto przedstawił im ją na jakimś przyjęciu? Ale nie, to niemożliwe... ta dziewczyna była po prostu zbyt młoda. - Przykro mi. Rozwidli się ponad rok temu. Nie wiem, z kim Nick się spotykał... nie znam jego nowych przyjaciół ani znajomych. Słyszałam tylko, że miał dziewczynę. Nialę. Jaka tam.

- Nialę Penne - powiedział Montoya, nie zaglądając do swoich notatek. - Wygląda na to, że to jego była dziewczyna. Jest w Toronto. Od tygodnia.

Abby przypomniała sobie rozmowę z Maurem. A więc to miał zamiar jej powiedzieć. Nick rozstał się z Nialę.

- Maury nie powiedział mi tego, kiedy wczoraj do mnie zadzwonił. Maury Taylor to współpracownik Nicka. Szukał go.

- Dlaczego się dziwi, że Nick mógł się z panią skontaktować?

- Nie mam pojęcia. Pewnie wczoraj z nią rozmawiał już ze wszystkimi znajomymi Nicka... ale to tylko przypuszczenie.

Będzie pan musiał jego o to zapytać.

- Zapytam.

Abby nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Montoya wyraźnie był zdecydowany rozwiązać zagadkę śmierci Nicka.

- Czy pani byłaby mi miała wrogów?

Abby niemal nie parsknęła śmiechem.

- Zarabiał na życie, obrażał ludzi. Z pewnością ci wie pan o tym. Dyrektor stacji i producent jego programu będą mogli dostarczyć panu długą listę osób, które składały na niego skargi.

- A w życiu osobistym?

Abby wzruszyła ramionami. Próbowała się skupić, ale nie była w stanie.

- Może liwe... Nikt konkretny nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. - A nawet gdyby było inaczej, nie była pewna, czy powiedziałaby o tym Montoi. Wydawał się podejrzliwy i niebezpieczny. I nie miała złudzeń. Byłoby to zawsze na czele listy podejrzanych. Postanowiła, że będzie bardzo ostrożna. Tak, będzie mówiła prawdę, ale zachowa czujność.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy zadzwonić do kogoś, kto mógłby dziś dotrzymać pani towarzystwa. Do przyjaciółki? Krewnych? Może do kogoś z sąsiadów?

Abby pomyślała o Vanessie Pomeroy, o swojej siostrze, która była w Seattle, o Alicji na Zachodnim Wybrzeżu, o ojcu i Tanishii, studentce, która pracowała z nią na pół etatu w studiu.

- Nie. Nic mi nie będzie. Naprawdę. Ja... ja ją go nie kocham.

Montoya uniósł lekko jedną brew i Abby natychmiast pośladowała swoich słów. Poczuli, że musi się wytłumaczyć.

- Fakt, że mnie rzucił dla innej kobiety, w dodatku dużo młodszej, nie znaczy, że nadal za nim tęsknił ani że się załamał, kiedy pan wyjdzie. To, co czułam do Nicka, umarło dawno temu. To smutne, ale tak jest. - Spuściła oczy i zagryzła wargę. Zapadło milczenie, słychać było dokładnie dźwięki wydawane przez stary dom, skrzypienie desek, wiewiórek przebiegających przez dach, wodę w rynnach. - Moje małżeństwo skończyło się jeszcze zanim przeprowadziliśmy się tutaj z Seattle. Chcieliśmy dać sobie ostatni szansę, ale się nie udało. - Pokiwała głową, jakby to wyznanie dobrze jej zrobiło. - Mimo to nie mogę po prostu uwierzyć, że Nick nie żyje. - Spojrzała na policjanta. - Pan jest tego pewny, prawda? Kiedy usłyszałam, że Nick zaginął, byłam przekonana, że to jakiś kawał, który ma mi przysporzyć popularności.

- Cóż, jeśli miał to być kawał, to chyba sprawy wymknęły mu się spod kontroli. Nick Gierman nie żyje. Moje mi pani wierzy.

Abby ogarnęła nagle głębi smutek. Nie potrafiła się dogadać z Nickiem, ale strasznie było pomyśleć, że został zamordowany, i że jego życie dobiegło końca, zanim jeszcze ukończył czterdzieści.

Montoya wstał i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel. Abby spojrzała na jego pośladki, a potem szybko odwróciła głowę. Detektyw był bardzo seksowny. I co z tego? Wielkie rzeczy. I tak wiedziała, że nie może mu ufać.

Montoya skrobał coś na drugiej stronie wizytówki i nawet jej nie zauważył, że Abby mu się przygląda, nie dał tego po sobie poznać.

- To numer mojej komórki - wyjął. - Jeśli coś jeszcze przyjdzie pani do głowy, proszę dać mi znać.

- Ja też proszę o informacje. - Wstała i wyciągnęła rękę po wizytówkę, kiedy nagle poraziła ją okropna myśl. - Proszę powiedzieć, że nie muszę jechać do kostnicy, żeby zidentyfikować ciało - spytała, czując nagle, że kolana się pod nią uginają.

- Nie, nie musi pani. Jego rodzice przyjadą do miasta.

Kiwnęła głową, starając się nie myśleć o bólu, jaki przeżywał jej byli ciowie.

- Widziałem tabliczkę przed domem. Zamierza się pani wyprowadzić?

- Tak, kiedy tylko sprzedam dom - odparła, zastanawiając się, dlaczego zabrzmiało to tak, jakby się tłumaczyła. Jakby uznała, że takie pytania zadaje się podejrzanym. Spodziewała się niemal, że poradzi jej, by nie wyjeżdżała z miasta, ale nie zrobił tego, zapytał tylko jeszcze raz, czy nie chce, żeby ktoś do niej przyjechał, a kiedy odmówiła, obiecał, że przywiezie psa.

Odprowadziła go do drzwi, a potem patrzyła, jak odjeżdżał. Kiedy zniknął jej z oczu, usiadła na ganku i zaczęła płakać. Głupie, pomyślała, nie kochała Nicka od tak dawna, a jednak jego śmierć sprawiła, że czegoś w jej życiu zabrakło.

Kto go zamordował? Czy znała tego człowieka? A może to ta kobieta pociągnęła za spust? Czy to ktoś inny zamordował ich oboje? Montoya niewiele jej powiedział, a teraz, kiedy minął pierwszy szok, Abby miała mnóstwo pytań.

Otarła łzy z twarzy, wstała z wysiłkiem i weszła do domu. Wesoło w garażu, Abby. On już nie był twoim mężem. Spójrz prawdzie w oczy - czasami po prostu go nie lubiła.

Zamknęła drzwi na zasuwę i poszła do łazienki wziąć prysznic. Musi się skoncentrować. Na razie nic więcej nie może zrobić. Spojrzała na zegarek. Ma akurat do czasu, by się umyć przed spotkaniem z człowiekiem, który przyjedzie zobaczyć dom.

Rozdział 5

Jadąc do miasta, Montoya nie mógł pozbyć się wrażeń, a Abby Chastain nie była z nim do końca szczera. Co gorsza, okazała się seksowna jak wszyscy diabli i zdawała się o tym nie wiedzieć. Nawet bez makijażu, z rozwichrzonymi włosami, w poplamionym podkoszulku, pobudziła jego zmysły. Zaczął się nawet zastanawiać, jak wygląda, kiedy wychodzi spod prysznicza.

Cholera.

To nie było profesjonalne.

Całkowicie wbrew regułom.

Za długo już był bez kobiety, i tyle. Od śmierci Marthy... Na myślenie nie zaciśnięć palce na kierownicy. Włączył wiatła i syren, a potem wcisnął gaz, jakby chciał uciec przed własnymi myślami.

Minęły już dwa lata, odkąd ją zabił. Czas, żeby się z tym uporał. Może jego zainteresowanie byłą panią German to dobry znak. Znak, że zaczął wracać do siebie.

Wiedział jednak, że musi być bardzo ostrożny. Abby Chastain była poza zasięgiem. Fakt, że na miejscu zbrodni był prawdopodobnie mordercą, nie oznaczał wcale, że ona nie maczała w tym palców. Mogła to wszystko zaplanować, pociągać za sznurki. Nie przypuszczał, żeby tak było naprawdę, ale zanim nie zapozna się ze wszystkimi dowodami, nie zmierzał nikogo skreślać z listy podejrzanych. Zwłaszcza byłej żony. Przypuszczał, że nie kłamała. Nie, była na to zbyt inteligentna. Ale nie powiedziała mu wszystkiego, co wiedziała. Czuł to.

I nie dawało mu to spokoju.

Zwolnił na St. Charles Avenue i czekał na zmianę wiatel, przyglądając się przechodniom, spieszącym ulicę pod parasolami. Byli to głównie studenci z dwóch uniwersytetów: Tulane i Loyola, usytuowanych naprzeciw siebie po obu stronach alei. Miali się i rozmawiali, z plecakami na plecach i styropianowymi kubkami z kawą w rękach. W pobliżu uniwersytetów mieścił się dom Courtney LaBelle. Może gdyby zdecydowała się na studia w Loyola, katolickim college'u z czerwonej cegły, przypominającym średniowieczny zamek, jeszcze byłaby? Miałaby do niego dwa kroki... Byłaby bezpieczna...

Marzył o papierosie. Papieros pomógłby mu się uspokoić. Zastanawiał się, czy nie zatrzyma się przy jakim sklepie i nie kupi paczki Marlboro. Teraz naprawdę by mu się przydały. Zerwanie z nałogiem okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

Wiatła zmieniły się, Montoya wcisnął gaz i ruszył, rozbryzgując kałużę. Przed oczami znowu stanęła mu Abby Chastain. Naprawdę go wzięła. W jej oczach była jakaś tajemnica. Wydawała się szczera, bezpodstępna, ale coś ukrywała. A może tylko tak mu się wydawało, bo zaskoczyło go, że zrobiła na nim takie wrażenie. Sądził, że przyjdzie, przekleje jej wiadomość, zobaczy, jak zareaguje, a potem znajdzie kogoś, kto z nią zostanie i pomoże jej przetrwać ciękie chwile.

Ale tak się nie stało.

Wzięła go.

A on, głupi, na to pozwolił.

Zawsze miał opinię kobieciarza, zaśmuchał się, trzeba przyznać. Lubił kobiety. Różne kobiety. Tylko raz myślał o tym, by się ustatkować, ale nic z tego nie wyszło.

Martha... Boże, była piękna, miała ciętą fryzurę i czarne oczy, które rzuciły na niego urok.

Poczuł, że to jest właśnie ta jedyna. Wcześniej nie wierzył w takie rzeczy, póki nie tak się nie stało, ale przez ten krótki okres w życiu był pewny, że chce, by Martha Vasquez została jego żoną.

Westchnął i zatrzymał samochód na parkingu. Teraz musiał się skupić na za

poinformowaniu państwa LaBelle, że ich córka już nigdy nie wróci do domu.

- Do diabła z tym wszystkim.

Tego najbardziej nie cierpiał w swojej pracy.

- Sam nie wiem... - Sean Erwin przechadzał się powoli po domu Abby. Miał okulary w eleganckich czarnych oprawkach. Rozejrzał się po salonie, a potem ruszył za Abby do jadalni. Po raz trzeci. Sean, wysoki szczupły mężczyzna o arystokratycznych rysach twarzy i wyrazistych ciemnych oczach, nie wydawał się zachwycony. A jednak ocięgał się z odejciem. - Chyba jest trochę za mały. - Położył palec na dolnej wardze i zmarszczył brwi. - Mam sporo naprawdę starych mebli. Kredens po babce, kanapę, fortepian... Łóżko, a właściwie łóżko, największe z możliwych. - Podszedł szybko do drzwi sypialni Abby i wetknął w nie głowę. - Nie, nie sądzę... ten pokój jest za mały, żeby zmieściło się w nim łóżko, dwa nocne stoliki i moja szafa. - Westchnął dramatycznie i wyciągnął z kieszeni miarkę. - Musz sprawdzić wymiary.

- Proszę bardzo. Będzie w kuchni, gdyby mnie pan potrzebował. - Abby nie była w stanie zdobyć się w tej chwili na więcej.

Handlarz dziełami sztuki chodził po jej domu, jakby już był jego właścicielem i na wszystko kręcił nosem, a ona nie potrafiła przestać myśleć o śmierci Nicka. Tego dnia meble Seana Erwina nie były dla niej najważniejsze. Para, która przyjechała wcześniej, obejrzała dom po raz drugi, ale oni także nie wydawali się zainteresowani. Odjechali, nie zadając żadnych pytań.

Zadzwonił telefon. Odebrała w kuchni, gdzie pod jednym z krzeseł ukrył się Ansel.

- Halo?

- O Boże, powiedz, że to nieprawda! - Rozległ się głos Giny. - Powiedz, że Nick żyje!

- Nie mogę.

- Został zamordowany? On i jaka dziewczyna?

Abby kiwnęła głową, choć przecież siostra nie mogła tego zobaczyć.

- Tak, dowiedziałam się o tym jakieś dwie godziny temu. Był u mnie policjant z wydziału zabójstw.

- Jak się czujesz?

- Kiepsko, ale to chyba naturalne - odparła Abby najciszej, jak potrafiła. Słyszała, jak Erwin chodzi po łazience, otwierając i zamykając szafki. - Jak się dowiedziała?

- Pracuję w branży, zapomniała?

- Ale jesteś na Zachodnim Wybrzeżu.

- Cóż, Seattle to nie Timbaktu. Mamy informatorów na całym świecie. Przypadkiem zobaczyłam wiadomość o podwójnym morderstwie czy też o morderstwie i samobójstwie w Nowym Orleanie, a potem... potem zadzwoniłam do lokalnej stacji. - Jej głos drżał. - Nie mogłam to uwierzyć.

- Podobnie jak ja - powiedziała Abby.

- Trzymasz się jako?

- Cóż, jestem jeszcze w szoku, ale nic mi nie będzie.

- Na pewno? - spytała Gina z troską.

- Oczywiście - rzuciła Abby trochę niecierpliwie. Jej uczucia do Nicka były ambiwalentne, ale nie mogła przecież powiedzieć, że nic do niego nie czuła. Erwin wyszedł z łazienki i teraz sprawdzał drzwiczki w kredensie w holu, te, które zawsze skrzypiały. - Postuchaj, muszę zobaczyć, kto przyszedł obejr

- Lepiej zadzwoń do taty. Będzie chciał wiedzieć, co się stało. Zawsze lubił Nicka.

Jeden z niewielu w rodzinie, pomyślała Abby, zaciskając zęby.

- Zadzwoń - obiecała.

W tej samej chwili Sean Erwin wetknął swoją głowę do otwartych drzwi w kuchenne drzwi i spojrzał w stronę wyjścia na tylny ganek.

- Nie ma tu pani spłonięta, prawda? - spytał, nie widząc, że Abby wciąż rozmawia przez telefon.

- Zadzwoń później - powiedziała do siostry i dopiero wtedy Erwin zauważył słuchawkę.

- Przepraszam - powiedział cicho, ale Abby już się rozłączyła.

- Nie ma problemu. - Och, Abby, straszna z ciebie kłamczucha. Była zirytowana i nie mogła się powstrzymać. - Nie, nie mam spłonięta. Nie mam też fortepianu, więc nigdy nie brakowało mi miejsca, a do spania wystarcza mi łóżko w normalnym rozmiarze.

Erwin zamrugał, wyraźnie zaskoczony. Abby doszła do wniosku, że dobrze się składa, i zarabia na życie jako fotograf, a nie zajmuje się sprzedażą nieruchomości. Ale pytania Erwina wydały się jej celowo nieuprzejme.

- Rozumiem - odparł dotknęty. - Próbuj tylko zorientować się w sytuacji.

- Proszę bardzo. Dom jest, jaki jest. Można go najwyżej rozbudować albo połączyć z nim studio. - Podeszła do drzwi ganku i otworzyła je. Ansel natychmiast skorzystał z okazji. - Jest otwarte, jeśli ma pan ochotę je zobaczyć.

- Dobrze, dziękuję - powiedział i wyszedł. Abby chciała, żeby się w końcu zabrał. Bardzo chciała sprzedać dom, ale czuła, że to nie jest dobry dzień.

- Och nie! Nie! Nie! Nie! Nie Mary! Proszę powiedzcie, że to jaka straszna pomyłka! - Virginia LaBelle drągała gwałtownie. Otworzyła szeroko przerwane błękitne oczy i pokręciła gwałtownie głowę. Zbladła jak ciana i gdyby nie podtrzymywał jej mąż, z pewnością upadłaby na marmurową posadzkę swojego dwupiętrowego wiktoriańskiego domu. Po jej twarzy płynęły łzy. - Nie moje dziecko - jęknęła. Montoi cisnęło się serce, kiedy spojrzał na schody wiodące na podest, nad którym w złotej ramie wisiał wielki portret pięknej młodej dziewczyny. Błękitne oczy, złote włosy opadające w lokach na ramiona, dołeczki w policzkach. Piękna dziewczyna. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała, kiedy została znaleziona w opuszczonej chacie na bagnach, i zrobiło mu się niedobrze.

- Bardzo mi przykro. - Powiedział to szczerze. To najgorsza część jego pracy. Najgorsza. Wolał zajmować się ofiarami morderstwami informować rodziny, że ich bliscy nie żyją. Zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło o dziecko. - W dowodzie osobistym miała napisane „Courtney”.

- Nazywamy ją Mary. Od czasu, kiedy dorosła na tyle, by samodzielnie o tym zdecydować. To było chyba w czwartej albo piątej klasie - powiedział ojciec dziewczyny, Clyde. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o przyprószonej siwizną włosach i bródka postarzał się nagle na oczach Montoi. Zgarbił się, opalona skóra poszarzała, a niebieskie oczy za szklami okularów zbladły.

- W trzeciej. Wtedy uczyła ją siostra Penelopa. - Virginia go poprawiła, usiłując powstrzymać łzy. Wyglądała tak, jakby cięgle nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Jest pan pewien, że to nasze dziecko? - spytał Clyde cicho.

- Tak, ale ktoś błąd musiał zidentyfikować ciało.

Matka Courtney jęknęła i się rozplakała.

- To musi być pomyłka.

- Ja to zrobię - powiedział Clyde i zacisnął zęby, jakby zbierał siły.

- To niemo liwe. Niemo liwe - szepnęła Virginia.

- ...kochanie... - Clyde przycisnął usta do skroni, ale nie powiedział „wszystko będzie w porządku”.

Bo nie będzie. Przez resztę życia ci mili, zamożni ludzie będą opłakiwać córkę i nic innego nie będzie miało dla nich znaczenia. Wszystko to, dla czego pracowali, o czym marzyli - ten wspaniały dom, zadbane ogród, srebrny Cadillac - przestanie ich cieszyć.

- Może powinna się położyć - zaproponował Clyde, ale jego ona nie chciała o tym słyszeć.

Otarła oczy wypielęgnowała dłonie.

- Chcę usłyszeć wszystko, co pan ma nam do powiedzenia. Na pewno się myli, ale muszę to usłyszeć.

- Ginny, detektyw Montoya nie przyszedłby do nas, gdyby nie miał pewności...

- To musi być pomyłka. Oboje o tym wiemy. - Wzięła głębi oddech i wyswobodziła się z ucisku. Nogi jej drżały, ale stała wyprostowana jak struna. - Proszę dać mi chwilę. - Dotknęła włosów, jakby zorientowała się, że muszę być rozwichrzona, a potem poszła do łazienki, stukając obcasami złotych sandałów po marmurowej podłodze.

- Jestem psychiatr - powiedział Clyde. - Przepisz jej coś na uspokojenie. - Zerknął nerwowo w stronę drzwi łazienki.

- I wezwij naszego księdza. Ojciec Michael zawsze potrafi ją uspokoić.

Montoya zauważył rzeźbiony drewniany krzyż wiszący na ścianie i wielką, oprawioną w skórę Biblię, która leżała na małym stoliku przy schodach. Na ścianie korytarza, biegnącego nad schodami, wisiały zdjęcia jedynej córki państwa LaBelle.

Drzwi łazienki otworzyły się i wyszła z niej Virginia LaBelle. Poprawiła makijaż i fryzurę. Uśmiechnęła się słabo.

- Proszę za mną - powiedziała do Montoi. - Porozmawiamy o tym. Jestem pewna, że zaszło nieporozumienie.

Clyde spojrzał znacząco na Montoyę, ale poszedł za nią do przytulnego saloniku, pełnego antyków, jedwabnych poduszek i kryształowych lamp. Virginia panowała nad sobą, choć z pewnością wiele jej to kosztowało. Montoya przypuszczał, że wywodziła się z jednego ze starych rodów z Południa.

- Może chciałby się pan czego napić? Ada mogłaby nam przynieść herbatę.

- Nie, dziękuję. - Montoya rozejrzał się po pokoju. Tu tak było pełno zdjęć Courtney, a nad kominkiem wisiał jej portret.

- Chce zostać zakonnice - powiedziała Virginia z dumą i dotknęła wiszącego na jej szyi krzyżka z diamentów, bardzo podobnego do tego, jaki nosiła jej córka.

Zakonnice?

Tego się nie spodziewał. Spojrzał uważnie na kobietę i zaczął się zastanawiać, czy wstrząs nie zmienił jej rozumu.

- Miała zamiar wstąpić do zakonu?

- Wiemy, że w dzisiejszych czasach młode kobiety rzadko się na to decydują i Bóg jeden wie, że oboje próbowali myśleć o tym od tego odwieku. - Rzuciła mroźne spojrzenie. - Chcemy doczekać wnuków, rozumie pan... - umilkła i spojrzała na portret swojego jedyńskiego dziecka, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy.

Montoya zebrał siły i powiedział im to, co mógł powiedzieć. O chacie, sukni lubnej i Nicku Germanie. O tym, że ich córka miała w ręku rewolwer.

Oboje rodzice słuchali. Bez słowa komentarza. Dopiero, kiedy wspomniał o rewolwerze, Clyde drgnął i zamrugał.

- To ja dałem jej ten rewolwer, dla obrony - wyszeptał. - Nigdy nie przypuszczałem... O Jezusie. - Ukrył twarz w dłoniach.

Ku zaskoczeniu Montoi, ona dotknęła jego ramienia, jakby chciała mu dodać otuchy.

- Nie powinienem tego robić. Gdyby nie ten rewolwer, może jeszcze byłaby żywa.

- ... Nie, Clyde. Cokolwiek się stało, to nie twoja wina. Zobaczysz. To na pewno pomyłka. - Znów spojrzała na Montoya. - Mary nie zna Nicka Giermana, jestem tego pewna. To ten człowiek, który prowadzi taki okropny program w radiu, prawda? Ten, który jest wszędzie zabroniony?

- Pracował dla WSLJ, zgadza się.

- Widzi pan. Mary go nie zna. Nie może go znać. Nie ma sukni lubnej, może mi pan wierzyć. To ktoś inny. Ktoś, kto przypadkiem miał przy sobie dokument naszej córki.

- Czy rozmawialiście państwo z córką w ciągu ubiegłych dwóch dni? - spytał Montoya. Pomyślał o zdjęciu młodej martwej dziewczyny, ale nie umiał się zdobyć na pokazanie go rodzicom.

- Có, nie...

- Dziewczyna na zdjęciu w dowodzie osobistym i prawie jazdy i dziewczyna, którą znaleźli my, to ta sama osoba. Virginia wydała słaby okrzyk.

- Sprowadź tu ojca Michaela, jeśli sobie państwo życzy - zaproponował Montoya, czując, że tego dnia niczego już nie dowie od zrozpaczonych rodziców.

- Nie... ja się tym zajmę. - Virginia uśmiechnęła się drzcącymi wargami, a potem podeszła do telefonu i wystukała numer. Rozmawiała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę, ale jeszcze przez chwilę stała przy telefonie, jakby wahała się, czy przerwać połączenie.

- Wspomniała pani, że Courtney... to znaczy Mary... chciała zostać zakonnice - powiedział Montoya, kiedy matka dziewczyny wróciła na kanapkę i wyciągnęła z torebki chusteczki higieniczne. - Kiedy postanowiła wstąpić do zakonu?

Clyde zmarszczył brwi.

- Sześć, może osiem miesięcy temu. Tak myślałem... - Spojrzał na nią.

- W ubiegłym Bożym Narodzeniu. - Virginia miała w rękach chusteczki i patrzyła w okno, jakby spodziewała się, że za chwilę zobaczy za nim córkę. - Była wtedy z wizytą w zakonie Naszej Pani od Cnót.

Montoya drgnął.

- To dość blisko - ciągnęła. - Poza tym mamy pewien sentyment dla tego zakonu. Clyde był lekarzem w przyklasztornym szpitalu, a ja pracownikiem socjalnym. Tam się poznaliśmy. - Uśmiechnęła się słabo, ale uśmiech szybko zniknął z jej twarzy. - Teraz szpital ma zostać zburzony, ale siostry nadal będą mieszkać w klasztorze. - Zamknęła oczy i westchnęła.

Montoya słyszał o planach związanych ze szpitalem. Jego ciotka wstąpiła do zakonu wiele lat temu i nadal tam mieszkała.

- Chcieliśmy tylko, żeby najpierw spędziła rok w college'u, zanim złożyłaby, ale... ona już podjęła decyzję - powiedział Clyde.

- Wie pan, dlaczego?

Montoya zawahał się i spojrzał na nią.

- Uważała, że Bóg do niej przemówił.

- Osobiście?

- Tak. - Clyde kiwnął głową i odwrócił wzrok.

A więc niedoszła siostra Mary, czy Courtney, nie była chyba do końca normalna.

- Wiem, jak to brzmi, detektywie. Pracuj z ludźmi, którzy słyszą głosy...

- To nie to samo! - Virginia mu przerwała. - Mary... ona tylko uważała, że Bóg odpowiada na jej modlitwy, to wszystko. Nie była schizofreniczką, na lito boską! To normalna, zdrowa dziewczyna.

Jasne. Jak Joanna d'Arc.

Clyde objął go ramieniem.

- Miała kiedy chłopaka? - spytał Montoya.

- Tak, ale to nie było nic poważnego.

- Na pewno?

- Tak - odparła Virginia i oboje rodzice zgodnie kiwnęli głowami.

- Może był ktoś, kto się nią interesował, ale bez wzajemności?

- Mary jest bardzo lubiana, detektywie - powiedziała Virginia. - Mogłaby się umawiać z wieloma chłopcami, ale nie robi tego. Przysięgła oddać się Bogu. Dlatego właśnie nie nosiła ten pierścionek.

- Pierścionek?

- Tak, ten na lewej ręce - wtrącił się Clyde. Montoya przypomniał sobie skórę zdartą z palca lewej ręki dziewczyny znalezionej w chacie.

- Na palcu, na którym inne dziewczęta noszą pierścionki zaręczynowe - dodała Virginia - Mary nosi pierścionek przysiężenia. Wybrała go sama na osiemnaste urodziny, w dniu, kiedy obiecała siebie Ojcu.

- To znaczy Bogu.

- Oczywiście. - Virginia uniosła głowę, jakby się usprawiedliwiała.

Montoya nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko z każdą chwilą stawało się coraz dziwniejsze. Spojrzał na portret nad kominkiem. Tak, na lewej ręce, która spoczywała na oparciu kanapy, dziewczyna miała delikatny, złoty pierścionek z pojedynczym czerwonym kamieniem.

- I nie miała zamiaru wyjść za mąż?

- Co? Nie! Oczywiście, że nie.

- Ani sukni lubnej?

- Nie... po co by jej była suknia lubna? Mówiłam panu, nawet nie miała chłopaka!

- Czy wybrała College Wszystkich w tych z jakiego konkretnego powodu?

- To my wybraliśmy ten college. Chcieliśmy, żeby była blisko nas, ale dość daleko, by zakosztować studenckiego życia. Mogła oczywiście pójść do uniwersytetu Loyola, jezuita doskonale prowadzi tę szkołę. I mają tam szpital. Sam pracowałem tam kiedyś przez kilka lat.

Virginia zaczęła drzeć chusteczkę na strzyżenie.

- Clyde uważa, że powinna opuścić dom, poznać nowych ludzi, nawet jeśli zdecyduje się wstąpić do zakonu. - Zamrugnęła szybko i pocięgnęła nosem. - Chciał, żeby do wiadomości trochę życia w wiecie.

Ojciec Courtney spojrzał na nią z bólem.

- Chciałem dla niej jak najlepiej.

- Oboje tego chcieliśmy. - Virginia przytknęła chusteczkę do oczu.

- Rozumiem - skłamał Montoya. Nic z tego nie rozumiał. W dzisiejszych czasach osiemnastolatki nie uciekają do klasztorów. Piękne dziewczyny, które mają powodzenie, spotykają się z chłopakami. Chyba nie z lesbijkami. Wtedy spotykają się z innymi dziewczynami. Ale jeśli Courtney LaBelle miała takie skłonności, co robiła z Nickiem Giermanem? Wygląda na to, że nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Rozległ się dzwonek do drzwi, pani LaBelle wstała, żeby otworzyć, i po chwili do domu wszedł ksiądz. Był to człowiek około siedemdziesiątki, w okularach, o siwych włosach i ogorzałej twarzy. Na jego widok Virginia straciła panowanie nad sobą i zaczęła rozpaczyliwie szlochać.

Montoya z ulgą opuścił ten idealny dom, tę bezpieczną przystań, do której córka włą cicieli miała już nigdy nie wrócić. Wsiadł do samochodu, wziął komórkę, wystukał numer i po chwili połączył się z Lynn Zaroster, młodą policjantką, która odbierała telefony.

- Cześć, tu Montoya. Mojesz sprawdzić, czy Courtney LaBelle, ta dziewczyna znaleziona dzień rano z Germanem, miała jakibądź uterę? I dowiedz się przy okazji, czy German nosił jakieś ozdoby.

- Zdaje się, że niewiele miał na sobie.

- Tak, mnie też się tak wydaje. - Montoya wycofał wóz i wcisnął gaz. - Niczego takiego nie zauważyłem, ale sprawdź to jeszcze i zadzwoń do mnie, dobrze? Ponoń ta dziewczyna nosiła zawsze pierścienie przyrzeczenia.

- W porządku.

- U Germana kto jeszcze jest?

- Brinkman i ledczy.

- Zadzwoń i powiedz im, żeby przygotowali psa. Przyjadę po niego.

- Po psa?

- Tak. Była ona Germana chce psa z powrotem. Chyba straciła go przy rozwodzie.

- Psa? - powtórzyła Zaroster.

- Przecież mówi wyraźnie.

Zaroster mruknęła coś o zwariowanych miłośnikach psów, a potem dodała głośno:

- Pewnie słyszała, kto dzwonił wtedy do tego radia?

Montoya skręcił i zmienił pas.

- Nie. Kto?

- No wiesz, w dniu audycji o mniemych byłych małżonkach.

Montoya zacisnął palce na kierownicy.

- No i?

- Zachowuj numery wszystkich osób, które dzwoniły.

- I kto dzwonił?

- Mnóstwo ludzi. wirów i takich, którzy chcieli opowiedzieć swoje historie. Jedna z tych osób rozłączyła się, nie mówiła nic.

Montoya przeczuwał już, co zaraz usłyszy.

- To jego była ona. Abby Chastain. Nic nie powiedziała, pewnie zrozumiała, że nie byłby to najlepszy pomysł. Włączyłam przysłuchanie nagrania. Nie zostawił na niej suchej nitki. Gdybym ja usłyszała, że mój były mąż opowiada o mnie takie rzeczy na antenie, chyba bym go zabiła.

- Chcesz powiedzieć, że Abby Chastain mogła załatwić byłego męża i Courtney LaBelle?

- Nie, to nie jest prawdopodobne. Zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę suknię i odciski butów w rozmiarze dwanaście.

- Nie wiem, czy dziewczyna, ale ten German... Cóż, dostarczyłby jej onie motyw. Tylko tyle chcę powiedzieć.

- Zachowaj tam, chciałbym ją przysłuchać.

- Mam ją tutaj.

- Znalazliście jego samochód?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Daj mi znać, jak go namierz. - Montoya rozłączył się i pojechał w stronę domu Nic

Dzielnicy Francuskiej.

Mieszkanie zajmowało całe dwa pi tra starej kamienicy z czerwonej cegły. Wej cie zostało ju zagrodzone policyjn ta m .

Montoya pchn ł drzwi i wszedł do rodka. Jedna z podwładnych Bonity, Inez Santiago, zbierała wła nie narz dzia.

- No, no, kogo tu przyniosło. - Błysn ła w u miechu białymi z bami. Była pi kna, skóra w kolorze kawy z mlekiem, długie ciemne włosy, zebrane w kok, inteligentne zielone oczy.

- Sko czyła ju ?

- Tak...

- Znalazła co ?

- Troch odcisków palców, ale nie wiem, do kogo nale . Poszukamy w bazie danych i zobaczymy. Brinkman zabrał troch rzeczy osobistych, komputer, automatyczn sekretark i tak dalej. Nie ruszaj niczego, dopóki Washington nie da mi zna .

Wszystko było pokryte białym proszkiem, wysuni to kilka szuflad, poza tym jednak w mieszkaniu panował porz dek.

- Przyjechałem po psa.

- Czy pies o tym wie? Bo mo e mu si to nie spodoba .

- Oho, dok d to si dzisiaj wybierasz?

- Chciałby wiedzie . - Dziewczyna mrugn ła do niego łobuzersko, zamkn ła torb i wskazała głow kuchni . - Pies jest tam. Próbowałam go wcisn i Brinkmanowi, ale nie chciał o tym słysze ; zdaje si , e nie przepada za zwierz tami.

- Pojechał ju ?

- Jakie pi tna cie minut temu. Chce pojecha z tob do Baton Rouge obejrze pokój tej dziewczyny w akademiku.

Montoya z trudem wytrzymawał towarzystwo Brinkmana, ale nie miał wyboru, dopóki Bentz nie wróci do pracy. Rock Bentz był jego partnerem i cho miał ju swoje lata, był znacznie lepszy od zarozumialca Brinkmana.

Santiago przeszła przez kuchni do małego pomieszczenia, gdzie obok pralki siedział w zagrodzie du y br zowy labrador.

- Czeka na spacer - powiedziała Santiago.

- Nie w tpi - mrukn ł Montoya. - Jak si masz, mała? - spytał, a pies szybko podniósł głow . - Chyba chce wyj . - Otworzył zagrod . Labrador wyskoczył z niej szybko, dysz c z nadziej , i przewrócił misk z wod .

- Dobrze, e ju sko czyłam z tym pomieszczeniem - mrukn ła Santiago.

Montoya wzi ł wisz c na cianie smycz i przypi ł j do obro y.

- No, spokój, spokój! Chyba j wyprowadz .

- Dobry pomysł. - Santiago u miechn ła si ironicznie. - Doskonały. Przy okazji, do psa mówi si „siad” albo „le e ”.

- A tam znale li cie co ciekawego? - spytał, wychodz c na niewielki dziedziniec przed domem.

- Niewiele. Byłe tam ju . adnych ładów walki.

- I ci gle nie ma jego samochodu.

To nie było pytanie. Gara stał pusty, Montoya ju zd ył to sprawdzi .

- Tak.

- A rzeczy osobiste? Ubrania. Bi uteria.

- Wygl da na to, e nikt tu nie grzebał. Mieszkanie jest... eleganckie. Urz dzzone z klas . Słuchałam par razy audycji Giermana i uznałam, e to jaki obsceniczny homofob i mizogin, zwariowany na punkcie broni, w tym ostatni co mo e by . Chcesz, ebym odwiozła psa?

- Dam sobie radę. - Otworzył samochód i labrador niech tylko wszedł do rodka.

- O? - Santiago wydawała się zaskoczona, ale zaraz spojrzała na niego znacząco. - Nic nie mów. Była ona Giermana jest sama i dobrze wygląda? Jezu Montoya, kiedy ty się nauczysz?

- Czego? - spytał, ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Wziewała psa! - Otworzyła drzwi swojego samochodu, a Montoya wrócił do mieszkania, żeby jeszcze raz się obejrzeć.

Miała rację. Mieszkanie było czyste, uporządkowane. Lśniące drewniane podłogi, nowoczesne meble, abstrakcyjne obrazy na ścianach.

W sypialni na górze ubrania wisiały porządnie na wieszakach, w kasetce na bieliznę leżało kilka par spinek do mankietów, par pićcionków i spinki do krawata. Na toaletce stały zdjęcia Giermana w stroju narciarskim, na ścianie, i na regałkach.

W łazience obok było czysto, mimo że pomieszczenie zostało przeszukane przez ekipę śledczą. Wanna, umywalka i baterie łazienkowe, jakby niedawno dokładnie wyszorowała je jego dziewczyna albo sprzątaczką, chyba że Gierman sam zajmował się sprzątaniami.

Co wydawało się mało prawdopodobne.

Montoya otworzył szafkę w łazience. W szafkach magazynów w stylu „Playboya”. Tylko kilka katalogów firm produkujących ekskluzywne meble i galerii sztuki, kwartalnik poświęcony narciarstwu, „Golf Digest” i egzemplarz „Men’s Health”.

Wyglądało na to, że publiczny wizerunek Giermana był tylko maską. Albo był on bardzo złym człowiekiem.

Druga sypialnia służyła mu za pokój do wyciszenia i gabinet w jednym. Nie było tam łóżka ani nawet rozkładanej kanapy, tylko biurko, komputer, telewizor z DVD i sprzęt muzyczny. Pod ścianami leżały ciarki i ławeczka, na półkach stały płyty kompaktowe, głównie jazz, rock i muzyka klasyczna.

Teraz komputer został wybebeszony, a z segregatorów na biurku wyjęto zawartość, która zapewne czekała już na biurku Montoi.

Brinkman był dupkiem, ale bardzo dokładnym.

Poruszał się bezszelestnie, zostawiając zapalone lampy tam, gdzie korytarze się krzyżowały. Młode światło ukazywało fragmenty łazienek, czystych ścian, pociemniałych teraz i zaplamionych. Na kaflach, którymi wyłożono te szpitalnych piwnic, od lat zbierał się kurz i brud. Pomieszczenia te zawsze były zamknięte na klucz, nigdy nie docierało tu światło dnia i niewiele osób wiedziało, co się tu dzieje. A ci, którzy o tym wiedzieli, trzymali język za zębami i mieli nadzieję, że złodziei, którego się tu dopuszczano, zostanie zapomniane.

O, bardzo się mylili.

Nic nie zostało zapomniane.

Ani wybaczone.

To matka udzieliła mu tej cennej lekcji.

Zapalił kolejną lampę i skręcił. Otworzył drzwi kluczem i wszedł do pokoju bez okien. Stał tam mały, otwarty sekretarzyk, składający się z blatu i mnóstwa niewielkich półeczek i szufladek, w których przechowywał swoje skarby.

Wyjął z kieszeni pićcionek, mały złoty krętek z czerwonym kamieniem. Przez chwilę trzymał go w palcach, wspominając dziewczynę, która go kiedyś nosiła. Obliznął wargi. Była idealna... niczego nie wiadoma. Zauważył na pićcionku krew. Tym lepiej.

Przypomniał sobie, jak wkładał rewolwer w jej dłoń. Przycisnął brzuch do jej gładkich pleców... nacisnął spust... dziewczyna osunęła się na ziemi.

Teraz, myśląc o jej młodym, dręczym ciele, znowu ogarnęła go palca dża.

Ale wiedział, że ten ból jest ceną, jaką sam musi zapłacić.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i zauważył, że ciskał pierścione tak mocno, że metalowe kółko wbiło mu się w palec. Skarcił się w duchu. Jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

Zły z powodu własnej słabości włożył pierścione do szufladki, a potem wyjął z kieszeni zegarek i położył go obok.

Idealnie, pomyślał. Zrobił pierwszy krok, choć czeka go jeszcze daleka droga. To, co zamierza, wymaga czasu; tak wielu jest tych, którzy muszą zapłacić za swoje czyny.

Z górnej półki zdjęł czarny album i zaczął przerzucać strony wypełnione zdjęciami, wycinkami z gazet i artykułami.

Umiechnął się, spoglądając na fotografię, ale uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy dotarł do portretu Faith Chastain. Delikatnie dotknął zdjęcie palcem i zacisnął zęby, przypominając sobie, jaka była, kiedy żyła. I kiedy umarła.

Zamknął album ze złości i wsunął go na miejsce, a później zatrzasnął te sekretarzyk. Nie ma teraz na to czasu. Czeka go wiele pracy.

Dopiero rozpocznie swoje dzieło.

Rozdział 6

Wszyscy tutaj, w WSLJ, jesteście myśliwymi wstrząsami - mówił dyskretnie. - I wszystkim nam bardzo brakuje Nicka Giermana. Ten człowiek jeszcze za życia stał się legendą...

Bez przesady, pomyślała Abby i wyłączyła radio.

- Teraz rozpocznie się proces kanonizacji - mruknęła do Anselma, który siedział na oparciu kanapy i wpatrywał się w kolibra, posilającego się w karmniku. - Niewiarygodne.

Za oknem rozległ się chrząst opana podjeżdżenie. Ansel stracił zainteresowanie kolibrem, zeskoczył z kanapy i ruszył do drzwi.

- Co? - Abby spojrzała w okno.

Przyjechał detektyw Montoya. Z Hershey. Serce Abby zabiło mocniej. Naprawdę skniła za tym psem. Otworzyła drzwi, wpuszczając do domu powiew rozgrzanego, październikowego powietrza.

Hershey parła do przodu, szeleszcząc opadłymi liśćmi. Detektyw Montoya biegł truchtem za nią, trzymając naprzeciw siebie smycz w wyciągniętej ręce. Podniósł wzrok, zauważył Abby i umiechnął się do niej.

Był to szczerzy, chłopczyku umiech, który zupełnie zaskoczył Abby.

- Chyba za pani skniła - powiedział, gdy Hershey wskoczyła na ganek. Skakała, popiskiwała i machała ogonem, domagając się całej uwagi swojej pani.

- Tak, grzeczna dziewczynka, bardzo grzeczna. - Abby poklepała ją po grzbiecie i przyklękła obok psa, który natychmiast zaczął jęlika po twarzy. - Ja też bardzo się za tobą skniłam. Dziękuję za to, że ję pan przywiózł - powiedziała, chwytając za smycz.

- Nic takiego.

Uniosła ze zdziwieniem brew.

- No cóż, nie mieszkam obok komisariatu. Może przynajmniej napije się pan czegoś, piwa albo coli... ale mam tylko dietetyczną...

- Naprawdę dziękuję.

Abby odpiła smycz i Hershey natychmiast rzuciła się za Anselem do domu.

- To ich ulubiona zabawa - u siebie ła si Abby.

- Pani były m czy sto zostawiał tu psa?

- Mniej wi cej w ka dy weekend. W trakcie rozwodu walczył o Hershey jak lew, ale pies nie bardzo pasował do jego stylu ycia. Nick rzadko bywał w domu. Du o pracował i miał wiele pasji. Je li nie pływał albo nie je dził na nartach czy co w tym rodzaju, sp dzał wiele godzin w siłowni. Ale nie narzekam, jak mówiłam, brakowało mi Hersh. - Westchn ła. - mier Nicka... nie byli my w najlepszych stosunkach i nasza ostatnia rozmowa... bardzo le si z tym czuj ... była okropna... a nast pnego dnia obsmarował mnie w tej audycji...

- Słuchała pani?

Abby wzniosła oczy do góry.

- Tak. Chyba byłam ciekawa, a mo e w gł bi ducha jestem masochistk . Ale to był bł d. - Spojrzała na psa i z roztargnieniem potarła rami dłoni . - Nick naprawdę pokazał wtedy, na co go sta .

- Była pani na niego zła?

- W ciekła - przyznała i spojrzała na Montoya . - Ka dy by si w ciekł... ale nie, nie byłam a tak w ciekła, eby go zabi . Wiem, e pan si nad tym zastanawia. Ja tego nie zrobiłam.

- A Courtney LaBelle. Przypomniała sobie pani co ?

- Nie. Ale jej nazwisko brzmi znajomo.

- Był taki piosenkarz - podsun ł Montoya. - I dyskd okej w radiu WNAB.

- Nie, to nie to... - Abby zastanawiała si nad tym przez cały dzie . Odk d usłyszała nazwisko dziewczyny, czuła si dziwnie nieswojo. Jakby powinna sobie co przypomnie . Co istotnego. - Przykro mi. To pewnie nic wa nego.

- Czy pani były m nosił jak bi uteri ? Co , co miało dla niego znaczenie?

- Na przykład co? Kółko w nosie?

Montoya parskn ł miechem.

- Nie wiem, ale zacznijmy od pier cionków. Wie pani, takich kótek na palce.

- Nawet obr czk nosił tylko przez pół roku. Pó niej powiedział, e miał wypadek na aglach... obr czka o co zahaczyła... tak przynajmniej twierdził. I przestał j nosi . Pó niej domy liłam si , e nie chciał chwali si faktem, e jest onaty. Ci gle j mam w swojej kasetce - przyznała za enowana.

- A zatem... nie nosił obr czki ani innych pier cionków?

- Nigdy nie widziałam u niego niczego w tym rodzaju. - Abby spojrzała znacz co na kółeczko w uchu Montoi. - Nie nosił te kolczyków, bransoletek ani ła cusczków... z bi uterii, je li mo na to tak nazwa , nosił tylko zegarek. Nigdzie si bez niego nie ruszał.

Doskonale pami tała dzie , kiedy wybiegła przed dom, w deszczu, eby zamkn dach bmw Nicka - i zabra jakie dokumenty. W schowku na r kawiczki natkn ła si na ten kosztowny zegarek wraz z li cikiem, podpisanym inicjałami Connie Hastings, wła cicielki konkurencyjnej stacji radiowej, która próbowała od jakiego czasu zwabi Nicka do siebie. Z tre ci li ciku wynikało, e Nick, niestety, nie jest wierny onie. Znowu j zdradzał.

Bo e, była taka głupia. Gdyby nie była wtedy w ci y, natychmiast by si z nim rozwiodła.

Teraz spojrzała na Montoya , który najwyra niej czekał na dalszy ci g.

- A tak... Zegarek. To rolex, mo na w nim nurkowa , wytrzyma du e ci nienie i dekompresj , i tak dalej. I chyba mu si podobał, bo nigdy go nie zdejmował. Przynajmniej wówczas, kiedy byli my mał e stem.

- Ubezpieczył go?

- Nie wiem. Ale skoro pan pyta, zakładam, e znikn ł.

- Robimy spis wszystkich rzeczy, jakie miał pani były m .

- Gdyby miał go na r ce, wiedziałby pan o tym, prawda? Nie musiałyby pan mnie o to pyta .

- Nie mo emy na razie wykluczy , e motywem był rabunek.

- Je li to Courtney go zabiła, to nie po to, eby go okra . Ale je li zrobił to kto inny, to po có miałby zadawa sobie tyle trudu i wywozi go na takie odludzie? - spytała Abby z irytacją . - Złodzieje okradają ludzi na ulicach, w pracy, w domu albo w samochodzie. Nie trac czasu na wywo enie dwóch ofiar, eby upozorowa jakie dziwaczne morderstwo - samobójstwo.

- Chyba e o to im wła nie chodzi - odparł Montoya.

- Dlaczego nie powiedział mi pan wi cej o tym, co si tam wydarzyło? Czy istnieje jaki powód? - Abby postanowiła wyartykułowa swoje najgł bsze l ki. - Jestem podejrzana czy co w tym stylu?

- Wszyscy s podejrzani.

- Zwłaszcza były ony, publicznie upokorzone w dniu morderstwa, tak?

Wyraz twarzy Montoi zmienił si nagle. Spojrzał na ni twardo.

- Przyjad tu jeszcze - obiecał. - I przywioz drugiego detektywa, który pani przesłucha. Wtedy b dzie pani mogła zada wszystkie pytania, jakie przyjdą pani do głowy.

- A pan na nie odpowie?

Umiechn ł si lekko.

- Tego nie mog obieca . Mog tylko przyrzec, e nie b d pani okłamywał.

- Nie podejrzewałam, e zechce mnie pan okłamywa , detektywie.

Montoya kiwn ł głow .

- Je li co si pani przypomni, prosz do mnie zadzwoni .

- Dobrze - obiecała, znowu zirytowana, patrz c jak schodzi z ganku i idzie do samochodu. Był od niej o kilka lat młodszy, tak jej si wydawało, cho nie miała pewno ci, i chyba doskonale zdawał sobie spraw z tego, jak bardzo jest poci gaj cy i jak du e wra enie robi to na kobietach.

wietnie. Tylko tego jej trzeba, seksownego policjanta, który zapewne umie cił j na czele listy podejrzanych. Zagwizdała. Do domu wbiegła ubłocona Hershey, wlok c za sob przyczepione do sier ci li cie. Abby otworzyła drzwi szafy i wyj ła r cznik, którego u ywała do wycierania psich łap. Ale w tej samej chwili zadzwonił telefon, zostawiła wi c Hershey, szarpic podniszczony materiał.

- Halo? - powiedziała, u miechaj c si do psa.

- Abby Chastain?

- Tak.

- Beth Ann Wright z „New Orleans Sentinel”.

Abby drgn ła. Prasa. No oczywi cie.

- Była pani on Nicka Giermana, prawda?

- O co chodzi? - spytała Abby ostro nie.

- Tak mi przykro - powiedziała Beth Ann. - Powinnam od razu wyja ni . W naszej gazecie publikujemy obecnie seri artykułów o znanych osobach z okolic miasta. W zwi zku z tym chciałabym przeprowadzi z pani wywiad. Czy mogłyby my si spotka jutro rano?

- Nick i ja byli my rozwiedzeni.

- Tak, wiem, ale chciałabym go przedstawi tak e jako osob prywatn . Był sł:

czytelnicy na pewno chcieliby się dowiedzieć o nim więcej... Wie pani, co o jego życiu, nadziejach, marzeniach i tak dalej.

- Trochę na to za późno - odparła Abby, nie staraj się nawet ukryć sarkazmu.

- Ale pani znała go tak dobrze. Pomyślałam, że mogłaby pani opowiedzieć kilka anegdot... tak, by ludzie mogli poznać prawdziwego Nicka Giermana.

- Nie sądzę.

- Zdam sobie sprawę, że cięgnęły się za panstwem pewne sprawy...

- Słucham?

- Słuchałam ostatniego programu i...

Abby zeszytywniała, zaciskając palce na słuchawce.

- ...wiem pewnie trudno jest pani o tym mówić, chciałabym jednak zadać kilka...

- Może innym razem - przerwała Abby, ale Beth Ann była szybka.

- Kiedy tylko pani zechce. Urodziła się pani w Luizjanie, prawda? Urodziła i wychowała. Nicka poznała pani w Seattle, gdzie pracował w radiu... Jak ta stacja się nazywa? Miałam to gdzie zapisać...

- KTCY.

To nie była tajemnica.

- Właśnie. Ale wracając do pani... tu się pani wychowała i chodziła pani do miejscowych szkół, prawda? Pani rodzice także stąd pochodzą?

W głowie Abby zapaliło się czerwone, ostrzegawcze wiatelko. Zaczęła jej boleć głowa.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Jacques i Faith Chastainowie.

- Nick był ich zięciem przez kilka lat, to wszystko - odparła zimno Abby.

- Chwileczkę... - mruknęła dziennikarka, jakby przejrzała notatki, choć Abby podejrzewała, że wszystko, co trzeba, miała pod ręką. - Pani matka nigdy go nie poznała, prawda? Czy to nie ona była tą kobietą, która rzuciła się z okna Szpitala Naszej Pani od Cnót? Tego, który ma zostać zburzony?

Beth Ann najwyraźniej odrobiła pracę domową.

- Czyli że nigdy nie miała okazji poznać Nicka jako swojego zięcia?

Abby rzuciła słuchawkę i przysięgła sobie, że jeśli telefon zadzwoni ponownie, pozwoli, by włączyła się automatyczna sekretarka. Tak, teraz zawsze będzie z niej korzystał. Kiedyś, kto zechce z nią porozmawiać, będzie musiał zostawić wiadomość.

Spojrzała na telefon. Có, musisz się do tego przyzwyczaić, pomyślała.

Przejeżdżając do Baton Rouge była znośna. Brinkman nie irytował Montoi tak jak zwykle i nie poruszał tematów niezwykłych ze zbrodni. Jak dotychczas badania laboratoryjne nie przyniosły wyników, ale samochód Giermana został odnaleziony w pobliżu klubu fitness, do którego chodził. Problem jednak, według Brinkmana, polegał na tym, że nikt tego dnia nie widział Giermana w klubie. Nie pojawił się na wiczeniach ze swoim trenerem ani na zbudowanej tam sztucznej ciance.

Jak dotychczas bmw wydawało się czyste, ale policja cięgle jeszcze szukała śladów.

- Rozmawiałem też z jego byłą dziewczyną, Nia Penne - powiedział Brinkman i uchylił okno w samochodzie. Jechali włąśnie drogą numer 10. Zapadał zmierzch, w którym coraz wyraźniej widać było w

wisiał deszcz.

- I co powiedziała?

- Głównie to, że Gierman był babiarzem. Ci ludzie szukali czegoś nowego, ale jej zdaniem nadal kochał swoją żonę.

- Ale to przecie ten sam facet, który obsmarował ją w swoim programie.

- Tak. Powtarzam tylko, co mi powiedziała. Też ją o to zapytałem, ale odparła, że nie mówił tego, co naprawdę myślał.

Wierzysz w to?

Montoya raczej nie wierzył.

- Tak czy inaczej, jeżeli chcesz znać moje zdanie, publiczne pranie brudów to nie jest najlepsza droga do serca kobiety.

- Brinkman sięgnął do kieszeni i wyjął zmiętą paczkę papierosów. Włożył jednego do ust, a potem zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki. - Zastanawiam się nad pieniędzmi - cięgnął, z papierosem zwisającym z kącika ust. - Ktoś co dostanie, przyżałobieniu, że po rozwodzie Giermanowi w ogóle co zostało. Zazwyczaj ona kładzie łapę na wszystkim.

Montoya nie bardzo w to wierzył, ale nie miał za sobą trzech rozwodów, jak Brinkman.

- Ostry gracz, wszyscy o tym wiedzą. A ta dziewczyna ma jakieś alibi?

- Owszem, elastyczne. - Brinkman znalazł zapalniczkę i zapalił papierosa. - Była wtedy w Toronto z przyjaciółmi, młodym małżeństwem i ich dziesięciomiesięcznym dzieckiem. - Wydmuchnął dym przez okno. - Kiedy Gierman został zabity, grała z przyjaciółmi w karty i piła wino w ich domu, mniej więcej do wpół do drugiej w nocy. Hałasowali trochę i pobudzili sąsiadów, którzy wezwali policję. Spisali wszystkich.

- Mogła kogoś wynająć.

- Nie wygląda na to. - Brinkman pokręcił głową i zmarszczył nos. - Była na niego wkurzona, bo zaczął romansować z jaką kelnerką w hotelowej restauracji na Bourbon Street, a Nia się o tym dowiedziała. Zrobiła awanturę i przestała się z nim spotykać. Nie mieszkali razem i po prostu z nim zerwała. Sprawiała wrażenie osoby, której ulżyło.

- A ta kelnerka?

Brinkman zaciągnął się dymem.

- Jeszcze do niej nie dotarłem. Hej, czy to nie nasz zjazd?

Montoya już hamował. Potem skręcił i wjechał w zalane deszczem ulice Baton Rouge. Nie było jeszcze ciemno, ale włączone już lampy uliczne rzucały rozedrgane odbłyски na mokry asfalt.

- A ludzie z tej stacji radiowej? Może był tam ktoś, kto miał ochotę pozbyć się Giermana?

- Nadal to sprawdzamy. Gadałem z kilkoma z jego współpracowników, ale na razie wszyscy trzymają się zasady, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

Montoya wjechał w dzielnicę willow. W miarę jak zbliżali się do uniwersytetu, domy były coraz bardziej okazałe. Starannie utrzymane trawniki, szerokie werandy, wszystko wiejące, nowe i zapewne kosztowne. Podjechali pod bramy College'u Wszystkich Wiat. -

- Wiesz, co chcesz znaleźć? - spytał Brinkman.

- Cramen Hall.

- Była tu już kiedyś?

Montoya kiwnął głową.

- Córczka Bentza, Kristi, mieszkała w tym akademiku, kiedy się tu uczyła.

Nie musiał wspominać, po co tu wtedy przyjeżdżał ani co przewyślał ojciec Kristi. Brinkman też o tym wiedział.

Montoya znalazł na parkingu miejsce dla odwiedzających, wysiedli z samochodu i weszli do budynku. Dziekan, doktor Sharon Usher, już na nich czekała. Była to drobna, nerwowa kobieta o krótko

przetykanych siwizn i w skich ustach. Bez ladu makija u. Wygl dała jak typowa nauczycielka akademicka: okulary, długa tweedowa spódnica, br zowy sweter.

Przywitali si w gło nym, pełnym studentów holu i ruszyli za ni na trzecie pi tro, gdzie było cicho i spokojnie. Drzwi do pokoju numer 534 zagradzała policyjna ta ma.

- Mam nadziej , e szybko to wyja nicie - powiedziała doktor Usher, jakby policja z reguły celowo przeci gała dochodzenie.

- Taki mamy plan - odparł Brinkman.

- To dobrze. Mam tu plan zaj Courtney i list studentów, ucz szczaj cych na te zaj cia, oraz spis studentów, którzy tu mieszkaj . To chyba wszystko, o co pan prosił. Powinni cie te wiedzie , e pan Gierman tu był, jakie trzy tygodnie temu. Jako go na zaj ciach doktora Starra z komunikacji mi dzyludzkiej. Courtney była na tych zaj ciach.

Montoya znieruchomiał. A wi c mi dzy ofiarami był jednak jaki punkt styczny.

- Nick Gierman tu był? - zapytał.

- Tak.

- Czy Courtney z nim rozmawiała?

- Nie s dz , ale nie mam pewno ci. Rozmawiałam z doktorem Starrem. Administracja nie była zachwycona doborem go ci na jego wykładzie. - Doktor Usher wyj ła klucz i otworzyła pokój. - Cenimy tu ró norodno i wolno słowa, ale to jednak do konserwatywna szkoła.

- Z doktorem Starrem tak e b dziemy musieli porozmawia .

- Wiem, spotka si z wami pó niej. Numer jego komórki i wszystko inne jest w moim gabinecie.

Montoya wszedł do pokoju i przez chwil miał wra enie, e znalazł si w innym wiecie.

- Co to, u diabła, jest? - mrukn ł, wł czaj c wiatło. Jedna strona pokoju była pomalowana na biało i zawieszona krucyfikami, obrazkami Matki Boskiej i Jezusa na krzy u. Drug pomalowano na czarno, była całkiem pusta. Na biurku po białej stronie le ała Biblia i stały oprawione w ramki zdj cia Courtney LaBelle, na gałce szafki wisiał ró aniec. Po czarnej stronie biurka stała tylko mała drukarka i kilka ksi ek o wampirach i zjawiskach paranormalnych.

- Nie rozumiem - powiedział Brinkman, i Montoya tym razem musiał si z nim zgodzi .

- Ten pokój nale y do Courtney LaBelle - powiedziała doktor Usher i przeszła na czarn stron pokoju. - A tak e do Ophelii Ketterling.

- Mieszkały razem? - spytał Brinkman.

- Tak. Zach camy naszych studentów, by swobodnie wyra ali swoj osobowo . Niektórzy z nich, no có , troch przesadzaj . - Doktor Usher zasłoniła okno rolet i wł czyła lamp stoj c na biurku po czarnej stronie, a potem wł czyła górne wiatło. Na czarnej cianie pojawiły nagle rysunki, widoczne tylko w lekko fioletowym wietle rzucanym przez czarn arówk . Maszkarony, wampiry i dziwne abstrakcyjne zwierz ta z piekła rodem o długich kłach i pazurach.

- Jezu Chryste - mrukn ł Brinkman.

- Ophelia studiuje sztuk i jest bardzo utalentowana, cho nie wszystkim podoba si tematyka jej prac. - Pani Usher wł czyła górne wiatło i rysunki znikn ły.

- Jak układały si stosunki mi dzy dziewcz tami?

- Nie układały si .

Jakie to dziwne, pomy lał Montoya z ironi .

- Skar yła si komu na te dziwne... ozdoby? - spytał Brinkman.

- Nie, ani mnie, ani radzie szkoły. To pierwszy semestr, rok szkolny dopiero się zaczął. Dowiedziałam się o tym - doktor Usher wskazała rękę czarne ciany - dopiero wtedy, kiedy wydarzyła się ta tragedia. To okropne.

- Czy dziewczęta znały się wcześniej? - spytał Montoya.

- Courtney i Ophelia? Nie. - Doktor Usher pokręciła głowę.

- Dlaczego więc zamieszkały razem?

- Zostały dobrane przez komputer.

- Mimo że tak się od siebie różniły?

- Nie różniły się tak bardzo. Obie interesowały się sztuką, obie pochodzą z religijnych rodzin z klasy średniej. Ich matki studiowały kiedyś w tym college'u. Wcześniej obie chodziły do prywatnych katolickich szkół. Owszem, różniły się, ale mają wiele wspólnego. - Usher uśmiechnęła się słabo. - Cóż, jak widać, nie był to trafny dobór.

- Moimy porozmawia z panną Ketterling? - spytał Montoya.

- Tak, jest na dole w gabinecie.

Brinkman zaczął rozglądać się po pokoju.

- Zaraz tam zajdziemy - powiedział Montoya.

- Ja też tam będę. - Pani dziekan wyszła na korytarz, stukając obcasami.

- Boże, co to za dziwactwo... - mruzczał Brinkman. - Te obrazki... te księżki... czarne ciany... mała musi być powaźnie zaburzona. Trzeba będzie chyba sprawdzić, gdzie była tej nocy, kiedy jej koleżanka zakończyła życie.

- Obecnie wiele ludzi interesuje się okultyzmem. To teraz bardzo modne.

- Modne nie znaczy dobre.

Przeszukali pokój, ale nie znaleźli nic interesującego. Po stronie Courtney były podręczniki, kilka par dżinsów, swetry, podkoszulki i jedna sukienka. W szufladzie biurka leżały notebook, iPod i telefon komórkowy. Dziwne, że nie miała go przy sobie, pomyślał Montoya. Spojrzał na symbole religijne: krzyżyki i figurki Madonny. Jeden różaniec wisiał na gałce od szafy, drugi na wezłowniu łóżka. Obrazki i medaliki spoczywały w specjalnej skrzyneczce.

- Coraz to dziwniejsze i dziwniejsze... - powiedział w końcu Brinkman. - Czy to z jakiej starej księżki?

- Z *Alicji w Krainie Czarów*.

- Moim. A skoro mowa o czarach, ta mała jest kopniakiem - powiedział i spojrzał na biały strój pokoju. - Ta zresztą też.

- Moim dlatego komputer postanowił je połączyć? żeby się uzupełniały. Jin i jang - odparł Montoya.

- Mam ochotę zapalić. - Brinkman sięgnął do kieszeni. - Spotkamy się w gabinecie, co ty na to?

- Moim by.

Był tam pies.

Psy zawsze stwarzają problemy.

Stał w ciemności, wśród gałęzi drzew i patrzył na jasno oświetlone okna domu.

Padał deszcz, woda spływała rynnymi, wiatr niósł zapachy w przeciwnym kierunku. Tak jak kiedyś, obserwował ją, jak chodzi po domu. Wiedział, gdzie trzymała krem do rąk, gdzie chowała swoje teczne dekoracje. I wiedział, że w szufladzie nocnej szafki, stojącej obok łóżka, miała rewolwer. Widział wcześniej, jak go wyciągnęła, patrzyła na niego przez chwilę, a potem wrzuciła z powrotem do szuflady.

Rewolwer ojca jej byłego męża. Dowiedział się tego z ostatniej audycji Nicka Giermana.

Teraz była w domu. Widział ją wyraźnie w oświetlonych prostokątnych oknach. Zaparzyła dzbanek kawy i popijała ją z kubka, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Mówiła do swoich zwierząt, włączyła

na którym leżały zdjęcia i negatywy. Nie słyszał dzwonka, ale widział, jak podniosła słuchawkę telefonu w kuchni i rozmawiała z kimś bez cienia uśmiechu na twarzy.

Zapewne o swoim zmarłym mężu.

Patrzył na nią i zastanawiał się, jak mogła po prostu kogoś takiego jak Gierman. Człowieka, który ją zdradzał, a potem upokorzył na antenie.

Mary wywiadczyła ci przysługę, pomyślał. Tak, Mary wywiadczyła przysługę całemu światu, odbierając życie Giermanowi. A potem sama złożyła swoje życie w ofierze.

Widział, jak oparła się biodrem o blat i przechyliła głowę, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Krótkie złotorude włosy opadały jej na ramiona. Nie miały tak gęstego bokiego odcienia jak włosy Faith, ale były równie piękne. Płomienne. Ogniste.

Przebiegł liną, czując jak krople deszczu spływają mu po twarzy, zatrzymując się na rzęsach, a potem ciekają wzdłuż nosa.

Pokręciła głowę, jakby chciała rozruszać zesztywniałą szyję. Widok jej ramion i nagiej szyi nagle wywołał erekcję. Obliznął wargi, zamknął oczy i opanował się siłą woli.

Nie zawiodł, przysięgnął sobie w ciemności, a potem otworzył oczy, by spojrzeć na jej piękną twarz, ale już jej nie było w oknie.

Dokąd poszła?

Ogarnęła go panika. Sprawdził wszystkie okna... nigdzie jej nie było. Czy wyszła na zewnątrz? Ale on nie jest jeszcze gotów! Sięgnął do kieszeni, namacał numer liwski i zaczął się zastanawiać, czy gdzieś musiał go ukryć.

Nagle pojawiła się znowu. Szła w stronę frontowych okien koło wejścia. Uspokoił się trochę. Szła do jadalni... Ale zatrzymała się nagle, jakby coś usłyszała. Odwróciła się i spojrzała wprost na niego, marszcząc brwi. Podrepta do okna i patrzyła w ciemność.

Zmartwił.

Wstrzymał oddech.

Czy by się poruszył? Zwrócił jakoś na siebie jej uwagę? A może nadszedł już czas... jej czas...

Nie! Trzymaj się planu. Zbyt długo nad tym pracowała, żeby go teraz zmieniać. Nie słuchaj instynktu... jeszcze nie.

Ale była taka podobna do Faith. Patrzył jej prosto w oczy. Niemal chciał, by go dostrzegła. Jakby rzucał jej wyzwanie.

Teraz szła przez dom, mówiła do kogoś, w stronę drzwi, które wychodziły na chodnik przed domem ze studium. Kiedy przechodziła koło oszklonych drzwi, zrozumiał, do kogo mówiła. Przeklęty pies dreptał obok niej ze wznieśniętym pyskiem, jakby rozumiał każde słowo. Za kilka sekund dojdzie do drzwi i wypuści tego cholernego psa na zewnątrz. A pies na pewno rzuci się, szczekając, w jego stronę.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął skradzioną komórkę, którą ustawił wcześniej tak, by nikt nie mógł zidentyfikować numeru i wcisnął guzik, oznaczający jej numer. Zaczekał, oddalając się od domu, przedzierając się przez krzaki. Nie czekał, żeby zobaczyć, czy odbierze.

Jeden sygnał.

Przyspieszył kroku.

Drugi sygnał.

Cholera, czy by jednak postanowiła wypuścić najpierw psa?

Trzeci sygnał.

Nie odbierała. Do diabła, pewnie już jest przy drzwiach. Zaczekał, żeby biec.

Czwarty dzwonek. Cholera!

Klikni cie. Serce podeszło mu do gardła.

- Cze , tu Abby. Zostaw wiadomo .

Rozł czył si , wło ył telefon do kieszeni i biegł dalej przez las. Był szybki, wiczył regularnie. Nie, nie pozwoli na to, eby jaki głupi pies popsuł mu szyki. Samochód zostawił prawie dwa kilometry dalej, za szop , przy opuszczonym tartaku.

Mimo ciemno ci nie potrzebował latarki. Przemierzył t drog wiele razy. Zwolnił przy ogrodzeniu rezydencji Pomeroya i min łj najciszej jak potrafił. Spodziewał si , e rottweiler Pomeroyów zaraz zacznie szczeka .

Jeszcze jeden głupi pies, z którym trzeba b dzie si rozprawi .

Ale pies si nie pojawił.

Przyspieszył znowu, przeszedł przez ulic i wszedł na cie k prowadz c do tartaku. Po chwili był ju przy samochodzie, mokry od deszczu i spocony. Nie dlatego, e biegł, ale dlatego e tak niewiele brakowało, by go zauwa yła.

Przekr cił kluczyk w stacyjce i odetchn ł z ulg . Nie wł czył wiateł. Jeszcze nie. Na wypadek, gdyby kto był w pobl u.

Furgonetka trz sła si i podskakiwała na wyboistej drodze. Musiał si zatrzyma , wyj , eby otworzy bram , i potem jeszcze raz, eby j za sob zamkn . Wcze niej zmienił w niej zamek i teraz u ywał własnego klucza.

Doskonała kryjówka dla tego samochodu.

Wyjechał na główn drog i wł czył radio.

- ...Dzi tak e b dziemy wspomina Nicka Giermana. Wszyscy tu, w WSLJ i, jak s dz , wszyscy w Nowym Orleanie, jeste my wstrz ni ci i gł boko zasmuceni tym, co si stało. Dlatego prosimy tych, którzy nas słuchaj , aby je li co wiedz , pomogli policji w odnalezieniu sprawcy zbrodni. Czekamy na telefony. B dziemy tak e na bie co podawa wszelkie informacje dotycz ce tej sprawy. A teraz przedstawimy fragmenty ulubionych programów Nicka...

Wł czył radio. Hołd dla Giermana był ałosny, ale dzi ki temu ludzie ci gle jeszcze słuchaj o jego mierci. To dobrze. Obywatele Nowego Orleanu s „wstrz ni ci i zasmuceni”. Doskonale. Ju czas. Najwy szy czas.

Słuchajcie radia jutro, pomy lał. Jutro dostarczy im dwóch nowych ofiar.

Które ju na niego czekaj .

Rozdział 7

Montoya zamkn ł drzwi pokoju na klucz i zszedł z Brinkmanem do holu. Brinkman wyszedł na papierosa, a Montoya odszukał niewielki gabinet, w którym za ci kim d bowym biurkiem siedziała dziekan Usher. Po drugiej stronie biurka siedziała t ga dziewczyna o kruczoczarnych, farbowanych włosach i brzydkiej cerze, cz ciowo ukrytej pod bardzo jasnym, niemal białym podkładem. Miała na sobie dług czarn sukienk , czarne koronkowe r kawiczki bez palców i czarne wysokie buty. Spojrzała na Montoy wrogo, nerwowo poruszaj c nog .

- Ophelio, to jest detektyw Montoya. - Pani Usher patrzyła jeszcze przez chwil na drzwi, najwyra niej oczekuj c Brinkmana. - Detektywie Montoya, to Ophelia Ketterling.

- O, po prostu O - poprawiła dziewczyna.

Montoya zaj ł jedyne wolne krzesło obok dziewczyny.

- Detektyw Brinkman zaraz przyjdzie - wyja nił - ale mo emy ju zacz . Rozmowa b dzie nagrywana. Nie masz nic przeciw temu?

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Jakby nic jej to nie obchodziło.

- Wszystko jedno.

- Dobrze. - Montoya wyjął z kieszeni dyktafon i postawił go na biurku.

Pani Usher spojrzała na urządzenie takim wzrokiem, jakby to był wściekły pies, ale nie podjęła tematu.

- Obaj panowie są z Departamentu Policji w Nowym Orleanie i chcę ci zadać kilka pytań. Chodzi o Courtney.

- Chyba o Mary? - odparła dziewczyna, ożywiając się nieco. - Przywykła do tego imienia wielką wagą.

Pani dziekan z irytacją zacisnęła wargi.

- Po prostu odpowiadaj na pytania.

- Jakie pytania? - Ophelia rzuciła Montoi powłóczyście spojrzenie spod ciemnych od czarnego tuszu rzęs. Wydawała się miertelnie znudzona.

- Przede wszystkim czy chodziła na randki? Spotykała się z chłopcami?

Ophelia prychnęła z pogardą.

- Nie, z nikim poza Jezusem.

- Ophelio! - Pani Usher straciła cierpliwość. - To formalne przesłuchanie. Twoje słowa są nagrywane.

- Cóż, taka jest prawda. O niczym innym nie mówiła. Bóg, Jezus i ten cały Duch Święty. Była stuknięta. Ci głębiej chrzaniła, obiecała sobie Bogu, że jest oblubienicą Boga i że nie może się doczekać chwili, kiedy wstąpi do zakonu. Twierdziła, że poszła do college'u tylko na życzenie rodziców.

- A co ty o tym sądzisz?

- A jak pan myśli?

Montoya zauważył, że w jedno nozdrze miała wpięty kolczyk z czerwonym kamieniem, a na jej szyi wisiała na rzemyku mała buteleczka z jakimś ciemnym płynem. Dziewczyna wzięła ją do ręki i podniosła do światła.

- Na to pan patrzy? Chce pan wiedzieć, co to jest? - Uniosła jeden brew. - W porządku. To krew.

- Do czego! - Pani Usher sięgnęła do dyktafonu. - Wyłuczmy to chociaż na chwilę.

Ophelia się uśmiechnęła. Wargi miała pocięgnięte błyszczącą, fioletową kredką.

- Nie wyłuczajmy. Chcę to już mieć za sobą. Przy okazji - dziewczyna potrzebowała buteleczki - to ludzka krew.

Zalutujący dymem papierosowym Brinkman wszedł do pokoju i stanął przy drzwiach.

Ophelia najwyraźniej postanowiła wszystkich zaszokować. Montoya czekał spokojnie, a pokaz dobiegnie kości.

- To oczywiście nie jest ludzka krew. - Pani Usher poblądła i zacisnęła dłoń. - W szkole obowiązują przepisy dotyczące...

- Nie, nie ma takich przepisów. To moja krew i mogę wszędzie z sobą nosić, w moim ciele, butelkach czy fiolce. Poza tym to rzadka grupa krwi - dodała dziewczyna z dumą. - AB Rh-

Brinkman odchrząknął. Wydawał się zakłopotany.

- Wróć do twojej koleżanki z pokoju - podjęła Montoya - możesz nam powiedzieć, kiedy ostatnio widziała Courtney?

Tym razem Ophelia go nie poprawiała.

- W dniu, kiedy zginęła, nic szczególnego się nie działo. Przygotowywała się do wyjścia do biblioteki, jak zawsze... Miała plecaczek, włożyła strój do biegania... zawsze go wkładała... to znaczy wkładała, kiedy chciała biegać po zajęciach

- Zachowywała się normalnie?

- Normalnie? Też co! W ogóle nie była normalna. Ale jeśli chodzi o to, czy zachowywała się tak jak zwykle, to owszem. Była taka, jak zawsze. Pieprzona wiotka.

- Ophelio - powiedziała pani Usher ostrzegawczo.

- Mam na imię O, pamiętaj pani?

- O której wyszła tamtego dnia? - spytał Montoya.

Ophelia poruszyła się na krześle.

- Nie jestem pewna, ale po obiedzie, jeśli tak ma na nazwę to, co nam tu podaj. - Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Wiadomo był już wieczór?

- Tak, było ciemno... Mogło być około siódmej, może w pół do ósmej.

- O której zazwyczaj wracała?

- Przed północ... tak mi się wydaje.

- Wiesz może, czy się z kim spotykała?

Ophelia pokręciła głowę i zawinięła pasmo czarnych włosów wokół palca.

- Nie wiem. Nieśmiała. Była typem samotnika. Mówiłam jej tylko religia. Była stuknięta.

- Ale przecie musiała mieć przyjaciół.

Ophelia wzruszyła ramionami.

- Może z jakiej grupy religijnej. Naprawdę nie wiem. No i poznała jednego zakonnicę, o ile pamiętam, z zakonu... jak ona się nazywała? Melinda czy może Margaret...Nie...

- Maria? - spytał Montoya, czując, że zaczyna się pocić.

- Tak! Maria. Zgadza się.

- Z zakonu Naszej Pani od Cnót?

- Może liwe. - Dziewczyna przygryzła pomalowany na czarno paznokieć i westchnęła. - Nie przykładałam do tego wielkiej wagi, to chyba zrozumiałe. Nie pamiętam.

- I, o ile wiesz, nie spotykała się z nikim szczególnym.

Ophelia wzniosła oczy do góry.

- Chyba już to przerobiliśmy. Nie spotykała się ze śmiertelnikami. Była oblubienicą Boga. I to nie było wolne małżeństwo.

- Nosiała pierścienek? - naciskał Montoya, nie zwracając uwagi na komentarze.

- O tak, zawsze. Pierścienek dziewczycy.

- Co?

- Tak go nazywała. Niektóre dzieciaki, te naprawdę religijne, noszą takie pierścienki. Kupuj sobie pierścienek albo dostaj go od rodziców czy kogoś takiego na znak, że nie bóg robi pewnych rzeczy. Uprawia seksu. Do czasu, a kogoś po lubi... albo nigdy. - Ophelia znowu wzniosła oczy ku niebu. - Wieczne dziewictwo? To jaka paranoja. - Pokręciła głowę i skrzywiła się z niesmakiem. - Ona była stuknięta, sam pan widzi. Naprawdę popie... stuknięta.

- Wspominała kiedyś o Nicku Giermanie? - spytał Montoya.

- Owszem. Raz, może dwa razy, kiedy przypadkiem usłyszała jakiś fragment programu. Była - Ophelia podniosła dłoń i zrobiła znak cudzysłowu palcami - wstrząsnęta.

Montoya poczuł nagły przyływ adrenaliny, jak zawsze, kiedy był blisko przełomu w sprawie.

- Znała go osobiście?

- Nie. Nie przypuszczam.

- Dzwoniła kiedyś do radia?

Ophelia otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła i zastanawiała się przez chwilę.

- Chciałam powiedzieć „nie”, ale nie wiem. Nigdy nie mówiła, że dzwoniła i nigdy

tego trzeba mieć ją, a to była taka szara myszka. Ale cóż, dziwniejsze rzeczy się zdarzają. Mogła dzwonić. Tyle że ja nic o tym nie wiem.

- Ale mówiła o nim?

- Właściwie nie... Chociaż... wspominała co, raz czy dwa. Powinien odnaleźć Jezusa. Ale ona uważała, że wszyscy powinni go odnaleźć, i cznie ze mną, i naprawdę specjalnie mnie to nie zaskoczyło.

- Nie wiesz jednak, czy kiedykolwiek z nim o tym rozmawiała - odezwał się Brinkman.

Pokręciła głową.

- Wróćmy do czegoś, o czym już rozmawialiśmy - zasugerował Montoya. - Courtney, czy te Mary, wychodziła gdzieś z przyjaciółmi? Miała swoje życie towarzyskie?

- Chyba tak, jeżeli chodzi o to tak nazwa. Nie chodziła do pubów ani na koncerty i tak dalej. Po obiedzie zazwyczaj szła do biblioteki, w drodze powrotnej biegała, przebierała się i szła do kaplicy na godzinę czy dwie, żeby się modlić, jak przypuszczam.

- Do kaplicy w kampusie?

- Tak, ale tamtej nocy chyba nie poszła do kaplicy. Zawsze przedtem się przebierała. Nie poszłaby tam w krótkich spodenkach.

- Dużo o rozmawiała ci? - spytał Brinkman.

Ophelia spojrzała na niego znudzona.

- Co pan? Już po pierwszym tygodniu przestałam z nią gadać. Dla niej wszystko, naprawdę wszystko, zaczynało się i kończyć na Bogu. Sama chodziłam wczesniej do katolickiej szkoły, ale tam wiążąc dzieciaków uważała, że religia to ich prywatna sprawa. Nikt nie zachowywał się tak, jakby miał zamiar zbawić świat. Ale Mary... ona była jak ci Odrodzenie Chrześcijańskie. Kawał wiru. Przerażała mnie. Już nawet złożyłam prośbę o zmianę pokoju.

Montoya zerknął na dziekan Usher, która przytaknęła.

- Nie bardzo wiem, czy dobrze zrozumiałem. - Brinkman założył ręce na piersi. - Ona przerażała cię?

Kiwnęła głową.

- Amen.

Zadali jej jeszcze kilka pytań, zabrali przygotowane przez dziekan Usher dokumenty i poszli na spotkanie z doktorem Starrem. Był to szczupły mężczyzna po trzydziestce, który co sto mrugał, jakby miał okulary dopasowane szkła kontaktowe. Wprowadził ich do niewielkiego gabinetu na pierwszym piętrem.

- Zeżyczenia panowie usi - zaproponował, kiedy się sobie przedstawili.

Jego biurko było ogromne, ale panował na nim wzorowy porządek, jakby Starr spędzał całe dni, układając wypracowania swoich studentów w idealnie równe stosy. Na półkach za biurkiem stały równo książki, ani jeden tom nie wystawał z rzędu. Montoya miał wrażenie, że gabinet jest raczej na pokaz, nie do pracy. Wszystko tu wyglądało po prostu zbyt perfekcyjnie.

- Wiem, że chodzi o Mary. - Starr wstał i stanął na biurku lampy. Montoya zauważył, że użył imienia wybranego przez dziewczynę. - Straszna tragedia. Wszyscy jesteście mi wstrząsani.

- Dobrze ją pan znał? - Brinkman od razu przeszedł do rzeczy.

- Dość dobrze, by wiedzieć, że była bardzo zdolna. Pisała wnikliwe eseje, a jej wypowiedzi na zajęciach były głębokie, choć z teologicznego punktu widzenia brakowało im szerszej perspektywy. - Nauczyciel uśmiechnął się i spojrzał na zegarek.

- To chyba niewielka klasa? - spytał Montoya. - Po kilku tygodniach zajęcia pan w:

- Owszem, niewielka - odparł cierpliwie. - Poza tym... moje zajęcia zaczynają się o ósmej rano, dla wielu studentów to za wcześnie. Tak, w tej grupie jest dwadzieścia osób. - Zamrugnął i zmarszczył brwi. - Czy to raczej było.

- Słyszeliście, że zaprosił pana na zajęcia Nicka Giermana - powiedział Brinkman.

- Tak, tego kontrowersyjnego radiowca, który tak i został zamordowany. Widziałem w wiadomościach. - Starr poruszył się niespokojnie, na czoło wystąpiły mu krople potu. - Poprosiłem go, żeby powiedział parę słów na temat komunikacji interpersonalnej. Pomyślałem, że młodzieży się to spodoba, no i chciałem zachwiać trochę tutejszym systemem. Mógł przyjść tylko o ósmej rano i tam się umówiliśmy. - Starr odwrócił głowę i przez chwilę patrzył w okno. - Oczywiście nie miałem pojęcia, co się stanie.

- Oczywiście - powtórzył Brinkman.

Starr spojrzał na niego ostro.

- Cóż, zaprosiłem tylko znanego radiowca, to wszystko - powiedział, przekładając ołówki leżące na biurku. - Bardzo mi zależy na tym, żeby moje nazwisko nie było wymieniane w związku z tą sprawą... o ile to możliwe. Jestem tu nowy i... no cóż... wolałbym uniknąć kłopotów.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie podwójnego zabójstwa. - Montoya nie był w stanie ukryć irytacji. - Nie mamy zamiaru niszczyć nikomu reputacji, ale musimy wykonać naszą pracę.

- Rozumiem, ale...

- Czy miał pan już kiedyś problemy z prawem? - spytał Montoya i Starr pokiwał głową.

- Cóż... istotnie. Ale to nie było nic poważnego - dodał szybko. - Akcja ekologiczna... Nic nie zrobiłem, wziąłem tylko udział w protestach, ale... to bardzo konserwatywna szkoła.

- Wiedzą o tym tutaj?

Pokręcił głową.

- Nie, nie sądzę. Nie.

- Jeśli nie zrobił pan nic złego, nie musi pan nic ukrywać. - Montoya zaczynał mówić do faceta. Jedną z jego studentek została zamordowana, a on potrafił myśleć tylko o swojej reputacji. Dupek.

Nie dowiedzieli się od niego zbyt wiele. Jeśli wierzy słowom Starra - a Montoya nie był przekonany, że jest całkowicie szczery - nauczyciel znalazł się w samym środku śledztwa w sprawie morderstwa przez niefortunny zbieg okoliczności.

Kiedy wstali i zaczęli się śmiać, Starrowi wyraził ulgę.

Na zewnątrz Brinkman zapalił papierosa.

- To jeszcze nie koniec. Widziałeś, jak przekładał te długopisy? Był zdenerwowany. Może byś winny.

- Winny czego?

- Tego nie wiem, ale dawno nie widziałem takiego nadanego dupka. Szkoda, że nie ma na to paragrafu.

Tym razem Montoya musiał się zgodzić.

Zatrzymali się przy kaplicy, żeby porozmawiać z ojcem Stephenem, niskim starszym mężczyzną w okularach i z aparatem słuchowym. Dowiedzieli się od niego tylko tyle, że Mary była jak „powiew wiejącego powietrza” i „dobra jak anioł”. Poza tym niewiele.

- Jezu, widziałeś to? Facet urodził się chyba w szóstym wieku.

Montoya nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Może Brinkman nie był jednak aż tak beznadziejny. Ale w samochodzie starszy detektyw znowu zaczął go zirytować.

- Ta dziewczyna ma nierówno pod sufitem - powiedział, kiedy opuszczali teren uniwersytetu.

- To dziecko. Próbuje zwrócić na siebie uwagę.

- Wygląda na zdolnego do wszystkiego.

- Ale ma alibi. To tylko nastolatka.

- Mówi tylko, że może mieć z tym jakiś związek. - Brinkman zapalił i zaciął się dymem. - Choć im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że to raczej ta była ona. - Spojrzał na Montoya z ukosa. - Zobaczysz, załóż się, że odziedziczy wszystko, co zostało po Germanie.

- Byli po rozwodzie.

- To bez znaczenia. - Brinkman zaciął się jeszcze raz, po czym wyrzucił papierosa za okno. - Zobaczysz, na pewno dostanie sporo forsy i wtedy będzie nasz podejrzany *numero uno*.

Montoya nie chciał w to wierzyć, ale wiedział, że Brinkman ma rację. Abby Chastain była podejrzana. Czy mu się to podobało, czy nie.

Abby stała przy oknie i patrzyła w czarną, wilgotną noc. Wiatr poruszał konarami drzew, szeleścił liśćmi. Tam, na zewnątrz, było coś, co bardzo niepokoiło Hershey. Suczka była nerwowa, cały czas stała pod drzwiami na tyłach domu, kręciła się i skomlała. Nie było w tym jednak nic niezwykłego. Ilekroć Nick przywoził ją na weekend, Hershey była spięta i nadpobudliwa, jakby szukała ujścia nagromadzonej energii.

- Uspokój się - powiedziała Abby. Tym razem udzieliła jej się nerwowość psa. Po raz pierwszy od bardzo dawna stała przy oknie, zastanawiając się, co czai się na zewnątrz.

Albo kto.

Nagle zdołała jej się zimno, potarła dłońmi ramiona. W dodatku, kiedy Hershey zaczęła się kręcić pod drzwiami, zadzwonił telefon. Identyfikator wywiał numer „nieznany” i Abby nie podniosła słuchawki.

Ktokolwiek to był, nie zostawił wiadomości.

Pewnie telemarketer. Albo kolejny dziennikarz.

A jednak... Abby miała niejasne wrażenie, że ten telefon miał związek z czymś... niebezpiecznym. Wrogim. Zadrżała.

- Przestań - skarciła się półgłosem, ale spuściła rolety w oknach na tyłach domu. Potem naląła sobie kawy z dzbanka do filiżanki i wstawiła ją do mikrofalówki.

Jest nerwowa z powodu tego morderstwa. To wszystko. A zachowanie psa i poruszający drzewami wiatr tylko pogarszają sytuację. Powiedziała sobie, że jeśli nawet co czai się na zewnątrz, jest to z pewnością jakieś dzikie zwierzę, na przykład opos albo skunks.

Mikrofalówka zadzwoniła krótko. Abby wyjęła filiżankę i ostro nie upiła łyk kawy, tak gorącej, że niemal nie poparzyła sobie ust.

Znowu zadzwonił telefon, Abby drgnęła gwałtownie, wylewając kawę na rękę.

- Cholera! - krzyknęła cicho i upuściła filiżankę, która spadła na podłogę i rozprysła się na dziesiątki błkitnych kawałków. Kawa zaczęła spływać w szpary desek.

Hershey podwinęła ogon pod siebie i zaskomlała cicho. Rozległ się kolejny dzwonek telefonu. Abby chwyciła słuchawkę, przeczytała numer na identyfikatorze i zebrała się na sobie.

- Cześć, tato - powiedziała, przytrzymując słuchawkę ramieniem i cierając kawę z ręki.

- Cześć, kochanie. - Głos Jacques'a Chastaina, niegdyś silny i głęboki, był teraz tylko chrypliwym szeptem. Abby natychmiast stanęła przed oczami plastikowe rurki doprowadzające tlen do jego nozdrzy. Rak i rozedma płuc zniszczyły jego ciało. Przeszedł operację, a potem także chemioterapię, która jeszcze bardziej nad

do siebie, ale ju nigdy nie będzie tym silnym, pełnym życia mężczyzną, który uprawiał tenis, wspiął się po górach, brał udział w spływach kajakowych.

Ju nigdy.

- Co słycha, tato? - spytała, starając się, by nie dosłyszał, jak ciska ją w gardle.

- Jeszcze żyje, więc chyba wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Jako leci.

- Słyszałem o Nicku. Taka tragedia. Bardzo mi przykro.

- Mnie też.

- Wiem, że się mi dźży wami nie najlepiej układało, ale... ja go lubiłem.

- Ja też ... kiedy? - Abby poczuła się zdradzona. Dlaczego ojciec mówi takie rzeczy, przyznaje się do uczuć, które jej tylko rani?

- Wiesz, kiedy będzie pogrzeb? Chciałbym przyjechać.

- Nie, nie wiem. Sądzi, że policja nie wydała jeszcze ciała rodzinie. Kiedy się czego dowiem, zaraz dam ci znać. - Oparzona ręką zaczęła ją piec, podeszła więc do zlewu, odkręciła kran i wsunęła nadgarstek pod strumień zimnej wody.

- Ta dziewczyna, którą przy nim znaleźli... znała ją?

- Nie.

Umilkł na chwilę, jakby się wahał. Abby wiedziała, o co zaraz spyta.

- Wolałbym ci o to nie pytać, ale... Czy był z nią jakoś związany?

- Nie wiem, tato.

- No tak, oczywiście.

Abby zebrała większe fragmenty filianki z podłogi i wrzuciła je do kubła na mieci.

- To jednak było podwójne morderstwo, a nie morderstwo i samobójstwo, jak początkowo się działo?

- Niczego nie mogę być pewna. - Wytarła kawałek z podłogi.

- No cóż ... - ciągnął Jacques. - A jak ty się czujesz? Musi ci być bardzo ciężko.

- Jeszcze żyje, więc chyba wszystko w porządku - powtórzyła jego słowa.

Ojciec zachichotał.

- A jak Charlene? - zapytała, choć nigdy nie była blisko z matką, prócz kobiet, która dobiegała sześćdziesiątki, wyglądała na lat pięćdziesiąt, a twierdziła, że ma „nieco ponad czterdzieści”.

- W porządku. Bardzo zajęta. Jak tylko lekarze na to pozwolą, ma zamiar zabrać mnie do domu.

Abby nagle cisnęła w gardło.

- Kiedy to będzie?

- O, myślałem, że wkrótce.

Było to kłamstwo i oboje o tym wiedzieli.

- No cóż, chciałem tylko spytać, co u ciebie, kotku. Daj mi znać, gdyby czegoś potrzebowała.

- Jasne, tato. Ty też.

- I odezwij się, kiedy dowiesz się czegoś o pogrzebie.

- Tym zajmie się pewnie rodzina Nicka.

- Ale chyba ci poinformuję.

- Chyba tak.

- To dobrze. Trzymaj się, kochanie.

- Ty te , tato, i dbaj o siebie. - Odło ła słuchawk przygn biona. Przez chwil zastanawiała si nad swoj mał rodzin , której członkowie coraz bardziej si od siebie oddalali.

Có , mogło by gorzej, pomy łała i spojrzała na kominek. Na palenisku le ały jeszcze spopielone resztki fotografii.

Zdj cia Nicka.

To straszne, e tak zgin ł, co nie zmienia faktu, e był kiepskim m em. Teraz, po mierci, stawał si miejscowym bohaterem, ale ona była do tego nader sceptycznie nastawiona.

Za dobrze go znała.

Rozdział 8

Posłuchaj tego - powiedziała Lynn Zaroster.

Siedziała przy swoim biurku w du ej sali, gdzie inni detektywi i policjanci w mundurach stukali w klawisze komputerów, rozmawiali i przegl dali akta. Lynn, wysportowana dwudziestopi cioletka o krótkich, ciemnych, kr conych włosach, wł czyła stoj cy na biurku magnetofon.

- ...moja była - rozległ si głos Nicka Giermana - twierdzi, e pozbyła si wszystkiego, nawet rewolweru, który był pami tk rodzinn

Montoya oparł si biodrem o biurko i nadstawił uszu.

- Powiedziała, e oddała to na cele dobroczynne.

- Na cele dobroczynne? - spytał m ski głos, z nut niedowierzania.

- To jego współpracownik, czasem razem prowadzili program - wyja niła Zaroster. - Maury Taylor.

- Jako nie mog uwierzy , eby jakakolwiek organizacja dobroczynna przyjmowała bro paln . Jestem pewien, e to kłamstwo. Ale rozumiesz chyba jak si czuj , wiedz c, e moja nie całkiem zdrowa na umy le była ona ma rewolwer...

Nie całkiem zdrowa na umy le. Interesuj ce okre lenie.

- Lepiej zmie adres - zasugerował Maury Taylor.

Zaroster wył czyła magnetofon i spojrzała na Montoy .

- Co za dupek - zezło ciła si . - Gdybym ja była t był on , chyba bym go zabiła, i to na antenie. O jednego wrednego sukinsyna mniej. Jakby si czuł, gdyby kto w taki sposób wywlókl na wiatło dzienne twoje prywatne sprawy?

- Mo e wła nie dlatego ona chce si st d wyprowadzi .

- Jego była ona?

- Tak.

Za plecami Montoi rozległy si kroki.

- Ciesz si , e ci widz - powiedział Brinkman. - Wła nie przejrzałem dokumenty Giermana, znalazłem testament i polisy ubezpieczeniowe. Zgadnijcie, kto jest jedynym spadkobierc ?

Montoya zeszytniał. Sposób, w jaki Brinkman zadał to pytanie, nie wró ył nic dobrego.

- Jego była ona.

Lynn Zaroster zmru yła niebieskie oczy.

- Bingo! - Brinkman u miechn ł si szeroko. - Widziałe wst pny raport, prawda? - zwrócił si do Montoi. - Wygl da na to, e w chacie była jeszcze jedna osoba poza Giermanem i LaBelle. Z pomiarów wynika, e kto trzymał dziewczyn za r k , w chwili, gdy poci gała za spust. Na jej nogach, r kach i ustach znaleziono lady jakiej klej cej substancji. Rozkład si ców na ciele tak e wskazuje na to, e mogła by przez pewien czas skr powana. Kto to wszystko upozorował.

- Ale po co Abby Chastain miałyby sobie zadawać tyle trudu i zabijać drugą osobę? Dlaczego nie poprzestała na swoim byłym? - spytał Montoya.

- Aby nas zdezorientować. - Brinkman spojrział na niego z politowaniem. - Nie mogło jej się to udać, w końcu to amatorka, nie ma pojęcia o metodach dochodzenia ani medycynie sądowej.

- Kiedy, kto ma w domu telewizor, wie na ten temat sporo - zauważył Montoya.

- Nie mówi o tych bzdurach z telewizji. Mówi o tym, jak to naprawdę wygląda.

- Ona nie nosi męskich butów w rozmiarze dwanaście.

- Skąd wiesz? - spytał Brinkman zirytowany. - Powiedzmy, że wiedziała, że jej były odwiedził ten college, i dowiedziała się, kto był na jego wykładzie. Może się zdarza, że German posuwał tę dziewczynę.

- Dziewicę Mary? - spytał Montoya. - Autopsja wykazała, że jej błona dziewicza była nietknięta.

- Ale ona mogła o tym nie wiedzieć, prawda?

- To nie wygląda na zbrodnię popełnioną przez kobietę - stwierdziła Zaroster. - Te rekwizyty... Nie. Mój wujek pracuje w tym college'u. Uczy religii. Może znał ofiarę albo kogoś z jej przyjaciół.

- Już tam byli my - odparł Brinkman. - Ta dziewczyna nie miała przyjaciół. Tylko współlokatorów. Stracisz tylko czas.

- To mój czas, prawda? - odparła Lynn. - Moim zdaniem to nie wygląda na robotę kobiety.

- Ale nie mówimy o jakiejś tam kobiecie, tylko o wściekłej byłej żonie, która może sporo zyskała na mierci męża. - Brinkman uśmiechnął się przebiegle. - Chyba czas zamienić parę słów z naszą spadkobierczynią.

A więc w końcu do tego doszło. Oficjalne przesłuchanie. Abby siedziała sztywno wyprostowana przy stole w swojej jadalni, patrząc na Montoyę i tego drugiego detektywa. Za pierwszym razem Montoya przyjechał sam, aby powiedzieć jej o mierci Nicka, za drugim przywiózł psa. Zadał jej parę pytań, ale nie naciskał. Była przecie w szoku.

Teraz wrócił i Abby czuła, że tym razem zdjął białe rękawiczki.

Brinkman, łysiejcy facet, który z nim przyjechał, nawet nie starał się być miły. Zachowywał się uprzejmie, ale chłodno, przyglądał jej się podejrzliwie, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że wiedział o Abby więcej niż ona sama.

To wszystko bardzo ją niepokoiło.

Brinkman stanął przy oszklonych drzwiach, a Montoya usiadł po drugiej stronie stołu.

Abby zaproponowała im kawę i teraz na stole stały trzy prawie nietknięte filiżanki. Jeszcze raz usłyszała te same pytania, które już kiedyś zadał jej Montoya, póki nie jednak policjanci przeszli do innych kwestii. Powiedziała sobie, że to rutynowa procedura, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest podejrzana. Starła się nie wierzyć, ale była zdenerwowana i trochę nie miała obecności dyktafonu i faktem, że przesłuchiwało ją dwóch policjantów. Kiedy wydawało jej się już, że przesłuchanie dobiegło końca, Brinkman popatrzył na nią uważnie.

- Czy wie pani, że nadal jest pani beneficjentem polisy ubezpieczeniowej byłego męża? Polisy na życie?

- Co takiego? - Abby nie wierzyła własnym uszom. - Polisy na życie?

- A tak. Polisy na pół miliona dolarów. - Brinkman uśmiechnął się fałszywie. - To kupa pieniędzy.

- To z pewno ci jakieś nieporozumienie.

- Nie. Znalazłem tę polisę w dokumentach pani byłego męża i sprawdziłem w firmie ubezpieczeniowej.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Nawet w najmielszych snach nie spodziewała się, że kiedykolwiek dostanie od Nicka choćby pięć centów.

- Wygląda na to, że nie zmienił dyspozycji.

- Nie wiedziałam nawet, że miał taką polisę - odparła szczerze. - Owszem, kiedyś

polisy na niewielkie kwoty. Polisy terminowe.

- Czy on jest nadal pani beneficjentem?

- Nie. - Abby pokręciła głowę. - Polisa wygasła i zmieniłam testament.

- Jak już mówiłem, to duży o pieniądze. - Brinkman pocierał kark dłoni, jakby się nad czymś namyślał. - Pół miliona. A jest jeszcze spora suma na jego koncie i fundusz emerytalny... Dom należy do pani, ale cała reszta jest warta nieco ponad sześćset tysięcy.

- To niemożliwe. - Abby spojrzała na Montoya, który siedział, milcząc z łokciami opartymi na stole. - Nick ma rodzinę. Rodziców i braci.

- Sprawdziłem wszystko u jego prawnika. - Brinkman wzruszył ramionami. - Jeśli pani były kiedyś nie spała z pomocnikiem nowego prawnika nowego testamentu, o którym nikt nic nie wie, ten podpisany pięć lat temu jest nadal w mocy. Co oznacza, że jest pani bogatą kobietą. - Przekrzywił lekko głowę. - Ale pani nie wiedziała o tym testamencie? To chce nam pani powiedzieć?

- Zakładałam, że go zmienił, a o polisie nie miałam pojęcia. Przysięgam. - Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, patrzyła więc tylko bezradnie na obu policjantów.

- Wygląda na to, że wygrała pani los na loterii.

- Nie tak się czuję.

- Skoro pani tak mówi...

- Mam już dość tych insynuacji. - Przeniosła wzrok na Montoya, który od dłuższej chwili się nie odzywał. - Macie jeszcze jakie pytania, panowie?

- Nie, to włączyłam wszystko - powiedział Montoya.

- To dobrze. Bo zaczynałam już myśleć, że potrzebuję prawnika.

- Ale dlaczego? - Brinkman uśmiechnął się rozbrajająco.

Abby zwróciła się do Montoi.

- Jeszcze coś?

- Owszem, znaleźli my coś, co dotyczy Nicka i Courtney LaBelle. Nick brał udział w zajęciach jej grupy w College'u. Wszystkich z nich.

- Wiacie coś znał?

- Nie wiemy, czy się poznali. Wiemy tylko, że byli raz w tym samym miejscu w tym samym czasie.

- To byłby niezwykle zbieg okoliczności.

- Jeśli ktoś wierzy w zbiegi okoliczności - mruknął Brinkman. - Ja osobiście nie wierzę. Zwłaszcza w tym wypadku. Ale pani na pewno nigdy nie poznała tej dziewczyny.

- Nie. - Abby wstała i spojrzała na niego gniewnie. - Odnoszę wrażenie, że uważacie, iż mam coś wspólnego ze śmiercią mojego byłego męża. Prawda jest jednak taka, że nie mam i nie wiem, kto to mógł zrobić. Nigdy nie miałam okazji poznać Courtney LaBelle, nigdy nawet o niej nie słyszałam. Nie wiem, czy znała mojego byłego męża. Starłam się z nim nie kontaktować i poprosiłam go o to samo.

- Ale zadzwoniła pani do radia tego wieczoru, kiedy wypowiadał się na temat byłych małżonków - powiedział Brinkman.

- Nie... to znaczy tak, zadzwoniłam, ale się nie odezwał. Wiedziałam, że Nick chce mnie wyprowadzić z równowagi. Był naprawdę wkurzony. Zadzwonił do mnie wcześniej, chciał odebrać swoje rzeczy, więc powiedziałam mu, że już ich nie mam. Wielokrotnie próbowałam go skłonić, żeby przyjechał i je zab

ich pozbyłam. Był w ciekły, a następnego dnia obsmarował mnie w swoim programie. Zadzwoiłam, ale nie rozmawiałam ani z nim, ani z nikim innym. Nie chciałam powiedzieć czego, czego później mogłabym żałować. Chciałam tylko się wyjechać, jak najdalej od niego.

- Cóż, jego śmierć w pewnym sensie rozwiązuje ten problem - zauważył Brinkman.

- Pan chyba żartuje. Codziennie wydzwaniam do mnie dziennikarze, którzy chcą rozmawiać ze mną o tym, jaki Nick Gierman był naprawdę. To jakiś absurd. Nick był królową sławy i śmierć dała mu to, czego nie był w stanie osiągnąć za życia. Niestety, są ludzie, którzy nadal mnie z nim łączą. A ja chcę zostawić to wszystko za sobą i zacząć od nowa.

- Myślałam, że po to właśnie nie wróciła pani tutaj? Aby zacząć jeszcze raz, z matką, w rodzinnych stronach. Pani stąd pochodzi, prawda?

- A co to ma do rzeczy?

- Dorastała tu pani, chodziła do szkoły... A pani rodzicami byli, o ile się nie mylę, Jacques i Faith Chastain?

- Swoimi rodzicami. Mój ojciec żyje.

- A matka?

- Nie. Ale pan doskonale o tym wie, prawda? Wiem dlaczego mnie pan o to pyta? - Przeniosła gniewny wzrok na Montoya. - O co właśnie ciwie chodzi?

- To kolejna rzecz, która, w pewnym sensie, była czyjąś ofiarą. Rodzice Courtney LaBelle pracowali w Szpitalu Naszej Pani od Cnót w czasie, kiedy pani matka była tam pacjentką. Clyde LaBelle był tam psychiatrą, a Virginia Simmons pracownikiem socjalnym.

Abby zmarszczyła brwi zdezorientowana.

- Poza tym - dodał Montoya - Courtney, która, nawiasem mówiąc, uczyła siebie, by nazywać ją Mary, poszła do college'u tylko na prośbę rodziców. Sama postanowiła już, że w przyszłości zostanie zakonnice.

- Myślałam, że Kościół boryka się raczej z problemem braku powołania wśród młodzieży.

- Ale Courtney chciała wstąpić do zakonu. Rozmawiała już z matką przełożoną z zakonu Naszej Pani od Cnót. Szpital ma zostać wyburzony, ale klasztor zostanie.

- I to, pana zdaniem, była czyjąś ofiarą? Szpital? Przecież Nick nie miał z nim nic wspólnego. O ile wiem, nigdy tam nawet nie był. Pobrali my się już po śmierci mojej matki.

- Czy pamięta pani rodziców Courtney? - spytał Montoya.

Abby pokręciła głową.

- Virginia... Simmons, tak?

- Tak. - Montoya kiwnął głową.

- Nie. - Mimo wysiłku nie była w stanie przypomnieć sobie żadnej kobiety, choć pamiętała mgliście postacie lekarzy. Jeden z nich był wysokim mężczyzną z brodą i w okularach, które nienaturalnie powiększały jego oczy. Zawsze był trochę zgarbiony... - Doktor LaBelle... mógł leczyć przez pewien czas moją matkę. - Zamknęła oczy, wracając do czasów, kiedy wraz z ojcem i siostrą odwiedzała matkę w szpitalu. Starsi ludzie na wózkach siedzieli na werandzie, w cieniu parasoli albo pod wielkim drzewem magnolii. Pielęgniarki w szeszelących fartuchach i lekarze w białych, ze stetoskopami na szyi. Pamiętała, jak wstąpiła na szerokie schody i wchodziła do budynku, gdzie panowała cisza, a słowo z trudem przenikało przez grube zasłony i witryny. Słyszała stłumione głosy, słowa modlitw i jęki bólu na długich korytarzach, płonących zielonym tapetem. Zapach wymiotów, uryny i rodków dezynfekujących. Tak, był tam lekarz, który leczył jej matkę, ale nie nazywał się LaBelle, tylko... jak ten się nazywał? Holman? Hellman? Nie, Heller! Na myśl o nim ogarnął ją niesmak, ale niewiele mogła sobie przypomnieć. Heller był tylko jednym z...

bardziej. LaBelle?

Nagle zrobiło jej się słabo. Tak, przypomniała sobie doktora LaBelle. Schodził ze schodów, spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok. Widziała go tak, jak podpisywał jakieś papiery, a potem podniósł oczy na jej ojca. Wydawał się zniecierpliwiony, jakby pytania Jacques'a go nudziły i uważał je za stratę czasu. Jacques Chastain i jego córki w czymś mu przeszkadzali, rozmowa z nimi była tylko kolejnym męczącym obowiązkiem.

Otworzyła oczy.

- Tak... teraz go sobie przypominam - powiedziała. Znowu ogarnął ją niesmak. Ciężko wyobraziła sobie tego człowieka jako ojca cierpiącego z powodu śmierci dziecka.

- Ale nigdy nie poznała pani jego córki.

- Nie. Nic o nim nie wiedziałam. Po śmierci matki nigdy już nie byłam w tym szpitalu i nigdy nie rozmawiałam z nikim, kto tam pracował albo się leczył. - Spojrzała Montoi prosto w oczy. - Chciałam zapomnieć o tym, co się tam wydarzyło. - Nie była w stanie przejść do porządku nad faktem, że Nick został zamordowany wraz z dziewczyną, którą cholera no, ale była powiązana ze szpitalem. - Czy doktor LaBelle pamięta moją mamę?

- Sprawdzamy to teraz.

Abby poczuła się zagubiona. To pewnie tylko zbieg okoliczności, nic poza tym. Policjanci są po prostu dokładni, sprawdzają wszystko, bo na tym polega ich praca. Odczuła ulgę, kiedy przesłuchanie wreszcie dobiegło końca i Montoya wyjął swój dyktafon.

- To już chyba wszystko. - Uśmiechnął się do niej słabo. - Dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas. Proszę zadzwonić, jeśli coś przyjdzie pani do głowy. - Wsunął jej do ręki wizytówkę.

- Oczywiście.

Odprowadziła ich do drzwi. Brinkman wyszedł pierwszy i natychmiast zapalił papierosa. Montoya ruszył za nim, ale Abby nagle impulsywnie chwyciła go za ramię.

- Detektywie...

Zatrzymał się, spojrzał na jej palce na swoim ramieniu, a potem podniósł wzrok na jej twarz.

- Proszę posłuchać - powiedziała, ciężko trzymając go za ramię. - Chociaż bym może odziedziczyła po Nicku trochę pieniędzy, nadal uważam, że był dupkiem. Nie kocham go już od dawna i naprawdę chciałam się stąd wynieść... jak najdalej od niego. - Zaciśnęła palce. - Ale nie zabiłam go i przykro mi, że nie żyje. - Patrzyła mu w oczy, lekko unosząc głowę. - A teoria, że to szpital był czy te dwie ofiary, wydaje mi się trochę naciągana.

- Może to nie szpital jest czy - odparł cicho i serce Abby zaczęło bić szybciej.

- Ale...

- Może to pani.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Patrzył na nią bez uśmiechu.

- Niech pani będzie ostrożna, Abby - powiedział, pierwszy raz zwracając się do niej po imieniu. - Proszę nie zapominać zamykania drzwi na klucz. Włącz alarm, jeśli tu jest. A jeśli nie, proszę szybko wezwać firmę, która go zainstaluje. Jak najszybciej. - Zmarszczył brwi. - Proszę do nikogo nie odwracać się plecami.

Abby poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Słodzi pan, że to ja jestem tym, co ich było czy? Ja? Nie. - Pokręciła głową. - To szaleństwo.

- Proszę uważać na siebie. - Dotknął jej ramienia w chwili, kiedy na ziemi spadły pierwsze krople deszczu. Gest ten wydał jej się dziwnie intymny. - Zadzwonił - dodał i chociaż czuła, że to idiotyczne, jej serce

Potem pobiegł w deszczu do samochodu, wsiadł i odjechał, a Abby zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, ciężko słysząc w głowie ostrzegawcze słowa Montoi.

Stała tak bez ruchu bardzo długo.

Cyfry na drzwiach pokoju wydawały się dziwnie krzywe, ale Abby wiedziała, że to pokój jej matki: 307. Tak, mama zawsze była w tym pokoju. Abby nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że drzwi się zamkną, ale nie, otworzyły się od razu i weszła do rodzaka.

- Mamo? - zawołała.

Faith Chastain stała przy oknie.

- Kochanie, przyszłaś. - Uśmiechnęła się, promiennie.

Ale nagle jej wzrok padł na otwarte drzwi i w jej oczach pojawił się ... strach? Usztyniała lekko.

- Mamo? Co się stało? - spytała Abby, czując, jak ogarnia ją przerażenie. - Mamo?

Nagle z twarzy matki zniknęła uśmiech, panika wykrzywiła jej rysy. Zaczęła się cofać, nie spuszczając wzroku z otwartych drzwi. Była coraz bliżej okna.

- Nie - wyszeptała. - Słodki Jezu, nie.

- Mamo? - zawołała znowu Abby. Bo co się tu działo? - Mamo, uważaj!

Ale matka jakby jej nie słyszała.

- Co ty tu robisz? - W pokoju rozległ się nagle niski, mroczny głos. - Zabieraj się stąd!

Kim jest ten człowiek? Go ciemny? Pacjentem? Lekarzem? Jednym z ochroniarzy?

- Wyjdź stąd, ale już!

Z mocno bijącym sercem, napięta jak struna, Abby odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Nikogo tam nie było. Krew stanęła jej w żyłach.

Tak, musi stąd natychmiast wyjść. Z matką. W tym pokoju czai się zło. Mierze.

Przebiegła się i spojrzała na krucyfiks wiszący na ścianie. Z rany Chrystusa zaczęła ciec krew na tapetę, czerwona krew.

- Mamo? - szepnęła Abby głosem małej dziewczynki. Wpatrując się w odbicie matki w lustrze nad kominkiem.

Ale lustro pękło nagle i twarz matki rozpadła się w tysiące kawałków, które zaczęły z brzękiem spadać na podłogę.

- To nie twoja wina - wyszeptała jej matka do ucha.

- Co? - Abby odwróciła się gwałtownie. - Co nie jest moją winą? Mamo?

Matka objęła ją ramionami i przycisnęła do siebie tak, jakby chciała ją zmiąć.

Znowu rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Podłoga zapadła się pod nimi i obie runęły w czarną otchłość.

- To nie twoja wina - wyszeptała znowu Faith, kiedy spadały tak w ciemności, po prostu Abby była tego pewna - w czeluście piekielne.

- To nie twoja wina...

Abby otworzyła oczy i usiadła gwałtownie.

Była w łóżku. W swoim łóżku.

Obok leżała Hershey, na wpół przykryta kołdrą. Abby czuła, że całe jej ciało pokrywa pot, choć nad łóżkiem szmerła wentylator. Serce waliło jej jak młotem, z trudem chwytała oddech. Włoczyła lampkę nocną. Pies podniósł głowę i ziewnął. Światło lampy ukazało jej nieliczne, drewniane wezgielce, zamknięte okiennice i

szlafrok, na którym spał zwini ty w kł bek Ansel.

- O Bo e - szepn ła, opadaj c na poduszki. To był tylko koszmar sen.

Ten sam, co zawsze.

Ile kro była zdenerwowana, niła o matce i szpitalu. Jak zawsze po przebudzeniu prze egnała si odruchowo i wzi ła kilka gł bokich oddechów. Serce noweli wróciło do normalnego rytmu, upiorna wizja zaczę ła bledn c, cho Abby wiedziała, e koszmar b dzie czaił si w jej pod wiadomo ci, by kiedy znowu powróci .

Wszystko to wina tego przekł tego Montoi, pomy łała ze zło ci . Gdyby nie zaczę ł mówi o matce i o szpitalu... gdyby nie był taki przystojny...

Oj, niedobrze z tob , Abby, skarciła si w duchu. Nie mo esz mu mie za zło tego, e wykonuje swoj prac ... ani tego, e jest atrakcyjny.

- Cholera! - Odrzuciła kołdr i spojrzała na budzik. Czwarta pi tna cie. Troch za wcze nie, by wstawa .

Zamykaj drzwi na klucz. Wł cz alarm, je li go masz. Je li nie masz, wezwij firm , która go zainstaluje. Jak najszybciej.

- Nie mam alarmu - mrukn ła pod nosem.

Ci gle zdenerwowana wyszła z łó ka i przeszła boso po domu, sprawdzaj c, czy wszystkie drzwi i okna s dobrze zamkni te. Hershey szła za ni krok w krok, stukaj c pazurami po deskach podłogi.

Mo e Montoya ma troch racji. W ko cu jej bezpiecze stwo zale y od przyjaznego labradora, który nie potrafiłby skrzywdzi nawet muchy, i rewolweru, z którego nigdy nie strzelała.

- Nie masz szans, Abby - zadrwiła.

Po poprzednim wła cicielu zostały nalepki na szybach, informuj ce, e dom jest chroniony przez system alarmowy poł czony z biurem szeryfa, w czym nie było słowa prawdy. Gdyby kto si tu włamał, mogła liczy tylko na siebie.

- We si w gar - próbowała si pocieszy i poszła do kuchni, wzi ła szklank i odkr ciła kurek. Patrz c przez okno, przyło yła szklank do rozpalonego czoła, a potem upiła łyk wody. W oknie nad zlewem zobaczyła blade odbicie swojej twarzy na tle ciemnego lasu, w którym mo e teraz kto si krył i j obserwował.

A któ mógłby to by , Abby?

Czy to przypadkiem nie paranoja?

Taka jak choroba Faith?

- Nie! - Abby ze zło ci wylała resztk wody do zlewu.

Ci gle była zdenerwowana i wiedziała, e nie za nie. Postanowiła pój do ciemni, obejrze odbitki zdj , które niedawno zrobiła.

A głównie po to, by udowodni sobie, e si nie boi. Włó yła d insy i bluz z długimi r kawami, wzi ła klucze, zagwizdała na psa i wyszła. Na zewn trz kumkały aby i grały cykady. Ksi yc wła nie skrył si za chmurami. Zamkn ła za sob drzwi, zostawiła Hershey na stra y i po chwili była ju w swoim małym studiu.

Ciemnia była po prostu niewielk komórka , do której podł czono wod . Na półkach pi trzyły si wiatłoczule papiery, stały butelki z chemikaliami, szczypce i kuwety.

Ostatnio wywoływała niewiele zdj , cz ciej zlecała to laboratorium przy Jackson Square. Realizuj c zlecenia, u ywała głównie aparatu cyfrowego i komputera. Ale nadal lubiła sama wywoływa czarno-białe zdj cia robione na własny u ytek.

Była to miła, uspokajaj ca czynno . A Abby ostatnio potrzebowała spokoju.

Kilka dni wcze niej wywołała negatyw znaleziony w aparacie małoobrazkowym, kt

po rozwodzie. Była ciekawa, co znajduje się na filmie, wykorzystwała więc pozostałe klatki na zdjęcia Ansela, a później wywołała negatyw, zrobiła stykówkę i zostawiła ją do wyschnięcia.

Miała zamiar wrócić do niej później, ale przeszkodził jej w tym detektyw Montoya, który przyjechał, by poinformować ją o śmierci Nicka. Zupełnie zapomniała o stykówce. Przypomniała sobie o niej teraz, czuła jednak, że to tylko wymówka. W głębi serca bała się, że jeśli za nie wróci koszmary.

- Tchoń - mruknęła pod nosem i zabrała się do pracy.

Zdjęła stykówkę ze sznurka i położyła ją na biurku, włączyła lampę, wyjęła szkło powiększające z szuflady i zaczęła uważnie oglądać małe, czarno-białe obrazki. Uśmiechnęła się do siebie na widok Ansela: pójź tego, połuj tego, kryj tego pod kanapę. Sprawdziła ostro i naświetlenie.

Nagle jedno ze zdjęć przykuło jej uwagę.

- O Boże - powiedziała bez tchu i omal nie upuściła lupy.

Ze zdjęciem patrzyła na niego, twarz jej nie wyrażała cęgo męca.

Uśmiechał się zabójczo, pokazując białe zęby i dołeczki w policzkach.

Cofnęła się odruchowo, jakby oczekiwała, że Nick nagle powstanie ze zdjęcia i stanie przed nią.

Zapomniała, że zrobiła ten portret, zanim postanowiła użyć aparatu cyfrowego. Nick potrzebował nowych zdjęć, a ona zgodziła się je wykonać.

Kiedy to wzięła ciwie było? Dwa lata temu? Półtora roku? Teraz nie miało to już znaczenia.

- Zapomnij o nim - powiedziała i przekreśliła zdjęcie.

Resztę powiększy później. Na dziś miała już dozwrać.

Zamknęła studio i ruszyła w stronę domu. Było bardzo ciemno, jeszcze nie zaczęła witać. Pod drzwiami leżała Hershey, opierając łeb na przednich łapach. Weszły do domu.

- Chodź. Zobaczymy, czy uda nam się jeszcze złapać trochę snu - powiedziała Abby i spojrzała na zegar stojący na kominku. Po piętej. Jęknęła. O dziewiętej była umówiona w studiu w mieście, gdzie musiała wstać najpóźniej o wpół do ósmej. Ruszyła do sypialni, ale Hershey, która za nią szła, zatrzymała się nagle przed oszklonymi drzwiami.

- Chcesz wyjść?

Pies spojrzał na nią. Włosy na karku zjeżyły mu się powoli i zaczął głucho, gardłowo warknąć.

- Nie, nie rób mi tego - szepnęła, przypominając sobie ostrzeżenia Montoi. Czy na pewno zamknęła za sobą drzwi na klucz, kiedy wróciła do kuchni?

Wyłączyła światła, w domu było ciemno. Wyjrzała przez okno, ale tam była tylko nieprzenikniona ciemność.

- To tylko jakieś zwierzę - powiedziała, ale pies znowu zawarczał. Cicho. Ostrzegawczo.

- Daj spokój, Hershey, przez ciebie zacznę się bać.

Pomyślała o rewolwerze leżącym w szufladzie nocnej szafki, ale nie była pewna, czy byłaby w stanie go użyć.

Nie zapalając światła, podeszła do drzwi. Były zamknięte. A więc jest bezpieczna, prawda? Spojrzała przez szybę w stronę swojego studia i nagle dostrzegła jakiegoś człowieka w słabym świetle palącego się nad mniejszym budynkiem lampy.

Serce niemal stanęło jej w piersi.

Zmartwiła, spodziewając się, że zaraz zobaczy w oknie czyjąś twarz, ale nic się nie stało. Człowiek zniknął.

Weszła do gara, Abby.

Nikogo tu nie ma.

Nikogo.

Pies wydał kolejne, ostrzegawcze warknięcia i Abby ogarnęła nagle złe przeczucie.

Przecucie, e to, co zacz ło si mierci Nicka, jeszcze si nie sko czyło.

Rozdział 9

Pedro! - zawołała siostra Maria z u miechem, machaj c r k do siostrze ca.

Montoya czuł si zupełnie nie na miejscu w przedsionku budynku klasztoru. To, e został nazwany imieniem od bierzmowania, tylko pogł bił to uczucie.

- Tia Maria.

- Co za niespodzianka! - Ciotka obj ła go i serdecznie u cisa ła. Postarzała si od czasu, kiedy widział j po raz ostatni. Na twarzy przybyło jej zmarszczek, a na dłoniach br zowych plam, ale ciemne oczy były pełne siły i energii. - Chod , usi dziemy sobie w ogrodzie i opowiesz mi, co ci tu sprowadza. Chciałabym oczywi cie wierzy , e po prostu st sknię si za swoj star ciotk , ale czuj , e chodzi o co jeszcze - powiedziała i poklepała go po r ce, a pó niej poprowadziła w skim korytarzem na dziedziniec z fontann , pełen kwiatów w wielkich betonowych donicach.

Maria usiadła obok niego na kamiennej ławce pod niewielkim daszkiem. Teraz dostrzegł w niej znowu młod dziewczyn , któr kiedy była. Przera on nastolatka , która - co udało mu si wywnioskowa z rodzinnych szeptów - zaszła w ci przed dwudziestym rokiem ycia. To, kim był ojciec dziecka, pozostało jej tajemnic , której strzegła od blisko czterdziestu lat; Montoya nigdy nie dowiedział si , co stało si z dzieckiem. Maria nie wyszła za m . Zamiast tego wst piła do zakonu, szukaj c w klasztorzym yciu ukojenia, spokoju i - jak s dził - przebaczenia.

Przez chwil rozmawiali o rodzinie i wspominali z rozbawieniem dzie , kiedy siostra Maria przyłapała go z jego pierwsz dziewczyn .

- Ale teraz jeste ju dorosły - powiedziała, przekrzywiaj c głow , by na niego spojrze . - Czy w ko cu wybaczyłe sobie to, co stało si z twoj ... przyjaciółk ?

- Nie przyjechałem tu, eby rozmawia o Marcie - odparł cicho.

- Nie? Wi c czemu tu przyszedłe , Pedro? Czy to ma jaki zwi zek z planami wyburzenia szpitala?

- Mario, na imi mam Reuben, a na drugie Diego. Nikt nie nazywa mnie Pedro.

- Poza mn - odparła z u miechem. - I nie mam zamiaru tego zmienia . To dobre imi . Pedro - Piotr - to mój ulubiony wi ty. A poza tym, wiesz, jak to jest ze starymi psami...

- My l , e mogłaby si nauczy kilku nowych sztuczek, gdyby tylko chciała.

- Mo e. - Roze miała si Maria. - Tylko, prosz , nie pro mnie do ta ca.

- Umowa stoi. - Montoya odpr ył si troch . Zawsze ogromnie lubił ciotk Mari i dobrze si czuł w jej towarzystwie.

Dotkn ła lekko jego kolana.

- Wi c o co chodzi? Co chcesz wiedzie ?

- Nie przyjechałem tu z powodu decyzji o wyburzeniu szpitala - powiedział - ale mam kilka pyta , które wła nie tego dotycz . Pracowała tam, prawda? - Spojrzał w stron szpitala. - Jakie dwadzie cia lat temu?

Kiwn ła głow i przez chwil patrzyła na pluskaj ce si w fontannie ptaki.

- Tak, miałam tam biuro. Dzieliałam je z pracownic socjaln .

- Z Virgini Simmons?

Odwróciła si do niego.

- Tak, była jedn z nich. Pó niej rzuciła t prac i wyszła za jednego z lekarzy. Chyba za doktora Hellera. - Skrzywiła si , jakby wspomnienie tego człowieka budziło przykre wspomnienia, a potem zmarszc

Wyszła za doktora LaBelle. - Nagle otworzyła oczy szeroko, ze zrozumieniem. - O Bo e! Ona jest matką Courtney Mary LaBelle, tej zamordowanej dziewczyny!

- Zgadza się .

Maria ze smutkiem pokręciła głowę .

- Słyszałam o tym... taka tragedia. To dlatego tu przyjechała . Prowadzisz dochodzenie w sprawie jej śmierci. Powiniene chyba porozmawiać z matką przełożoną , ona wie więcej o planach Mary. Nie zdawałam sobie sprawy... Ale jestem głupia... Słyszałam nazwisko, poznałam ją , ale nie przyszło mi do głowy, że to córka Virginii. Có ... coraz mniej pamiętam.

Nie zaskoczyło to Montoi. Słyszał od matki i jej sióstr, że Maria ma problemy z pamięcią . Przebiegiwano te - cho nikt nie powiedział tego głono - o chorobie Alzheimera czy innym rodzaju demencji.

Maria chrząknęła i dotknęła palcami krzyżka, wiszącego na jej piersi. Brama po drugiej stronie dziedzińca otworzyła się i wszedł przez nią wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, pchający przed sobą taczkę , na której leżały grabie i szczotka na kiju.

- Kto to? - spytał Montoya, przyglądając się mężczyźnie czy nie w ciemnych okularach i czapce bejsbolowej nasuniętej na oczy. Na szyi miał zawieszoną małą słuchawkę, połączoną cienkim kablem z odtwarzaczem kompaktowym czy iPodem, który trzymał w kieszeni.

- To Lawrence, ogrodnik - odparła Maria. Mężczyzna włożył słuchawkę do uszu i zaczął zmiatać zeschłymi liśćmi z dziedzińca. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć , że jest podejrzany?

- Jestem tylko zaskoczony, widzę tu mężczyznę .

Ciotka Maria zachichotała.

- Mężczyźni czasem się przydadzą . Jesteśmy wprawdzie niemal samowystarczalne, ale wiążesz nas nie jest już tak młoda jak kiedyś , a pewne prace lepiej wykona mężczyzna niż starsze się zakonnice. - Chwyliła jego rękę . - Czasami, Pedro... eee... Reuben... wydaje mi się , że wiat stał się zły. Potem przypominam sobie słowa Pana i to mnie uspokaja. Przywraca mi wiarę w ludzi. Tobie pewnie trudno jest wierzyć w ludzi... z powodu twojej pracy.

- Mylisz, że to jest powód?

Maria ucisnęła mu dłoń .

- Sprawiasz wrażenie kogoś , komu bardzo przydałoby się trochę wiary.

- Chyba tak - odparł i pomyślał, że przydałoby mu się jej więcej niż trochę . - Wróćmy jednak do tego, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu. Pamiętasz pacjentkę , która nazywała się Faith Chastain?

Maria zmarszczyła brwi i zacisnęła palce, jej twarz jakby zapadła się w siebie.

- Kilka dni temu minęła dwudziesta rocznica jej śmierci - powiedziała z zaskakującą przytomnością umysłu. - Nigdy tego nie zapomnę . Ja pierwsza się przy niej znalazłam. Wychodziłam właśnie z budynku, kiedy usłyszałam brzęk szkła... a potem ten krzyk. Ten straszny, rozdzierający krzyk przerażenia. - Maria urwała i przyłożyła dłoń do szyi. - Rodzina Faith właśnie przyjechała. Wsiadali z samochodu... jedna z dziewczynek była już w budynku, chyba weszła nawet na schody, tak, wydaje mi się , że mijaliśmy ją na podjeździe. Druga córka i mąż Faith byli jeszcze na zewnątrz, chyba mieli ze sobą prezent... chociaż to było tak dawno temu... - Oczy Marii zaszyły mgłą , spojrzała niewidzącym wzrokiem na ogrodnika. - To było straszne - powiedziała cicho. - Wyszłam i zobaczyłam ją ... leżała cała połamana i powykręcana na podjeździe. - Przebiegła się szybko. - Była tam ta dziewczynka i mąż ... Jacques. To było okropne, okropne. - Wzdrygnęła się i zamrugała, chcąc powstrzymać łzy. - Jedna z córek miała prezent. Tego dnia były urodziny Faith. Dziwne, przyjął wiat i opuchnęło tego samego dnia roku. - Zmarszczyła brwi. - '

córek, tej młodszej, tak mi się wydaje, ale nie jestem pewna.

- Co mo esz mi powiedzie o Faith? - spytał Montoya.

- O jej stanie? Obawiam się, że niewiele. Dane dotyczą całej pacjenta s poufne.

- Wiem, ale ona nie żyje, *tia*. Od dawna.

- Tak czy inaczej nie mogli ci udzielić żadnych informacji.

- Mogli dostać nakaz sądowy.

- A jeśli i wtedy nic nie powiem, polesz mnie do wizji? - Maria wstała, podeszła do wiszącego na ganku kosza i zaczęła obrywać zeschłe kwiaty.

- *Tia* Maria, proszę - powiedział, starając się, by nie zabrzmiało to rozpaczliwie. - Pomóż mi, próbuj schwytać mordercę Courtney.

- Pytaj mnie o Faith Chastain? - Wyraziła mu nie wierzyla.

- Wszystko, co powiesz, zostanie mi dżymami.

- Jest prawo, które chroni pacjentów i lekarzy - odparła cicho i wróciła na ławkę, krusząc suche płatki w palcach. Westchnęła. - Nie jest chyba tajemnicą, że Faith kilka razy wracała do szpitala. Różni lekarze stawiali różne diagnozy. Oczywiście w tamtych czasach nie wiedziiano o chorobach psychicznych tyle, co teraz. - Otrzepta rękę z pyłu. - Mogli ci powiedzieć, jakie jest moje zdanie: Faith Chastain była bardzo nieszczyliw kobietą. Nie jest to medyczna diagnoza, ale to prawda. A choroba? Schizofrenia? Możliwe. Paranoja? Na pewno. Sprawiała wrażenie, jakby walczyła z jakimiś wewnętrznymi demonami. Próbowałam jej pomóc modlitwami i miałam nadzieję, że znajdzie w tym pocieszenie. I odnajdzie spokój w Bogu. Czy tak się stało? Tego nie wiem...

- Co się z nią stało? Dlaczego się zabiła?

- Nie wiem. W tym, by ktokolwiek to wiedział. To jedna z tajemnic tego szpitala. Ale Faith jest teraz z Bogiem. Demony już jej nie dręczą. Tylko to jest ważne.

- Ale Courtney LaBelle i Nick Gierman zostali zamordowani i to czy ich tylko jedno, fakt, że oboje mieli w rodzinie kogoś związanego z tym szpitalem.

- Nick Gierman? Ten z radia? On tu miał kogoś z rodziny? - Maria zmarszczyła brwi.

- Nie on, ale jego była ona, Abby Chastain. Młodsza córka Faith.

- Nie wiedziałam... Biedna dziewczyna. To, co widziała tego dnia...

- Teraz rozumiesz, dlaczego potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzała na niego i dotknęła jego policzka chłodną ręką.

- Doceniam to, co robisz. Wiem, że to ciężka praca. Czuję się stykasz się z najciemniejszą stroną życia. Ale nie wiem nic więcej, nic, co mogłoby ci pomóc. - Umiechnęła się. - Przykro mi, Pedro. - Spojrzała na zegarek i wstała. - Za kilka minut zaczynam dyżur w kuchni. Miło było znowu cię zobaczyć. Pozdrów ode mnie matkę.

- Dobrze.

- I weź to. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej różaniec z małych czerwonych jak krew paciorków.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. - Wsunęła mu różaniec w dłoń. - Używaj go, Pedro. Pamiętaj o tym, którego imię nosisz. Przejmij od niego trochę siły. Zdziwi cię moc Boga.

- Moc Boga? - powtórzył. - Zaraz, zaraz, mówisz jak jeden z tych odrodzonych kaznodziejów. Wiesz, który... jak on się nazywa? - Montoya zmarszczył brwi i pstryknął palcami. - Gregory Ray Furlough. To on cię głępowtarza: „niech moc Boga będzie z wami”.

Maria odwróciła wzrok.

- Naprawdę ?

- Tak się dzieje. Przeraża mnie, *tia*. Wolałbym, żeby nie była taka jak ci nawiedzeni telewizyjni kaznodzieje.

- To mało prawdopodobne - odparła, ale nie może miała się, jak tego oczekiwał, i kiedy opuszczali dziedziniec, jej twarz wydawała się zadowolona.

Montoya wyszedł z klasztoru na parking, a potem wyjechał przez bramę, ale zamiast w główną drogę skręcił w stronę podjazdu prowadzącego do szpitala. Zatrzymał się przed ogrodzeniem. Stara żelazna brama była zamknięta na łańcuch, wysiadł jednak z samochodu i podszedł bliżej, by spojrzeć na podopadający budynek za żelaznymi sztachetami.

To miejsce miałyby być czy ofiary?

Ten stary, rozpadający się szpital?

Próbował wyobrazić sobie Abby jako małą dziewczynkę, która przyjeżdżała tu w odwiedziny do matki, kobiety tracącej powoli kontakt z rzeczywistością, walczącej z „wewnętrznymi demonami”. A potem zaczął myśleć o własnej rodzinie: biednej, ale trzymającej się razem i na ogół szczęśliwej. I nagle mozolny awans społeczny i bariery, na które się w życiu natykał, wydały mu się małe i nieważne w porównaniu z chorobami psychicznymi matki. Matki, która zakochała się w ciebie, wyskakując przez okno na oczach córki. Co za wspaniałe wspomnienie z dzieciństwa.

Nikt nie zwracał uwagi na to, co było naprawdę istotne.

Policjanci zachowywali się jak szczury w labiryncie.

Dziennikarze zajęli się nowymi sprawami i choć w prasie pojawiały się czasem wzmianki o „tajemniczym morderstwie” Nicka Giermana i tej dziewczyny, nie były to już wiadomości z pierwszych stron gazet.

Nie, to nie było w porządku.

Czy nie rozumiesz, że to naprawdę ważne? że w końcu wybiła godzina zemsty?

Szedł szybko korytarzami starego szpitala, mijając drzwi sal, których dawnego przeznaczenia już nie pamiętał, i tych, o których wolałby zapomnieć, gdyby tylko mógł. Wszędzie unosił się zapach kurzu i stęchlizny, którym nasi kły niszczyły się farbami. Z sufitów spływała woda, ale nie zwracał na to uwagi.

Tu wykona swój pracę.

Tu będzie jego dom.

Tu robi to, co do niego należy.

Wszedł do jednego z pokoi bez okien, postawił lampę na podłodze i spojrzał na przedmioty, które cięgle wisały na ścianach i leżały na półkach. Dotknął palcem kaftana bezpieczeństwa, białego niegdyś, teraz szarego i zalatującego cegłą wilgoci. W kącie stała aparatura do elektrowstrzał; narzędzie tortur zakazane obecnie przez prawo, ale kiedyś nader często wykorzystywane. Podszedł do metalowej szafki na kółkach o blacie z nierdzewnej stali i płytkich szufladach. Wysunął jedną i spojrzał na leżące w środku narzędzia chirurgiczne, nadszarpane z czasem, ale ułożone starannie według kształtu i rozmiaru.

Przełknął ślinę. Pamiętał. O tak, pamiętał doskonale.

Dłonią w rękawiczce podniósł skalpel na wysokość oczu, tak by móc przejrzeć się w jego woskim ostrzu. Przez chwilę znowu mu się zdawało, że słyszy krzyki przywołanych do tej sali, gdzie nie obowiązywała etyka lekarska.

Widział ich wielu, otępiałych od bodźców uspokajających. Pamiętał wszystkich, tych, którzy przeżyli te nieludzkie praktyki, i tych, którym nie było dane przeżyć.

Włożył skalpel z powrotem do szuflady.

Nikt nie wiedział, że udało mu się przetrwać.

Nikt nie wiedział, że jeszcze żyje.

I nikogo to nie obchodziło.

Ale wkrótce bardzo ich to zainteresuje, pomyślał, czując jak ogarnia go przyjemne podniecenie.

O tak, już wkrótce.

Rozdział 10

Zmierzchało, kiedy Montoya wsiadł do samochodu, zawrócił i ruszył w drogę. Jechał w stronę Nowego Orleanu, kiedy zadzwoniła jego komórka.

- Montoya - powiedział i włączył wiatła.

Dzwoniła Bonita Washington z informacjami na temat postępowania w sprawie zabójstwa Giermana. Pod paznokciami Courtney LaBelle nie była niczyjego naskórka ani w ogóle niczego, z czego można by pobrać materiał DNA. Odciski palców zebrane na miejscu zbrodni nie pasowały do żadnych z systemu identyfikacji albo wiódca zabójca nie zostawił odcisków, albo nie było go w bazie danych. Znalaziono plecak Courtney LaBelle, pusty. Na nim także nie odkryto żadnych śladów. Autopsja nie przyniosła żadnych niespodzianek. Obie ofiary zginęły od pojedynczych strzałów oddanych z małej odległości. Obie były wcześniej skrapowane i zakneblowane, zapewne więc zostały porwane.

- Czyli - ciągnęła Bonita - poza śladami butów w rozmiarze dwanaście i jednym ciemnym włosem na sukni lubnej, nie mamy na czym się oprzeć.

- Zawsze to coś.

- No tak. Włos jest teraz w laboratorium, badamy DNA. Powiem ci, jak dostaniemy wyniki. Jeszcze coś - dodała. - Z sukni odczytasz wszystkie metki, ale wygląda na bardzo drogą. To importowany jedwab. Przy dekolcie i rękawach jest obszyta paciorkami. Założyła się, że to suknia jakiegoś znanego projektanta. Nie jestem wprawdzie ekspertem w tej dziedzinie, ale znam kogoś, kto nim jest. Może będzie wiedziała, kto ją zaprojektował i gdzie mogła być kupiona.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić naszego zabójcy na pokazie mody lubnej.

- Ja też nie. Najprawdopodobniej ją ukradł albo kupił w sklepie z używaną odzieżą czy przez Internet. Nie należała do Courtney. Pomijając już fakt, że dziewczyna chciała wstąpić do zakonu, suknia jest na nią zdecydowanie za duża. Courtney nosiła rozmiar cztery, najwyżej sześć. Była dość drobna. Ta suknia to ósemka, uszyta dla wyszej kobiety. Brzeg spódnicy jest przybrudzony tam, gdzie Courtney na niego nadeptnęła.

- Była boso. Panna młoda nosiłaby buty na obcasach.

- Ale chyba nie trzydziestocentymetrowych... Suknia wygląda tak, jakby została uszyta na zamówienie, ale nie dla Courtney ani nikogo o jej posturze.

- Musimy się dowiedzieć, dla kogo.

- Tak. Jak mówiłam, porozmawiam z kimś, kto się na tym zna. Jeśli dowiemy się, skąd pochodził materiał albo te paciorki, może trafimy na krawca. Niewiele to - przyznała - ale zawsze coś na początek.

- Tak, w tej chwili przyda się nam każda informacja. Dzięki.

Rozłączył się, przejechał kilka kilometrów i zadzwonił do Brinkmana.

- Tak?

- Wiemy już, kto ostatni widział tych ludzi, kiedy jeszcze żyli?

- Tak... zaraz, mam tu notatki. Zaczniemy od Mary, dobrze? Ostatnimi osobami, które widziały ją w tym wieczoru, są prawdopodobnie dwie dziewczyny, które szły do biblioteki mniej więcej w czasie, kiedy ona wyszła z akademika. Czyli koło dziesiątej trzydziści. Są pewne, że to była Mary. Jedną z

wykładzie Nicka Giermana. Widziały j w sportowym stroju, z plecakiem. Szła przez kampus.

- Jak zwykle.

- Przynajmniej według jej stukni tej współlokatorki.

Montoya zmienił pas i wł czył wycieraczki. Zacz ło pada .

- A Gierman?

- Nie zale li my dot d nikogo, kto widział go po wyj ciu z radia. Ale kto wyj ł jego poczt ze skrzynki i poło ył na blacie w kuchni jego mieszkania. Znalazłem j , kiedy przeszukiwali my mieszkanie, my l wi c, e wyszedł z radia, wrócił do domu, mo e co zjadł, autopsja wykazała, e miał w oł dku resztki lazanii, a ja odkryłem puste pudełko po mro onej lazanii w jego mieciach. Potem pewnie wyszedł na siłowni . Ale miał mało kasy i zatrzymał si przy bankomacie. Na pewno zaraz o to spytasz, powiem wi c od razu... widziałem kaset wideo z tego bankomatu. Wida go wyra nie, to na pewno Gierman. Był sam. Sprawdziłem nawet ludzi, którzy korzystali z bankomatu przed nim i po nim. Wszystko si zgadza.

- No i nic nie mamy?

- Niewiele.

- Dowiedzieli cie si czego na ulicach? Mo e kto co widział? Albo słyszał?

- Nie... tak przynajmniej twierdz nasi stali informatorzy. Facet, który to zrobił, trzyma j zyk za z bami. Facet albo babka.

- Zgadza si z Zaroster, tej zbrodni nie popełniła kobieta - powiedział Montoya, zirytowany faktem, e Brinkman ci gle ma na li cie podejrzanych Abby Chastain.

- Có , czas poka e.

Montoya wył czył telefon sfrustrowany. Przed nim wyrosła panorama Nowego Orleanu, wysokie budynki, które zdawały si si ga szarego nieba, ale on był my lami gdzie indziej. Przed oczami stan ła mu Abby, jej uwodzicielski u miech, inteligentne oczy, smukła, wysportowana sylwetka. Do diabła z t kobiet , naprawd go oczarowała. Pani Chastain, była ona Nicka Giermana, m ciła mu jasno my li.

Nie podobał mu si sposób, w jaki rozmawiał z ni Brinkman. Po raz pierwszy w yciu Montoy dra niły policyjna podejrzliwo i szorstki ton przesłuchania, co było zupełnie absurdalne. Ale có , nie był tak obiektywny, jak powinien.

Zjechał z autostrady, wjechał do miasta i skr cił w stron kipi cej yciem Dzielnicy Francuskiej. Ale cały czas my ła o Abby Chastain. Musiał przyzna , czy tego chciał czy nie, e go poci gała. Fizycznie, ale nie tylko. Czuł co takiego po raz pierwszy od czasu, kiedy Martha... Có , nie mógł wybra gorzej.

Miała i rodki, i sposobno . A motyw? Pół miliona dolarów to dobry powód. Podobnie jak fakt, e Gierman publicznie j o mieszył.

Jak jednak zdołałaby obmy li skomplikowany plan zabójstwa w tak krótkim czasie? Nie udałoby si jej nawet wynaj płatnego zabójcy. I po co miałyby zabija Courtney LaBelle? Nie, to niemo liwe.

Teoria Brinkmana nie trzyma si kupy i tyle.

- Do diabła z tym wszystkim - mrukn ł i stan ł na wiatłach, spogl daj c we wsteczne lusterko. - Musisz by obiektywny - powiedział do siebie surowo.

Kiedy wiatła si zmieniły, min ł dwie ostatnie przecznice i zatrzymał samochód na parkingu przed policyjnym budynkiem.

Kobiety zawsze były problemem.

Lubił je.

A one lubiły jego.

Po prostu.

Tak było do chwili, kiedy poznał Marth . Przez krótki czas nale ał tylko do niej.

Ale to ju przeszło , pomy lał, szybko pokonuj c schody. Wszedł do biura wydziału zabójstw i natychmiast natkn ł si na Brinkmana, który zmierzał wła nie do drzwi, pospiesznie wkładaj c marynark . Brinkman zatrzymał si , znalazł papierosa w jednej z kieszeni marynarki i wło ył go do ust.

- Wiesz nad czym si zastanawiam? - zagadn ł. - Dlaczego nikt w tej cholernej sprawie nie nosi własnego imienia? Courtney chce, eby nazywa j Mary, jej stukni ta kole anka to O... O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie mam poj cia.

- Zaraz, zaraz, nawet ty chciae kiedy , eby mówi na ciebie Diego, prawda? Kiedy si wybierae na kobitki?

Montoya doszedł do wniosku, e lepiej nie informowa Brinkmana o tym, e jego ciotka nazywa go Pedro. Wszystko było ju i tak wystarczaj co skomplikowane.

Brinkman ruszył w dół schodami, szukaj c w kieszeniach zapalniczki.

- Przy okazji - zawołał jeszcze przez rami - Bentz wrócił. Szukał ci . My l , e przejmie moj działk - dodał bez cienia alu. Chyba jednak nie lubił Montoi. Z wzajemno ci .

Brinkman zbiegł na dół, a Montoya podszedł do swojego biurka, sprawdził wiadomo ci, wydrukował raporty Bonity Washington i wpi ł je do segregatora. Potem wsadził segregator pod pach , wzi ł dwie fili anki z kaw z małej kuchni i poszedł do biura Bentza.

Bez pukania pchn ł uchylone drzwi ramieniem. Rick Bentz siedział przy biurku, na którym le ało mnóstwo papierów i stały fotografie jego ony i córki.

- *Hola, mi amiga* - powiedział z u miechem. Był pot nym m czyzna który walczył z nadwag , tłu c codziennie w worek treningowy. Sprawiał wra enie człowieka łagodnego usposobienia, ale bywał wybuchowy, zwłaszcza je li kto wszedł w drog jego córce, Kirsti, obecnie dwudziestopi cioletniej, albo Olivii, od kilku lat jego onie. - *Como es usted?*

- Chyba chciae powiedzie *amigo*. Jestem m czyzn . *Varon!* Rozumiesz? *Soy un hombre, para el motivo del Dios!* Przetłumaczy ? Jestem facetem, na lito bosk !

Bentz spojrział wymownie na kolczyk w uchu Montoi i u miechn ł si krzywo.

- Skoro tak mówisz...

- No dobra, nie zaczynaj znowu.

- To tylko tak, na przełamanie lodów, *hombre*. Wróciłem na stare mieci. - Upił łyk kawy i podniósł fili ank . - *Gracias*.

- A ja ju my lałem, e rozbił bank w Vegas. - Montoya tak e upił łyk kawy i oparł si o szafk z dokumentami, na której dogorywał kaktus w doniczce. - Byłem pewien, e wygrał maj tek w karty, wpadł tu tylko zabra swoje rzeczy i po egna si ze starymi kumplami.

- Wła nie tak było - za miał si Bentz. - Tyle e to była ruletka. Jestem teraz tak bogaty, e mógłbym kupi As Pomeroya i Gregory'ego Raya Furlougha razem wzi tych.

- A wi c zostałe nowym panem Trumpem...

- Jasne. - Bentz rozparł si na krze le, które zaskrzypiało ało nie.

- Wiesz, e Trump ma na imi Donald, prawda? My l , e tak ci b dziemy od dzi nazywa .

Bentz parskn ł miechem, a Montoya poczuł si lepiej ni kiedykolwiek, odk d zacz ła si ta historia z podwójnym morderstwem. Z Brinkmanem nie pracowało mu si tak dobrze; Bentz był intelig

Spokojniejszy. Równoważył impulsywno Montoi.

- A więc, Donaldzie - powiedział - przydałby mi się nowy komplet opon. Najlepiej ferrari, ale może by te porsche.

- Bądź o tym pamiętał - odparł Bentz. - Zbliży się Boże Narodzenie. - Sięgnął do szuflady, wyjął fiolkę ze rodkiem na nadkwasotę i położył jedną tabletkę, a potem pochylił się w stronę ekranu komputera, na którym widniały zdjęcia z miejsca zbrodni. - A teraz powiedz mi coś więcej o tej sprawie. Widziałem już raporty wstępne. Masz coś jeszcze?

Montoya podał mu segregator i opowiedział o swoich przypuszczeniach.

- Z jednej strony nie mamy podejrzanych, bo nie wpadliśmy na trop nikogo, kto chowałby urazę do Courtney LaBelle. Była dziewicą, zamierzała wstąpić do zakonu Naszej Pani od Cnót.

- Ale z drugiej strony - przerwał mu Bentz - ofiarą jest ten Nick Gierman, który miał mnóstwo wrogów, począwszy od mniejszości seksualnych, a na grupach religijnych kończąc, bo w swoich programach obrażał kogo się dało.

- Zgadza się.

- Narzędzie zbrodni?

- Rewolwer, który Courtney LaBelle dostała od swojego ojca. W kampusie nikt o nim nie wiedział. Sprawdziłem to dzisiaj. Nawet jej współlokatorka, niejaką O, nie miała o tym pojęcia.

- Cóż, kto jednak wiedział.

- Tak. - Montoya podrapał się po brodzie. - Wiesz, to dziwne. Dziewczyna nosi pierścionek na znak, że postanowiła poświęcić swoje dziewictwo Bogu, a ojciec daje jej rewolwer na wypadek, gdyby musiała się bronić. - Zmarszczył brwi. - Bóg i broń jako do siebie nie pasują.

- Myślisz się. Pomyśl o wyprawach krzyżowych albo o tym, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Religia i pieniądze to źródło wszystkich wojen.

- Został, jak widzisz, filozofem.

- Filozofem, który przypadkiem wygrał fortunę w ruletkę. - Bentz błysnął zębami w uśmiechu i sięgnął po okulary do czytania. Przez chwilę przyrzucał kartki raportów wpięte do segregatora. - Masz coś jeszcze?

Montoya powiedział mu wszystko, co wiedział na temat alibi osób, które były jako powiązane z ofiarami, i o braku śladów na miejscu zbrodni. Ciągłe trwały badania odcisków opon w pobliżu chaty, szukano też producenta butów, których ślady odkryto. To pozwoliłoby odnaleźć osoby, które kupiły takie buty w rozmiarze dwanaście w ciągu kilku ostatnich lat. - nudna procedura, ale konieczna.

Powiedział też Bentzowi o sukni lubnej i ciemnym włosie znalezionym na tkaninie.

- Włos jest teraz w laboratorium DNA. Miejmy nadzieję, że należał do kogoś, kto znał obie ofiary.

Bentz zmarszczył brwi. Obaj wiedzieli, że zajmie to mnóstwo czasu, obaj też nie wierzyli, że ofiary zostały wybrane przypadkowo. Morderstwo zbyt dobrze zaplanowano.

- Oto pytanie, kto mógł pragnąć śmierci Giermana i Courtney LaBelle - powiedział Bentz. Sięgnął znowu do szuflady, wyjął paczkę miętowej gumy do żucia i wyciągnął ją w stronę Montoi.

- Nie, dziękuję.

- Nadal nie palisz? - spytał Bentz, wkładając gumę do ust.

- Tak.

- I jak się czujesz?

- Wziewnie - warknął Montoya. Za nic nie przyznałby się przed Bentzem, że chwilami miał ochotę oddać pięć lat życia za jednego papierosa.

Bentz uniósł z niedowierzaniem brwi, ale nic nie powiedział.

- Przemy lmy to jeszcze raz. Ostatnimi osobami, które widziały Courtney LaBelle, były jakie dzieciaki, które wchodziły do biblioteki, kiedy ona z niej wychodziła, tak?

- Na to wygl da.

- A ostatni osob , która widziała Nicka Giermana, był Maury Taylor z radiostacji.

Montoya pokiwał głow .

- Czyli e Gierman został najprawdopodobniej porwany koło szóstej czterdzie ci, a dziewczyna trzy godziny pó niej.

- W Baton Rouge. Półtorej godziny drogi dalej. Co ten go zrobił w tym czasie z Giermanem? Zamkn ł go w baga niku?

- Chata stoi niedaleko zachodniego brzegu jeziora Pontchartrain.

- Trzydzie ci kilometrów od autostrady numer 10.

- Gdzie ten facet mieszka? - zastanawiał si gło no Bentz. - I sk d wiedział o tej pustej chacie?

- Nie ma adnych powi za mi dzy wła cicielami chaty a ofiarami. To zostało ju sprawdzone. - Montoya dopił kaw , skrzywił si i wylał resztki do donicy z pół yw ro lin .

- Jedyne, co ł czy ofiary, to wykład Giermana, na którym była Courtney, i fakt, e matka byłej ony Giermana była pacjentk w szpitalu, w którym pracowali rodzice Courtney, a ona sama miała zamiar wst pi tam do klasztoru.

- Słabe powi zanie - przyznał Montoya.

- Prawie adne.

- My lisz, e to zbieg okoliczno ci?

Bentz odchylił si na oparcie krzesła, które znowu zaskrzybiało, i przez chwil w zamy leniu uł gum .

- Znasz moje zdanie na temat zbiegów okoliczno ci - powiedział.

- Tak. Nie wierzysz w nie tak samo jak Brinkman. - Montoya spojrział na monitor. Nagie ciało Giermana, przykryte cz ciowo ciałem dziewczyny w skrwawionej lubnej sukni. Tak, zostali upozowani. To było przesłanie. Od kogo o chorym umy le.

- Zgadzasz si z tym?

- Owszem.

Bentz potarł kark dłoni i zmarszczył brwi.

- Kto , kto robi co takiego, chce zwróci na siebie uwag .

Montoya wiedział ju , do czego zmierza partner.

- My lisz, e robi to znowu?

Starszy policjant podniósł na niego oczy.

- Mam nadziej , e nie.

Rozdział 11

Chc przyjecha na pogrzeb - upierała si Gina po drugiej stronie kontynentu. - Kiedy b dzie?

- Nie wiem. - Abby rozmawiała przez komórki , prowadz c samochód, i nie czuła si w tej sytuacji najlepiej. Miała słab podzielno uwagi.

Padał deszcz, niebo było ciemne, cho zbli ało si południe, jechała wi c powoli. Ci arówki, rozbryzguj c wod pot nymi oponami, mijają j , jakby stała w miejscu.

- Słuchaj, jestem teraz w samochodzie. Zadzwoń do ciebie pó niej, dobrze?

- Ja te jestem teraz w samochodzie i co z tego?

- Nie umiem si koncentrowa jednocze nie na rozmowie i prowadzeniu samochodu.

- Daj spokój. To łatwe.

- Jasne - mruknęła Abby sarkastycznie. Musiała przyhamować, bo nagle wpełznąła przed nią srebrna toyota.

- Idź do diabła!

- Ja?

- Nie. Nie tym razem.

- Dzięki Bogu. To kiedy zadzwonisz?

- Jak tylko dojadę. Obiecuję.

- A co będziesz robić? Masz sesję?

- Tak - odparła Abby. Właściwie ciwie nie było to kłamstwo. W każdym razie nie dlatego kłamstwo. Gina dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała, że Abby jest w drodze do Szpitala Naszej Pani od Cnót, by raz na zawsze skończyć z przeszłością. Poprzedniego dnia spędziła kilka godzin z klientami i pokazywała dom zainteresowanym osobom; później przebiegła pięć kilometrów i wróciła do domu wykończona. Zjadła obiad z mikrofalówki, wzięła kąpiel, wypła trochę wina i poszła do łóżka. Spała mocno, tej nocy nie miała żadnych koszmary. Wstała zaskakująco wypoczęta i postanowiła wziąć się za swoje życie. Tak, po pierwsze, musi pojechać do szpitala. Już czas. Najwyższy czas. Ale Gina by tego nie zrozumiała.

- W porządku, daj mi tylko znać, kiedy jest pogrzeb Nicka.

- Gina...

- Posłuchaj, będziesz potrzebować wsparcia. A na rodzinę Nicka raczej nie licz. Nie są specjalnie uczuciowi, prawda? Abby nie mogła powstrzymać się od miechu.

- W porządku, dam ci znać, kiedy się czego dowiem.

- Abby?

- Co? - spytała, spoglądając we wsteczne lusterko. Jakiś samochód omal nie wjechał jej w tylny zderzak.

- Wszystko w porządku?

- Co? A tak, w najlepszym.

- Mówi powaźnie. Wiem, że ci coś i...

- Muszę zobaczyć, zbliżam się do zjazdu - przerwała Abby zirytowana. Rozłączyła się, zanim Gina zdążyła zadać kolejne pytanie. Miała już do swojej nadopiecznej, w cibskiej starszej siostry. Nie rozmawiały ze sobą od wielu miesięcy, a teraz nagle Gina dzwoniła niemal codziennie. Jakby drczyła jakąś niezdrową fascynację miernicą Nicka albo chciała być w centrum wydarzeń.

A może naprawdę się martwi.

- Akurat - mruknęła pod nosem i wyłączyła telefon.

Droga do szpitala znała na pamięć. Krajobraz zmienił się trochę, tam gdzie kiedyś były tylko zielone pola i pastwiska pełne pasącego się bydła, teraz stały nowe domy z ogrodami. Minęła je i okolica coraz bardziej przypominała tę zapamiątana z dzieciństwa. Serce Abby przyspieszyło; zacisnęła palce na kierownicy. Kilka razy miała ochotę zawrócić.

Kiedy życie staje się twarde...

- Tak, wiem, tato - mruknęła, starając się opanować strach.

Zagryzła wargi.

Dasz radę.

Ostatni zakręt. Wjechała w wąską aleję, przy której stała stara, zniszczona Mica z napisem **NASZA PANI OD CNÓT.**

ZAŁ. 1843

Zacisnęła palce na kierownicy z taką siłą, że aż zbieleły ich kostki. Teren należał już

bujnych, pięknych ogrodów, lasów i zabudowa, marzenie wielu okolicznych deweloperów. Abby skręciła w prywatną drogę i wkrótce znalazła się pod bramą szpitala. Brama była oczywiście zamknięta na łańcuch, a na ogrodzeniu wisiała tabliczka z napisem **WSTĘP WZBRONIONY**

Spodziewała się tego i miała pewien plan. Nie zrezygnuje, mowy nie ma. Wyjęła aparat fotograficzny z torby, przypięła do niego pasek i wysiadła z samochodu. Zaskoczył ją smutek, który poczuła nagle na widok podupadającego budynku. Stary szpital przetrwał wojnę secesyjną i dwie wiatowe, a teraz chylił się ku upadkowi.

Wszystko ma swój czas.

Wszystko i wszystkich czeka cierpliwie.

Otrzymała się z nostalgii, wsunęła obiektyw aparatu między sztachety i zrobiła kilka zdjęć budynku w nienajlepszym świetle. Tak, czas tego szpitala dobiegał końca. Patrzyła na rozsypujące się kostnice, kruszące się cegły i zabite deskami okna. Ściany pokrywały plamy czarnej farby, które zamalowano kolorowe, widoczne jeszcze gdzieś graffiti. Ktoś, zapewne zakonnice, chciały ukryć profanujące to miejsce napisy.

Dobry Boże, co się z nią dzieje? Przecież nienawidziła tego miejsca. Skąd ten ból? Powinna raczej zatańczyć na tym grobie smutnej przeszłości.

Moje jest jednak bardziej zaburzona, niżśdziała.

- Przestań - skarciła się natychmiast. - Do niczego to nie prowadzi.

Spróbowała otworzyć bramę, ale bez skutku, łańcuch trzymał mocno. Można się było tego spodziewać. Widziała z daleka miejsce, w którym zginęła matka. Teraz mogłaby już odejść. Ale czuła, że nie może tego zrobić. Obiecała sobie, że będzie to jej ostatnia wizyta w szpitalu. Jeśli dziś nie uda się jej rozprawić z duchami przeszłości, zostaną z nią na zawsze.

Przygnębiająca myśli.

Wróciła do samochodu, ale nie skręciła na drogę, lecz w stronę klasztoru. Minęła bramy i wjechała na położony dalej parking, z którego korzystali niegdyś pracownicy szpitala. Odkryła go jako dziecko, kiedy wraz z Gino krążyła wokół klasztoru. Wtedy te natknięty się na cieki między szpitalem i klasztorem. Często biegały między ścieżkami, goniąc motyle wśród drzew.

Teraz niebo było szare, zasnuwane chmurami. Znowu zanosило się na deszcz. Abby wzięła aparat i wysiadła z samochodu. Było ciepło i bardzo cicho, słyszała tylko wierszce grające w trawach i pieśń ptaków. Zza grubych klasztornych murów nie dobiegał śpiew ani szmer modlitw czy rozmów. Wietnie. Nie chciała, by przyłapała ją któraś z zakonnicek.

Zamknęła samochód i podeszła do garaży, w których przechowywano kosiarki i inne narzędzia ogrodnicze. Przed ogrodzeniem rosł rzęd pięknych krzewów, a samo ogrodzenie było wysokie i wygięte u góry do wewnątrz, w stronę szpitala, tak by nikt nie mógł się przez nie wydostać. Abby wiedziała jednak, że było to możliwe, choć wymagało zwinności.

W wieku dziesięciu lat była dostatecznie zwinna.

Teraz jednak było to prawdziwe wyzwanie. Minęło prawie dwadzieścia lat i Abby przybyło znacznie na wadze. Przypomniała sobie jednak, że kiedyś w ogrodzeniu znajdowała się furtka, z której korzystały zakonnice i personel szpitala. Ruszyła powoli wzdłuż ogrodzenia i po chwili znalazła ją, zasłoniętą ciową przez splecione gałęzie dziko rosnących teraz krzewów. Wsunęła dłoń między wilgotne liście, pchnęła furtkę i ze zdumieniem odkryła, że nie jest zamknięta.

Dlaczego?

Zawahała się. Zbyt łatwo jej poszło. Co było nie tak. Po co zamykała ją c

ostrzegawcze tablice, je li wystarczy przejdź par kroków, by swobodnie przedostać się na teren szpitala? To bez sensu... chyba że zakonnice nadal tu przychodzą. Może liwe te, a kto cię gdzie dogłąda starego budynku... Tak, na pewno o to chodzi.

Ale w takim razie, dlaczego nikt nie strzył żywopłotu? Czemu ciebie nie było z nią? Aby się uspokoić, zrobiła kilka zdjęć i ruszyła przed siebie, brodząc w wysokiej trawie pod drzewami. Pamiętała, jak biegła tu między pniami sosny i dębów. Gina często chowała się w gałęziach starej wierzby, czasem powietrze tak pięknie pachniało kwiatami magnolii i jaśminu. Często rozmyślała wtedy o matce i udawała sama przed sobą, że matki jej koleżanki cierpi na straszliwe bóle głowy, całymi dniami leżała w łóżkach, a nocami w drodze do domu. Jak Faith Chastain.

Abby pamiętała te długie noce, kiedy leżała w łóżku obok mocno śpiącej siostry i słuchała. Gina nie miała pojęcia, co robi nocami ich matka.

Ale Abby wiedziała.

Obserwowała światło pojawiające się na korytarzu i cicho przesuwając się pod drzwiami. Czowała zapach dymu papierosa, którego matka niemal zawsze trzymała w ustach.

Stało się to jednej z tych nocy, kiedy Jacques wyjechał z miasta w sprawach służbowych i nie było go w domu. Abby miała mniej więcej dziesięć lat. Nie spała. Leżała w łóżku, słuchając śpiewu cykad za oknem, kiedy dostrzegła cicho przesuwając się pod drzwiami jej pokoju. I poczuła... poczuła, że dzieje się coś dziwnego. Nagle usłyszała dźwięk lejki do wanny wody. I cichy trzask zamykanych drzwi do łazienki. A później zgrzyt przekręcanego zamka.

Zaskoczyło ją, że matka bierze kąpiel o trzeciej nad ranem, ale leżała bez ruchu i słuchała szumu wody, która lała się i lała, bez końca.

W końcu nie mogła wytrzymać ani sekundy dłużej, wyskoczyła z łóżka, weszła na korytarz. Spod drzwi łazienki wypływała woda, zabarwiona jak dziwne, czerwone cięcie...

Później zawsze była przekonana, że Faith trafiła po raz pierwszy do szpitala przez nią... a gdyby była odważniejsza, gdyby wczepiła się do drzwi łazienki... życie matki potoczyłoby się inaczej.

Wybaczam ci... Usłyszała słowa matki ze swojego snu. Przebaczam ci...

Na ziemi spadły pierwsze krople deszczu. Abby zatrzymała się i spojrzała na tylny dziedzińiec szpitala. Podniosła aparat i zrobiła kilka zdjęć starego budynku z szerokiej werandy, na której stał teraz tylko jeden zardzewiały leżak.

Gdzieś w górze rozległ się przecięty metaliczny zgrzyt. Podniosła głowę i zobaczyła odpadające od ciany rynny, wygięte nieco przez wiatr. Wystający ze ciany maskaron patrzył w dół wielkimi, wyłupiastymi oczami.

Okrężyła budynek i znalazła się pod oknem na drugim piętrze, z którego wiele lat temu wypadła Faith. Nowa szyba wprawiona po wypadku dotrwała aż do tej pory. Abby skierowała obiektyw na okno i cofnęła się trochę, by uchwycić w kadrze cały budynek i fontannę. W szarym, ponurym świetle wydało jej się nagle, że dostrzega jak postać w oknie pokoju, który niegdyś zajmowała matka. Spojrzała uważnie na szyby, ale nikogo za nimi nie było.

Podeszła bliżej i stanęła dokładnie w tym miejscu, gdzie ciało Faith uderzyło o beton.

- Mamo... - szepnęła.

Poczuła, że coś ciska jej w gardło. Na wspomnienie tamtej chwili zrobiło jej się słabo. Ten straszny krzyk, trzask łamanych kości, krew... Przebiegła się i oderwała wzrok od miejsca, w którym Faith Chastain zakończyła życie. Nie ma sensu stać tu w deszczu i przeżywać tragedię jeszcze raz. Odwróciła się, weszła na schody prowadzące do głównego wejścia i stanęła przed drzwiami. Naciśnięta klamka, a potem pchnięta drzwiami ramieniem.

Zamknij te.

Oczywiście.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej, zaczęła się prawdziwa ulewa. Abby ruszyła przed siebie wzdłuż budynku w nadziei, że uda jej się znaleźć wejście. Ale wszystkie drzwi były zamknięte: oszklone drzwi werandy, drzwi kuchenne i drzwi na korytarzyk po ławach.

Doszła do wniosku, że los jej nie sprzyja i już miała się poddać, kiedy zauważyła okno na parterze. Szyba była cała, ale ktoś najwyraźniej zapomniał przekręcić klamkę. Podeszła i spróbowała podnieść okno do góry. Usta piły. Przerzuciła aparat na plecy, wsunęła w szparę obie dłonie i wytężyła wszystkie siły. Okno ani drgnęło.

- No, dalej - mruknęła pod nosem, zastanawiając się, ile właśnie pogwałcił przepisów i jak wytłumaczyłaby się z tego, co tu robi, detektywowi Montoi; gdyby zaszła taka potrzeba. To nie była przyjemna myśl. Zaczęła tchu i spróbowała jeszcze raz, zaciskając zęby i napinając mięśnie aż do bólu. Okno podjechało do góry tak gwałtownie, że Abby straciła równowagę i niemal się przewróciła. Poczowała zapach stęchłego powietrza z wnętrza szpitala. Zawahała się, ale zaraz zdjęła aparat z ramienia i opuszczyła delikatnie na podłogę. Potem sama podciągnęła się na rękach, wspięła na parapet i po chwili wylądowała na pokrytej kurzem posadzce dawnej jadalni, pustej teraz i ciemnej. Przeszła do kuchni. Tam tak było ciemno i brudno. Piec pokrywała gruba warstwa pociemniałego tłuszczu. Spróbowała otworzyć drzwi do piwnicy, ale z ulgą odkryła, że były zamknięte na klucz. Z kuchni przeszła do holu, gdzie u stóp schodów stał kiedyś wielki stary zegar. Teraz jednak miejsce to było puste, podobnie jak korytarz, za którym mieściła się recepcja. Rzeczne drzwi prowadziły do pomieszczenia biurowych wyglądem jak wejście do zapomnianych grobowców.

Cały budynek sprawiał przygnębiające wrażenie i na razie nic nie zapowiadało katharsis, którego tu szukała.

Ale nie weszła jeszcze do jej pokoju, prawda?

A po to tu przyjechała.

Musisz zobaczyć pokój, w którym mieszkała, pokój, w którym spędzała bezsenne noce... pokój, z którego okna...

- Do diabła - mruknęła i zaczęła wchodzić na schody.

Zatrzymała się na pierwszym piętrem i spojrzała w górę korytarza. Drzwi do wszystkich pokoi wisiały otwarte na starych, zardzewiałych zawiasach.

Chwyliła poręcz i ruszyła na drugie piętro, ale nagle stanęła bez ruchu. Usłyszała jakiś dźwięk... Kroki? Piętro niżej? A może wyżej? Czekając, wstrzymała oddech. Ale usłyszała tylko krople deszczu uderzające w dach i szum wody w rynnach. Poza tym panowała cisza, przerywana tylko skrzypieniem schodów, na których stała.

Wesła na górę, upomniała się w duchu surowo. Odwróciła się, weszła na drugie piętro i zmartwiła. Tu wszystkie drzwi były zamknięte.

- Jakże to dziwne... - szepnęła.

Wzięła wdech i nie wzięła ze sobą latarki, którą miała w samochodzie, w schowku na rękawiczki. Ruszyła korytarzem i podeszła do drzwi pokoju Faith. Cyfry widać na numerze 307 były nietknięte. Dopiero kiedy spojrzała na drzwi pokoju obok, wydało jej się to dziwne. Na tych drzwiach w ogóle nie było numeru, a naprzeciwko brakowało zera, jakby pokój miał numer 36, z dwudziestą przerwą między cyframi.

Znow wzięła głęboki oddech, sięgnęła do gałki i spróbowała ją przekręcić.

Gałka ani drgnęła.

Spróbowała jeszcze raz. Może drzwi się zacięły, prawdopodobnie nikt od lat nie wchodził do tego pokoju. Zaciśnięła palce na gałce i jeszcze raz spróbowała ją przekręcić. Nic z tego. Drzwi były zamknięte na klucz.

wietnie.

Uznała, że w pokojach na tym piętrem zmagazynowano jakieś przedmioty, być może cenne, i dlatego są pozamykane. Zapewne osoba, która tu sprząta, ma...

Znowu usłyszała cichy szmer i serce zabiło jej mocniej. Czy ktoś schodzi po schodach? Dr c, przyłgn ła do drzwi pokoju obok.

Drzwi ust piły pod jej ci ąrem. Abby krzykn ła cicho i wpadła do pustego pokoju. Wyt ła słuch, ale nie usłyszała nic poza gwałtownym biciem własnego serca.

A mo e jednak...?

Oblizwała wargi.

Czy to nie zgrzyt klucza w zamku?

Poczuła, jak włosy jej się na głowie z przera enia.

To tylko nerwy, Abby. Nic więcej. Wpadasz w paranoję .

Tak jak ona!

We się w gar ę i skończ z tym! Ale już !

Wyszła na korytarz i podeszła do drzwi pokoju matki. Chwyła gałkę i z całej siły naparła na drzwi.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Podeszła do innego pokoju i przekr ciła gałkę . Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby zostały wie o naoliwione, choć w środku było zupełnie pusto. Odwróciła się i przekr ciła gałkę drzwi naprzeciw. Te także otworzyła bez wysiłku. Podobnie jak następne.

Ale pokój numer 307 był zamknięty na klucz. Jedyne na tym pi ątrze. Pokój jej matki.

Kroki!

Tak, tym razem słyszała jej wyra nie. Kto wchodził po schodach. Wstrzymała oddech i w panice rozejrzała się dookoła, a potem szybko w liźnęła się do pokoju naprzeciwko.

Kto to może być ?

Czy j ę ledził? A może ma własne powody, by przychodzić do tego starego szpitala? Ale jakie? Budynek sprawiał wrażenie, jakby od wielu lat nikt do niego nie wchodził. Oddychała płytko w nadziei, że ten, kto wchodził po schodach, jej nie usłyszy, nie odkryje jej kryjówki. Kroki odbijały się echem od cian korytarza. Były coraz bliżej.

O Bo e.

Abby zamkn ła oczy.

Słodki Jezu!

Kroki ucichły nagle.

Abby otworzyła oczy i omal nie krzykn ła.

W cieniu korytarza stała jakaś ciemna postać .

Rozdział 12

Cofnęła się gwałtownie.

- Ty jesteś dziewczynką, prawda? - spytał łagodny głos. - Córk Faith.

Postać wyszła z cienia i Abby omal się nie przewróciła na widok twarzy starej zakonnicy, która wydała jej się znajoma.

- Tak...

- Co tu robisz?

Sama chciałabym wiedzieć, pomyślała Abby.

- Mój... mój psychiatra powiedział mi, że powinnam tu wrócić. Wie siostra... żeby rozwi za pewne sprawy z przeszłości.

- Poradził ci te , eby si tu włamała?

Abby zrobiło si gor co.

- Nie, to był mój pomysł.

- Powinna poprosi o pozwolenie.

- A dostałabym je?

Zakonnica u miechn ła si i pokr ciła głow .

- Prawdopodobnie nie. A tak przy okazji, jestem siostra Maria.

Siostra Maria. Oczywi cie. Abby spojrzła na star zakonnice , usiłuj c wyobrazi sobie, jak wygl dała dwadzie cia lat temu, kiedy była młodsza, silniejsza, miała gładsz skór ...

- Wydawało mi si , e kto tu wchodził, i przyszłam - ci gn ła siostra Maria. - Nie jestem ju tak szybka jak kiedy , zaj ło mi to troch czasu. - Przekrzywiła głow . - Có , Faith, znalazła tu to, czego szukała ?

- Mam na imi Abby. Faith była moj matk .

- No tak, oczywi cie.

- Dlaczego drzwi do pokoju mamy s zamkni te? - spytała Abby.

- Zamkni te? - powtórzyła zakonnica. - Nie s dz . Po likwidacji szpitala nie zamykano tu na klucz adnych drzwi. Ile to ju czasu min ło? Prawie pi tna cie lat. Drzwi wej ciowe s oczywi cie zamkni te, ale nie te do pokoi.

- Nie udało mi si ich otworzy .

- Mo e framuga si rozeschła...

- Chyba nie. - Podeszły do pokoju 307. - I wszystkie drzwi na tym pi trze były zamkni te, cho , jak siostra powiedziała, nie na klucz.

- Naprawd ?

- A drzwi do pokoi na pierwszym pi trze były pootwierane.

- Czy to nie dziwne? - powiedziała siostra Maria z roztargnieniem i uj ła gałk . Drzwi nie drgn ły. - Zaraz... - Spróbowała jeszcze raz, ale nie chciały si otworzy . Poruszyła gałk i spojrzła na Abby. - Masz racj - przyznała w ko cu. - Z pewno ci s zamkni te na klucz. Bardzo dziwne.

Westchn ła i odwróciła głow . Tak, Abby poznała ten profil... To ta kobieta, cho znacznie młodsza, min ła j wtedy na schodach. To ona pierwsza znalazła si przy Faith, ona dotkn ła palcem jej szyi, szukaj c pulsu.

- Siostra tu była - powiedziała. - Tego dnia, kiedy zgin ła moja matka. Widziałam siostr .

- Tak, pracowałam wtedy w szpitalu. Tak.

- Przyjechałam w odwiedziny... To był dzie jej urodzin. Miałam dla niej prezent.

Zakonnica zmarszczyła brwi.

- Ty? - Spojrzła na włosy Abby, potem na jej oczy i zmarszczka na jej czole pogł biła si jeszcze bardziej. - To ty niosła złote pudło z ró ow wst k ?

- Tak. To były te moje urodziny. - Abby znowu poczuła, jak ogarnia j znajomy smutek. - Znalazłam ten szal w małym sklepiku na Toulouse Street. Był biały ze srebrn nitk ... Wiedziałam, e jej si spodoba.

- Nie poznałam ci , wzi łam ci za twoj siostr ... Ona miała czarne włosy i tamtego dnia niosła pudełko... - Stara zakonnica była wyra nie zdezorientowana. - To nie ty wpadła na mnie na schodach tu przed podestem? Biegła do góry, a ja schodziłam na dół, szłam do klasztoru... jestem pewna.

- Nie. - Abby pokr ciła głow , ale ogarn ła j nagle dziwny niepokój. - To niemo liwe. - A mo e jednak? - Wła nie wysiadłam z samochodu, kiedy to si stało.

Tak, na pewno tak było. Stara zakonnica jest po prostu zagubiona, to wszystko. Pomyliła się. A jednak jej oczy są bystre i przenikliwe, jakby rozumiała Abby lepiej niż ona sama.

Abby chrząknęła i uśmiechnęła się z przymusem.

- Siostra знаła moją matkę?

- Niezbyt dobrze - odparła siostra Maria ostro. - Chyba nikt nie znał jej dobrze. - Spojrzała na drzwi pokoju 307. - Jeśli szukasz tu odpowiedzi na jakieś pytania, obawiam się, że ich nie znajdziesz. W każdym razie nie dziś. - Westchnęła i dotknęła ramienia Abby. - Twoja matka była gdzieś w tym budynku, moje dziecko. Może ty także, zamiast błąkać się po ciemnych pokojach, powinnaś zwrócić się do Boga. - Ruszyła powoli korytarzem. - Tutaj nie znajdziesz tego, czego szukasz. Musisz poszukać tego w sobie samej, w swoim sercu. Pan ci pomoże. A teraz chodź, nic tu po tobie. Poza tym to miejsce jest potępione.

Potępione? Przez kogo?

Przez stan Luizjana?

A może przez udręczone dusze ludzi, którzy byli tu kiedyś zamknięci? Abby czuła, że nie doszła tak daleko, żeby się teraz wycofać.

- Wiem, siostrze, ale naprawdę muszę wejść do pokoju matki, zanim ten budynek zostanie zrównany z ziemią. To jest moja osobista wyprawa w przeszłość... próba zmierzenia się z losem... zamknięcia kwestii, jak jest mierzyć matki. - Spojrzała na zakonnice, która wyraźnie się wahała. - Modliłam się, proszę mi wierzyć. I myślę, że to Bóg mnie tu przywiódł. - Nie była to do końca prawda, ale Abby czuła, że jest w stanie nawet okłamać zakonnice, by zrobić to, co zamierzała.

Siostra Maria zmierzyła ją wzrokiem.

- Dobrze - powiedziała powoli, jakby nie była pewna, w co ma wierzyć. - Zobacz, co da się zrobić.

Abby uznała to za obietnicę i poszła za siostrą Marią w dół schodów.

- Mamy tu ogrodnika - mówiła zakonnica. - Dokonuje tego dla nas drobnych napraw. Poproś go, żeby rzucił okiem na te drzwi, może znajdzie jakiś sposób, żeby je otworzył. To może zabrać trochę czasu, pan DuLoc ma wiele pracy, ale to bardzo pomysłowy człowiek. Jestem pewna, że nam pomoże. - Zeszły na pierwsze piętro i stara kobieta zatrzymała się, by spojrzeć na korytarz. - Mówiła chyba, że wszystkie drzwi tutaj były potwierane?

Abby zmartwiała. Patrzyła na korytarz w osłupieniu, słysząc tylko uderzenia

I własnego serca. Wszystkie pokoje były zamknięte.

- Zastanawiające - powiedziała siostra Maria głośno i podeszła do pierwszych drzwi. - Halo? Jest tu ktoś? - zawołała, poirytowana.

- A kto mógłby tu być?

- Nie wiem, ale zaraz zobaczymy.

- Nie, proszę zaczekać! - krzyknęła Abby, ale zakonnica już chwyciła za klamkę pokoju 206. Drzwi otworzyły się bez trudu, wpuszczając do mrocznego korytarza trochę światła.

Abby odetchnęła, a siostra Maria podeszła do drzwi pokoju 205 i otworzyła szeroko kolejne drzwi.

Nikt nie wyskoczył z głębi, nikt nie krzyknął „mam ci!” Nie zobaczyły żadnego ducha ani upióra.

- Jesteś pewna, że te były otwarte? - spytała siostra Maria.

- Absolutnie.

Zakonnica uniosła brew, jakby jej niedowierzała.

- Nie zauważyła tego siostra, idź na górę? - spytała Abby i nacisnęła klamkę drzwi

natychmiast. Pokój był pusty.

- Nie zwróciłam uwagi.

- Przecie szła siostra za mn .

Siostra Maria kiwn ła głow .

- Ale wiedziałam, dok d idziesz, prawda? Mój wzrok nie jest tak dobry jak niegdy , na korytarzu było ciemno... ciemniej ni teraz. My l , e drzwi były zamkni te, Abby.

Wiedziała, e to niemo liwe. Zacisn ła z by i podeszła szybko do drzwi pokoju znajduj cego si dokładnie pod pokojem jej matki. Nacisn ła klamk , ale drzwi si nie otworzyły.

- No, co jest! - Abby ze zło ci naparła na nie ramieniem. Drzwi ust piły nagle i Abby znalazła si w kolejnym, zupełnie pustym pokoju. Wyszła na korytarz.

- Na pewno to nie siostra pozamykała te pokoje? - spytała.

Zakonnica spojrzała na ni ura ona.

- Oczywiście, e nie. Pami czasem mnie zawodzi, ale nie a tak. Przecie nie okłamywałabym ci , nie w głowie mi arty. Zaczynam raczej pow tpiewa w twój spostrzegawczo ! Chod , czas na nas.

Wyszły ze szpitala i siostra Maria zamkn ła drzwi wej ciowe na klucz. Kul c si w porywach wiatru i zacinaj cym deszczu, ruszyły wzdłu budynku, ale kiedy dotarli do rogu, Abby odwróciła si i jeszcze raz spojrzała w okno pokoju, który kiedy zajmowała jej matka.

Po drugiej stronie szyby stał m czyzna. Abby serce podeszło do gardła. Stan ła, osłaniaj c oczy przed deszczem.

- Tam... w oknie - szepn ła, wskazuj c r k .

Ale posta znikn ła tak szybko, jak si pojawiła.

Siostra Maria spojrzała w gór .

- Nic nie widz . Chod , bo przemokniemy do suchej nitki.

Abby chciała powiedzie jej, co zobaczyła, ale to wszystko wydawało si niewiarygodne... Mokre włosy opadały jej na oczy i było tak ciemno...

- O co chodzi? - zapytała zakonnica niecierpliwie. - Chod ju !

Abby czuła si tak, jakby sam diabeł wbił jej zimne szpony w serce. Dr ała i szczykała z bami, cho nie było jej zimno. Kim był ten człowiek w oknie? Zjaw ? Duchem, który narodził si w jej umy le?

Siostra Maria ruszyła przodem. Abby odwróciła si i poszła za ni .

- Co si stało? - Zakonnica spojrzała na ni z ukosa. - Wygl dasz, jakby zobaczyła ducha.

- Nie... nic. Chciałam tylko jeszcze raz spojrze w to okno

Doszły do furtki, siostra Maria pchn ła j i ruszyły szybko w stron parkingu.

- Rzadko korzystamy z tego przej cia - wyja niła siostra Maria. - Teraz tylko ogrodnik t dy chodzi i czasem ci ludzie, którzy chc wyburzy szpital. Chyba e trzeba wypłoszy intruzów...

Abby poczuła, e si czerwieni.

- Bardzo przepraszam. Nast pnym razem poprosz o pozwolenie.

- Czy b dzie nast pny raz?

Abby pomy lała o postaci, któr widziała w oknie. Czy to tylko jej wyobra nia? Gra wiatła i cienia? Kto zamkn ł wszystkie drzwi na pierwszym pi trze?

- My l , e tak. Musz przecie zobaczy pokój mamy - odparła, otrz saj c si ze strachu. Nikogo tam nie było. Nikogo!

Ale kto pozamykał drzwi!

I widziała, że kto obserwował cię z okna! Nie wymyśl sobie tego.

- Kto jeszcze wie o tej furtce? - zapytała.

Maria wzruszyła ramionami.

- Niewiele osób poza zakonnicami z klasztoru. Teraz mało kto ma wstęp do szpitala. Kiedy był otwarty, chodzili tu dy pracownicy, ale teraz wszyscy opuścili okolice. - Kaszlnęła i otarła z twarzy krople deszczu. - Kiedy problem stanowili raczej ludzie, którzy chcieli się dostać.

- Dlaczego ci, którzy kupili szpital, nie korzystają z głównej bramy?

- Ach, o to ci chodzi. - Siostra Maria zatrzymała się pod zadaszeniem przy garażu. - Na razie szpital nie został sprzedany. Jest kilka kwestii spornych, które muszą zostać rozwiązane. Archidiecezja, nasza parafia i matka przełożona muszą się porozumieć z inżynierami i architektami... Dopóki tego nie załatwi, nie dojdzie do transakcji.

- Czyli na razie nikt nie kupił szpitala?

- Jesteśmy w fazie negocjacji. Nie pytaj mnie o nic, bo i tak powiedziałam zapewne więcej, niż powinnam. - Maria spojrzała na niego z troską. - Dobrze się czujesz, moje dziecko?

Nie, nie czuję się dobrze, pomyślała Abby. Moja matka była schizofreniczką. Popełniła samobójstwo, ojciec umiera na raka, siostra spała z moim narzeczonym, który po prostu zdradzał mnie z wieloma innymi kobietami, a kilka dni temu został zamordowany w makabryczny sposób przez jakiegoś psychoza. Nie, na pewno nie czuję się dobrze.

- Wszystko w porządku - powiedziała głono.

- Może weszłaby do rodzka i napiła się herbaty?

- Nie, dziękuję. - Teraz, kiedy już wyszły z opustoszałego szpitala, Abby chciała jak najszybciej wrócić do domu. - Czy da mi siostra znać, kiedy będzie mogła wejść do tego pokoju?

- Na pewno chcesz tam wejść?

- Tak!

- Oczywiście, dam ci znać.

- Zadzwoń do klasztoru i zostawi swój numer.

Siostra Maria kiwnęła głową, a Abby pojechała i pobiegła do samochodu. Usiadła za kierownicę i patrzyła, jak zakonnica zaskakująco szybko biegnie w stronę bramy w murze klasztoru.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, wycofała wóz i od razu wyjechała na drogę. Nie zawróciła w stronę szpitala. Miała do wrażeń jak na jeden dzień.

Czekał, a odjedzie.

Z okna na drugim piętrze widział dokładnie bramę i fragment drogi w przerwie między drzewami. Nie zobaczył jej na długo, najwyżej dwie sekundy. Ale to wystarczy.

Na razie.

Podniósł do oczu wojskowe lornetki. Chciał dostrzec wyraz jej twarzy.

Czekał długo, nie przypuszczał. Zapewne z powodu starej zakonnicy, tej, która miała parę ciemnych sprawek na sumieniu, parę występów, z rodzaju tych, które sam tak dobrze znał. Umiechnął się do siebie drwiąco. Łagodna stara kobieta w czarnym habicie mogła sprawiać wrażenie wiarygodnej, ale on wiedział swoje.

Już wkrótce jej wstydliva tajemnica ujrzę wiatło dnia.

Podobnie jak tajemnice wielu innych ludzi.

Czekało go wiele pracy, bo gdzie musiał się spieszyć. Na razie widział przez lornetkę tylko strugi deszczu, ale zaraz potem w polu jego widzenia znalazł się samochód. Weszła w zakręt trochę za szybko i samochodem lekko zarzuciło, zdołała jednak wyprowadzić go na prostą.

Pewnie się przestraszyła. Oblizwał wargi.

Była tak podobna do Faith... zaschło mu w gardle, poczuł, jak ogarnia go gorąca, dzika fala dąży.

Faith... o moja piękna...

Tak dobrze pamiętał ciepło jej ciała, kiedy w niego wchodził, jej ciche jęki, oczy zamglone przez podniecenie i strach. Boże, jak bardzo pragnął jej teraz, jak boleśnie nie potrafił jej dotykać.

Wszystko w swoim czasie, przypomniał sobie i zamknął oczy. Pod powiekami znowu pojawiła się twarz Faith... ciemne oczy, wilgotne, pełne wargi. Niemal słyszał jej śmiech, czuł jej zapach...

W jego owładniętym umyśle matka i córka stopiły się w jedno.

Rozdział 13

Jak już powiedziałem, wtedy widziałem go po raz ostatni - powtórzył Maury Taylor z uporem. Stali w holu budynku radiostacji. Bentz umówił się z nim wcześniej telefonicznie, przyjechał więc dokładnie w chwili, kiedy Maury, który spędził kilka dodatkowych godzin w fotelu Nicka Giermana, zakończył pracę. - Wyjaśniłem już wszystko temu drugiemu detektywowi. Jak on się nazywał? - Maury pstryknął palcami. - Brinkman, taki wielki facet.

Bentz kiwnął głową.

- Wiem, nie było mnie w mieście i chcę sprawdzić pewne szczegóły - powiedział, co było oczywiście kłamstwem. Brinkman przesłuchiwał wszystkich pracowników radia, ale Bentz chciał sam zorientować się w sytuacji.

- Nie wiem nic poza tym, że Nick był wkurzony, naprawdę wkurzony na swój był on - wyjaśnił Maury. - Wyrzuciła jakieś rzeczy, które należały do niego, a on w odwecie przejechał się po niej w swoim programie. Wiem, że to kontrowersyjny program, ale zazwyczaj Nick niewiele mówił o sobie, nie prał swoich brudów na antenie. Miał swój... niepisany kodeks etyczny.

- Kodeks etyczny? - powtórzył Bentz z niedowierzaniem. Czuł, że Gierman sprzedałby własną babkę, gdyby mogło to wpłynąć na popularność jego audycji.

- Poza tym... Nie mam oczywiście pewności, a on nigdy by się do tego nie przyznał, ale... O, cholera... - Maury zreflektował się, że powiedział za dużo.

- Ale co?

Taylor odwrócił wzrok, po czym znowu spojrzał na stojącego przed nim policjanta.

- Myślę, że nadal ją kochał - powiedział. - Wiem, wiem - dodał szybko, widząc, że Bentz sceptycznie uniósł brwi. - Lubił młode dziewczyny. Jak my wszyscy, no nie? Sam mówił, że nigdy nie ma tego do... Nie wiem, ile pańienek zaliczył, ale o kilku mi opowiadał, a ja powtórzyłem wszystko, co wiedziałem, temu drugiemu policjantowi. Pamiętam... Nick tylko raz o tym wspomniał, kiedy trochę za dużo wypił... że jedną z nich była siostra jego żony.

- Co?

- Tak... jego żona za bardzo się to nie podobało. A Nick, kiedy tylko się zorientował, że chlapanął za dużo, zaczął się mijać i próbował to obrócić w żart. Myślę jednak, że to prawda.

Bentz poczuł, jak na moment ogarnia go stary gniew. Znał takie sytuacje z własnego doświadczenia. O tak, dobrze je znał. Nie wiedział, jakie znaczenie miał dla Abby Chastain fakt, że męczył się z jej rodzinną siostrą, ale był pewny, że się to jej nie podobało.

- Zreszt to nieważne, czy rzeczywiście miał romans z jej siostrą.
Akurat. Bardzo ważne.

- Zawsze miałem wrażenie, że nigdy nie przestał kochać swojej siostry.

- Mówił coś na ten temat?

- Nick miałby przyznać, że zależymy mu na kobiecie, która nie chciała mieć z nim nic wspólnego? Nie, to nie w jego stylu. - Maury pokręcił głową. - A zreszt, kto wie? Mogłoby się przecie mylić.

- Jego była siostra pewnie nie była tym zachwycona.

- O, na pewno nie. Jak to mówi, od miłości tylko krok do nienawiści.

- Mogłoby obejrzeć jego biurko i szafkę?

- Jasne, ale ten drugi policjant...

- Brinkman?

- Tak! Dlaczego nie jestem w stanie zapamiętać jego nazwiska? - prychnął Taylor. - To zły znak. Chyba naprawdę potrzebuję sekretarki. - Uśmiechnął się z dumą. - W radiu chcę zrobić ze mnie drugiego Niemca. Niezły numer, co? Bentz nie był pewny, czy to rzeczywiście taki wietny pomysł.

- I co Brinkman?

- Już przejrzał rzeczy Nicka, zabrał wszystko, co chciał. Biurko Nicka jest tam. - Maury ruszył korytarzem. Bentz poszedł za nim.

- A dziewczyna Niemca?

- Niania? - prychnął Maury. - Fajna laska, nie powiem, ale to wszystko. - Postukał się znacząco palcem w skroń. - Raczej nie intelektualistka... a Nick szybko się nudził, jeżeli kobieta nie umiała mu pod tym względem dotrzymać kroku. Seks, owszem, to go zawsze kręciło, ale chemia działa krótko, prawda?

Maury Taylor nie był wprawdzie psychologiem, ale Bentz podejrzewał, że tym razem miał rację.

- Niania i Nick się rozeszli - ciągnął Maury. - Pewnie już pan to wie. Słyszałem, że już sobie znalazła nowego faceta... Podobno jest jeszcze bardziej stuknięty na punkcie siłowni niż Nick. Powiedziała Nickowi, że to najlepszy kochanek, jakiego miała. Niezły numer, co? - Spojrzał na Bentza porozumiewawczo. - Chyba widywała się z nim za plecami Nicka już od kilku tygodni. Jak to mówi, nosił wilk raz czy dwa, ponieważ i wilka.

- Tak, tylko tym razem wilk skończył z kulą w klatce piersiowej.

- Mhm. - Skrzywił się Maury. - Kiepska sprawa, co?

- Owszem - przyznał Bentz. Zatrzymali się w sali na tyłach budynku, pełnej biur i zamkniętych na klucze metalowych szafek. - A Niemca? Miał jakie przyjaciółki albo byłe dziewczyny, które mógł wkurzyć?

- Nie sądzę. Na antenie zawsze starał się sprawiać wrażenie, że ma dziewczynę, czy była to prawda, czy nie. To cz jego strategii. - Maury wskazał ręką biurko Niemca. Stało tam kilka kubków ozdobionych zdjęciami brzoźwego labradora, pełnych ołówków. Do korkowej tablicy nad biurkiem przypięte były fotografie Nicka: na nartach, z raket tenisowych w dłoni, opartego o sportowy model bmw, spacerującego z tym samym psem, którego podobizny widniały na kubkach. Prawdziwa kapliczka egocentrycznego radiowca i jego pasji. Tylko jedno zdjęcie nie pasowało do tej kolekcji: niewielki portret kobiety, w której Bentz rozpoznał Abby Chastain. Patrząca w stronę morza, uśmiechając się lekko, kręcone złotorude włosy rozwiewał wiatr.

Tak, jakby miała przyznać, że nie trzymałaby nad biurkiem takiego zdjęcia, gdyby naprawdę nie czuł do kobiety. Bentz spojrzał z ukosa na Taylora, który też patrzył na fotografię.

- A nie mówiłem? - powiedział Taylor, przekrzywiając głowę. - Jedyną kobietą, na

była jego ona.

Montoya dyskretnie przyglądał się wszystkim, którzy zebrali się pod drzwiami kaplicy w College'u Wszystkich wi tych. Młody ksiądz, ojciec Anthony, sztywno wyprostowany, stał na stopniach przed wejściem. Obok niego stary ojciec Stephen modlił się z pochyloną głową, tuż za nim stała dziekan Usher w ociekającym deszczem kapeluszu.

Nie kilkunastu studentów z zapalonymi świecami w dłoniach słuchało w skupieniu słów po egzorcyzmie Courtney LaBelle. Ojciec Anthony w słowach pełnych pasji wspominał Mary i jej tragiczną śmierć. Była taka młoda. Taka niewinna. I taka pobożna.

Montoya słuchał tego wszystkiego jednym uchem.

Świeczki modlili się i płakali, płomyki świec drgały w ciemności. Montoya robił zdjęcia małym, ukrytym aparatem. Wiedział, że będzie niewyraźne, ale lepsze to niż nic: ojciec Anthony z pewnością nie zgodziłby się na błyski fleszy ani kamer z lamp. Miał nadzieję, że morderca jest wystarczająco nakręcony, by pojawił się na uroczystości świątecznej. Tacy ludzie często chcą się do nich dochodzić, chcą być w centrum wydarzeń. Montoya udawał wierność, że się modli i słucha słów księdza, ale cały czas szukał wzrokiem w tłumie czegokolwiek, co wydawałoby się nie na miejscu... choć wyglądać nie ma najmniejszego znaczenia. Nikt nie jest w stanie rozpoznać przestępcy na podstawie wyglądu.

Montoya fotografował wiernie wszystkich, którzy przyszli wyrazić swój mniej lub bardziej szczerzy żal po śmierci Courtney Mary LaBelle.

- Za chwilę wejdziemy do kaplicy, gdzie odbędzie się druga część ceremonii - powiedział ksiądz i wzniósł ręce ku niebu. - A teraz zanieśmy modlitwę do naszego Ojca... - Złożył dłonie i pochylił głowę.

Wszyscy stojący pod kaplicą zrobili to samo.

Wszyscy, poza Montoya.

- Mówiła, że zadzwonisz - powiedziała z pretensją Gina, kiedy Abby podniosła słuchawkę i nerwowo rozejrzała się po kuchni. Po wizycie w szpitalu cięgle była niespokojna i nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

A to zakrawało na manię przeładowczą.

Nie, to nie mania, to tylko ostro noż.

Drzwi lodówki były otwarte, pod nimi siedziała Hershey, wyraźnie licząc na coś do jedzenia. Abby włożyła wolny rękaw do lodówki, przesunęła kilka butelek z resztkami sosów do sałatek i wyciągnęła słoiczek z jogurtem.

- Czekałam na twój telefon przez kilka godzin - dsała się Gina.

Daj mi spokój, pomyślała Abby.

- Wiem, wiem, Gino... Przepraszam... zupełnie straciłam poczucie czasu. - Irytowało ją, że musi się tłumaczyć i przeproszać starsze siostry. Ma trzydzieści pięć lat, na lito boska. Nie jest niegrzecznym dzieckiem... A już na pewno nie jest dzieckiem Giny. - Byłam zajęta. A poza tym nadal nic nie wiem o pogrzebie Nicka.

- Ale to chyba niedługo, prawda?

- Nie mam pojęcia. Jeśli jego rodzina zdecyduje się na kremację, będą mogli z tym poczekać. Gino, naprawdę nie wiem, jaka jest w tym wszystkim moja rola. O ile w ogóle gram tu jaką rolę. Jako była ona mam niewiele do powiedzenia, chyba rozumiesz. - Otworzyła słoiczek z jogurtem i zdjęła plastikowe zabezpieczenie. - Wiesz... pojechałam tam wczoraj.

- Dokąd?

- Do szpitala.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Po co? - spytała w końcu Gina.

- Ma zostać zburzony, więc...

- To niesłychane!

- ...więc pomyślałam, że powinnam tam pojechać.

- Dlatego że jakiś psychiatra od siedmiu bole ci ci to poradził?

Abby poczuła, jak znowu ogarnia ją irytacja. Po śmierci matki chodziła do kilku psychiatrów, lepszych i gorszych, zakładała jednak, że każdy z nich wiedział, co mówi.

- Nie, ponieważ czułam, że powinnam to zrobić.

Gina mruknęła coś pod nosem, a potem powiedziała głośno:

- I co? Jak się udało podróż sentymentalna?

- To nie jest mieszane, Gino - wycedziła Abby przez zęby. Po co w ogóle zaczęła ten temat? - Prawdę mówi ci, było tam bardzo dziwnie. I strasznie. Naprawdę strasznie. To kompletna ruina. Spotkałam tam zakonnicę, która kiedyś pracowała w szpitalu. Zobaczyła, że przyjechałam, bo musiałam zostawić samochód przed klasztorem. Siostra Maria... moja przyjaciółka. Wysoka. Ładna. Chyba Łatynoska.

- Owszem, pamiętam ją - odparła Gina z niechęcią.

- Była tam w dniu śmierci mamy.

Gina milczała.

- Dziwne... Chyba pomyliła mnie z tobą. Uważa chyba, że to ja wbiegłam do szpitala przed tobą i tatą, w każdym razie tak wynikało z tego, co mówiła. - Abby otworzyła szufladki i wyjęła łyżeczkę. - Twierdzi, że biegłam po schodach na górę, kiedy ona schodziła, i że ty niosłaś prezent dla mamy... czy coś w tym rodzaju. - Zmarszczyła brwi. - Tak w każdym razie powiedziała. Naprawdę, to było dość dziwne. - Nabrała odrobiny jogurtu na łyżeczkę i włożyła ją do ust. Gina nadal się nie odzywała. - Gino?

- Tak.

- Co ty na to? - Przełknęła jogurt, ale nie poczuła jego smaku.

- Nie wiem... nie wiem, dlaczego tak jej się wydaje. Pewnie jest już stara i coś jej się pomieszało.

- Poza tym mówiła całkiem do rzeczy.

- Poza tym. - Gina zaczęła łapać Abby za słowa. - To było dwadzieścia lat temu, Abby.

- Gino. - Abby wyciągnęła łyżeczkę przed siebie, jakby mierzyła nią w siostrę. - Dlaczego mam wrażenie, że kłamiesz?

- Bo nie lubi rozmawiać o szpitalu i o śmierci mamy, dlatego. Wiem, że dla ciebie ta sprawa nie jest zamknięta, ale dla mnie to już przeszłość i nie mam ochoty omawiać tego wszystkiego za każdym razem, kiedy zbliża się dzień twoich urodzin i rocznica jej śmierci.

- I jej urodzin - przypomniała Abby.

- Tak, wiem. Ta szczególna wiązka, która ci się zniżyła czy jak to tam nazywasz, której nie rozumie nikt poza tobą. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego i uważam, że powinnyśmy zostawić to za sobą i iść dalej.

- Na pogrzeb Nicka? - spytała sucho Abby.

- Tak! Powinnyśmy kupić butelkę, wypić za niego, a potem pogrzebać i jego, i przeszłość, i topór wojenny! - Gina mówiła coraz szybciej i głośniej. Kiedy skończyła, była niemal bez tchu.

- W porządku. Doskonale.

- A zatem przyjeżdżam do Nowego Orleanu.

- Wspaniale. - Abby uśmiechnęła się niezszybczy. - Ale porozmawiamy o paru sprawach, zanim się napijemy, dobrze? W tym także o mamie i dniu, w którym zginęła. Chyba wiesz o tym wszystkim więcej, niż mi powiedziała. Może z tamtam nie jechała, w porządku, ale porozmawiamy sobie.

- Abby...

- Porozmawiamy - powiedziała stanowczo Abby, odłożyła słuchawkę i wyrzuciła prawie nietknięty jogurt do zlewu. Zawsze miała wrażenie, że ojciec i siostra nie byli z nią szczerzy, ale nigdy nie starczyło jej odwagi, by otwarcie o to zapytać. Tkwiła w bezpiecznym kokonie niedomówień, bo bała się tego, z czym musiałaby się zmierzyć, gdyby go opuściła.

Upór, z jakim siostra Maria twierdziła, że to Abby weszła do szpitala, kiedy matka rzuciła się z okna, wydobył z jej pamięci niewyraźne, zamglone wspomnienie, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Co w zapamiętanej przez nią wersji wydarzeń nie było prawdą. Czuli to od dwudziestu lat.

Była wtedy w szpitalu. Pamiętała, jak biegła po schodach, jak omal nie wpadła na wysokie zakonnice... Ale nie zwróciła uwagi na kobietę w czarnym habicie. Biegła prosto do pokoju 307...

Nic więcej nie pamiętała.

Tak, od dwudziestu lat drczyła przeczące, że było inaczej, niż zapamiętała; inaczej, niż mówili ojciec i siostra. A jeżeli tak jest, to zawiodła ją nie tylko pamięć, ale także rodzina.

Bała się poznać prawdę, nie chciała otworzyć na nią oczu.

Ale już do... Czas stawia czoło faktom.

A Gina, czy tego chce, czy nie, będzie musiała jej w tym pomóc.

To był bardzo pracowity wieczór. Montoya spędził sporo czasu, rozmawiając ze studentami pod kaplicą, a później także z ojcem Anthonym, który jednak mógł poświęcić mu tylko kilka chwil, ponieważ spieszył się pocieszać rodzinę Courtney LaBelle. Nie spodobał się Montoi. Ojciec Anthony Mediera był zbyt spokojny, zbyt idealny jak na jego gust. Nosił swój wiar triumfalnie jak sztandar.

Później Montoya złożył wizytę Nii Penne, u której zastał jej nowego chłopaka. Drobną jak elf, z bardzo jasnymi włosami, Nia przypominała małego ptaszka. Odpowiedziała uprzejmie na kilka pytań, ale nie zmieniła niczego w zeznaniach. Jej przyjaciel był rzeczywiście umiarkowany, wydawał się silny i rzadko się odzywał. Stał przy kominku z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, prezentując potężne bicepsy i szerokie klatki piersiowe w trochę za ciasnej koszulce. Nazywał się Roy North i nosił buty w rozmiarze dwanaście. Montoya postanowił, że go sprawdzi. Sprawiał wrażenie człowieka agresywnego, a poza tym nie było go w ubiegłym tygodniu w Toronto z nią i jej znajomymi.

Nia natomiast najwyraźniej nie była pogrążona w żalu z powodu śmierci byłego chłopaka. Kiedy spostrzegła, że Montoya patrzy na pudła leżące na podłodze, uśmiechnęła się tylko i przyznała, że ma zamiar opuścić mieszkanie i wprowadzić się do Roya.

Pieniążki i Bestia. Co za para.

Tak wyglądała wieczna miłość, pomyślał Montoya, wracając do samochodu. Znowu przypomniała mu się Martha... Z trudem przywołał w pamięci jej twarz, długie rzęsiste i kręcone czarne włosy. Kiedy w końcu mu się udało, twarz nagle rozplynęła się, jakby rozmyta przez padający nadal deszcz. A później jej miejsce zajęła twarz innej kobiety.

Pieniążki kobiety, o oczach koloru whisky, niesfornych złotorudych włosach i pełnych ustach. Abby Chastain. Była ona Nicka Giermana wcielała do kręgu podejrzanych. Cholera. Była ostatni

przytknął mu paralizator do szyi i znów nacisnął spust.

Kolejne trzysta tysięcy wolt.

Charles krzyknął.

Wbrew temu, co głosiły reklamy, paralizator wywoływał nieznośny ból. Napastnik odpiął od paska rolkę szerokiej taśmy izolacyjnej, zwój w dżarskiej węłki i nóż. Charles rozpoznał ten nóż natychmiast - reklamowany w ostatnim katalogu produktów Pomeroy Industries jako narzędzie przydatne do polowania na grubego zwierza.

Poczuł, jak krew cina mu się z żyłach.

Zrozumiał.

Nie rób tego! Jestem bogaty! Zapłać. Ile tylko chcesz! Krzyczał, ale z jego ust dobywały się tylko zduszone jęki. Nie był w stanie wyartykułować ani słowa.

Chciał walczyć, ale z trudem się ruszał. Był zupełnie bez sił.

Spojrzał w zakrytą maską twarz i mógłby przysięgnąć, że w oczach napastnika dostrzegł błysk satysfakcji. Ale to przecież niemożliwe... prawda? Jest ciemno...

Kim jest ten człowiek? Czego chce?

Jezu, pomóż mi, modlił się w duchu, patrz, jak mężczyzna odcina kawałek taśmy i zakleja mu usta. Póniej skrępował mu ręce z tyłu, a taśmy i wzmocnił je jeszcze w dżarską węłkę. Przecież ta ma być wystarczająca... Ta węłka miała być jakimś symbolem.

Napastnik skrępował mu nogi w kostkach, wciśnął na głowę worek i przewiązał go na szyi. W worku były otwory i Charles mógł oddychać, ale nic nie widział.

Jak w Wietnamie...

Na nogi postawiło go jedno silne szarpnięcie za kołnierz. Próbował uciekać, ale nie mógł. Słyszał, jak mężczyzna otwiera drzwi samochodu. Pchnął Charlesa i Pomeroy wysiadał na czymś, co zapachem przypominało siedzenie jego jaguara. Potem drzwi się zatrzasnęły, a kilka sekund później napastnik usiadł za kierownicą, wycofał wóz i ruszył w stronę wyjazdu na autostradę.

Charles mógł mieć tylko nadzieję, że ktoś rozpozna jego samochód.

Ale było już bardzo późno.

A po tej drodze jeździło niewiele samochodów.

Teraz będzie musiał robić wszystko, co może mu ten drań. Bez wątpienia chodzi o pieniądze. Porwał go dla okupu. Cóż, trudno. Charles miał do pieniędzy, by zapłacić kaucyjność.

Może jednak stracić palec, zanim to się stanie.

Albo ucho.

Zadręał, ale przypomniał sobie, że najważniejsze, to uciec z tego zajęcia.

Vanessa chętnie zapłaci okup, prawda?

W zarządzie Pomeroy Industries zasiadają jego dzieci. One tak i na pewno nie będą łączyły pieniędzy.

Czy nie pomagał zawsze swoim siostronóm i dzieciom, a nawet wnukom? Płacił za aparaty ortodontyczne, szkoły, wakacje... za wszystko, czego potrzebowali.

A jednak...

Nie liczą na nich, Pomeroy.

Nieraz już był w opałach i zawsze mogła liczyć tylko na jedną osobę.

Na siebie.

Tak, miał i wrogów, wielu z nich to jego krewni. Kłamcy, chciwi oszu ci, gotowi w ka dej chwili wbi mu nó w plecy. W ich yłach płyn ła jego krew.

Do tego dochodz kochanki, wi kszo wystawił do wiatru... Partnerzy w interesach, którzy udaj , e go lubi tylko przez wzgl d na jego maj tek...

Czy to który z tych sukinsynów go wystawił?

Ogarn ła go zimna furia. Teraz jest zwi zany i bezbronny, ale to nie potrwa długo.

Ktokolwiek siedzi za kierownic jaguara, dostanie za swoje. Kretyn nie przeszukał mu nawet kieszeni, nie wie, e Charles ma w kieszeni nó . I u yje go, gdy tylko nadarzy si sposobno .

Od wielu lat nikogo nie zabił, ale był pewny, e potrafi wyeliminowa faceta. Tym razem, wybieraj c ofiar , porywacz popełnił powa ny bł d.

Rozdział 14

Charles Pomeroy zagin ł - powiedziała Lynn Zaroster, kiedy nast pnego popołudnia Montoya wszedł do małej policyjnej kuchni.

- Ten milioner?

- Multimilioner, je li wierzy magazynowi „Forbes”.

- Czytasz takie rzeczy? - Montoya nalał kaw do papierowego kubka.

- Mój chłopak to czyta - przyznała Lynn.

- Zaraz, zaraz, czy on przypadkiem nie mieszka w Cambrai?

- Tak, ale z dala od centrum. Chyba gdzie na skraju mokradeł.

Montoi nagle zaschło w ustach. Pami tał, jak przeje d ał obok rezydencji Pomeroya.

- Niedaleko Abby Chastain.

- Naprawd ? - Lynn wrzuciła mokr torebk herbaty do kosza na mieci.

- Tak. S s siadami.

- To do dziwne, nie s dzisz?

- Owszem. - Montoi wcale si to nie podobało. - Co si z nim stało?

- Nie mam poj cia. Wpadłam w toalecie na Ver z wydziału zagini i to ona powiedziała mi, e jego ony nie było przez par dni w mie cie, a kiedy wróciła do domu, jego tam nie było. Łó ko było posłane, a on chyba nigdy sam tego nie robi. Taki le . W ka dym razie pokojówka i ogrodnik nie mogli dosta si do domu, automatyczny zamek w bramie si zaci ł czy co w tym rodzaju. Facet z firmy, która ich chroni, twierdzi, e kto musiał zmieni kod. Pani Pomeroy zadzwoniła do m a na komórkk , ale nie odebrał. Zacz ła si martwi . Wtedy zadzwoniła do niej sekretarka Asy i powiedziała, e Charles nie pojawił si na bardzo wa nym spotkaniu. ona obdzwoniła wszystkich członków rodziny, przyjaciół i znajomych, ale nikt nie ma poj cia, gdzie on mo e by . W ko cu zadzwoniła na policj ... Nie min ły jeszcze dwadzie cia cztery godziny, ale nie wygl da to dobrze.

- Gdzie go widziano po raz ostatni?

Zaroster upiła łyk herbaty i pokr ciła głow .

- Ju mówiłam, e nic nie wiem. Na razie to tylko plotki. I nie nasza sprawa.

Na razie, pomy lał Montoya. Pomeroy mieszkał niepokoj co blisko Abby Chastain. Jej m został zamordowany, a niecały tydzie pó niej zagin ł jej najbli szy s siad.

- A tak przy okazji - dodała Zaroster. - Dzwoniłam do mojego wujka z College'u Wszystkich wi tych.

- Tak? I czego si dowiedziała ? - spytał Brinkman, wchodz c do kuchni. Wylał reszt

- Wujek powiedział mi, że w college'u jest trochę Gotów. Nic wielkiego, to po prostu dzieciaki, które noszą czarne ubrania, wysokie buty i używają czarnej szminki. To wszystko.

Brinkman prychnął.

- Niektórzy z nich traktują to trochę poważnie.

- Na przykład panna O, jak się działo - powiedział Brinkman.

- Może. Plotkuje się o tym, oczywiście. Czarna magia, wampiry, picie krwi tak dalej. Jak to w szkole.

Montoya parsknęła śmiechem.

- A nie mówiłem? - Brinkman powiedział kawką nieufnie. - Jeszcze trochę, a dowiemy się, że składają w ofierze dziewczęce. Ale teraz, kiedy Mary LaBelle nie żyje, nie będzie w stanie znaleźć żadnej dziewczyny. Pewnie była ostatnia w tym college'u.

- Mogłoby się zdziwić - mruknęła Zaroster zirytowana.

- Jasne. - Brinkman upił kolejny łyk i skrzywił się, jakby to był sok z cytryny. - Ohyda.

- To zaparz sobie wieczerkę - poradziła mu Lynn. Chciała jeszcze coś dodać, ale zadzwoniła jej komórka. Odebrała i wyszła szybko z kuchni z kubkiem herbaty w ręce.

Montoya wrócił do biurka. Myślał o Charlesie Pomeroyu. Czy to może liwe, by zaginięcie multimilionera miało jakieś związanie z morderstwem Giernana i Courtney LaBelle? Wydawało się to mało prawdopodobne. A może jednak? Z drugiej strony fakt, że facet nie pojawił się w pracy i nie spał w swoim łóżku, nie oznacza jeszcze, że ktoś go załatwił. Co z tego, że jego rezydencja znajduje się w pobliżu domu Abby Chastain? To pewnie tylko zbieg okoliczności. Nic poza tym.

Ale czytajcie e-maile i odsłuchujcie wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce, odczuwał dziwny niepokój. W końcu podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do wydziału zaginięć. Nie zaszkodzi, jeżeli dowie się więcej na temat Asy Pomeroya.

Na wszelki wypadek.

- ...a pogrzeb będzie o jedenastej - mówił Lex, brat Nicka. - Pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć. Utwój tego Michała. Nie będzie trumny. Nick chciał zostać skremowany. O Boże, nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy o takich rzeczach. To wszystko jeszcze tak naprawdę do mnie nie dociera.

- Wiem.

- No to... może się tam spotkamy.

- Tak - odparła Abby. - Dziękuję za wiadomość. - Wyłączyła telefon komórkowy i westchnęła. Myślała o pogrzebie, była przygnębiona. Będzie musiała spotkać się z ludźmi, którzy znali Nicka, i patrzeć na ich smutek. Będzie musiała porozmawiać z jego rodzicami.

- Niewesoła - powiedziała do Hershey, wkładając telefon do kieszeni.

Całe popołudnie pracowała w swoim studiu, nie zrobiła sobie nawet przerwy na lunch. Teraz było już po ósmej, burczało jej w brzuchu, bolały jej plecy. Przeciwnie się i potarła dłonią kark, czując, że zaczyna ją boleć głowa. Miała tylko nadzieję, że w zamrażalniku jest cokolwiek, co mogłaby podgrzać w mikrofalówce. Zastanawiała się właśnie, na co miałaby ochotę, kiedy Hershey, która leżała w kącie na kocyku, zerwała się nagle i cicho warcząc, podeszła na sztywnych łapach do drzwi.

- Co znowu? - mruknęła Abby.

Pies był niespokojny całe popołudnie, co chwilę chciał wychodzić i czekał na w

magnolii za domem.

Hershey opuściła głowę, a sierść na jej karku uniosła się nieco. Stała bez ruchu, wpatrując się w drzwi.

- Daj spokój, Hersh - powiedziała Abby, nie odrywajcie wzroku od ekranu komputera, na którym widniały zdjęcia z lubu Shipmanów. Usuwała właśnie fotografie, na których panna młoda miała kwaśny wyraz twarzy albo panu młodemu przekrzywił się krawat.

Hershey znów warknęła.

- Przesta!

Pies zjeżył się jeszcze bardziej. Tym razem zawarczał niemal niedosłyszalnie, ale Abby i tak nie mogła już skupić się na pracy. Poddała się.

- W porządku - powiedziała z silnym postanowieniem, że nie da się przestraszyć. - Pokaż, o co ci chodzi.

Wyłączyła komputer, zgasiła światło i otworzyła drzwi studia. Pies wypadł na zewnątrz jak torpeda i rzucił się, szczekając, w stronę werandy.

Abby poczuła, jak ogarnia ją strach. Tym razem była to zasługa psa, choć przecież ostatnio nie trzeba było wiele, by wzbudzić jej niepokój. Od śmierci Nicka stała się nerwowa.

Zamknęła studio, przeszła krótko do domu i otworzyła drzwi. Hershey cięgle warczała i patrzyła w stronę lasu. Ale zaraz potem z jednego z drzew zeskoczył Ansel, przemierzył kilkoma susami patio i wpadł do domu. Hershey rzuciła się za nim, w ciekłe machając ogonem.

- Wiesz - mruknęła Abby. - Miertelnie mnie przerażała, Hershey. - Ze złości zamknęła drzwi na zasuw. - Jestem psem obronnym, ale nie musisz, powtarzam, nie musisz, bronić mnie przed Anselem! - Zdjęła buty, weszła do kuchni, przegoniła kota z blatu i postawiła go na podłodze. Potem otworzyła zamrażalnik, w którym była tylko jakaś dawno zapomniana pizza.

- *Bon appetit* - mruknęła. Wyjęła pizzę i włączyła piekarnik. Salami wyglądało tak, jakby zostało wyprodukowane w szóstym wieku, ser zmienił się w kryształki lodu. Ale nie miała nic innego. Pomyślała, że mogłaby coś do tego dorzucić, na przykład pomidora albo cebulę. Przeszukała lodówkę i znalazła małą puszkę czarnych oliwek.

- Pyszno ci - powiedziała do zwierzęcia. Czekać, a piekarnik się nagrzej, wyjmę z szafki butelkę czerwonego stołowego wina z prostymi etykietami i przywiżę do szyjki małą karteczkę z napisem *Dziękuję za gościny. Alicia*.

Abby uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniej wizyty przyjaciółki. Odkryły wtedy niewielki sklep na Decatur, pełen win importowanych z Francji i Niemiec. Spodobały im się te białe etykiety, opatrzone tylko napisami **BIAŁE WINO STOŁOWE** i **CZERWONE WINO STOŁOWE**. Różnych kolorowych obrazków, folii, hasł reklamowych. Kupiły oba i tego samego dnia wypity białe.

Teraz nadszedł czas, by otworzyć czerwone. Abby postanowiła, że zadzwoni do Alicji i zaproponuje jej, by tak się naląła sobie lampki wina. Napiją się razem, rozmawiając przez telefon.

Otworzyła szufladę i zaczęła szukać korkociągów, kiedy zauważyła, że Hershey stoi bez ruchu, wpatrując się w jej cie do salonu. Cały dzień spędziła w studiu, więc teraz, kiedy słońce zaszło, w domu - poza kuchnią - było zupełnie ciemno.

- Nie dam się nabrać - powiedziała do psa, przekonana, że to Ansel ukrył się w salonie pod kanapą. Ale w tej chwili kot wskoczył na jeden z kuchennych stołków i równie wbił wzrok w ciemny próg drzwi.

- Do tego! - powiedziała Abby, ale nagle ona także poczuła coś... coś w powietrzu. Zapach? Coś wilgotnego i ziemistego...

Dostrzegła młotek leżący na kuchennym blacie, gdzie zostawiła go rano, i wzięła go do ręki.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście coś usłyszała? Ciche szuranie... Butó

drzwi? Przypomniała sobie szpital i drzwi, które były otwarte, a pó niej zamkni te. Oblał j zimny pot. Zacisn ła palce na trzonku młotka.

Przełkn ła lin , weszła do salonu i szybko wł czyła lamp od Tiffany'ego. Pokój natychmiast zalało mi kkie ró nobarwne wiatło.

W salonie nikogo nie było.

Hershey zawarczała przeci gle.

- Przesta ju ! Denerwujesz mnie - mrukn ła Abby zirytowana. Chc c si upewni , e wszystko jest w porz dku, ruszyła korytarzem przed siebie, ciskaj c młotek w dłoni i czuj c przyspieszone bicie własnego serca. Po drodze wł czała wszystkie lampy, sprawdziła szafy, zajrzała pod łó ka. W łazience, wstrzymuj c oddech, jednym szarpni ciem odsun ła zasłon prysznic. Ale tam równie nikogo nie było.

- Widzisz? Nic tu nie ma - powiedziała do siebie. Serce ci gle waliło jej jak młotem, oł dek podchodził do gardła.

Na parterze zostało ju tylko jedno pomieszczenie. Otworzyła drzwi prowadz ce do pralni i stan ła jak wryta.

Okno było otwarte.

Abby omal nie wypu ciła młotka z r ki.

Przecie przedtem to okno było zamkni te, prawda?

Rozpaczliwie usiłowała to sobie przypomnie .

Ka dego wieczoru sprawdzała dokładnie wszystkie drzwi i okna. Okno w pralni czasem si zacinało, ale mimo to zawsze udało si je zamkn .

Zamkn tak, ale nie przekr ci klamk , pomy łała. Weszła do niewielkiego pomieszczenia, zatrzasn ła okno i spróbowała przekr ci klamk . Ale zamek nie chciał trzyma . Lata w wilgotnym pomieszczeniu zrobiły swoje. Framuga si wypaczyła.

wietnie, pomy łała. Teraz b dzie musiała zabezpieczy je jako inaczej, mo e jak desk z gara u... - Ale nagle do głowy przyszła jej okropna my l. A je li intruz jest ju w domu? Nie sprawdziła jeszcze pokoi na pi trze.

- Cholera - mrukn ła, odwróciła si i podeszła do schodów.

Zacisn ła z by.

Nie była na górze przez cały dzie . Na pewno nikt si tam nie ukrył. Ale czuła, e musi si upewni . Wiedziała, e nie zmru y oka, je li nie sprawdzi wszystkich k tów.

- Chod , Hershey, to wszystko przez ciebie - powiedziała do psa.

Wł czyła wiatło nad schodami i z młotkiem w spoconej r ce zacz ła wchodzi na skrzypi ce drewniane stopnie.

To jakie szale stwo. Okno na dole było otwarte i co z tego? Pies zachowywał si dziwnie, ale to przecie le y w jego naturze. Hershey nie nale ała do intelektualnej elity labradorów.

Na górze temperatura była znacznie wy sza. W tym pokoju nie było okien, tylko wietlik w dachu. Abby stan ła u szczytu schodów i wł czyła górn lamp .

Pokój był oczywi cie pusty.

Poza biurkiem i składanym fotelem.

Tu tak e nikt si nie ukrywał.

- Kłamczucha - powiedziała do Hershey i zajrzała do szaf. - Fałszywy alarm.

Hershey spu ciła potulnie głow i poło yła uszy po sobie, jakby si wstydziała.

- O tak, powinna si wstydzi - skarciła j Abby. Ciemne wilgotne oczy Dojrzały na ni ze skruch i Abby natychmiast ogarn ły wyrzuty sumienia. - Przepraszam, piesku. Robisz przecie tylko t

Usiadła na górnym schodku, poklepała sukno po karku i pozwoliła sobie polizać policzek.

Nie czepiaj się psa. Okno w pralni było otwarte, a na pewno tak go nie zostawiła. Ktoś inny musiał podciągnąć do góry. Albo zaczynasz tracić rozum.

Jak mama.

- Nie! - prawie krzyknęła i Hershey podskoczyła przestraszona. - Spokojnie, Hersh. Chodź, może znajdziemy jakieś ciasteczko.

Pies, jak zwykle pełen entuzjazmu, rzucił się w dół schodów. Abby zeszła za nim, a na dole usłyszała cichy dzwonek - znak, że piekarnik osiągnął daną temperaturę.

Hershey stała przy drzwiach i czekała jak opętana.

- O nie. O co chodzi, Hersh? Tym razem nie dam się nabrać. Mowy nie ma! - zawołała Abby, ale wchodząc do kuchni, zauważyła za oknem wiatła samochodu.

Znowu ogarnął ją niepokój. Hershey i okno w pralni wytraciły równowagę.

Węsi w garze.

Po chwili usłyszała chrzęst opon na podjeździe i warkot silnika. Wyrzała przez okno i zobaczyła czarnego mustanga. Zaraz potem samochód się zatrzymał i otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

Abby otworzyła usta ze zdumienia.

- Och nie - szepnęła. Za kierownicę siedział detektyw Reuben Montoya.

Na pewno nie przywoził dobrych wieści.

Rozdział 15

Montoya wysiadł z samochodu. Miał na sobie spłowiałe dżinsy, czarny podkoszulek i skórzany kurtkę. Serce Abby zabiło mocniej.

Nie zachowuj się jak idiotka. Nawet o tym nie myśl.

Otworzyła drzwi, zanim zdążył nacisnąć dzwonek. Hershey wybiegła na zewnątrz, mierzając ogonem i domagając się zainteresowania. Nie ma to jak dobry pies obronny.

- Spodziewa się pani kogo? - spytał Montoya z uśmiechem. Miał białe, bardzo białe zębiny i uroczy uśmiech, zdolny podbić serce każdej kobiety. Przyklął na jedno kolano i pogłaskał psa, który kręcił zadkiem i pomrukiwał z zadowolenia.

- Tylko pana, detektywie - odparła Abby. Ułożyła jej na jego widok. Po przeżyciach ostatniej godziny musiała ukoić nerwy. A może po prostu jest jedną z tych głupich kobiet, które mają słabość do twardych facetów?

Co to znowu za bzdury? Montoya jest policjantem. Pracuje nad sprawą morderstwa Nicka. I koniec na tym.

A jednak kiedy uśmiechnął się znowu, zmysłowo i chłopi co jednocześnie nie, ogarnęła ją fala gorąca. A więc detektyw Montoya pod twardą, oficjalną pozukrywa poczucie humoru. Przez to jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Ostatni raz, jakiej teraz potrzebowała, był mężczyzną.

W dodatku policjant.

O nie.

Detektyw z wydziału zabójstw.

Jeszcze gorzej.

Spójrz prawdziwie w oczy, Abby. Kim jesteś, żeby w ogóle myśleć o mężczyznach? Ostatni, o którym myślała, pewnie, właśnie nie został zamordowany.

- Spodziewała się pani mnie? - zapytał. - I dlatego podeszła pani do drzwi uzbrojona w młotek?

- Co? A nie... wbijałam gwoździe i... - Nie było to kłamstwo. Rzeczywiście wbijała

młotek na stoliku koło drzwi. Hershey wbiegła, a Montoya wstał. światło lampy lśniło w czarnych jak atrament włosach, uwydatniając regularne rysy twarzy.

Abby zaczęła się nagle zastanawiać, jak by to było całować się z nim...

Do tego!

Ale nie mogła się powstrzymać. Stali naprzeciw siebie, on na ganku, ona po drugiej stronie progu. Scena zrobiła się nagle do intymna.

- Jest pan sam? - spytała, choć znała odpowiedź. Wspięła się jednak na palce, by spojrzeć ponad jego ramieniem w stronę samochodu.

- Tak, dziś wieczorem mam występ solowy.

- Bez akompaniatora? - zapytała, krzyknęła cicho na piersi, jakby złamał jej serce.

Montoya uśmiechnął się krzywo.

- Mówi pani o Brinkmanie?

- To taki d entelmen - powiedziała sarkastycznie. - Z pewno ci uwielbiają go wszystkie kobiety, z którymi pracuje.

- Niezupełnie.

- A to niespodzianka... - Abby wiedziała, że flirtuje, ale nie była w stanie się powstrzymać. - A więc, detektywie...

- Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Reuben.

- Czy rzeczywiście ktoś ci tak nazywa?

- Tylko matka - odparł ze śmiechem.

- A reszta?

- Poza ciotkę, która uparcie mówi do mnie Pedro, ponieważ to imię, które otrzymałem przy bierzmowaniu, oraz bracia i siostrami, którzy wołają mnie Reu, wszyscy nazywają mnie po prostu Montoya.

- Może by... - odparła. - A więc, Montoya, oficjalnie czy nie, przyjechałeś tu z jakiego powodu. - Odsunęła się od drzwi, bez słów zapraszając go do środka. - Powiesz mi, o co chodzi?

Kiwnął głową i wszedł za nią do domu.

Abby spojrzała w stronę przytulnego salonu, pełnego witrażowych lamp, antyków i wzorzystych poduszek, i doszła do wniosku, że łatwiej jej zebrać się w jakimś bardziej przestronnym pomieszczeniu, może w kuchni albo w jadalni...

- Czy coś się pali? - zapytał Montoya.

- Cholera! Nie... włączyłem nie! - Abby wbiegła do kuchni. Ansel, wystraszony, uciekł do jadalni. - Włączyłem nie robiłam kolacji... Jestem... skromna, ale... Może miałbyś ochotę zjeść ze mną? - zaproponowała, czując, że się czerwieni tak samo, jak wtedy, kiedy spontanicznie zaprosiła Tary'ego Hilliarda na potańcówkę.

Montoya wziął do ręki butelkę z czerwonym winem i uśmiechnął się na widok etykiety.

- Nie jestem na służbie - zaznaczył i spojrzał na Abby tymi brzoźowymi, nieprawdopodobnie seksownymi oczami. - To najlepsza propozycja, jaką otrzymałem od lat.

- Naprawdę? - zaczęła się Abby. - W takim razie chyba powinieneś dobrze zastanowić się nad swoim życiem.

- Już to zrobiłem. - Nalał wina do dwóch kieliszków.

Abby zdjęła folię z pizzy, otworzyła saszetkę z tartym parmezanem i puszkę oliwek, a potem szybko pokroiła w plasterki pomidora i cebulę. Ułożyła to wszystko na pizzy i wsunęła ją do piekarnika.

- Dlaczego mam wrażenie, że przynosisz złe wieści?

- A czy bywają dobre wieści?

- Kiedyś myślałam, że tak. Teraz nie jestem już taka pewna, a fakt, że pojawił się

wróć y nic dobrego, prawda?

- Chyba tak. - Podał jej kieliszek, upił łyk ze swojego i przycupnął na jednym ze stołków. Poły jego kurtki rozchyliły się trochę i Abby dostrzegła rewolwer w kaburze na szelkach. Uświadomiła sobie, że detektyw Reuben Montoya jest przede wszystkim policjantem. Może pić wino, miało się flirtować i bawić z jej psem, jakby ponad wszystko na świecie uwielbiał brzoźwe labradory, ale wszystko to nie zmienia faktu, że prowadzi śledztwo w sprawie śmierci jej byłego męża. I by może nadal uważała, że ona ma z nim jakiś związek.

- Do tej pory słyszałam od ciebie tylko bardzo niepokojące wiadomości. O co chodzi tym razem?

- O Charlesa Pomeroya - odparł i postawił kieliszek na kuchennym stole.

- To znaczy?

- Nie widziała wiadomości?

Abby ogarnęła złe przeczucia. Ulga, jakiej doznawała przez ostatnich dziesięć minut, zniknęła bez śladu.

- Nie, pracowałam. Byłam w studiu. - Wskazała ruchem głowy drzwi na tyłach domu i upiła łyk wina. Było zaskakująco dobre. - Nawet nie włączyłam radia. Co się stało?

- Zaginął.

- Zaginął? - Złe przeczucia przybrały na sile. - Charles? Mój ślad?

- Tak. Ubiegłej nocy. Nie wiemy co się wydarzyło, ale ponieważ to twój ślad, pomyślałem, że wstępnie sprawdzę, czy u ciebie wszystko w porządku.

- W jak najlepszym - powiedziała Abby. Z piekarnika zaczął dobiec apetyczny zapach topniejącego sera i pomidorów. Nagle przypomniała sobie o otwartym oknie w pralni.

- Chodziła po domu z młotkiem bez żadnej ważnej przyczyny?

- Mówiłam już, nie...

- Wiem, co mówiła, ale kiedy otworzyła drzwi, wyglądała, jakby ci uderzyła i ciskała młotek z całej siły.

- Zauważyła to wszystko?

- Jestem policjantem - odparł.

Nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi poważnie. Zapewne jednak to drugie, skoro przyjechał, żeby powiedzieć jej o Charlesie.

- W porządku, detektywie, przyłapałem mnie. Pies zachowywał się tak, jakby ktoś był w domu, musiałam to sprawdzić.

- Z młotkiem?

- Akurat był pod ręką.

- Masz tu chyba system alarmowy, prawda? - Odwrócił głowę w stronę tylnych drzwi. Żółta nalepka na szybie informowała wszystkich intruzów, że dom jest podłączony do najbliższego komisariatu policji.

- Te nalepki zostawił poprzedni właściciel, tak naprawdę nie ma tu żadnego alarmu. - Wzruszyła ramionami. - I chyba nigdy nie było.

- To go zainstaluj - powiedział Montoya bez cienia uśmiechu.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Nie wiemy, co się stało z Pomeroyem, ale nie wygląda to dobrze - odparł i krótko opowiedział o zniknięciu Asy.

- To wszystko zdarzyło się przy tej drodze? - spytała, choć znała odpowiedź.

- Tak. Może liwe, że Charles wyjechał, nie mówił nikomu, dokąd się wybiera, ale to mało prawdopodobne. Wszystkie agencje zostały już zaangażowane, lokalne, stanowe, a także FBI.

- Dlatego e jest bogaty? - spytała. - To chyba nie w porz dku.

- Owszem. Ale Pomeroy to wa na osobisto , ma zakłady na całym Południu. Siedziba jego firmy znajduje si w Nowym Orleanie, ale fabryki i magazyny s rozsiane w całej Alabamie, Teksasie, a nawet w Georgii. Mo liwe, e został porwany i wywieziony poza granice stanu. Pracuj w wydziale zabójstw, ale na razie nie ma dowodów na to, e Charles nie yje. Pewne jest raczej tylko to, e zagin ł. Kiedy byłem u ciebie ostatnio, obiecałem, e powiadomi ci , je li w twoim s siedztwie wydarzy si co podejrzanego.

- Ale przecie nie jeste na słu bie.

- Zgadza si .

- To mo e jeszcze kto pojawi si u mnie w tej sprawie...? Oficjalnie.

- Mo e. Zale y, co si stanie. Powiedz mi, co tu widziała i słyszała ? O wszystkim, co zwróciło twoj uwag .

- Nie wiem... Wła ciwie nic. - Z roztargnieniem wzi ła do r ki kuchenn r kawic . Ci gle była zbyt zaskoczona, eby znaczenie tego, co si stało, w pełni do niej dotarło. - Byli cie u Stintsonów? - spytała. - Mieszkaj po drugiej stronie ulicy. Charles i Mark znaj si z jakiego klubu dla pilotów... Obaj maj samoloty. A Vanessa i Celia graj razem w bryd a czy w golfa...

- Tak, kto ju z nimi rozmawiał. Przesłuchujemy wszystkich, którzy znali As .

- To mo e troch potrwa .

Abby wyj ła pizz z piekarnika, pokroiła j i poło yła po kawałku na dwóch małych talerzykach. Jeden podała Montoi. Potem usiadła obok niego na stołku, ale nawet nie spojrzała na swój kawałek pizzy. Od wielu godzin była głodna, a teraz nagle nie miała ochoty najedzenie. Wiadomo o znikni ciu Pomeroya odebrała jej apetyt

- Przyjechałe zapyta , co wiem o Pomeroyu i czy co widziałam - stwierdziła. Miała ochot doda : „pod pozorem troski”, ale si powstrzymała.

Montoya spojrział jej w oczy.

- Przyjechałem, eby ci ostrzec. - Wzi ł do r ki pizz i odgryzł kawałek. - I upewni si , e jeste bezpieczna.

- Nawet nie znam Charlesa Pomeroya.

Montoya kiwn ł głow .

- To chyba dobrze.

- Chyba tak.

- Jedz - powiedział, wskazuj c pizz . - Jest bardzo dobra.

- Niemo liwe.

Montoya dolał wina do kieliszków, a Abby w ko cu ugryzła kawałek ciasta. Tak jak przypuszczała, Montoya kłamał. Pizza smakowała jak surowa cebula na tekturze.

Montoya milczał, prze uwaj c swój kawałek, a potem powiedział lekko:

- Słyszałem, e była w starym szpitalu.

Omam si nie udławiła.

- Sk d wiesz?

Powiedziała o tym tylko Ginie, a nie przypuszczała, by siostra w chwil potem podniosła słuchawk telefonu i zadzwoniła na policj w Nowym Orleanie.

Czy by była pod obserwacj ?

A je li tak, to czemu Montoya jej o tym powiedział?

- Siostra Maria to moja ciotka - wyja nił i upił łyk wina.

Abby poczuła, że się czerwieni.

- Zadzwoń na policję ?

- Nie - Montoya u siebie się rozbrajać. - Gdyby chciała cię ukarać, kazałaby cię ukłonić i zmówiłaby dziesięć razy różaniec. To ja do niej zadzwoniłem, żeby spytać, co się tam dzieje w związku ze sprzedażą szpitala i planami jego wyburzenia. A ona wspomniała, że widziała się z tobą.

Takie właśnie mam szczęście, pomyślała Abby. Musiałam się tam nadziać na siostrę Marię, Rozplotkowaną Zakonnice. Zmusiła się do zjedzenia jeszcze jednego kawałka pizzy.

- Powiedziała, po co tam pojechałam?

- Nie. Chociaż o to zapytałam.

- A teraz pytasz mnie?

Nie odpowiedział.

- To nic ważnego. - Abby doszła do wniosku, że może pozwolić sobie na szczerą. - Idź za radą psychiatry, do którego chodziłam kilka lat temu, postanowiłam pojechać do szpitala i zmierzyć się z przeszłością. Zobaczysz jeszcze raz miejsce, w którym mama spędziła swoje ostatnie dni. Pełniła samobójstwo w dniu trzydziestych piątych urodzin, a moich piętnastych, Bacz się z okna swojego pokoju... z zamkniętego okna. - Zadrżała i dodała: - Ale o tym już wiesz, prawda? Domyślam się, że wiesz o mnie znacznie więcej, niż chciałabyś powiedzieć, i zastanawiam się, dlaczego? - Ze złości odsunęła od siebie talerz, który niemal nie spadł z blatu. Nie zwróciła na to uwagi. - O co właśnie ciwie chodzi? Jestem podejrzana? O co? O zabójstwo Nicka? Porwanie Pomeroya? Samobójstwo matki? - Spojrzała na Montoyę gniewnie. - No, dalej, detektywie, o co tu właśnie ciwie chodzi? Powiedz prawdę, nie oszczędzaj mnie. Ciocia Maria mówiła ci chyba, że szczerze wyznanie to lek dla duszy?

Montoya u siebie ani trochę niezakończony. Do diabła z nim!

- Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Mam w to uwierzyć? Po tym, jak nastąpiła na mnie szpiegów z zakonu? - Duszyła się po prostu ze złości, ale Montoya był raczej rozbawiony tym wybuchem.

- Wierz, w co chcesz - powiedział, wycierając ręce w papierowy ręcznik, który leżał na blacie.

- Dobrze.

Montoya wyrzucił za siebie kawałek papieru do kosza na śmieci.

- Wszystko w porządku? Nic się tu nie działo?

Jeżu, facet nie daje łatwo za wygraną.

- Poza tym, że mam psa z neurozami i kota z paranoją, wszystko w najlepszym porządku. - Przez chwilę miała ochotę opowiedzieć mu o dziwnym zachowaniu Hersh i o otwartym oknie, ale nie uległa pokusie. Nie chciała wyjść na strachliwą kobietkę, a poza tym w domu nikogo nie było.

Sprawdziła to, prawda?

Montoya rozejrzył się po kuchni.

- Cóż, dzięki za kolację.

- Jeśli można to tak nazwać.

Znowu u siebie się tym zarażam, rozbrajać cym u siebie.

- To była najlepsza kolacja, jaką jadłem od bardzo, bardzo dawna. - Abby zaczęła protestować, ale powstrzymał ją gestem. - Poważaj się.

- Łatwo cię zadowolę.

- Mo e. - Spojrzał jej w oczy i Abby nagle zabrakło tchu w piersi. - Jakby tak si nad tym zastanowi , mo e i tak.

Był seksowny jak wszyscy diabli w tej czarnej skórzanej kurtce i spranych d insach. Domy łała si , e dobrze wiedział, jak zawróci kobiecie w głowie, co powinno j od niego odrzuci . Postanowiła, e b dzie bardzo ostro na. Niewinny flirt to jedna sprawa, zakochanie si w m czy nie jego pokroju to ju co zupełnie innego. Był poza zasi giem.

- Posłuchaj - powiedział, kiedy odprowadzała go do drzwi. - Je li co ci si przypomni albo zauwa ysz co niepokoj cego, zadzwo . - Rzucił jej spojrzenie, które mogła zinterpretowa na tyś c r ó nych sposobów. - Masz mój numer.

- Mówiłam ju . Nic nie wiem.

Otworzyła drzwi.

Montoya zawahał si na progu.

- B d ostro na - powiedział w ko cu.

Przez chwil nie była w stanie wykrztusi słowa.

- Do... dobrze.

- To nie arty. - Był miertelnie powa ny. Jedn r k dotkn ł lekko jej ramienia, drug oparł o drzwi. - Co si tu dzieje. Nie wiem, o co chodzi, ale nie podoba mi si to. Zainstaluj tu system alarmowy. Jak najszybciej.

- Zaczynam si ba .

- To dobrze. O to mi chodziło - powiedział spokojnie.

- W porz dku - odparła, czuj c, e zaschło jej w gardle.

Spojrzał na młotek, le cy na stoliku przy drzwiach

- Mo e to i niezły pomysł. Nie jestem zwolennikiem pogl du, e cywile powinni nosi rewolwery i chodzi z niebezpiecznymi psami, ale... uwa aj na siebie. - Zmarszczył brwi. - Mo e przydałby ci si wi kszy.

- Rewolwer czy pies?

- Młotek.

- Na przykład młot pneumatyczny?

- Tak - kiwn ł głow . - Młot pneumatyczny byłby w sam raz - powiedział bez u miechu. A potem zbiegł szybko ze schodków, kul c ramiona w deszczu, wsiadł do samochodu i odjechał. Abby patrzyła przez chwil na niktne w oddali tylne wiatła mustanga.

- Słyszała , Hershey? Młotek. Zdaje si , e za bardzo w ciebie nie wierzy, prawda?

Zamkn ła drzwi na zasuw i poszła do sypialni, staraj c si nie ulec przygn bieniu, które zacz ło j ogarnia . Prawie nie znała tego człowieka. Nie ufała mu. Ale teraz, kiedy odjechał, dom nagle wydał jej si pusty.

To głupie.

Słowa ostrze enia ci gle brzmiały jej w uszach. Mo e czas naładowa t trzydziestk ósemk . Amunicja le ała w pudełku w szafie.

Otworzyła szuflad , ale rewolweru tam nie było.

Niemo liwe! Przecie widziała go tu zaledwie kilka dni temu!

Co si z nim stało?

Usiadła na łó ku. Wiedziała, e mo e zadzwoni do Montoi, ale postanowiła tego nie robi . Jeszcze raz zajrzała do szuflady, a potem podeszła do nocnej szafki po drugiej stronie łó ka. Otworzyła szuflad , modl c si w duchu, by rewolwer tam był. Mo e zapomniała, w której szafce go widziała?

Nic z tego.

Rewolweru nie było.

A na dole kto otworzył okno.

Kto był w domu.

Kto wszedł przez okno i ukradł rewolwer.

Abby czuła, że ogarnia ją panika. Przez następne pół godziny przeszukiwała sypialnię i resztę domu w nadziei, że schowała broń gdzie indziej. Ale nie znalazła jej.

Kto ją zabrał?

I co miał zamiar z nią zrobić?

Rozdział 16

Stary człowiek czekał.

I bardzo dobrze, pomyślał, podchodząc w ciemności do ogrodzenia. Furgonetka stała za szopą przy opuszczonym młynie. Doszedł do wniosku, że teraz nie będzie już mógł ryzykować i zostawić samochodu tak blisko rezydencji Pomeroyów.

Nie czuł się tak ożywiony od czasu, gdy zabił Niemca i tę dziewczynę. Teraz, kiedy Pomeroy zniknął, ryzyko było znacznie większe. Wkrótce pojawi się tu FBI. Zamontują w domu podsłuch i będzie czekał na danie okupu, które nie nadejdzie.

Postanowił się spieszyć. Dlatego włączył nie ryzykował. Wszedł do domu Abby, kiedy pracowała w studiu i zwinął rewolwer z szuflady w sypialni.

Spędził tam trochę czasu.

Mimo niebezpieczeństwa leżał jakiś czas na łóżku, wdychając jej zapach i wyobrażał sobie, jakby to było czuło pod sobą jej ciało.

Miał wielką ochotę zrobić jej niespodziankę. Drżał na myśl o tym i zaciskał palce na kierownicy.

Cierpliwie czekał.

Jej czas wkrótce nadejdzie.

Otworzył bramę, wyjechał, a potem znowu zamknął bramę na łańcuch. Deszcz, który padał przez cały dzień, trochę zelżał. Odetchnął głębiej bokiem, wilgotnym powietrzem. Potem wyjechał ostro na drogę i w końcu włączył wiatła.

Dwadzieścia cztery godziny - tyle czasu dał staremu na zastanowienie się nad swoim życiem.

Teraz pora je zakończyć.

- Cholera! - Hannah Jefferson rzuciła ołówkiem w ścianę. Ołówek zdrapał trochę farby pod dyplomem, który otrzymała w 2002 roku, kiedy uzyskała tytuł Afroamerykańskiej Kobiety Roku w Biznesie, przyznany jej przez miasto Nowy Orlean. Ołówek wpadł za szafę z segregatorami.

- Wietnie, Hannah. Doskonały rzut - burknęła pod nosem zła, że dała się ponieść emocjom. Było już późno, po dziesięć tej, i w Crescent City Center poza nią nie było nikogo. Pracowała od dwunastu godzin i czuła się sfrustrowana, co w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy zdarzało jej się do stu. Zadowolona, że nikt nie widział wybuchu, podeszła do szafy i spróbowała wyjąć ołówek, ale bez skutku. Szafa była ogromna i wypchana po brzegi aktami pacjentów, którzy wkrótce będzie musieli poszukać sobie nowej placówki terapeutycznej.

Chyba że uda jej się wydobyć skąd pieniądze.

Hannah zastukała ju do drzwi wszystkich, na których mogła liczyć. Wiele razy. Czując, że przydałaby jej się nowa lista bogatych filantropów.

Za pomoc wieszaka na ubrania wyciągnęła ołówkę zza szafy, otarła go serwetką i włożyła do stojącego na biurku kubka.

- Bo e, Bo e, daj mi siły - powiedziała, wkładając płaszcz przeciwdeszczowy. Zrobił się trochę za ciasny i Hannah przypomniała sobie, że powinna przestrzegać diety, ale była zbyt przygnębiona, by myśleć o obwodzie talii zbyt przygnębiona i zestresowana. Niektórzy z jej przyjaciół palili papierosy, kiedy się zdenerwowali, inni nie mogli wtedy patrzeć na jedzenie. Hannah natomiast w trudnych chwilach jadła dwa razy tyle co zwykle - a teraz przechodziła bardzo trudne chwile. Wyglądało na to, że jeśli nie uda jej się znaleźć funduszy, centrum zostanie wkrótce zamknięte.

Poruszyła zeszytniętą szyję, wzięła wiatła i spojrzała na ulicę przez oszklone drzwi. Już dwa razy tego dnia widziała tam sylwetkę mężczyzny.

Wiedziała, jak radzi sobie z takimi osobami. W końcu w centrum zajmowano się właśnie nie ludźmi, którzy potrzebowali pomocy psychologicznej. Poważniejsze przypadki odsyłano do szpitala, ale większość osób, z którymi się stykała, wymagała terapii, leczenia albo po prostu rozmowy. W centrum pracował nieodpłatnie jeden lekarz i dwie pielęgniarki; reszta personelu stanowili psychologowie i pracownicy socjalni.

Hannah pracowała tu już od piętnastu lat i widziała wielu dziwnych ludzi. Zastanawiała się, dlaczego tego wieczoru poczuła się niepewnie na widok mężczyzny stojącego po drugiej stronie ulicy.

Szósty zmysł?

A może po prostu jest przemoczona?

Wzięła system alarmowy, włożyła parasol pod pachę, wyciągnęła z torebki klucze i otworzyła drzwi ramieniem. Na zewnątrz było mokro i wietrznie. Było zupełnie pusto. Od czasu do czasu jakiś samochód przejeżdżał obok, rozbryzując wodę w kałuże.

Pod latarnią po drugiej stronie ulicy nie było już nikogo.

Odetchnęła i zamknęła za sobą drzwi, myślicie o restauracji, w której jej matka, teraz dobiegająca osiemdziesiątki, wciąż podawała najlepsze krewetki po kreolsku w całej Luizjanie. Rodzice nauczyli wszystkie swoje dzieci kochać Bogę i cięko pracować. Bez względu na to, jak trudno było im w końcu zkończyć, Franklin i Esmeralda Brownowie chodzili do kościoła, śpiewali w chórze i wspierali misję. Tęgo samego wymagali od swoich dzieci. W dobrych i złych czasach trwali w niezachwianej wierze.

Nawet wtedy, kiedy urodził się Martin, ich najmłodszy syn. Od początku były z nim problemy. Esmeralda, która wydała na świat sześć zdrowych dzieci, omal nie umarła przy porodzie siódmego. Cesarskie cięcie i transfuzja uratowały jej życie, ale dziecko było słabe i chorowite przez cały pierwszy rok życia. Może to właśnie nie trudny i ryzykowny poród był przyczyną późniejszych problemów Martina? Cokolwiek było tego powodem, Martin zawsze był inny.

Zawsze.

W ciągu swojego trzydziestotrzyletniego życia był w kilku poprawczakach, szpitalach psychiatrycznych, a w końcu w więzieniu. Nigdy nie dojrzał emocjonalnie. Hannah, starsza od brata o dwadzieścia dwa lata, przez Martina po raz pierwszy zetknęła się z problemami osób zaburzonych psychicznie. Testy wykazały wprawdzie, że Martin jest normalny, a nawet inteligentny - a jednak zawsze coś było z nim nie tak. Był wybuchowy i agresywny. Wielu psychiatrów próbowało mu pomóc, łącznie z doktorem Hellerem ze Szpitala Naszej Pani od Cnót, ale Martin został społecznie niedostosowany.

Ludzie tacy jak Martin potrzebują tego centrum. Hannah czuła, że nie może zawieść lokalnej społeczności. Musi walczyć, by placówka działała nadal.

Przełożyła torebki, aktówki i parasol do jednej ręki, a później zabezpieczyła drzwi metalowymi kratami. Zamknęła kraty na klucz i potrzebowała ni dla pewno ci.

Otworzyła parasol i pobiegła szybko wysypanym wierzchem do samochodu. Buick, jej duma i radość, stał tam, gdzie zawsze, na małym parkingu za budynkiem. Wiatr szarpał parasolem, zacinając deszczem. Hannah znowu poczuła niepokój, który drczył ją cały dzień. Odwróciła się przez ramię, ale nikogo nie zobaczyła. Na dziedzińcu było zupełnie pusto. Dlaczego więc czuła się tak dziwnie?

Weszła do garażu, Hannah, pomyślała, i ruszyła dalej, zastanawiając się, skąd weźmie pieniądze, których centrum tak bardzo potrzebuje. Doszła do wniosku, że przydałaby jej się pomoc kogoś znanego. Kogoś, komu ludzie ufają. Do głowy przyszedł jej Gregory Ray Furlough, kontrowersyjny kaznodzieja z telewizji. Nigdy dotąd nie zwracała się do niego z prośbą o pomoc finansową; wydawał się jej zawsze zbyt nadęty. Ale nadszedł czas, by zapomnieć o dumie. Tak, spróbuje się z nim spotkać osobiście. A później jeszcze raz zwróci się do Charlesa Pomeroya, innego bogacza, za którym nie przepadała. Pomeroy handlował bronią i zmieniał opony jak rękawiczki, ale potrafił być hojny, jeżeli uznał, że sprawa jest tego warta. Poza tym Charles miał syna, który zmagał się z emocjonalnymi i psychicznymi problemami.

Znowu będzie musiała się słodko uśmiechać, prosić i uważać, by nie powiedziec czegoś, co mogłoby mu się nie spodobać.

Podeszła do samochodu, walczyła z parasolem. W ciemności weszła w kałużę i przemoczyła buty. Rozejrzała się i zrozumiała, dlaczego jest tak ciemno. Lampa w jedynej latarni na parkingu musiała się przepalić.

Dziwne.

Znowu ogarnęły ją złe przeczucia.

Tak, to na pewno przepracowanie daje się jej we znaki. Wszystko jest dzisiaj niepokoi.

Musi wrócić do domu, wziąć prysznic, nalać sobie i Wally'emu po kieliszku wina, a potem uciec z nim partyjkę scrabble. Wally pewnie już na nią czeka, jak zawsze od trzydziestu sześciu lat. Odkąd zostali małżeństwem.

Jest takim dobrym człowiekiem; zawsze mogła na niego liczyć.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła kluczyki, ale tego wieczoru wszystko szło jak po grudzie. Zamek w samochodowych drzwiczkach musiał się zaciąć. Nie mogła ich otworzyć.

- No, dalej - mruknęła pod nosem zdenerwowana. - Na lito bosk!

Otworzyła torebkę, by wyjąć telefon komórkowy, gdy nagle wyczuła za sobą czyją obecność. Odwróciła się gwałtownie i zamachnęła parasolem, ale było już za późno. Poczuła na szyi dotyk zimnego metalowego przedmiotu, a chwilę potem jej ciałem wstrząsnęło kilka tysięcy woltów. Krzyknęła. Kolana się pod nią uginały. Zamachała rozpaczliwie ramionami. Nie mogła oddychać. Nie była w stanie myśleć.

Szybko i sprawnie, jakby robił to już przedtem wiele razy, napastnik zakleił jej usta taśmą, podniósł kluczyki, które upadły na ziemię, i zdmknął je z zamka w drzwiczkach. Potem wpełznął bezceremonialnie na tylne siedzenie samochodu. Hannah nie była w stanie się ruszyć, patrzyła bezradnie, jak podniósł z ziemi co jeszcze... jej torebki i parasol. Rzucił je na przednie siedzenie od strony pasażera.

Ogarnęła ją panika. Chciała uciekać, ale członki odmówiły jej posłuszeństwa. Napastnik był szybki, skręcał jej nogi w kostkach, a później boleśnie wykręcił rękę do tyłu, związał ją nadgarstki i zawiązał oczy.

Wszystko to trwało mniej niż dwie minuty, w czasie których ani razu się nie odezwał. Potem usiadł za kierownicą i samochód ruszył. Hannah miała wrażenie, że ten człowiek, kimkolwiek był, planował to

nawet miesi cy.

Ale po co?

Dobry Jezu, pomó mi! Hannah dr ała na całym ciele, pod powiekami czuła gor ce łyzy. Usiłowała zebra my li i opracowa jaki plan ucieczki. Mo e zdoła wyskoczy z jad cego samochodu? Ale porywacz, jakby czytał w jej my lach, zamkn ł zamek zabezpieczaj cy przed wypadni ciem.

Zwolnił i wyjechał na ulic .

Bo e, gdzie on j zabiera?

My l, my l! Twoja komórka! Gdyby tylko udało ci si wystuka 911...

Napr yła mi nie ze wszystkich sił, była jednak zwi zana, a telefon znajdował si w torebce, le cej na przednim siedzeniu.

Wiedziała, e nie ucieknie.

Czuła, e musi zachowa spokój i stara si znale pocieszenie w wierze. Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagaj . Mo e przynajmniej skupi si na drodze. Nic nie widziała, ale znała miasto jak własn kiesze . Centrum znajdowało si dwie przecznice od Esplanady, a samochód od razu skr cił na zachód. Przez jaki czas jechał powoli, a pó niej przyspieszył i wiatła ulicznych latarni, przenikaj ce przez opask na oczach Hannah, znikn ły. Czuła, e znale li si na autostradzie, ale nie miała poj cia, w jakim kierunku jad .

Nagle w samochodzie rozległa si stłumiona muzyka i łyzy napłyn ły jej do oczu. Rozpoznała melodi , któr ustawiła w komórce jako sygnał poł czenia z domu. Wally. Wally ju czeka. Nalał wino do kieliszków, rozło ył na stole w kuchni scrabble. ciskał j w gardle. Spó niła si dziesi minut, a on ju si niepokoi. Kocham ci , pomy lała. Przypomniała sobie jego twarz i dzie lubu, i noc po lubn , kiedy kochali si po raz pierwszy w swoim male kim mieszkanku. Nie pojechali w podró po lubn z oszcz dno ci. Przez pi lat pracowali i studiowali, spłacali po yczk i yli ze stypendiów. Postanowili wówczas, e nie b d mieli dzieci, bo oboje chcieli pomaga swoim du ym rodzinom i rodze stwu. Wally został nauczycielem, a Hannah, z powodu Martina, zdecydowała, e po wi ci si pracy z chorymi psychicznie.

Teraz, kiedy le ała zwi zana na tylnym siedzeniu swojego samochodu, wszystko to wydało jej si tak strasznie odległe.

Telefon przestał dzwoni i Hannah ogarn ło uczucie osamotnienia.

Nie dawaj za wygran , Wally! Prosz !

Dziesi minut pó niej telefon zacz ł wygrywa t sam melodi . Porywacz nie zwracał na to uwagi. Jakby w ogóle go to nie obchodziło. Jakby miał to gdzie . Czy nigdy nie słyszał o GPS?

Telefon umilkł. Hannah niemal słyszała niepokój w głosie m a, kiedy zostawiał kolej na wiadomo w poczcie głosowej.

Porywacz w milczeniu prowadził samochód. Hannah domy liła si , e byli ju gdzie poza miastem. Kiedy telefon zacz ł dzwoni po raz trzeci, omal nie wybuchła płaczem.

Mniej wi cej po godzinie samochód zjechał z autostrady w jak kr t drog . Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy i umilkł... zapewne Wally zacz ł teraz dzwoni do rodziny i przyjaciół.

Nagle samochód zwolnił, skr cił gwałtownie w prawo i podskakiwał na nierównej nawierzchni. Hannah słyszała, jak trawa i niskie krzaki uderzaj o podwozie. Bo e, dok d j wiezie ten szaleniiec?

W ko cu si zatrzymali. Porywacz otworzył drzwiczki i Hannah poczuła wilgotny, ziemisty zapach lasu i bagien.

Zacisn ła z by. Nie podda si bez walki.

Kiedy otworzył tylne drzwiczki, wierzgn ła.

- Mam rewolwer - powiedział. - Nie ruszaj się. - Dotknął jej uda jakim przedmiotem z zimnego metalu. - I nóż - dodał, przejeżdżając po jej nodze w swoim chłodnym ostrzem.

Hannah omal nie straciła panowania nad sobą. Teraz była już pewna, że chce ją zabić. Jeśli by gdzie miała szczęście, po prostu ją zastrzelili. Nie wyjdzie z tego żywa.

Boże, pomóż mi, proszę. Daj mi siłę.

Porywacz wsunął jej nóż między nogi i rozciął ją, krępując jej kostki. Chciała go kopnąć, ale chwycił jej stop i wykręcił boleśnie. Jęknęła.

- Suka! - warknął. - Nie rozumiesz?

O tak, rozumiała. Ten człowiek chce ją skrzywdzić.

Wywłókł ją z samochodu i chociaż nie zaliczała się do drobnych, jednym ruchem poderwał ją na nogi. Później szturchnął ją łufą rewolweru.

- Idź - powiedział.

Czy już słyszała kiedyś ten głos?

Ruszyła przed siebie w ciemność, drżąc ze strachu. Stopy zapadały jej się w błocie, ale szła przed siebie, a potknęła się o coś i zachwiała.

- Do góry - rozkazał. - Dwa stopnie.

Opanowała strach i posłusznie weszła na dwa schodki, czując na karku oddech porywacza. Skrzyknął ją jedne drzwi, potem drugie. Serce biło jej bardzo mocno, bała się, że za chwilę eksploduje.

- Do rodka! - Znowu pchnął ją w plecy łufą rewolweru.

Znalazła się w domu, czuła to, chociaż nie widziała. Dom musiał być zupełnie pusty, bo jej kroki odbijały się echem od ścian, a w powietrzu unosił się zapach kurzu, brudu i czegoś jeszcze... Uryny?

Zwierzęcej?

A może ludzkiej?

Ogarnij ją, młodości.

- Stój - powiedział jej do ucha. Poczowała na policzku zimne ostrze noża. Stał tuż za nią, przyciśnięty do jej pleców. Nigdy dotąd nie zaznała takiego strachu i samotności, jak w tej chwili.

Poruszył się, objął ją w pasie ramieniem i przesunął nożem w dół jej policzka, a potem szyi. Teraz wyraźnie czuła, że miał erekcję. Podniecało go to.

Nie była w stanie powstrzymać łez. Straciła resztki nadziei. Kolana ugięły się pod nią nagle i gdyby jej nie powstrzymywał, na pewno by upadła.

Jeżu, daj mi siłę.

W chwili, kiedy była pewna, że zaraz poderwie jej gardło, odsunął się od niej i przeciął ją krępując jej nadgarstki. Gdyby domyśliła się wcześniej, że to robi, mogłaby skorzystać z okazji i spróbować się uwolnić, ale zanim się zorientowała, co się stało, mężczyzna przyłożył znowu nóż do jej szyi i wcisnął jej do ręki rewolwer.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Strzelaj - rozkazał. Trzymał jej rękę silną dłoń w rękawiczce.

Co?

Wycelował rewolwer w dół i wtedy Hannah usłyszała ten głos... stłumiony krzyk?

Był tu ktoś jeszcze.

- Strzelaj, Hannah!

Na d wi k swojego imienia omal nie zwymiotowała. A wi c była cz ci jakiego makabrycznego planu. M czyzna przycisn ł jej ostrze no a do gardła.

- Strzelaj i sko cz to.

Nie ró b tego. Hannah, nie ró b tego... Dzieje si tu co straszneho, co jeszcze gorszego, ni pocz tkowo s dzia .

Znowu rozległ si przytłumiony odgłos.

Tu przed ni . Dobiegał z miejsca, w które wycelowany był rewolwer. Jezu, do czego próbuje zmusi j ten człowiek?

Próbowała si wyrwa , ale on tylko mocniej zacisn ł palce na jej dr cej dłoni. Wycelował i nacisn ł spust.

Rozległ si ogłuszaj cy huk wystrzału.

A zaraz potem stłumiony j k.

O Bo e, co ona zrobiła?

W powietrzu unosił si teraz zapach prochu i krwi.

- Zemsta - mrukn ł m czyzna i zerwał opask z oczu Hannah.

Zamrugła, a po chwili oczy przyzwyczały si do wiatła. W k cie wyło onego drewnem pomieszczenia paliła si jedna arówka.

- O Bo e, nie - wyszeptała, kiedy dotarło do niej, co zrobiła.

Pot ny, siwowłosy m czyzna, z twarz wykrzywion przera eniem, patrzył na ni niewidz cymi oczami. W jego piersi ziała krwawa dziura.

Poznała go natychmiast. Gardziła nim, ale miała zamiar zwróci si do niego z pro b o pomoc finansow . Teraz patrzyła, jak Charles Pomeroy wydaje ostatnie tchnienie.

- Nie... nie... nie...

Trz sła si jak w febrze, próbowała si cofn , wypu ci rewolwer z r ki, ale potwór, który ci gle stał za ni , zaciskał palce na jej r ce. Spojrzała w dół. Trzymała w dłoni colta kaliber czterdzie ci pi . Jej m miał dwa takie rewolwery.

M czyzna podniósł jej r k do góry i przytkn ł luf do skroni. Ze ci ni tym gardłem zmówiła ostatni modlitw .

Panie, zabierz moj dusz do siebie. Zaopiekuj si Wallym... Wally, tak ci kocham...

Rozdział 17

Maury Taylor patrzył na list, który trzymał w r ce, i wiedział, e to czyste złoto.

List przyszedł do radia w białej kopercie z imieniem i nazwiskiem Nicka wypisanym drukowanymi literami, ale bez adresu zwrotnego.

Od mierci Giermana do radia przychodziło mnóstwo listów i kartek pocztowych, nie wspominaj c ju o e-mailach. Facet był bardziej popularny po mierci ni za ycia, podobnie jak program, który kiedy prowadził, co bardzo odpowiadało Maury'emu. Kierownik stacji napomynał o tym, e Maury zostanie w przyszło ci gospodarzem programu na stałe. B dzie si to oczywi cie wi zało ze zmian nazwy audycji, na przykład na *Maury Taylor przedstawia...* W ko cu i dla niego za wieciło sło ce. Wkrótce dostanie to, co mu si nale y.

Szkoda, Nick.

Miało pecha.

Zdaniem Maury'ego Nick był palantem, ale kto nie skorzystałby ze sposobno ci współpracy przy tworzeniu popularnego programu? Niewielu ludziom udało si wzbogaci na pracy w radiu, ale Nick pokonał wszelkie bariery i s - dz c z liczby listów, kartek i telefonów, zdołał dotrze do tysi cy ludzi.

Teraz nadeszła kolej Maury'ego.

Spojrzał na list i po raz kolejny przeczytał:

AŁUJ

NC

Bo e, z rozkosz przeczyta to na antenie i zasugeruje słuchaczom, e jest w kontakcie z morderc Nicka. Na samy l o tym, jaki to b dzie miało wpływ na popularno programu, zacz ły mu si poci dłonie. Policja b dzie wkurzona. I co z tego? Radiostacja zatrudnia prawników.

Nie wahał si ani chwili. Podeszedł do kserokopiarki, wsun ł list do szufladki i wcisn ł guzik. Jedno tylko troch go niepokoiło. A je li to oszustwo? Głupi kawał? Nie chciał wyj na idiot . Ju nigdy. Grał t niewdzi czn rol wy- starczaj co długo.

Jak powinien poinformowa słuchaczy o li cie... Do licha, po prostu go przeczyta, wiedz c, e autor zapewne tak e siedzi przy radioodbiorniku. wir czy prawdziwy zabójca mo e si odezwie. Zwłaszcza je li Maury troch go podkr ci.

Słuchacze oszalej . B dzie si działo.

Chwycił oryginał i kopi i ruszył do drzwi. Rob, jeden z did ejów, siedz cy przy swoim biurku, podniósł głow znad krzy ówki.

- Słyszałe ju ?

- O czym? - Maury zatrzymał si zirytowany i jednocze nie zaciekawiony. Miał szczer nadziej , e zabójca Nicka nie został jeszcze schwytany.

- O porwaniu.

- Znale li Pomeroya?

- Nie wiem. - Rob skrzywił si lekko. - Mówi o Hannah Jefferson... Wiesz, kto to taki?

- Stara baba, zwariowana na punkcie dobroczynno ci, która ci gle zbiera pieni dze na swoj klinik ? Nick chciał j zaprosi do programu, eby si z niej ponabija . To ta Hannah Jefferson?

- Tak, ta - odparł Rob z niesmakiem. - Nie wiem czy wiesz, ale dobroczynno to nie jest brzydkie słowo. Gierman drwił z niej przy ka dej okazji, ale to wspaniała kobieta. Zrobiła dla tego miasta wiele dobrego, dla bezdomnych i biedaków, którym brakuje szóstej kleпки. Tak czy inaczej, ona tak e zagin ła.

- Zagin ła? Jak Pomeroy? - W pierwszej chwili Maury przestraszył si , ale zaraz jego umysł zacz ł pracowa na najwy szych obrotach. To mo e by wietny temat na program... Zagini cie dwóch znanych obywateli miasta, bogatego przemysłowca, który zrobiłby wszystko dla pieni dzy, i kobiety o złotym sercu, z trosk pochylaj cej si nad pokrzywdzonymi przez los... O tak. - Została porwana? - spytał i spojrzał na trzymany w dłoni list.

Czy ten kawałek papieru mo e mie co wspólnego z zagini ciami? W ko cu Nick te został porwany. I ta dziewczyna, Courtney LaBelle.

- Na to wygl da. Ale na razie nie ma pewno ci. Nikt jeszcze nie za dał okupu za Pomeroya, a nie ma go ju ... ile? Dwa albo trzy dni. - Rob z namysłem zmarszczył brwi. - Zastanawiam si , co tu si wła ciwie dzieje, no nie?

List niemal parzył Maury'emu palce. Podeszedł szybko do drzwi, w obawie, e Rob nabierze jakich podejrze . Nikt nie powinien niczego si domy la . Ani kierownik programu, ani dyrektor stacji, ani aden z pracowników.

- Mhm - mrukn ł przez rami i wyszedł.

Tak, ten list to yła złota. Preczyta go na antenie i powie słuchaczom, e prawdopodobnie napisał go morderca, ale doda, e równie dobrze jego autorem mo e by jaki oszust. Podpu ci go cia w ten sposób i mo e oka e si na tyle głupi, eby zadzwoni do programu. To by było co . Dopiero potem Maury zadzwoni na policj .

Słuchacze nie b d w stanie oderwa si od radia. Ruszył przed siebie korytarzem, t

e w końcu jego czas nadszedł. Jest przecie dziennikarzem, na lito bosk. Ju do dłu go był na drugim planie; za by wyszedł przed orkiestr.

- Pan chyba artuje! - powiedziała Abby. Była zdenerwowana i nie umiała tego ukryć. Zadzwo niła wła nie do czwartej z kolei firmy instaluj cej systemy alarmowe. Policzyła w my lach do dziesi ciu, usiłuj c zachowa spokój.

- Niestety - odparł głos po drugiej stronie linii. - Nast pny wolny termin mamy dopiero... zaraz sprawdz ... - W słuchawce rozległ si szelest przewracanych kartek. - Za dwa tygodnie, licz c od poniedziałku, ale mo e do tej pory co si zwolni. Nigdy nie wiadomo. Sekretarka udzieliłaby pani bardziej szczegółowych informacji, ale w tej chwili ma przerw . Powinna wróci za pi tna cie minut.

- Dzi kuj , zadzwoni - powiedziała Abby i odło yła słuchawk . Nie przypuszczała, e zainstalowanie alarmu mo e okaza si tak trudne.

Zreszt po co to wszystko?

I tak ma zamiar sprzeda dom.

Sean Erwin, który ju raz ogl dał dom i nie dostrzegł w nim adnych zalet, miał przyjecha po południu, eby „jeszcze raz si rozejrze”. Tym razem zamierzał wzi ze sob miark , list swoich mebli wraz z wymiarami oraz szkic z rozkładem ulubionych sprz tów, bez których, jak si wyraził, „nie byłby w stanie y”. Abby uwa ała, e to strata czasu, ale zgodziła si spotka z nim po południu, po pracy w studiu, gdzie starała si nadrobi zaległo ci. Lunch zjadła w biegu.

Przez cały czas starała si nie my le o kilku rzeczach. O swojej wizycie w szpitalu, po której zostało jej nieprzyjemne uczucie, e dzieje si tam co dziwnego. O makabrycznej mierci Nicka. I o detektywie Reubenie Montoi.

Nie rozumiała, dlaczego przystojny policjant zrobił na niej a takie wra enie. W końcu nie szuka sobie teraz m czynny, na lito bosk ! Postanowiła nawet, e do czasu przeprowadzki na Zachodnie Wybrze e da sobie spokój z m czynnymi, randkami i seksem.

A jednak detektyw Montoya, ze swoim drwi cym u miechem i ciemnymi oczami, nawiedzał jej sny, a na jawie nie pozwalał si na niczym skupi .

Niedobrze.

Bior c to wszystko pod uwag , najlepiej byłoby, gdyby si st d wyprowadziła. I to szybko.

Zanim b dzie za pó no.

Ju jest za pó no, Abby. Spójrz prawdzie w oczy. Wzi ło ci .

W porz dku, a zatem zanim zrobi co głupiego...

Ale w gł bi duszy czuła, e trudno jej b dzie si tego ustrzec.

Laura Beck była w ciekła.

Jechała swoim lincolnem w butach od Manolo Blahnika - no, powiedzmy nie od Blahnika, ale te klapki w c tki leoparda wygl dały wietnie i kosztowały dwie cie dolarów - i nie miała zamiaru ich zniszczy , chodz c w deszczu po błocie.

Pochodziła z biednej rodziny i wcze nie poznała warto pieni dza. A pó niej tylko dzi ki swojemu sprytowi, ci kiej pracy i - a jak e - sypaniu z wła ciwymi m czynnymi, osi gn ła to, czego chciała od ycia.

Teraz nie pozwoli, by ktokolwiek zrujnował jej plany. Mowy nie ma. Od o miu lat nale ała do Diamentowego Klubu znanej firmy, zajmuj cej si obrotem nieruchomo ci, sprzedaj c co roku domy o warto

od sytuacji na rynku.

Teraz miała okazję wykupić inne firmy, działające w tej branży i założyć filie w innych miastach. Miała spore oszczędności, ale i tak potrzebowała wsparcia Charlesa Pomeroya, by zrealizować swój plan.

Tylko gdzie jest ten cholerny facet?

Dlaczego tak nagle zniknął?

Jechała krótką drogą w stronę jego mińskiego domu, kiedy nagle przyszło jej do głowy, że może Charles nie żyje, a jeżeli tak, to wszystkie jej plany wezmą w łeb... chyba że uda jej się dogadać z jego spadkobiercami. Na szczęście najstarszy syn Pomeroya, Christian, od lat nie pokazywał się w tych stronach, ale Charles miał jeszcze dwie rozgoryczone żony, dwie kute na cztery nogi córki i drugiego syna, kompletnego idiotę, który uważał, że może uszczęśliwić każdą kobietę. Jeremy Pomeroy często się do niej przystawiał. Praktycznie przy każdej okazji.

Wzdrygnęła się na myśl o ostatnim Bożym Narodzeniu, które spędziła z rodziną Pomeroyów. Cały czas musiała się ukrywać i znosić poufale poklepywanie po pupie.

Wszystko po to, by uszczęśliwić ją z fortuny Pomeroya. O czym marzyli też wszyscy inni agenci nieruchomości.

Zjechała z wiejskiej drogi w długą wysypaną wierzchem aleję, obsadzoną starymi drzewami. Nie widziała śladu domu, zauważyła jednak, że brama jest otwarta. Pokojówka i ogrodnik nie mieli kluczy, ale wiedzieli, że powinni przysmykać bramę.

Laura spojrzała na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Nadal wyglądała dobrze, choć dobiegała już czterdziestki. Płomiennorude włosy, duże zielone oczy, szczupła sylwetka. Wywiła się włącznie ciwie wylicznie sałatkami i codziennie od piętej rano spędzała dwie godziny na siłowni. Potem tylko dwie filiżanki czarnej kawy i była gotowa rozpocząć kolejny dzień pracy.

Boże, uwielbiała ten robot.

Ale nie wtedy, kiedy jakiś idiota próbował sabotować jej plany.

Siad, który do niej zadzwonił, powiedział, że przed domem mińskim stoi samochód... W pierwszej chwili pomyślała, że to ogrodnik, ale siad zapewnił ją, że nikt się nie krząta koło domu, a samochód to dziwna zielona furgonetka. Wiedział, że pomyślała źle. Po prostu fantastycznie!

Już wcześniej niekazała doprowadzić dom do porządku, a w samochodzie miała dwa termosy z kawą, kosz owoców i furkanapek dla kilku innych agentów, którzy zamierzali tu wpaść. Pierwsi mieli się pojawić za niecałe dwie godziny. I co ma teraz zrobić?

- Cholera - mruknęła na widok starego buicka stojącego na podjeździe. Siad miał rację. Cóż, ktokolwiek to jest, będzie musiał się wynieść, i to szybko.

Zaparkowała na podjeździe i wysiadła z samochodu. Ostro nie omijając kałuże, podeszła do buicka. Nie był zamknięty, ale w środku nikogo nie było.

Gdzie jest kierowca?

W domu?

Jak się tam dostał? Przecież dom powinien być zamknięty, a drzwi zabezpieczone przez agencję nieruchomości.

Podeszła do drzwi i stanęła jak wryta. Pieczęć nie było, choć Laura sama przytwierdziła ją do klamki dwa dni wcześniej.

- Sukinsyn - mruknęła pod nosem.

Naciśnięta klamka, drzwi ustąpiły. Otworzyły się gładko, jakby zawiasy zostały wieziono naoliwione.

Dziwne.

Zmarszczyła brwi, weszła do rodka i natychmiast poczuła, że co jest nie tak.

No pewnie! Dom jest otwarty!

- Halo? - zawołała, stukając obcasami po drewnianej podłodze, miejscami zabrudzonej błotem, do którego przykleiło się kilka liści. Na stoliku przy drzwiach leżał banknot studolarowy. - Co u licha...

Kto tu był i po co zostawił ten banknot?

Osoba, która przyjechała buickiem?

Osoba, która się tu włamała?

Laura spojrzała na schody prowadzące do góry.

- Jest tu kto? - zawołała.

Ale w domu panowała grobowa cisza.

Drugi banknot zauważyła w przejściu wiodącym do salonu. A potem jeszcze jeden. Trzysta dolarów. Podniosła banknoty i weszła do salonu. Tu, na podłodze leżało ich więcej. Były brudne i poplamione... krwią.

Serce zabiło jej szybciej. Bo przecież tak, twarz Benjamina Franklina była umazana krwią. Czuła teraz w powietrzu szczególnie, metaliczny zapach. A także przenikliwy odór moczu.

Zrobiła jeszcze dwa kroki i jej wzrok padł na podłogę przed kanapą.

- O Boże!

Na podłodze leżały dwa ciała. Martwe. Całkowicie ubrana, pulchna czarna kobieta, na nagim jak go pan Bóg stworzył Charlesie Pomeroyu.

- Jezu, nie! - krzyknęła Laura, cofając się z przerażeniem. - Nie, nie, nie!

Widziała otwory po kulach i krew, kałużę krwi pod Charlesem i zaschniętą krew na twarzy kobiety, która cięgle trzymała w ręce rewolwer z masy perłowej.

To nie była jakaś tam pierwsza lepsza kobieta... Laura rozpoznała twarz Hannah Jefferson, kobiety, o której zaginięciu pisały tego dnia wszystkie gazety.

Wszędzie leżały studolarowe banknoty: na ciałach, na kanapie, na podłodze. Poruszały się lekko na wietrze, który wpadał przez otwarte drzwi.

Laura odwróciła się i rzuciła biegiem do wyjścia, potykając się po drodze. Zgubiła przy tym jeden but, ale nie zatrzymała się, żeby go zabrać. Dopadła samochodu, wsiadła i przekręciła kluczyk w stacyjce. Serce waliło jej jak młotem, miała wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku minut zupełnie osiwiła.

- O Boże - szepnęła, sięgając po telefon komórkowy. Wystukała 911, a potem nie zatrzymując się, wyjechała szybko na główną drogę, omal nie uderzając przy tym w furgonetkę wyładowaną żywymi kurczakami.

- Dziewiś – jeden – jeden. Policja. O co chodzi? - usłyszała w słuchawce.

- Chcę powiadomić o popełnionym morderstwie. Podwójnym morderstwie! - krzyknęła Laura, oddychając z trudem. Bała się, że za chwilę zemdleje i Lincoln zjedzie z drogi. - I... o Boże... moście wstrzymajcie poszukiwania... Znalazłam Charlesa Pomeroya i Hannah Jefferson. Oboje nie żyją! O Boże, oni nie żyją!

Nagle chwyciły ją torsje. Skręciła przy pierwszej sposobności i zatrzymała samochód. Było jej wszystko jedno. Otworzyła drzwi, pochyliła się i zwróciła poranną kawę.

Rozdział 18

Dom należy do Pomeroya? - spytał Montoya, wezwany na miejsce zbrodni. Centrala natychmiast powiadomiła wydział zabójstw i FBI.

Był pó ny wieczór. Zainstalowano lampy, a cały teren został otoczony policyjn ta m . W domu kł bili si ledczy, agenci z lokalnego biura FBI i pracownicy stanowej policji, a tak e detektywi z Cambrai i Nowego Orleanu, którzy starali si współpracowa i nie wchodzi sobie w drog . Była te Bonita Washington, rzeczowa jak zawsze, i Inez Santiago, która robiła zdj cia i pomiary. Dwie inne osoby zbierały odciski palców i badały układ plam krwi. Wszyscy byli powa ni i spi ci.

Stało si oczywiste, e w okolicy pojawił si nowy seryjny morderca.

Wszystko wygl dało bardzo podobnie jak w wypadku morderstwa Giermana i LaBelle, z tym wyj tkiem, e Hannah Jefferson nie miała na sobie sukni lubnej, lecz ubranie, w którym wyszła z domu. Jej m dokładnie opisał granatowy kostium i bluzk .

Charles natomiast był zupełnie nagi. Jego rzeczy le ały porzucone przy kominku: buty, kapelusz, spodnie, marynarka i bielizna. Na ubraniu nie było ani ladu krwi. Najwyra niej został rozebrany, a pó niej zabity. Tak jak Gierman.

- Przyjrzyj mu si dokładnie - powiedział Bentz, podchodz c do ciała Pomeroya. - Widzisz te małe zaczerwienienia na szyi, blisko siebie?

- Paralizator elektryczny?

- Tak s dz .

- A ona? - Montoya wskazał głow ciało Hannah Jefferson.

- Na razie niczego nie znale li my.

- A wi c nasz morderca unieszkodliwił w ten sposób tylko Pomeroya.

- Zgadza si . Có , to był pot ny m czynna i mógł sprawia trudno ci. Podobno był bardzo silny.

- Najwyra niej nie do silny - zauwa ył Montoya i zmarszczył brwi. - Je li to ten sam facet, a zało si , e tak jest, to wprowadził pewne zmiany. Giermana i LaBelle nie potraktował pr dem. No i to - wskazał palcem podł u naci cie na policzku Hannah Jefferson. - To tak e co nowego.

- Mo e ta dwójka była mniej potulna. A mo e postanowił wprowadzi ulepszenia. Za pierwszym razem nie poszło tak gładko, jak si spodziewał. Zmodyfikował system, dodał nó i paralizator.

- Albo zacz ł go podnieca ból ofiar - mrukn ł Montoya.

- Sprawdzamy ju , kto ostatnio kupił paralizator. Mo e z rozstawu ladów na szyi Pomeroya dowiemy si , jaki to model.

- To by nam pomogło - zgodził si Montoya. - A narz dzie zbrodni?

- Rewolwer, który najprawdopodobniej nale ał do m a pani Jefferson, Waltera. Kilka tygodni temu zgłosił na policji kradzie jednego ze swoich rewolwerów. W skrzynce były dwa, ale znikn ł tylko jeden. Trzymał je w domu, zapewne kto go zabrał, kiedy oboje byli w pracy. Jefferson jest w kiepskim stanie, obwinia si o to, e dopu cił do kradzie y broni. Zaroster i Brinkman ju z nim rozmawiali. Postarali si , eby został z nim jeden z jego braci, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zrobi co głupiego.

- Coraz lepiej - mrukn ł Montoya sarkastycznie. Rozejrzał si po wyło onym drewnem wn trzu. Wsz dzie le ały studolarowe banknoty. Tam, gdzie zamordowano Giermana i LaBelle, nie było pieni dzy, tylko pióra z rozerwanej poduszki. - Ile tego jest?

- Nie mo na tak dokładnie powiedzie , nie ruszaj c ciała. Na oko jakie sze tysi cy.

Montoya gwizdn ł przeci gle.

- Czyli nie chodziło o pieni dze.

- Rozmawiałem z on Pomeroya. Ona twierdzi, e Charles zawsze miał pi tysi

wypadek, gdyby mu się zachciało zagrać w pokera. Trzymał je w fioletowym aksamitnym woreczku po whisky. Poza tym zazwyczaj miał przy sobie jeszcze około półtora tysiąca, spięte złotymi banknotami, które dostał od niego w prezencie na Boże Narodzenie kilka lat temu.

- Znalęli cię te spięte ?

Bentz pokręcił głową.

- Myślisz, że morderca je zabrał?

- Jeśli wierzyć im, Pomeroy nigdzie się bez niej nie ruszał. - Bentz spojrział na Montoya z ukosa. - Wiadomo, że on bywał niezadowolony z tego, co robił ich matki, kiedy urwał się ze smyczy.

Montoya obszedł ciało, by spojrzeć na nie pod innym kątem.

- Załóżmy, że ona wie, co mówi. W takim razie morderca zabrał spięte banknoty, ale zostawił całą kasa, jak Pomeroy miał przy sobie, na miejscu zbrodni. W jaki sposób dowiedział się o tym, że Pomeroy trzyma pieniądze w szowku, i stał to confetti. Albo Pomeroy sam mu o tym powiedział, może usiłował kupić sobie życie albo morderca to ktoś, kto dobrze go znał.

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie znajdziemy samochodu.

- Buick przed domem należał do pani Jefferson?

- Tak - Bentz kiwnął głową. Cały czas starał się nie patrzeć na ciało i Montoya przypominał sobie, że Bentzowi na miejscu zbrodni zawsze zbierało się na wymioty.

- Jej te co zabrał?

- Może. Pan Jefferson przysięga, że jego matka zawsze nosiła na szyi prosty złoty krzyżyk, który wiele lat temu dostała od matki.

- Domyślam się, że go nie ma. - Montoya spojrział na ciało.

- Nie znalazł my go.

- Bingo - mruknęła Santiago, opuszczając aparat fotograficzny. Spod skórzanej kanapy wystawał fragment fioletowego materiału.

- Matka miała rację - powiedział Montoya, patrząc jak Santiago wyciąga spod sofy aksamitny woreczek i wsuwa go do plastikowej torebki.

Widział już do. Wyszedł z Bentzem przed dom i stanął na ganku.

- Courtney LaBelle zawsze nosiła krzyżyk z diamentów. Morderca go zostawił, a zabrał jej pierścionek - odezwał się Bentz.

- Facetowi nie chodzi o kasę.

- Seryjni nie mordują dla pieniędzy. Chcą się popisać swoją siłą, władzą. Dla nich to rodzaj misji.

- Poza tym rzadko mordują ludzi innej rasy. Zazwyczaj biali zabijają białych, czarni czarnych. A tu mamy trzy osoby białe i jedną Afroamerykankę.

- Zazwyczaj tak. - Bentz skrzywił się i wsadził ręce do kieszeni. - Ale co w tej sprawie wygląda zwyczajnie? Ten facet ma plan. To nie są przypadkowe ofiary. Może nie pasować do żadnego profilu.

- Słusznie. - Montoya znał statystyki i wiedział, że seryjni mordercy to zwykle biali mężczyźni koło dwudziestki lub trzydziestki, którzy w dzieciństwie często byli ofiarami przemocy. Często, ale nie zawsze. Od reguły wyjątki i Montoya zastanawiał się, czy właśnie nie mają do czynienia z takim wyjątkiem. - Wydaje się oczywiste, że on chce nam coś powiedzieć. Przez sposób, w jaki układa ciało, przez to, co zabiera. Dlaczego mężczyźni są nadzy, a kobiety ubrane i leżą na mężczyznach? Chce nam pokazać, że chodzi o seks? A może o dominację? Dlaczego

pierwszy rzut oka wydawało się, że to kobieta zabiła mężczyznę, a później sama odebrała sobie życie?

- Gdyby my to wiedzieli, już mielibyśmy tego faceta w garści. - Bentz podrapał się po głowie i spojrzał w górę. Właśnie nadleciał policyjny helikopter, błyskały błękitnymi światłami.

Zadzwoiła komórka Montoi. Odebrał.

- Cześć, mówi Zaroster. Słuchasz mnie teraz przez radio?

- Jestem na miejscu zbrodni.

- To zrób sobie przerwę i włącz WSLJ. Program Giermana. Mój nasz zabójca wyszedł z cienia.

- Dobra - Montoya ruszył szybko do samochodu, Bentz za nim.

- Co jest?

- Zaroster uważa, że morderca skontaktował się z radiostacją.

Włókł kluczyk do stacyjki, włączył radio i odszukał WSLJ. W samochodzie rozległ się nosowy głos Maury'ego Taylora.

- ...zgadza się, nie jestem pewny, czy to nie jest jakieś oszustwo - mówił. Montoya znieruchomiał i siedział ze wzrokiem wbitym w radiodbiornik, prawie nie oddychając. - Nie trzeba być wybitnie inteligentnym, żeby wysłać taki prosty, naprawdę prosty, list, do naszego radia. Każdy głupek umiałby to zrobić. Musisz zrobić coś więcej, by udowodnić, że naprawdę jesteś mordercą, bo ja wcale nie jestem o tym przekonany. Zakładam, że to oszustwo, że kimkolwiek jesteś, N.C., chcesz po prostu dostać swoje pięć minut. No cóż, ja ci ich nie dam. A teraz do o tchórzach i oszustach, przejdźmy do tematu naszego dzisiejszego programu: zdrady. Czy jesteście w stanie utrzymać w tajemnicy, komu dzieje się wtedy krzywda?

- Sukinsyn! - Montoya uderzył pięścią w kierownicę. - Morderca się z nim skontaktował! Z tym ałosnym dupkiem!

- Mój tak, a mój nie. Pamiętaj, z kim mamy do czynienia. Maury Taylor sprzedałby duszę diabłu, gdyby mogło mu to pomóc w karierze. Mógł wymyślić historię z tym listem, żeby zainteresować słuchaczy.

Montoya zaklął.

- Myślę, że czas już złożyć wizytę naszym przyjaciołom z WSLJ.

- Dobry pomysł. A ja skończę swój robot tutaj. Zadzwoń do mnie. I uważaj na samochód - dodał, spoglądając na zaciemnioną komórkę Montoi. - Należy do państwa.

- Daruj sobie, Bentz, zjedź. Jadę wypruć flaki z tego kretyna.

Bentz wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi, a Montoya wycofał wóz i wcisnął gaz. Ale kiedy dojechał do bramy, musiał zwolnić i przepuścić kilka innych policyjnych samochodów. Za bramą przyspieszył znowu, zaciskając palce na kierownicy. Na głównej drodze włączył światła na dachu. Był pół godziny drogi od miasta, a miał zamiar dojechać tam w kwadrans.

W górę. W dół. W górę.

W dół.

Bolały go wszystkie mięśnie, ale wiczył dalej, pompka za pompką, słuchając audycji Giermana. Nie oszczędzał się i pot spływał mu po plecach, kapał z nosa.

W górę.

W dół.

W górę.

W dół.

Ten facet z radia to imbecyl. I to kompletne zero próbuje go podpuć. W taki idiotyczny, naiwny sposób.

Nieważne. Liczy się tylko to, że list dotarł tam, gdzie miał dotrzeć.

Tutaj, do szpitalnej sutereny, nie zawsze docierały fale radiowe, ale akurat dzisiaj odbiór był całkiem znośny, mimo wyłożonych poduszkami ścian niewielkiej sali. W takich salach, a było ich tu więcej, kiedy zamykano pacjentów, nad którymi lekarze nie byli w stanie zapanować. Teraz to pomieszczenie było jego prywatną siłownią. Wiedział tu codziennie w czasie, kiedy radio nadawało audycję Giermana. Nigdy nie skończył wcześniej nie zamierzał, ale tego dnia postanowił zrobić wyjątek. Usiadł i skrzył się, a potem wziął ręcznik i zaczął się wycierać.

- ...musisz zrobić coś więcej, by udowodnić, że naprawdę jesteś mordercą, bo ja wcale nie jestem o tym przekonany.

To nieważne, idioto, oni wiedzą, że to prawda. Policja. Nie rozumiesz? Miała tylko przekazać wiadomość.

Uznał, że usłyszał już dosyć, i wyłączył radio zadowolony, że wszystko idzie zgodnie z planem. Wstał, wziął ręcznik i poszedł do łazienki, którą zainstalowano tu po ostatnim remoncie szpitala. Wszedł pod jeden z pryszniców, wiedząc, że zakonnice i tak nigdy nie domyślią się jego obecności, bo woda nie była podgrzewana i pochodziła ze studni na terenie klasztoru. Nie zdradzi go ani rachunek za gaz czy elektryczność, ani wodomierz.

Uśmiechnął się pod nosem na myśl o swoim sprycie. Nikt nigdy nie wpadnie na to, że spędza tu codziennie wiele godzin. Jeśli nawet stare rury jęczały i bulgotały, co z tego? Nikt poza nim tu nie przychodził.

Prawie nikt.

Ta dziewczyna przyszła. Córnka. Ta, która jest tak bardzo podobna do Faith. Powinien się stać wymknąć, zanim mogła go zauważyć, ale chciał, by poczuła jego obecność. Dlatego zamknął drzwi na pierwszym piętrze, kiedy ona próbowała się dostać do pokoju Faith na drugim. Niewiele brakowało, a przyłapałaby go ta zakonnica. Stara torba omal wszystkiego nie zepsuła. Usłyszał ją na szczycie w porcie i wliźnił się szybko do pokoju 205, a później uciekł na schody przeciwprądowe. Ledwo zdjął zamknięcie za sobą okno. Zaraz potem obie kobiety znalazły się na pierwszym piętrze.

Gdyby go zauważyły, musiałby zmienić plan, a to byłoby bardzo niekorzystne. W końcu pracował nad nim tak długo i doprowadził go do perfekcji.

Odkrył kurek i zacisnął wszystkie zamykacze, wszedł pod strumień lodowatej wody. Zamknął oczy i zaczął się myć, przesuwając dłońmi po muskularnym torsie... Ona też go kiedyś dotykała, dawno, dawno temu... I czy nie zabierał jej czegoś pod prysznic? O tak...

Na samo wspomnienie tych chwil jego serce przyspieszyło, a członek stwardniał. Tak dokładnie pamiętał, jak klękał przed nim, ociekając wodą, a on powstrzymywał się, choć z trudem, by potem, kiedy czuł, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, podnieść się i wejść w nią szybko...

Faith, o Faith, bzdury pomszczona... twoje cierpienia nie zostały zapomniane.

Stał jeszcze przez moment, drąc, pod strumieniem wody, a potem zakręcił kurek. Miał wiele do zrobienia. Nie wycierał się, wyszedł spod prysznica i ruszył długim korytarzem, oświetlonym tylko kilkoma żarówkami, do swojego sanktuarium, gdzie narodziły się wszystkie jego fantazje. W środku zapalił świecę i przez chwilę patrzył na pełgające na ścianach cienie i ramki zdjęć stojące na biurku. Faith. Patrzyła na niego oczami o barwie miodu. Tak bardzo za nią tęsknił,

Otworzył stary sekretarzyk i spojrzał na swoje skarby. Była tam też jego ostatnia zdobycz: spinka do banknotów tego starucha. Gruba, złota, w kształcie symbolu dolara.

- Chciwy, egoistyczny drań - szepnął.

Zakończenie jego niedźwiedziowego żywota z pomocą tej czarnej kobiety sprawiło mu ogromną przyjemność. Trzęsła się tak bardzo, niewiele brakowało, a upuściłby rewolwer. Pomógł jej jednak, zmusił ją, by

przerzenie w oczach Charlesa.

Teraz wziął do ręki jej ła cuszek i podniósł go do góry, tak by mały złoty krzyżyk znalazł się na wysoko ci jego oczu.

- Wy wiadczyła wiatu przysług, odbierajcie mu życie - powiedział, jakby Hannah Jefferson mogła go słyszeć.

Ale wiat jeszcze o tym nie wiedział. Nikt nie wie nawet, że Charles Pomeroy i Hannah Jefferson nie żyją. Wkrótce jednak fakt ten wyjdzie na jaw, policja rozpocznie kolejne śledztwo, zaczną się przygotowania do pogrzebów.

Czy może zaryzykować i pojawi się na pogrzebie Hannah Jefferson? Ten gliniarz, Montoya, będzie tam bez wątpienia. Udaje, że jest zatopiony w modlitwie, będzie robił zdjęcia, tak jak na uroczystości po egzekucji tej dziewczyny. Widział tam Montoyę, widział jego mały aparat, a jednak nie mógł odejść, oderwać wzroku od zapłakanych twarzy ałobników. Czuł ich ból, smutek i rozpacz i rozkoszował się wiadomością, że to właśnie on jest ich sprawcą. To on rzucił ich na kolana. To on wymierzył grzesznikowi karę.

Dziewica była pierwsza.

Filantropka druga.

A przecie to dopiero początek. Nie mógł się już doczekać dalszego ciągu...

Rozdział 19

Montoya zatrzymał samochód pod znakiem z napisem nie parkować, wyłączył silnik, wysiadł i wbiegł do budynku, w którym mieściła się radiostacja, czując jak krew tętni mu w uszach.

Ignorując ładną Mulatkę, która siedziała za blatem recepcji, ruszył przed siebie korytarzem.

- Chwileczkę. - Dostrzegł kłopotliwą kobietę, która odwróciła głowę od ekranu komputera. - W czym mogę panu pomóc? Nie zatrzymał się.

- Proszę pana! Tam nie wolno wchodzić!

Usłyszał za sobą stukot obcasów. Kobieta biegła za nim, jakby chciała go zatrzymać. Szybko wyjął z kieszeni odznak i, nie odwracając się, wyciągnął ją w jej stronę.

- Ale...

Budynek był wielki, a korytarze kręte jak w kreciej norze, ale Montoya już tu kiedyś był. Szybko dotarł do oszklonego studia. Nad drzwiami świecił się czerwony napis audycja w toku. Przez szybę widział tego szczura - siedział za konsolą, ze słuchawkami na uszach, gadając z kandydatką, kto miał ochotę zadzwonić do tego ałobnego programu.

Montoya bez wahania pchnął drzwi, wszedł do studia i stanął przed chudym, łysiejcym dyskiem okejem, który do niedawna zajmował się głównie lizaniem dupy Nicka Giermana.

- Ty głupi, ty py sukinsynu! - warknął, nie przejmując się zupełnie tym, że słyszy go w tej chwili połowa Nowego Orleanu.

- No, no, kogo my tu mamy! - Maury uśmiechnął się szeroko, jakby spodziewał się wizyty Montoi. - Panie władzo, czemu to zawdzięczam...

Montoya wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Wiatelka na konsoli zgasła, szczeka Maury'ego opadła.

- Zaraz, zaraz! Tak nie można! - Maury rzucił się w stronę gniazdko.

- Ukrył dowód w sprawie o morderstwo, zabieram więc twój ałobny tyłek do...

- Co tu się dzieje? - Do studia weszła wysoka czarna kobieta. Montoya rozpoznał Eleanor Cavalier, kierowniczkę programowego WSLJ. - Detektywie, program musi wrócić na antenę! Pronto. - Spojrzała z ukosa na Maury'ego. - Włóż cztery reklamy. Nie może być ciszy. Ani chwili ciszy na antenie!

Maury, z wyrazem twarzy kota, który właśnie zjadł kanarkę, uśmiechnął się do drzwi.

- O co chodzi? - spytała Eleanor. W tłumie, który nagle się wokół nich zebrał, dostrzegła Samanthę Wheeler, znaną jako doktor Sam, która prowadziła program *Wyznania o północy*, nadawany nieco później. - Samantho, zastąp Maury'ego. Nie musisz wiele mówić, wystarczy, jeśli puścisz kilka starych kawałków.

Doktor Sam kiwnęła głową, a Maury w końcu wyszedł na korytarz.

- Maury Taylor ukrył w naszym materiale dowodowy w sprawie o morderstwo - powiedział Montoya do Eleanor, zanim drzwi do studia zostały zamknięte.

- Pan tak łatwo złamał kilka przepisów, zaczynając od parkowania w niedozwolonym miejscu - odparła Eleanor twardo. - Porozmawiamy w moim biurze.

Zaprowadziła Montoya i Taylora do niewielkiego gabinetu.

- Ukryte co? Co to jest? - zapytała, patrząc na Maury'ego. Usiadła na fotelu, który zaskrzypiał cicho.

- List... dostałem list. To znaczy właśnie ciwie list przyszedł do radia. Był zaadresowany do Nicka. To może być list od mordercy. - Maury wzruszył ramionami. Obaj z Montoya stali przed wielkim biurkiem jak chłopcy wezwani na dywanik do dyrektora szkoły. - Ale może to być ten jakiś kawał.

- Przynieś go - rzuciła krótko Eleanor.

Maury wyszedł i wrócił po minucie z kartkami i kopertami w plastikowym woreczku. Już mniej pewny siebie podał woreczek Montoi.

- Jest tam tylko jedno słowo: „ałuż” i podpis... NC, dwiema literami. Dotykałem tego, wiem, kiedy otworzyłem kopertę, ale jak tylko zorientowałem się, że to może być coś ważnego, zaraz schowałem list tak, żeby nikt go nie znalazł. Potem, kiedy byłem na antenie, urobiłem kopii.

- Maury, czy ty zupełnie nie masz rozumu? - zapytała Eleanor. - Dlaczego mi o tym nie powiedziała?

- Otworzyłem list tuż przed programem.

- Akurat. - Spojrzała na niego groźnie.

- Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli go wykorzystam. Może uda mi się skłonić faceta, żeby się ujawnił.

- Powinieneś natychmiast zadzwonić na policję - powiedział Montoya. - Niech ci się nie wydaje, że możesz się bawić w ledztwo. To sprawa policji i jeśli się okaże, że namieszałeś mi w dochodzeniu, wsadzą cię do pudła szybciej, niż myślisz.

- Słyszysz, Eleanor? On mi grozi. - Maury zwrócił się do szefowej.

- Owszem, słysz. I zgadzam się z detektywem. Nie wolno ci, rozumiesz, nie wolno ci mieszać się do spraw policji. A pan - wycelowała palec w Montoya - nie ma prawa wpadać tu ni stąd, ni zowąd jak Zorro. Pan tak łatwo powinien stosować się do procedur. Z pewnością ci poinformuję o tym, co pan zrobił, pańskich zwierzchników.

Montoya zacisnął zęby.

- W takim razie proszę tę dopilnować, by wszyscy pracownicy radia przestrzegali reguł - warknął.

Eleanor spojrzała na niego zimno i Montoya zorientował się, że stał po cienkim lodzie, ale było mu wszystko jedno. Najwyżej zostanie wezwany na dywanik. I co z tego? Był tam już nieraz.

Zabrał list w woreczku i wyszedł z budynku. Miał tylko nadzieję, że ten pychy, tchórzliwy dyskusyjnie nie utrudnił mu ledztwa.

Gina zapiła pas i poruszyła się w samolotowym fotelu z niezadowoleniem. Wydała na bilet mnóstwo pieniędzy, a dostała miejsce między kobietami z dzieckiem, która siedziała przy oknie, a potem, walczyła chyba z facetem. Mógłby wiercić się ci głębiej, muskając Ginę ramieniem, i chociaż nie cierpiała na adnief

obcy ludzie. Nie lubiła tego i ju .

Spojrzała nieufnie na koc i poduszk , wsuni te mi dzy siedzenia. Miała nadzieję , e ten, kto u ywał ich wcz e niej, nie miał wszy ani nie chorował akurat na gryp czy co gorszego. Musi si wyspa ze wzgl du na to, co b dzie musiała zrobi , kiedy wyl duje. Bo wtedy rozp ta si piekło. Gina znała swoj siostr i wiedziała, jak Abby zareaguje, kiedy w ko cu pozna prawd .

Zawsze czuła, e Bóg, czy te los, czuwa nad ni i daje jej wskazówki co do tego, jak powinna post powa . Cz sto wskazówki te przekazywali jej inni ludzie... na przykład Nick Gierman wiele lat temu, kiedy powiedział jej, e nie mo e przesta o niej my le i e to jaka kosmiczna siła kazała mu pój za ni do jej samochodu tamtego ciepłego majowego popołudnia. Był ju wtedy zar czony z jej siostr , ale nie potrafiła si mu oprze .

Ale pó niej zawsze bardzo le si z tym czuła.

A teraz nadszedł czas, by pojednała si ze swoj mał siostrzyczk .

Czy astrolog nie powiedział wyra nie, e to doskonały moment, e układ ciał niebieskich jej sprzyja? A na wypadek, gdyby to nie wystarczyło, otrzymała jeszcze inny znak: ten anonimowy list. Bez adresu zwrotnego. Napisany drukowanymi literami. Z piecz tk z Nowego Orleanu.

WRACAJ DO DOMU. PATRICIA CI POTRZEBUJE.

Tak, trudno chyba o wyra niejszy znak. Czy to Abby napisała ten list i wstydziła si go podpisa ? I nazwała si swoim drugim imieniem, tym, którego czasami u ywała ich matka? Imieniem babci ze strony matki? A mo e list wysłał kto inny, kto , kto znał Abby na tyle dobrze, by u ywa jej drugiego imienia?

Znakiem ostatecznym była mier Nicka. Jak mogłaby zignorowa co takiego?

Dwóch rzeczy była pewna.

Nadszedł czas, by wróci do Nowego Orleanu.

I czas, by powiedzie siostrze prawd .

Gina zło yła r ce i odmówiła krótk modlitw , prosz c Boga, by pozwolił jej pod a we wła ciwym kierunku i dokona dobrego wyboru.

Zamkni to drzwi samolotu, stewardesa poprosiła pasa erów o wyłączenie przyrzdów elektronicznych. M czyzna siedz cy obok Giny wył czył telefon komórkowy i zaczął wpycha torb podró n pod siedzenie.

- Przepraszam - mrukn ł, ocieraj c si o Gin .

U miechn ła si do niego promiennie, ale my łała tylko o tym, co czeka j na miejscu. Kiedy samolot zaczął nabiera pr dko ci, rozboleła j głowa.

Warto znie to wszystko, pomy łała. Trzeba zamkn przeszło , to przyniesie ulg . Przecie tego wła nie chce Abby, prawda? Czy nie powtarzała i zawsze, e musi pozna prawd i upora si z ni raz na zawsze?

Bo e, gdyby wiedziała, o co prosi!

Dowie si tego ju wkrótce. Przygotuj si , Gino.

Nie b dzie łatwo.

Montoya prowadził samochód w ulewnym deszczu, zaciskaj c z by ze zło ci. Min ło ju kilka godzin od czasu jak rozmawiał z tym szczurem, Maurym Taylorem, ale ci gle wszystko si w nim gotowało. Zostawił list w laboratorium, pogadał z Bentzem i Zaroster.

Ale nie dowiedział si niczego o sukni lubnej.

Na miejscu pierwszej zbrodni nie znaleziono adnych odcisków palców, podobnie

Hannah Jefferson. W każdym razie żadnych odcisków nienależnych do rodziny i przyjaciół ofiar.

Samochodu Charlesa Pomeroya nie znaleziono.

Ciśnięcie analizowano zdjęcia, które zrobił na ceremonii pogrzebnej.

Czarny włos z sukni lubnej należał do mężczyzny i znajdował się teraz w laboratorium DNA. Na razie jednak i tak nie było z czym go porównać, niewiele więc było z niego pożytku. Chyba coś się wydarzyło.

Montoya westchnął, rozmyślał o tym, czego się dotychczas dowiedział.

Ofiary zamordowano z broni należącej do kobiety, układ ciała miał sugerować, że było to morderstwo i samobójstwo. Oczywiście było to zrobione nie do końca dobrze, by policja dała się nabrać. Morderca prawdopodobnie o tym wie. Bawił się z nimi, dawał im coś do zrozumienia; Montoya nie wiedział tylko co.

I list. Jeśli okaże się, że to nie kawał, morderca kazał Nickowi „ałowca”. Jedno słowo. I podpis: NC. Kto to może być, do diabła? Inicjały? Pracowali już nad tym, przeszukiwali bazy danych. Bentz zauważył, że imiona dwóch ofiar brzmiały Charles i Nick. Ktoś inny wpadł na pomysł, że może chodzi o pierwsze litery nazwy jakiegoś miasta. Może morderca się w nim urodził albo mieszkał. Brinkman wpadł na pomysł, że to New York City. Ale brakowało jednej litery.

- Roi się tam od wirów, mówi ci. I ten smog... zatrzuwa im mózgi.

Czy ten facet nigdy nie spowiadał się?

Parosób uważało to, że to kawał, ale Montoya tak nie sądził. To jedno słowo: „ałowca”, zdawało się jakoś wiarygodne w sprawie.

Tak, sprawa ma jakieś religijne odniesienia, pomyślał. W przeciwnym razie po co morderca miałby zabierać krzyż? Choć z drugiej strony nie zabrał krzyża Mary.

Cholera.

Na szczęście okazało się, że Maury Taylor nie kłamał, kiedy mówił, że nikt poza nim nie dotykał listu; na kartce były tylko jego odciski palców. Na kopercie były też oczywiście inne, porównywane teraz z odciskami pracowników poczty, co jest bardzo czasochłonnym zajęciem. Później zostaną przesłane do dalszych badań, a klej z koperty zostanie przebadany przez laboratorium. Jeśli znajdzie się tam jakieś DNA, zostanie porównane z DNA włosa znalezionej na sukni lubnej.

Powiadomiono już najbliższych krewnych Hannah Jefferson i Charlesa Pomeroya. Wally Jefferson się załamał. Pani Pomeroy przyjęła wiadomość spokojnie, podobnie jak dzieci Charlesa. Niezbyt kochająca się rodzinka, pomyślał Montoya. Jedną z przesłuchiowanych osób „nie miała pojęcia”, kto mógłby chcieć skrzywdzić króla broni. To samo dotyczyło Hannah Jefferson, którą powszechnie uważano niemal za wierną.

Czarne i białe.

Jin i jang...

Ale kto chciał ich zabić. Jaki nieznany wróg.

Kto zły, kto bardzo niebezpieczny.

Kto, kto postanowił zabijać ludzi, różni się od siebie jak noc od dnia.

Ktoś był blisko Abby Chastain, co bardzo niepokoiło Montoyę. Zaciśnięte palce na kierownicy, patrzył na zamglone światła jadącego przed nim samochodu. Ostatnio duży omyślał o Abby Chastain. Za duży.

Zaszła mu za skórę. Inteligentna, ładna, seksowna... w porównaniu z nią wszystkie inne kobiety wydawały się nijakie. Podobał mu się jej gardłowy miękki śmiech i to, jak szeroko otwiera oczy, kiedy usłyszała coś, czego się nie spodziewała. Zauważył, że nie myśli o niej jak o podejranej czy wiadku, czy nawet byłej ofiarze morderstwa, ale jak o kobiecie. Co było bardzo nierozsądne. W końcu mogła być zamieszana w morderstwo b.

prawdopodobne i nie wierzył w to ani przez chwilę, ale powinien być bezstronny, obiektywny i czujny. To i Abby Chastain okazała się tak atrakcyjna.

Zatrzymał się na wiatłach, w tej samej chwili zadzwoniła komórka. Odebrał, nie sprawdzając, kto dzwoni.

- Montoya.

- Co to za akcja? Słyszałam, że pogwałciłeś wszelkie zasady i wdarłeś się do radiowego studia w czasie trwania programu - powiedziała Melinda Jaskiel, jego szefowa z wydziału zabójstw. - Masz szczęście, że dobrze znam Eleanor Cavalier, inaczej miałbyś poważne kłopoty.

wiatła się zmieniły i Montoya wcisnął gaz.

- Nie rób sobie, żeby spieprzył moją sprawę! Dorwiemy tego drania i wolałabym, żebyś aden ambitny prokurator nie zwracał nam do czasu głowy. Radz ci panować nad temperamentem. Czy wyrażam się jasno?

- Jak słowo - mruknął, wciął się na siebie i na cały wiat.

- To dobrze. Zapamiętaj, co powiedziałam. - Melinda rozłączyła się bez słowa po egnięcia.

- Do diabła - mruknął Montoya pod nosem. Wiedział, że miała rację, ale i tak go wkurzyła. Ostatnio wkurzało go wszystko, co wiążało się z tym sprawą. Wiedział, dlaczego. Z powodu Abby Chastain. Ile razy się z nią rozstawał, miał ochotę jak najszybciej znowu się z nią spotkać. Tamtego wieczoru, po kolacji składającej się z kiepskiej pizzy i nie najlepszego wina, wyszedł od niej z alkoholem.

- Cholera. - Pogrążony w rozmyśleniach o Abby omal nie przegapił wjazdu na swoją ulicę. Postanowił, że weźmie się w garść, i zaparkował przed niewielkim, pomalowanym na czarno domem, jednym z wielu takich samych domów, stojących przy tej ulicy. Kupił ten wózek, podobny do pudełka po butach dom w ubiegłym roku i od razu się w nim zakochał. Sam dokonał pewnych zmian, wyremontował ganek, pomalował ściany, założył ogrodzenie z kutego żelaza i dodał parę innych szczegółów.

Pomagało mu to uporać się z bólem po śmierci Marthy.

Włożył w to sporo wysiłku i w końcu udało mu się jako zamknąć przeszłość.

Wszedł do baru, wyjął piwo z lodówki i zdjął kapsel, zamykając drzwi lodówki nogą. Abby Chastain. Znowu o niej myślał. O niej i o sprawie, przez którą się z nią zetknął. Zginęło już czworo zupełnie różnych ludzi. Montoya potarł twarz dłonią i pocignął łyk z butelki.

Lista podejrzanych cięgle się wydłużała, wielu z nich jednak trzeba było szybko skreślić. On sam podejrzewał aktualnego chłopaka Nii Penne. Roy North był potężnym mężczyzną, miał czarne włosy, w dodatku nosił buty w rozmiarze dwanaście. Niestety, miał słabe alibi, chyba że Nia go kryła. Na razie policji nie udało się udowodnić, że miał coś wspólnego z Nickiem Giermanem czy College'em Wszystkich wiarygodnych. A co mógłby mieć wspólnego z Charlesem Pomeroyem czy Hannah Jefferson? Tak czy inaczej, Montoya chciał poznać jego DNA. Jeśli się działo, nie wydał nakazu, kto mógłby przez jakiś czas ledzić Northa i zdobyć niedopałek papierosa albo plastikowy kubek, z którego pił. Wtedy porówna się jego DNA z DNA czarnego włosa z sukni lubnej i liny na skrzydełku koperty - jeśli jest tam jakaś lina.

Upił kolejny łyk piwa, wszedł do salonu i włączył telewizor. Wszystkie kanały nadawały informacje o Charlesie Pomeroyu i Hannah Jefferson. Montoya wiedział, że gdzieś tam, niedaleko, morderca tak i patrzy na ekran telewizora, rozkoszując się piekłem, które rozpętał. Tak, tu chodzi głównie o rozdzielenie tego jakiegoś wirusa.

- Dorwój ci, chory sukinsynu - mruknął Montoya pod nosem i wypił resztę piwa. Cały czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że stary szpital w jakiś sposób wiąże się z tym sprawą. Było już za późno, by zadzwonić do ciotki, nie miała nawet telefonu w swoim pokoju. Zadzwoni do niej jutro rano i zapyta, czy Pomeroy

zwi zki ze szpitalem.

Mimo wszelkich postanowie wstał, wło ył kurtk , chwycił kluczyki od samochodu i wyszedł z domu. Kto w ko cu musi powiedzie Abby Chastain, e jej s siad został zamordowany.

Uznał, e wła nie on powinien to zrobi .

Rozdział 20

Abby nie mogła uwierzy .

Charles Pomeroy i Hannah Jefferson nie yj ? Zamordowani w taki sam sposób jak Nick i Courtney LaBelle?

Siedziała na brzegu sofy, patrz c w ekran telewizora, i czuła, jak ogarniaj j mdło ci. Co si tu dzieje? Kto si tego wszystkiego dopu cił? I dlaczego? Cały czas co j niepokoiło... Hannah Jefferson zajmowała si prac na rzecz psychicznie chorych. Czy by kiedy nale ała do personelu Szpitala Naszej Pani od Cnót? Czy to dlatego twarz tej kobiety wydawała jej si znajoma? A mo e dlatego, e podobnie jak Charles Pomeroy Hannah była osob dobrze znan lokalnej społeczno ci?

Abby wzdrygn ła si i zadr ała, jakby owiał j zimny wiatr. Dr czyło j jakie niewyra ne, zamglone wspomnienie. Nie była w stanie go uchwyci , ale była pewna, e ma zwi zek z jej matk i szpitalem...

Spojrzała w ciemne okno i przez chwil znowu wydało si jej, e kto czai si w krzakach mi dzy drzewami, patrzy na ni i obserwuje ka dy jej ruch.

- Daj spokój - skarciła si surowo, ale wstała i spu ciła wszystkie rolety. Pies tym razem spał spokojnie na dywaniku przed kominkiem. Ansel le ał zwin ty w kł bek na oparciu kanapy. Miał zamkni te oczy i mruczał cicho, nie wiadom zam tu w głowie swojej pani.

Wróciła do salonu i zmieniła kanał. Na ekranie ukazała si Vanessa Pomeroy, drobna, pewna siebie kobieta, starannie ubrana i uczesana. Spokojnie, bez jednej łzy, mówiła o „tragedii”, jak jest mier jej m a. Potem pojawił si Walter Jefferson, tak wstrz ni ty i zrozpaczony, e kto musiał go podtrzymywa , by nie upadł. Po jego twarzy płyn ły łzy.

- Biedny człowiek - szepn ła Abby i znowu zmieniła kanał. Teraz jej oczom ukazał si pastor Gregory Ray Furlough. Stał przed tłumem wiernych na stopniach swojego ko cioła. Było jeszcze jasno, materiał musiał wi c zosta nakr cony znacznie wcze niej. Abby zwin ła si w rogu kanapy i patrzyła zafascynowana, jak charyzmatyczny kaznodzieja wykorzystuje horror morderstwa do własnych celów. Krzyczał i gestykulował, wznosił r ce do nieba i modlił si tak arliwie, e zdołał chyba skruszy serce najbardziej zatwardziałych ateistów. Był urodzonym mówc i najwyra niej odnalazł swoje powołanie.

Znowu zmieniła kanał, dziwnie przygn biona wyst pieniem kaznodziei. Miała wra enie, e Furlough wyolbrzymia tragedi w nadziei, e swoj retoryk przyci gnie wi cej ludzi - i dolarów - do swojego ko cioła.

Daj spokój, Abby, pomy łała. Kim jeste , by os dza innych?

Hershey podniosła głow i warkn ła krótko, a Abby usłyszała silnik nadje d aj cego samochodu.

- A to co znowu? - mrukn ła zaskoczona. Znowu ogarn ł j niepokój. Podeszła do frontowego okna i wyjrzała. Przed domem zatrzymał si czarny mustang Montoi.

Dobrze, pomy łała z ulg . Montoya wysiadł z samochodu i zatrzasn ł za sob drzwi. Serce Abby drgn ło, co zignorowała, ale nie potrafiła powstrzyma radosnego u miechu.

Kiedy rozległ si dzwonek, Hershey zupełnie oszalała. Abby otworzyła drzwi i zało yła r ce na piersi.

- Co za niespodzianka - powiedziała. - Przecie to detektyw Montoya!

- Tak, chyba mi to weszło w krew - odparł, u miechaj c si lekko. - Przepraszam.

- Przecie nie narzekam - mrukn ła i zaraz skarciła si duchu. Nie powinna by taka c

Montoya uniósł brwi.

Abby odsun ła si i gestem zaprosiła go do rodka.

- Przypuszczam, e wpadłe spróbowa mojej fantastycznej domowej kuchni.

- Nie inaczej. - Spojrzał ponad jej ramieniem na telewizor w salonie. Na ekranie ci gle podawano informacje o morderstwie Pomeroya i Jefferson. Wszedł do domu, a Abby zamkn ła za nim drzwi. - Wi c wiesz ju o Pomeroyu.

- Tak. To potworne.

- Amen. - Podszedł do telewizora i patrzył przez chwil na ekran. - Co za dra .

- Złapiecie go. Prawda?

Montoya spojrzął na ni powa nie.

- Tak.

- No to zróbcie to jak najszybciej.

- Taki mamy plan.

Le cy na kanapie Ansel otworzył oczy, dostrzegł obcego i natychmiast wstał, a potem wypr ył grzbiet, zasyczał i uciekł do kuchni.

- Chyba mnie nie lubi - zauwa ył Montoya.

- Nie lubi nikogo poza mn .

Montoya u miechn ł si krzywo.

- Próbowala dawa mu prozac? Mówi powa nie. Jedna z moich kole anek z pracy miała szurni tego kota, który nie chciał chodzi do kuwety i sikał po całym domu. W ko cu zacz ła mu podawa antydepresanty.

- artujesz.

Montoya poło ył dło na sercu.

- To prawda.

- Uwa asz, e powinnam sprawi sobie ostrzejszego psa i miłszego kota?

- My l , e kot by wystarczył

- Słyszałe , Ansel? Ten pan uwa a, e powinnam ci wymieni - powiedziała w stron kuchni i u miechn ła si do Montoi. - My l , e jednak pozostan przy swoich zwierzakach. - Schyliła si i podrapała Hershey za uchem. - Tak, malutka, nie masz si czego ba . Wierno . To ceni sobie najbardziej.

Spowa niał nagle. Domy liła si , o czym pomy lał.

- No, no - rzuciła ostrzegawczo. - Wiem, o czym my lisz, i odpowied brzmi: tak, byłam wierna mojemu m owi. Powiedziałam tak i my lałam: na zawsze, na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie, ale nigdy nie mówiłam „bez wzgl du na to, ile b dziesz miał romansów”. Chod do kuchni, dam ci piwa... zakładam, e nie jeste na słu bie.

- Tak, a do jutra, chyba e kto zadzwoni.

- Po co?

- eby powiedzie , e nasz morderca znowu kogo załatwił - odparł powa nie.

- Tak szybko?

Co za straszna my !! Spojrzała na ekran telewizora i znowu zobaczyła domek my liwski Pomeroya.

- Niewiele czasu min ło mi dzy tymi dwoma morderstwami. Zdaje si , e facet nie potrzebuje du o, eby si zregenerowa . Poza tym seryjni mordercy cz sto przyspieszaj .

- Seryjni mordercy - powtórzyła, czuj c, e robi jej si zimno. - Mo e ten ju sko czył. Mo e wykonał swój plan.

Montoya spojrzął na ni wymownie. Tak, to było tylko pobo ne yczenie. Wiedział s

W kuchni wyjęła dwie butelki piwa z lodówki, otworzyła je i podała jedną Montoi. Potem wrócili do salonu. Na ekranie telewizora Gregory Ray Furlough grzmiał o gniewie boym i o tym, eka dy powinien wejrzeć w swój własny dusz.

- Dzwonił ju do nas. - Montoya wskazał na ekran butelki. - Do wydziału, kilka razy. Chce się spotkać z porucznikiem i detektywami, eby pomogli się wspólnie o boską interwencję.

- Nie było jakiego ledztwa w sprawie jego Kościoła? - Abby zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, co słyszała na ten temat.

- Moje, nie wiem. Jako głowa organizacji religijnej jest praktycznie nie do ruszenia. Ale to dziwne... to chyba ta organizacja chciała kupić Szpital Naszej Pani od Cnót.

Abby znowu poczuła strach, jakby ktoś dotknął jej zimnymi palcami.

- Podobnie zresztą jak wiele innych grubych ryb, łcznie z Charlesem Pomeroyem.

- Zaraz, zaraz... Charles Pomeroy? Miał zamiar wybudować przy klasztorze kolejną fabrykę amunicji? - spytała Abby z niedowierzaniem.

- Chyba chciał kupić wszystko, łcznie z klasztorem. Ale to ju bez znaczenia. Zakonnice się temu sprzeciwiły i archidiecezja odrzuciła jego ofertę.

- Dlaczego wczynie o tym nie słyszałam?

- To było kilka lat temu - wyjaśnił Montoya. - Ja dowiedziałem się o tym dzisiaj. Wygląda na to, e to miejsce go fascynowało, choć należał do Kościoła baptystów w Cambrai. Możliwe, że w związku z tym zastanawia się, dlaczego przekazał tak duży o pieniądze na szpital, kiedy jeszcze byli tam chorzy. Nie był raczej typem filantropa. Możliwe, że znał kogoś, kto tam pracował albo się leczył.

- Jak Hannah Jefferson? - spytała Abby. - Dziwne, ale mam wrażenie... - zmarszczyła brwi - e ona była zatrudniona w tym szpitalu.

Montoya spojrzał na nią uważnie.

- Sprawdź to.

- Mylisz, e to ważne?

- Możliwe. Ustalenie jakichkolwiek związków między ofiarami pomogłoby nam zrozumieć, o co chodzi i kto się za tym wszystkim kryje.

- Słyszysz, e to się jakoś łączy ze szpitalem? - spytała. - No cóż, Clyde LaBelle był tam lekarzem, Charles dawał pieniądze, Hannah Jefferson tam pracowała...

- A Nick?

Abby pokręciła głową.

- To jest właśnie problem. Nick nie miał żadnych związków z tym szpitalem poza tym, e moja matka leczyła się tam i tam zginęła.

Milczeli przez chwilę.

- Cóż, musimy szukać dalej - powiedział w końcu Montoya. Spojrzał na Hershey, leżącą na swoim miejscu koło kominka i zapytał nagle: - Moglibyśmy rozpalić ogień? - Wskazał stos drewna na palenisku i dodał zaraz, jakby czując, e powinien się wytłumaczyć: - Nigdy nie miałem w domu kominka.

- Jasne. - Abby podniosła się z kanapy, znalazła długą zapalniczkę do grilla i przytknęła ją do papieru pod drewnem. Papier zaczął się natychmiast, zaraz potem do pokoju zaczął wpływać ciemny, gryzący dym.

- Cholera. - Abby szybko pociągnęła rękę z boku kominka, otwierając przewód k

dym został wessany w gór komina. - Przepraszam, zawsze o tym zapominam. - Czuła się jak idiotka.

- Nic ci nie jest?

- Nie, tym razem obyło się bez oparzeń trzeciego stopnia i opalonych brwi. Tylko to - pokazała mu ubrudzone sadzarki. - Czekać, pójdź się umyć.

Zabrało to trochę więcej niż chwilę, ale zdążyła w tym czasie umyć rękę, położyć na talerzu krakersy i pokroić w plasterki ser, od którego odkroił wcześniej nadplacie skórki. Kiedy wróciła, Montoya siedział na kanapie bez butów i patrzył w ogień. Rozparł się wygodnie i ujął butelkę piwa w obie dłonie.

- Nie wiesz, czy Nick znał kogoś o inicjałach N. C.? - zapytał.

- N.C.? Możliwe. Chyba kiedyś znał kogoś o tym imieniu. Niech pomyśl... tak. Chyba na studiach, ja nigdy go nie poznałam. Naser... Naser... - Pstryknęła palcami. - Jak on miał na nazwisko? Curfew! Tak, Naser Curfew. Chyba byli na tym samym roku. Teraz mieszka gdzieś na Północnym Wschodzie, może w Bostonie? Nick chyba nie utrzymywał z nim kontaktów. Studiowali razem na Uniwersytecie Waszyngtońskim.

- Aha.

Sprawił wrażenie, jakby czekał na coś więcej i Abby zmarszczyła brwi.

- No tak. Póki nie miał kumpla, z którym egłował. Ten facet miał łódź, którą trzymał na Lake Union w Seattle. Nazywał się Andrew Nolte-Cradrick i niektórzy nazywali go N.C., chociaż Nick zawsze mówił o nim „Drew”.

- A ty?

- Czy znam kogoś, o inicjałach N.C.? - spytała, a Montoya kiwnął głową. - Cóż, pewnie miałam takich klientów i kolegów w szkole, ale jedyną osobą, która w tej chwili przychodzi mi do głowy to Nora Cadwick, kuzynka mojej przyjaciółki Alicii... tej, która mieszka nad zatoką.

- Tam, gdzie chcesz wyjechać.

- Kiedy sprzedam dom czy raczej, jeśli go sprzedam. - Abby pomyślała o Seanie Erwinie, który przyjechał wcześniej, przesuwał meble, mierzył drzwi i okna i robił notatki. - Właściwie o co ci chodzi? - zapytała, ale zaraz zorientowała się, że zna odpowiedź. - Zaraz, zaraz. Już rozumiem. Słyszałam dzisiaj kawałek tego programu radiowego... Byłam w samochodzie i chciałam sprawdzić, co się dzieje w starym dobrym WSLJ. Maury mówił o kimś, kto nazywa się N.C., prawda? Właściwie czytałam radio w chwili, kiedy ktoś przyszedł do studia... czekaj, czy to nie byłoby ty?

Montoya kiwnął głową.

- No, no. - Pochyliła się w stronę Montoi i stuknęła swoją butelką w jego. - Napijmy się. Myślę, że zasłużyli my na to.

- Ja wiem, że zasłużyłem - odparł z uśmiechem.

Abby roześmiała się i poczuła, że napięcie, w jakim była od tygodnia, nieco ustępuje. Było to przyjemne uczucie.

- Nie tylko ty ci kiedyś pracowałeś. Kiedy krążyło po ulicach Nowego Orleanu, szukałeś ceryjnych przestępców, ja płaciłam rachunki i kadrowałam lubne zdjęcia. Nie wiem, kto z nas ma bardziej niebezpieczny zawód. Widziałeś kiedy matkę panny młodej, która właściwie nie zauważyła, że ma podwójny podbródek? Albo taką, która zobaczyła zdjęcie ciebie i całkiem cicho pierwszemu druhn?

Montoya roześmiała się, a jego ciemne oczy błysnęły.

- To chyba ty powinnaś chodzić do pracy z bronią.

- Gdybym tylko ją miała. Mój rewolwer zniknął. - Montoya spowaśniał, a Abby wzruszyła ramionami. - Należał do ojca Nicka. Kaliber trzydzieści osiem. Zatrzymałam go po rozwodzie, co bardzo wkurzyło Nicka. Miałam go jeszcze niedawno, a teraz zniknął.

- Kiedy? - spytał Montoya bardzo poważnie.

- Nie wiem. Kilka dni temu.

- Nie poło yła go gdzie indziej?

- Nie... szukałam go. Nie wiem, co si z nim stało.

- Kto jeszcze, poza tob , wchodził do domu? - Montoya postawił butelk na stoliku i spojrzał na Abby uwa nie.

Abby zdenerwowała troch jego natarczywo . Montoya zadawał jej pytania, których sama nie miała sobie odwagi zada .

- Nikt. No, poza kilkoma osobami, które przyjechały obejrze dom.

- Masz ich nazwiska, adresy i numery telefonów?

- Tylko numery.

- Podaj mi je.

- My lisz, e to wa ne? - spytała i poczuła, e znowu ogarnia j strach.

- W obu wypadkach ofiary zostały zastrzelone z broni nale cej do kobiety. W pierwszym był to rewolwer, który Courtney LaBelle dostała od ojca. W drugim bro została skradziona z domu Jeffersonów.

Abby nagle zabrakło tchu w piersi. Ogarn ła j panika. Wstała i zacz ła chodzi po pokoju.

- Uwa asz, e morderca tu był. - Wskazała palcem podłog . - W moim domu. Ukradł mój rewolwer, eby mnie porwa , a nast pnie zabi i mnie, i jeszcze jedn osob , jakiego m czynn ? To chcesz powiedzie ? - Teraz ju prawie nie była w stanie oddycha ze zdenerwowania.

- Chc tylko powiedzie , e to mo liwe - odparł ostro nie.

- Nie, Montoya, naprawd mnie przeraziłe . - Abby zało yła r ce na piersi i podeszła do okna. My łała o uczuciu, e kto j obserwuje, o otwartym oknie, które odkryła w dniu, kiedy znikn ł rewolwer... O Bo e. Czy to mo liwe? Czy kto był w domu? Czy kto ukradł rewolwer Nicka? A mo e sarna go gdzie schowała? - W takim razie musz ci chyba powiedzie , e w dniu, kiedy znikn ł rewolwer, kto rzeczywi cie mógł tu by .

- Kto?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, czy naprawd tu był. To było tego wieczoru, kiedy do mnie przyjechałe , a ja otworzyłam ci z młotkiem w r ce. Powiedziałe , e mam by ostro na i zainstalowa alarm. Jak ci mówiłam, wcze niej tego dnia Hershey była bardzo niespokojna. My łałam, e chodzi o kota, ale i tak sprawdziłam cały dom. Wydawało mi si , e niczego nie brakuje, ale pó niej odkryłam, e w pralni było otwarte okno.

- A wcze niej było zamkni te.

- Tak...

- Powinna mi o tym powiedzie .

- Nie chciałam, eby pomy łał, e popadam w panik ... wiesz, jak te słabe kobietki, które boj si własnego cienia.

- Nie po wi cają własnego bezpiecze stwa, eby uratowa twarz - powiedział Montoya tak stanowczo, e Abby natychmiast si zbuntowała.

- Ale jeszcze yj , prawda? - rzuciła ostro. - Przeszukałam dom i nikogo nie znalazłam. Dopiero gdy odjechałe , odkryłam, e nie ma rewolweru. Szukałam go długo, ale - pokr ciła głow - nie znalazłam.

- Nie podoba mi si to.

- Mnie te .

Patrzył na ni tak intensywnie, e musiała odwróci wzrok.

- No? - powiedziała, pocieraj c ramiona, bo nagle zrobiło jej si zimno. - Kto to jest N.C.? O Bo e. - Nagle si zorientowała. - To on skontaktował si z radiem? Morderca skontaktował si z Mauryn

do radia.

- Tak, kto to zrobił. Ale może to jakiś oszust. Ludzie często udają, że coś zrobili, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Ale ty się dżisz, że to on. - Spojrzała na niego, odsuwając włosy z twarzy. - Dlatego przyjechałaś i zadajesz mi te wszystkie pytania. Nie jesteś na słuchanie, ale cięgle pracujesz.

- Nie wiem, czy to morderca przysłał list. - Montoya wstał i się przeciwstawił. - Ale to może być liwe, a my sprawdzamy wszystkie tropy.

- Co było w tym dla ciebie?

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi ze strachu. Teraz, kiedy stała tak blisko, Montoi trudno było się skupić. Powinien być przygotowany na to pytanie, ale nie był. Nie był też przygotowany na reakcję swoich zmysłów.

- Co było w tym dla ciebie? - powtórzyła.

- Jeśli ci powiem, będziesz musiała zachować to w tajemnicy.

- Oczywiście.

- Mówi powaźnie, Abby, coś takiego może kosztować mnie pracę albo, co gorsza, zrujnowanie dochodzenia.

- Ja też mówię powaźnie. Ciężko powaźnie. Co, do licha, było w tym dla ciebie?

- Powiem ci tylko dlatego, że... obawiam się, że to może być jakiś związek z tobą. Nie wiem, jak i mogli się mylić, ale takie mam przeczucie. - Spojrzała w jej przerażone oczy. - Przykro mi. Ale musisz być tego świadoma i czujna. Ostrożna. Nie chcę, żebyś dała się zaskoczyć. - Zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę, ale w końcu odrzucił obawy związane z ostrzeżeniem Melindy, która kazała mu przestrzegać zasad. - W tym dla ciebie było tylko jedno słowo, ałuj, i podpis: N.C., duży literami.

Abby zmarszczyła brwi.

- ałuj? - powtórzyła. - Ale za co? Za grzechy? Czyżby? Dlaczego?

- Tego jeszcze nie wiemy. Pracujemy nad tym.

- Czy nie powinno się podać tej informacji do publicznej wiadomości?

- Tak będzie, kiedy policja uzna, że może na to zrobić.

- Nic z tego nie rozumiem i nie znam nikogo o inicjałach N.C. Co to wszystko znaczy?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Nie mógł powstrzymać się ani chwili dłużej. Objął ją i przytrzymał do siebie. Nie opierała się, oparł więc podbródek na czubku jej głowy i wciągnął w nozdrza zapach jej włosów. - Nie dowiemy się tego, póki go nie schwytamy.

Abby zadrżała i przytuliła się do niego.

- Złapiemy go. To tylko kwestia czasu.

- To dobrze.

Zamknął na chwilę oczy... Tak łatwo byłoby ją teraz pocałować. Oboje o tym wiedzieli. Podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco. Ich ciała ciasno przylegały do siebie, serca biły przyspieszonym rytmem. Montoya niechcinnie wypuścił ją z objęcia. Musiał to zrobić. Ale kiedy znalazła się znowu na odległości ramienia, poczuł się dziwnie opuszczony.

Nie oponowała, nie próbowała się do niego tulić, choć wydawało mu się, że dostrzegł w jej oczach iskierkę podania.

Nie rób tego, Montoya, pomyślał. Nie całuj jej. To byłby duży błąd. Jest w to jako zamieszana... nie zapomnij o tym.

Była jedną z ofiar i może się stać następną ofiarą.

Zacisnął zęby.

Chyba zmieni temat, wskazał na stojącą na kominku zdjęcie.

- To ty? - spytał, patrząc na czarno-białą fotografię.

- Moja matka.
- Naprawd ?
- Tak... miała wtedy jakie dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat.
- Jesteś do niej bardzo podobna.
- Wszyscy mi to mówią.
- To komplement.
- W takim razie dziękuj.

Ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. Dopiero teraz dostrzegł, że była bardzo zmęczona.

- Może pójdziesz się położyć ?
- Teraz?
- Wyglądasz na wykończoną.

Spojrzała w stronę drzwi.

- Chcesz już iść ?

- Nie licz na to, moja pani. Nie rusz się stąd, dopóki nie zainstalujesz tu alarmu i nie sprawisz sobie dobermana i tygrysa.

- Ale przecie nie możesz... - urwała.

- Wystarczy mi koc i poduszka. Przepiś się tutaj. - Wskazał na kanapę. Wierz mi, sypiałem już w gorszych warunkach.

- Sama nie wiem...

- Cóż, może cię wyrzuci, ale wtedy będzie musiał spać w samochodzie pod twoimi drzwiami - powiedział stanowczo. - Zostaj tu, Abby, czy ci się to podoba, czy nie.

- Dziękuj - odparła z prostotą.

Był tam ten gliniarz.

Przyjechał późno.

I został.

Ze swojej kryjówki w ród drzew za werandą patrzył, jak w domu gasną światła... wszystkie, nawet w sypialni. Okna były zasłonięte, ale dostrzegł migotanie ognia na kominku i czuł zapach dymu w wilgotnym, wieczornym powietrzu. Przypomniały mu się ogniska, które sam kiedyś rozpalał i przy których siedział. Sam. Był samotny, zawsze. Był „inny”. „Niezupełnie w porządku”. „Bardzo inteligentny, oczywiście, ale wiecie, trochę dziwny”. To były słowa jego matki. Tak tłumaczyła znajomym, dlaczego nie miał przyjaciół, dlaczego tak bardzo różnił się od rodziców.

W końcu nauczył się odnajdywać spokój w swojej samotności. A potem poznał Faith.

I już nie był sam.

Znowu przypomniał sobie jej dotyk, ciepło, usta na swojej skórze...

Ale tym razem nie mógł zatopić się w słodkich wspomnieniach. Patrzył na dom i czuł, jak ogarnia go zimny gniew.

Pieprzyli się.

Był tego pewien.

Jak suka w rui, pozwoliła się pieprzyć temu policjantowi! Może teraz wije się i jej czy pod nim, błagajcie o więcej.

Była taka sama jak matka!

Która go zdradziła.

Znowu ogarn ła go fala wspomnie , ale tym razem były gorzkie jak piołun.

Pami tał miech Faith, niski, gardłowy miech, który, jak s dził, nale ał tylko do niego. A jednak kiedy usłyszał, jak dobiega z jej pokoju. Pó no w nocy. Kiedy powinna na niego czeka .

Nacisn ł klamk .

Drzwi były zamkni te. Na klucz.

Zamkn ła si przed nim.

Dlaczego?

Ju miał co powiedzie , zawoła j , ale wtedy dobiegły go inne odgłosy, d wi ki, których nie mo na było pomyli : stłumione post kiwanie zwierz cej rozkoszy, rytmiczne skrzypienie spr yn materaca, przeci gły j k zaspokojonej dzy.

Czuł s cz cy si spod drzwi zapach grzechu.

Łzy napłyn ły mu do oczu na my l o jej skalanej czysto ci. Si gn ł do kieszeni i dotkn ł rewolweru.

Jej rewolwer.

Ta bro go zbawi. I j .

Zacisn ł palce na chłodnym kawałku metalu.

Twój czas si zbli a, pomy lał z gniewem. Jest ju bardzo blisko. O tak, bardzo blisko.

Zamkn ł oczy i zobaczył jej twarz. Pi kn . Niewinn . Kusz co u miechni t . Tak bardzo podobn do twarzy Faith.

Ona tak e go zdradziła, tak jak jej matka.

Chciał wierzy , e jest aniołem.

Ale w gł bi duszy wiedział, e jest zwykł dziwk .

Rozdział 21

W szpitalu było ciemno, na korytarzach panował półmrok, schody zdawały si ci gn w niesko czono . Abby szła szybko, nios c paczk z prezentem. Chciała zrobi matce niespodziank . Miała jej tak wiele do powiedzenia, z tylu rzeczy chciała si jej zwierzy . Zaprosiła Treya na ta ce... o Bo e... A on, cud nad cudy, powiedział „tak”. Biegła w gór schodów. Ale pudełko było wielkie i wydawało si ci sze z ka dym krokiem. Nie potrafiła go utrzyma . Chwyciła si por czy, usiłuj c złapa równowag , i wtedy pudło wy lizn ło jej si z r k. Nie udało jej si go złapa . Patrzyła, jak stacza si ze schodów w ciemno . Zacz ła schodzi , eby je podnie i zabra , ale powstrzymał j głos matki.

- Abby? Abby Patricia? - Głos zdawał si dobiega z bardzo daleka, jakby matka znajdowała si na ko cu długiego tunelu.

- Ju id , mamó - odkrzykn ła.

Wiedziała, e prezent przyniesie Gina. W ko cu cał drog klóciły si o to, kto ma go da matce. Niech Gina to zrobi. Co za ró nica?

Ale patrz c w dół, zastanawiała si , gdzie jest Gina. I gdzie jest ojciec? Ile czasu mo e zabra zaparkowanie samochodu?

- Abby! - Głos Faith brzmiał ostro. Była w nim nuta strachu.

Abby odwróciła si i pobiegła do góry. Na drugim pi trze usłyszała cichy szloch. Rozpaczliwy, rozdzieraj cy płacz.

- Mamó?

Niemo liwe, by to jej matka płakała! Ale wszystkie drzwi na drugim pi trze były otwarte, jak rozdziawione, czarne paszcze potworów.

Tylko drzwi do pokoju 307 były zamkni te.

Nacisn ła klamk .

Nic

- Och nie, nie... Proszę, nie... - Zza drzwi dobiegał błagalny głos jej matki.

- Mamo! - Abby uderzyła w drzwi pięcioma palcami. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Jedna za drugą, cyfry składają się na numer pokoju zaczął spadać na podłogę.

Trzy.

Zero.

Siedem.

A potem nagle drzwi otworzyły się szeroko.

Abby weszła do pokoju... W wazonie stał bukiet wiśniowych kwiatów. Lustro nad kominkiem było zbita, szkło poplamione krwią. Matka była przy oknie... ale nie sama... mężczyzna w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi, stał odwrócony plecami do Abby. Trzymał dłonie na ramionach Faith i popychał ją w stronę okna. Faith miała rozdarta sukienkę, jeden but spadł jej ze stopy.

Pomóż mi, błagała spojrzeniem, patrz na córkę ponad ramieniem mężczyzny. Abby Patricia, pomóż mi!

Oszolomiona Abby chciała się ruszyć, ale jej nogi były ciężkie jak ołów.

- Mamo! - krzyknęła, wyciągnęła ręce i rozpaczliwie usiłując dosięgnąć matki.

Lekarz z całej siły pchnął Faith, która upadła do tyłu z krzykiem i uderzyła w okno. Szyba pękła. Abby, choć bardzo się starała, nie była w stanie powstrzymać matki przed wypadnięciem.

Lekarz wyszedł i zniknął w ciemnym korytarzu. Do pokoju przez rozbite okno wpływało gorące, wilgotne powietrze.

Faith, zakrwawiona, chwyciła dłoń Abby i przyciągnęła ją do siebie.

- Wybaczam ci - wyszeptała.

Razem runęły w ciemność.

Abby z krzykiem usiadła na łóżku. Była złana potem, serce biło jej gwałtownie, nie mogła złapać tchu. Sen był tak realny.

- O Boże - szepnęła, odgarniając włosy z twarzy. Po chwili jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyła w otwartych drzwiach sylwetkę mężczyzny. Krzyknęła znowu i skuliła się w sobie. Mężczyzna podszedł bliżej.

- Abby? - Detektyw Montoya włączył nocną lampkę. W ręce miał rewolwer, a na sobie tylko dżinsy. Widząc, że jest sama, położył broń na stoliku. - Wszystko w porządku?

- Ci głębiej mnie o to pytasz - powiedziała, usiłując uspokoić galopujące serce, i odwróciła oczy. Kiedy rozstawała się z nim wieczorem, był przeciebrany.

- Ja... eee... o Jezusie. - Oparła się o wezgiel i założyła włosy za uszy. - Znowu... znowu miałam ten sen. Przepraszam, nie chciałam cię zbudzić.

Uśmiechnął się lekko.

- Nie szkodzi.

Nie zaprotestowała, kiedy usiadł obok niej i przyciągnął do siebie tak, że poczuła jego zapach i bicie jego serca.

- Lepiej już?

- Tak... Chyba tak. Mam nadzieję...

Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Usłyszała coś? A może coś zobaczyła?

- Nie... to był tylko sen. Ten sam, który nachodzi mnie od lat. Z każdym razem jes

si . - Zawsze dotyczy tej nocy, kiedy zgin ła matka.

- To było bardzo dawno temu, a jednak ci g ła do ciebie wraca - zauwa ył.

- Wła nie dlatego, za rad jednego z psychologów, pojechałam wtedy do szpitala.

- Ale nic si nie zmieniło?

- Jak dot d, nie - zmarszczyła brwi. - My l , e tam jest co wa nego, w pokoju mojej matki. - Spojrzała w jego ciemne, zatroskane oczy. - Wiem, e to brzmi idiotycznie, ale czuj , e je li tam wróc , uda mi si to wszystko zostawi za sob - powiedziała. - Musz tam wróci .

- Dlaczego? - Montoya podci gn ł nogi pod siebie i oparł si o poduszki, nie wypuszczaj c Abby z obj .

- Bo kiedy byłam tam ostatnio, pokój mojej matki był zamkni ty na klucz. Wszystkie inne były otwarte. Poza drzwiami na dole. Drzwi zewn trzne były zamkni te, okna te , ale drzwi do pokojów były otwarte. Tylko pokój 307 był zamkni ty. Pokój mamy. - Spojrzała na niego i zobaczyła, e zmarszczył brwi. - Nie wydaje ci si to dziwne?

- Kochanie, wiele rzeczy wydaje mi si dziwnych - przyznał. Spojrzeli sobie w oczy i Abby nagle poczuła, e zaraz j pocałuje. Chwil potem Montoya poruszył si i szybko przyci gn ł j do siebie, tak blisko, e poczuła jego oddech na twarzy.

Nie ró b tego, pomy łała, ale podniosła głow .

Sekund pó niej jego usta dotkn ły jej warg. Palce jednej r ki wsun ł w jej włosy, drug przesun ł w dół jej pleców. Nie zrobiła nic, by go powstrzyma . Tylko zamkn ła oczy.

Od jak dawna nie całowała si z m czyzn ? Kochała si z m czyzn ?

Nie wierz w to... to nic nie znaczy. To tylko dwoje samotnych ludzi, którzy przypadkiem znale li si razem w nocy pod jednym dachem. Niezobowi zuj cy seks. Nie tego chcesz, Abby. Nie tego.

A jednak nie mogła si powstrzyma .

My l, Abby. Pomy l o tym, co b dzie jutro i pojutrze, i popojutrze.

Ale zagłuszyła głos rozs dku. Nie b dzie go słucha . Nie dzi . Dzi nie b dzie post powa zgodnie z zasadami.

Silne, zr czne dłonie przesuwaly si po jej ciele, dotykały piersi i ust. Jego pocałunki paliły, gor ce, nami tne. Nie my łała o tym, co jest dobre, a co złe. Nie my łała o w tpliwo ciach, które pojawi si rano.

Pragn ła go.

Teraz.

Jej ciało domagało si zapomnienia, cho na kilka godzin, o koszmarnych snach, bólu przeszło ci i niepewnej przyszło ci.

Ta noc nale ała do nich i Abby uległa, oddaj c pocałunki, dotykaj c silnego, muskularnego ciała, czuj c, jak krew zaczyna szybciej kr y w yłach.

- Ooooch - j kn ła, przesuwaj c dło mi po twardych ramionach i silnych, szczupłych plecach. Był silny i twardy. Kochał, bez w tpienia, wiele kobiet i walczył z wieloma m czyznami. Mo e nawet zabijał.

Zsun ła dło w dół płaskiego brzucha i rozpi ła pierwszy guzik spłowiałych, seksownych d insów.

- Uwa aj - szepn ł. - To niebezpieczne terytorium.

- Tu wszystko jest niebezpieczne - odparła.

- Abby, mo e... mo e powinni my to przemy le . - Oddychał ci ko, na jego ciele wyst piły kropelki potu.

- Dlaczego?

- Bo kiedy przekroczymy pewn granic , nie b dzie ju odwrotu.

- My lisz, e o tym nie wiem?

- Jestem w samym rodku dochodzenia w sprawie morderstwa i...
- Wydaje mi się, że w tej chwili jesteś w rodku czego zupełnie innego - powiedziała przekornie. - Chyba dobrze odczytałam sygnały - przytknęła wilgotne usta do jego brzucha.

- Usiłuj zachować się rycersko - jęknęła.

- Zostanie to odnotowane.

- Abby...

- Co? - Przesunęła wargami w dół. Palce Montoi zacisnęły się na jej nadgarstku, a potem nagle rozluźniły.

- Chryste - szepnęła. - Je li tego właśnie nie chcesz, kochanie, to dostaniesz. - Podciągnęła go do góry, ujęła jej twarz w dłonie i zaczął całować ją tak, jakby nigdy nie miał przestać. Z jej pomocy zdjął spodnie, składając tysiące pocałunków na jej brzuchu i między piersiami.

Rozchyliła udę, a on zarzucił sobie jej nogi na ramiona i wszedł w nią tak gwałtownie, że krzyknęła cicho. Zaczęła poruszać się w tym samym rytmie, coraz szybciej, a całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Chwilę później on także odrzucił głowę do tyłu, a potem ukrył twarz na jej piersi, obejmując ją ramionami.

- O Boże... Montoya... - jęknęła cicho.

- To właśnie nie chciałem usłyszeć - odparł chrapliwie.

- Co?

- Imię Boga i moje własne, w tej samej chwili.

Abby zaś miała się cicho.

- Jak możesz teraz artować?

Serce cięgle dziko waliło jej w piersi, brakowało jej tchu.

- A kto artuje?

- Dobra - mruknęła i trzymała go łokciem.

- Najpierw Bóg, a zaraz potem dobra. - Pocałował ją w szyję, a Abby westchnęła z zadowoleniem. Nie myślała o poranku i cięrze, jaki kolejny dzień złoży na jej ramiona.

Do witalności przywrócić ją tylko ulotne radości miło ci.

Wielebny Gregory Ray Furlough wstał późno. Mieszkał w swoim studiu, prywatnym sanktuarium, z dala od całego świata. Studio było oddzielone od głównego domu sosnami, dębami, wierzbami i drzewami magnolii oraz ogrodzeniem z kutego metalu i miało osobne wejście, a składało się z kilku pokoi, garażu na trzy samochody, basenu i boiska do koszykówki. Dość wygodne, być może, ale Gregory Ray Furlough uważał, że odrobina ostentacji jest konieczna, by móc głosić Słowo Boże.

Nigdy nie czuł się tak blisko Pana, jak wtedy, kiedy ociekając potem, jednym celnym rzutem umieszczał piłkę w koszu. Ten rzut był jego popisowym numerem, odkąd Gregory został członkiem drużyny Hornets.

I to na boisku do koszykówki po raz pierwszy ujrzał światło.

Podskoczył wysoko, jakby miał skrzydła, wyciągając ręce w stronę piłki. A zaraz potem runął na ziemię wraz z kilkoma innymi zawodnikami. Złamał kostki i przez dziesięć minut był nieprzytomny. W tym czasie zdążył zobaczyć twarz Chrystusa, a kiedy się obudził, poprzysiął, że jeśli odzyska sprawność - i zagra w przyszłym sezonie - poświęci swoje życie Bogu i Jego Synowi.

I tak się stało.

Odzyskał sprawność po wielu godzinach bolesnej terapii, w czasie której otrzymał:

którzy go nie znali, ale modlili się, by wrócił do zdrowia, aby drużyna Hornets w kolejnym sezonie mogła rozbić przeciwników w proch i pył.

I tak się stało.

Ozdrowiał w cudowny sposób i był pewien, że nie stało się to tylko dzięki jego samozaparciu i ciężkiej pracy, ale dlatego że złożył obietnicę Bogu. Przysięgł, że jego drużyna wygra w barwach, z Bogiem i dla Boga.

I tak się stało.

Drużyna Hornets zmiażdżyła przeciwników i zajęła pierwsze miejsce w lidze dzięki wytrwałości i brawurowej grze Gregory'ego Raya.

Tłum oszalał. Zaraz po meczu Gregory Ray z rezerwowym na szyję i rozjątrzoną twarzą udzielił wywiadu lokalnej stacji. Dysząc cięko, patrzył prosto w obiektyw kamery i dedykował zwycięstwo, puchar i tytuł mistrza Bogu.

Otrzymał setki listów gratulacyjnych i telefonów. Jedna z chrześcijańskich stacji przez całe tygodnie przeprowadzała z nim wywiady.

Ale nie zaoferowano mu stałego kontraktu.

Nikt nie zadzwonił, by zaprosić go do NBA.

Cóż, jego college był jednym z mniejszych, a liga, w której grała drużyna Hornets, nie mogła się równać z tymi, do których należały duże uniwersytety.

Jeśli chodzi o nogę, kilku lekarzy twierdziło zgodnie, że jest zdrow jak ryba i silniejszy niż kiedykolwiek. Na boisku nadal mógł dźwżyć siebie wszystko mimo dwóch operacji w kostce.

Tylko kilku najbliższych przyjaciół wiedziało, z jakim bólem zmagał się po każdym meczu.

Na szczęście nietrudno było mu znaleźć lekarza, absolwenta college'u, który chętnie przepisał konieczne leki... Gregory nigdy ich nie nadużywał, brał je tylko po to, by umierzyć ból i wyciszyć się, która temu towarzyszyła.

A wokół było tylu ludzi, którzy w niego wierzyli, prosili go o zdjęcia i autografy na swoich piłkach i czapkach. Kibice. Wielbiciele.

Uznał brak kontraktu za znak od Boga i postanowił „zagrać w drużynie Jezusa”. Gregory nie był głupcem i szybko się zorientował, że może być członkiem tej drużyny przez resztę życia i zarobić na tym więcej pieniędzy niż w NBA. że może zostać gwiazdą.

I tak się stało.

Ten sam upór i furia, które kierowały nim na boisku, pomogły mu stworzyć licząc kilka tysięcy parafii. Nikt nie wiedział, skąd bierze się jego niespożyta energia. Nikt nie wiedział, że kryje się za nim gniew. Nikt nie wiedział, jak bardzo czuł się zdradzony od czasu, kiedy odkrył, że jego rodzice - para dobrych, cięko pracujących ludzi - okłamywali go od samego początku.

Nigdy mu nie powiedzieli, że został przez nich adoptowany. Odkrył to sam, na lekcji biologii, w wieku lat czternastu. Ludzie o niebieskich oczach nie mogą spędzić dziecka, które ma oczy brzozy... więc albo jego matka była cudzołosem, albo został adoptowany.

Łatwo było ustalić, co jest prawdą. I ustalił to.

Ile to razy próbował wybaczyć prostym, biednym ludziom i ile razy nic z tego nie wyszło?

- Daj mi siłę - wyszeptał, siedząc w swoim gabinecie, i potarł rękami oczy.

Był zmęczony, czuł, że powinien się już położyć. Miał tu tę sypialnię z wielkim łóżkiem i ogromnym telewizorem, a nawet kominek na gaz. Wolał sypiać samotnie tutaj niż w wielkim domu, który przez lata budowała jego matka.

Owszem, sypiał w swoim małżeńskim łóżku w każdą sobotnią noc i kochał się z nią

Rano jedli razem niadanie, a potem osobno jechali do kościoła, ona z dziećmi, on sam swoim samochodem.

A kiedy mieli w sobie tyle namiętności. Zdarzało się nawet, że uprawiali seks na kuchennym stole. Ale to było, zanim jego ona stała się oziębłą. Zanim nie zaangażowała się tak bardzo w życie dzieci, że przestała mieć czas dla siebie.

Na myślenie o tym znowu ogarnął go gniew. Rozpiął górny guzik koszuli i spojrzął na notatki nabazgrane na małych ółtych karteczkach. Pracował nad kazaniem cały tydzień, odkąd usłyszał o morderstwach. Ta straszna tragedia była wiecistą okazją, by przyciągnąć więcej ludzi do Pana.

Wszyscy oczekiwali wielkiego występu.

Oczekiwali namiętności.

Gniewu.

Siły.

A przede wszystkim Bożej Miłości.

Gregory Ray to wszystko miał.

W czasie tego wspaniałego kazania, o gniewie Boga, o miłości Jezusa, o... podniósł głowę. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk. Kroki? Nasłuchiwał przez chwilę, ale w domu panowała cisza. Tylko wiatr poruszał na zewnątrz trzaskającymi, jesiennymi liśćmi. Nie, nic nie słyszał. Po prostu jest zmęczony po całym tygodniu pracy, wywiadów, udzielania wsparcia rodzinom ofiar i wyrażania gniewu z powodu maniaka, który krąży po ulicach miasta... O tak, tak, tak. Chwytny pióro i zaczął pisać.

Skrzyp.

Znowu podniósł głowę.

Tym razem był prawie pewien, że usłyszał skrzypnięcie deski w podłodze. Odchylił się do tyłu i nasłuchiwał.

- Jest tam ktoś? - zawołał w kościele.

Ale odpowiedziała mu cisza.

To tylko zmęczenie, zmęczenie i napięcie.

Może powinien się pomodlić. Położył pióro na biurku i wziął głębszy oddech, a potem zamknął oczy i zaczął prosić Boga o łaskę natchnienia.

- Boże, pomóż mi - mówił głosem. - Pozwól mi dostrzec światło, pozwól mi czuć Twoją obecność, włóż w moje usta Twoje słowa...

Znowu ten dźwięk.

Gregory Ray otworzył oczy.

A potem zerwał się na równe nogi.

Przed nim, z czymś, co przypominało rewolwer, w dłoni, stał Szatan.

Zanim Gregory Ray zdążył wydobyć z siebie choć słowo, Lucifer przytknął broń do jego piersi i pociągnął za spust.

Siostra Maria wyczuła coś przez sen.

Przewróciła się na wznak.

A wtedy dźwięk kawiczki zakryła jej usta.

Ogarnięta paniką, natychmiast oprzytomniała. W pokoju było zupełnie ciemno; do jutrzni zostało jeszcze sporo czasu.

Nie widziała napastnika, ale czuła, że jest silny.

Zdeterminowany.

Pełen gniewu.

Czuła ten gniew. Czuła jego pot.

A potem poczuła ten jakiś inny, mdlący zapach.

Eter!

Pamiętała zapach eteru z czasów, kiedy pracowała w szpitalu.

Nie! Pomyślała. Nie! Nie! Nie!

Zaczęła się wrywać. Próbowwała krzyczeć. Walczyła z całym sobą i dyszała przy tym ciężko, wciągając w płuca ten zapach...

Jej ruchy spowolniały.

Zaczęła jej się kręcić w głowie.

Wiedziała, co się dzieje, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

W końcu uległa i ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność.

Wybacz mi. Ojczy, modliła się sennie, bo zgrzeszyłam...

Rozdział 22

Gregory Ray Furlough nie miał zamiaru poddać się bez walki. Porywacz zakneblował go, zawiązał mu oczy, przywiązał do krzesła i zostawił w miejscu przesiąkniętym zapachem wilgoci, zgnilizny i brudu.

Nie był w stanie opanować strachu. Wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna miał na sobie czarny kombinezon i maskę. Był szybki, sprawny i chciał go zabić. Gregory Ray nie miał co do tego wątpliwości. Czytał o popełnionych ostatnio morderstwach dookoła, by rozumieć, że człowiek w masce jest właściwie nie tym zabójcą.

Aldora nie dostanie listu z daniem okupu.

Nie będzie negocjacji w sprawie jego uwolnienia.

Nie odetnę mu nawet ucha czy palca, na dowód, że istotnie został porwany.

Nie, czeka go tylko śmierć.

Chyba że zdoła zrobić coś, by się uratować.

Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

Ile razy powtarzał ten rad? Czas, by sam się do niej zastosował.

Zastanawiał się, kim jest ten szaleniec. I dlaczego na swoją ofiarę wybrał właśnie nie jego, Gregory'ego Raya Furlougha?

To nie miało sensu. Nikt przecież nie mógł pragnąć jego śmierci. Uwielbiali go parafianie i media. W jego kierunku podnosiły się nawet głosy, że powinien zostać politykiem. A jednak ktoś go nienawidzi. Ktoś, kto miał do sprytu i odwagi, by przeskoczyć przez ogrodzenie i wejść do jego sanktuarium.

Pewnie pociechą stanowiła myślenie, że przynajmniej Aldora i dzieci są bezpieczni... prawda? Szaleniec nie wracał po rodziny ofiar, na pewno nie.

Ale przecież... ten człowiek zabija parami...

Mężczyźni i kobiety.

Zakładając, że to ten sam człowiek... Może to jakiś naładowca... Ale kimkolwiek jest, jest silny i zdeterminowany.

Może... może jeśli będzie do niego szybki, uda mu się zaskoczyć tego wira. Ale choć Gregory Ray był w dobrej formie, ten mężczyzna był wy szybszy i potężniejszy. Potraktował go paralizatorem, a potem zaraz przycisnął do ziemi, skrępował tam, zakneblował i zasłonił mu oczy.

Potem przerzucił go sobie przez ramię i zaniósł do garażu, gdzie jeszcze raz przyłożył do niego paralizator i pocignął za spust. Ciało kandydatki przeszło ból kilku tysięcy wolt. Chwilę później napastnik wrzucił go na tylne siedzenie mercedesa.

Przez całą drogę Gregory Ray modlił się żarliwie o ratunek. Nie miał pojęcia, dokąd jadł. Stracił poczucie kierunku, kiedy samochód skręcił w główną drogę. Nie wiedział tego, dlaczego został porwany. Czuł jednak, że zrobił to psychopata odpowiedzialny za śmierć czworga innych ludzi.

Mniej więcej po pół godzinie samochód skręcił w jakąś wyboistą drogę, a kilka minut później zatrzymał się gwałtownie i kierowca wysiadł. Otworzył tylne drzwi i jeszcze raz potraktował swoją ofiarę paralizatorem. Gregory Ray, oszołomiony, został szybko rozwiązany, rozebrany i pchnięty na krzesło. Pod nagimi pośladkami wyczuł podkładkę w plastikowym siedzeniu. Porywacz skręcił mu ręce na plecach tam, a nogi, również za pomocą tamtych, przywiął do nóg krzesła.

A potem pochylił się nad Gregorym Rayem i wypowiedział pierwsze i jedyne słowa, odkąd wszedł do jego gabinetu:

- Niech moc Boga będzie z tobą, bracie.

Gregory'ego ogarnęła groza, jakiej dotąd nie znał.

Później porywacz wyszedł. Gregory Ray, drąc na całym ciele, usłyszał szum odjeżdżającego mercedesa.

Zrozumiał, że musi działać szybko. Szaleniec wróci tu, by go torturować, a następnie z nim skończy, albo zostawi go tu, aby zmarł z odwodnienia.

Próbował wszystkiego. Rzucił się na krzesło, usiłując zbliżyć się do jakiegoś wyjścia, szarpał tam krępującą nadgarstki, wierzył stopami, a rozboleły go nogi i plecy.

W końcu udało mu się przewrócić wraz z krzesłem na brudną podłogę. Poczł zapach kurzu i brudu. Powoli posuwał się w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, mogły być drzwi, boleśnie ocierając sobie przy tym ucho. Musi być tu coś, cokolwiek, czego mógłby użyć jako broni.

Mijały minuty. Był spocony, ciało miał w wielu miejscach otarte do krwi. Nagle natrafił nosem na coś miękkiego... jaki materiał? Przesunął po tym twarz i poczuł coś metalowego, co było przyłączone do długiego, woskiego... W! Słodki Jezus! Cofnął się gwałtownie, czekając na atak.

Ale nie usłyszał ostrzegawczego syku.

Nie wyczuł żadnego ruchu.

Czy bywał martwy? Schwytany w pułapkę na myszy? Leżąc na stercie szmat? Przecież ten metal... Ale ten metal był gładki. Wypolerowany. Drogi? Nie pasował tu... a szmaty nie wydzielają zapachu kurzu ani stchlizny... wręcz przeciwnie, pachniały dość przyjemnie, jakby znajomo...

Serce podskoczyło mu w piersi.

To nie w!

To jego pasek. Tak! I jego ubranie? Najwyraźniej natknął się na miejsce, gdzie porywacz rzucił jego rzeczy. Spieszył się. Gregory Ray to czuł. Jakby brakowało mu czasu. Zostawił ubranie wraz ze wszystkim, co było w kieszeniach. Wraz z kieszonkowym scyzorykiem ultra, produktem Pomeroy Industries. Gregory Ray dostał ten scyzoryk od syna na Boże Narodzenie w ubiegłym roku. Scyzoryk był wyposażony we wszystko, od korkociągów po ceki do paznokci, a także piętne różnych ostrzy. Gregory'emu Rayowi wystarczyłoby tylko jedno. Obojętne które. Dodatkową zaletą scyzoryka było to, że otwierał się bardzo łatwo, wystarczyło trafić na mały przycisk, by wyskoczyły dwa najczystsze ostrza. Syn powiedział mu z dumą, że dzięki temu przyciskowi ultra to „fantastyczny przyborek i broń w jednym”.

Wtedy Gregory Ray uśmiechnął się tylko i pomyślał: „Do licha, synu, a komu to potrzebne?” Teraz myślał o scyzoryku z wdziacznością.

Pracował gorliwie, starając się przyjąć wraz z krzesłem odpowiednią pozycję.

szuka palcami kieszeni. Oddychał gł boko i przypominał sobie ból, jakiego do wiadczał jako sportowiec: połamane palce, złamany nos, obite łokcie i kolana, no i oczywi cie kostka nogi. Wi c i to znieście. Tak! Zacisn ł z by i znalazł jedn kiesze . Dobrze! Wsun ł w ni palce i natrafił na... zapalniczk . Doskonale. Starannie odfo ył j na bok, mogła si jeszcze przyda . Teraz przednia kiesze . Musn ł palcami rozporek, znalazł kiesze ... Musi tu by ! Zawsze nosił przy sobie ten scyzoryk! Pot zalewał mu oczy, ogarn ła go panika.

Wreszcie poczuł go pod palcami. Pomeroy Ultra. Trudno było mu go uchwyci , palce miał spocone i liskie, w ko cu jednak mu si udało. Powoli wysun ł scyzoryk z kieszeni. Teraz pomó mi. Bo e, pomy lał, próbuj c odszuka przycisk dr cymi palcami.

Brzd k! Ostrze wyskoczyło z ukrycia.

Alleluja!

Dzi ki Ci, Jezu!

Daj mi sił , Bo e, modlił si w duchu, bym zdołał zabi tego sukinsyna.

Gregory Ray rozumiał teraz, e musi wypełni misj . Bóg dał mu sposobno , by usun z oblicza ziemi potwora, który porywa i zabija. To nie tylko próba, ale te szansa, by pokaza Bogu sw wiar . Je li tego dokona, nie tylko uratuje ycie sobie i zapewne jeszcze jednej osoby, ale stanie si te bohaterem. Prasa oszaleje. Parafia rozkwitnie. Napisz o nim ksi k . A potem nakr c film...

Ale wyprzedzał fakty. Na razie musi si skupi na tym, eby z tego wyj . Liczył na to, co ju tak wiele razy oddało mu nieocenione usługi. Na swój gniew.

Bo był zły.

Był w ciekły i gotów si zem ci .

Obrócił scyzoryk w palcach, a potem wsun ł ostrze pod ta m kr puj c nadgarstki.

No, chod tu, chory sukinsynu, my lał z zimn furi , poka ci, kto tu rz dzi.

Siostra Maria została brutalnie postawiona na nogi.

R ce miała zwi zane na plecach, ale porywacz rozci ł ta m kr puj c jej nogi w kostkach i zdj ł opask z oczu. Powiesił jej te ró aniec na szyi.

- Ruszaj - rozkazał.

Słaba i oszołomiona poruszała si z trudem. Czuj c na plecach luf rewolweru, szła w ciemno ci, potykaj c si , w stron ... czego? Co mogło na ni czeka ? Tortury? Niewykluczone. Gwałt? Prawdopodobnie. mier ? Na pewno.

Ojcie nasz, który jest w niebie...

Porywacz o wietlił latark dom na kółkach, który wygl dał tak, jakby od dawna nikt w nim nie mieszkał. Metalowe elementy były zardzewiałe, szyby w oknach pop kane...

Pchn ł j i siostra Maria weszła na dwa rozchwiane stopnie, a potem do mrocznego wn trza. Oparła si o cian , a m czyzna, nie odrywaj c lufy rewolweru od jej pleców, zapalił lamp .

Serce podeszło jej do gardła. Na rodku niewielkiego, brudnego, zalatuj cego st chlizn saloniku, siedział przywi zany do krzesła Gregory Ray Furlough. Był nagi, oczy miał zawi zane, usta zaklejone.

- Nie! - wydała stłumiony przez ta m okrzyk. A potem pochyliła si i zacz ła wymiotowa .

- Cholera! - Porywacz zdał jej ta m z ust i zaczekał, a sko czy.

Jak to mo liwe? Dobry Bo e, nie!

Łkała i krzyczała, zmia d ona bólem.

Nie! Nie! Nie!

Na wszystkich wi tych, sk d ten potwór wie? Czego od niej chce? Krztusz c si i kaszl c, spojrzła na m czyzn w masce, który j porwał, a teraz stał nad jej synem.

Nie mo e na to pozwoli . Nie mo e pozwoli temu szale cowi skrzywdzi jej syna, dziecka, które wydała na wiat tak wiele lat temu.

- Nie rób tego - powiedziała błagalnie. - Pro Boga o wybaczenie i wi cej nie grzesz.

M czyzna zeszywniał.

- To nie ja jestem grzesznikiem - powiedział powoli i zdj ł opask z oczu Gregory'ego Raya.

Gregory Ray spojrział na ni . Zrozumiała natychmiast, e i on ju cierpiał. Nie patrzyła na jego nago , tylko na jego twarz, w ciemne oczy, tak bardzo podobne do oczu jego ojca... Chłopca, którego poznała w młodo ci i który ju od dawna nie ył.

- Znacie si - powiedział porywacz zimnym, pełnym satysfakcji tonem, a Maria, ku swemu przera eniu, zorientowała si , e została rozpoznana przez syna. - Matka i syn. Oboje yj cy w kłamstwie.

Gregory Ray spojrział na porywacza, z w ciekło ci mru c oczy. Siostra Maria zrozumiała, e zaraz zrobi co głupiego, co bardzo ryzykownego. Wiedziała, e nie mo e na to pozwoli .

Musi go uratowa . Nawet gdyby musiała w tym celu zabi . Zabójstwo to grzech miertelny... jej dusza pójdzie prosto do piekła.

A wi c niech tak si stanie.

Gregory Ray udawał, e jest skr powany i zdezorientowany, ale nie był w stanie oderwa wzroku od kobiety, która wydała go na wiat, a potem opu ciła, oddała ludziom zbyt głupim, by rozumie podstawowe prawa genetyki.

Stała teraz przed nim w koszuli nocnej, stara, zm czona i przera ona, z ró a cem na szyi, i bezgło nie poruszała ustami. Bez w tpienia liczyła na bosk interwencj .

Ona. Zakonnica. Która była jego matk .

Dziwka.

Dziwka obleczona w zakonny habit.

Udaj ca pobo no .

Nienawidził jej, ale jeszcze bardziej nienawidził człowieka, który zamierzał ich oboje zamordowa za pomoc rewolweru, podejrzanie podobnego do rugera z kolekcji Gregory'ego Raya. Trzymał go zawsze pod siedzeniem mercedesa.

Porywacz odwrócił si tylko na sekund . I w tym momencie Gregory Ray i wykonał swój ruch. Skoczył do przodu i z sił , któr z pewno ci dał mu sam Bóg, wbił nó w klatk piersiow m czyzny.

Trysn ła krew.

Zakonnica krzykn ła i rzuciła si na m czyzn , który rykn ł dziko i uderzył Gregory'ego Raya w twarz rewolwerem. Gregory Ray, ze zmia d onym nosem, run ł do tyłu i wypu cił z r ki scyzoryk. Chciał d ga oprawc , póki mu sił starczy, ale r ce miał liskie od krwi, a zakonnica wepchn ła si mi dzy nich, rzuciła na tego m czyzn z pazurami, jakby miała zamiar zabi go gołymi r kami.

Nie!

M czyzna, teraz ju bez maski na twarzy, ze scyzorykiem ci gle tkwi cym w piersi, uderzył siostr Mari w twarz, złapał j , kiedy upadała i wcisn ł jej do r ki rewolwer...

Ruger wypalił, a w piersi Gregory'ego Raya eksplodował ból. Zamrugał i zaczął krztusić się krwią. Szalencie wykręcił nadgarstek siostry Marii, a krzyknęła z bólu, a potem powoli skierował łufę ku jej skroni i pociągnął za spust. Gregory Ray zamknął oczy i wyszeptał słowa ostatniej modlitwy.

Ciało zakonnicy zwiotczało w jego ramionach. Ostro nie położył jej na ciele kaznodziei. Matka i syn.

Przeszywał go ból. Spojrzał w dół, na nóż, który nadal tkwił w jego piersi, i poczuł, jak ogarnia go ciepło. Ten drań go zranił. Na szczęście ostrze trafiło w ebrową ranę, rana była bolesna, ale nie zagrażała życiu. Wyciągnął nóż, ale najpierw musi się zdecydować, czy zabijać. Nie może zostawić tu jeszcze więcej krwi.

Zachował się głupio. Nieostro nie. Nie przyszło mu do głowy, że kaznodzieja może okazać się tak pomysłowy. Jak zdołał się uwolnić? Jego wzrok powędrował w stronę sterty ubrań. A więc pastor dotarł do nich jako pierwszy, wyjął szczyrtek z kieszeni, uwolnił się i czekał. Ale po co? Dlaczego po prostu nie uciekł?

Zabrakło mu czasu?

Nie spodziewał się, że porywacz wróci?

A może chciał zostać bohaterem, pokazać, że „gra w drużynie Jezusa”, jak często mawiał. Hipokryta.

Zadowolony, że ułożył ciała tak jak chciał, zdjęła rękawicę z szyi zakonnicy, a potem wsunął go do kieszeni. Potem wziął rewolwer, naleciał do Furlougha.

Cicho wyszedł na zewnątrz. Wiedział, że ma krew na butach, i starannie wytarł je na schodkach. Otworzył bagażnik mercedesa i wyjął apteczkę, starając się nie zwracać uwagi na ból w klatce piersiowej. Potem ruszył długim korytarzem w stronę starej, rozpadającej się przystani. Łódź była tam, gdzie zostawił ją kilka godzin wcześniej. Usiadł w niej i oświetlił latarką sterczący z piersi nóż. W apteczce znalazł kilka gazików i plaster. To na razie wystarczy. Zaciśniętymi zębami wyjął ostrze z ciała. Szybko przytknął do rany wszystkie gaziki naraz i zakleił je plastrem. Rana bolała i krwawiła, ale ważny organ wewnętrzny nie został uszkodzony. Tym razem miał szczęście. Przyjrzał się broni i na ostrzu dostrzegł napis „Pomeroy Ultra”.

Otworzył usta ze zdumienia.

Drań!

Nienawidził Gregory'ego Raya, a teraz okazało się, że za jego sprawą także Charles Pomeroy powiedział ostatnie słowo.

Cóż, i tak było już dla nich za późno.

Zanurzył ostrze w wodzie, wyczyścił je, a potem wrzucił szczyrtek do apteczki, wraz z rękawicami i rewolwerem.

Szybko chwycił wiosło i zaczął niemal bezgłośnie płynąć w stronę miejsca, gdzie ukrył swój furgonetkę, zaledwie cztery kilometry od domu kaznodziei.

Musi się spieszyć. Za kilka godzin zacznie witać, a wtedy powinien być już daleko stąd.

Poza tym miał jeszcze dużo pracy. Rana pulsowała bólem, ale starał się o tym nie myśleć. Skierował łódź do brzegu, wyskoczył i ukrył w wysokich szuwarach. Zmienił buty na lżejsze, które miał w plecaku, i odetchnął, najpierw płytko, później głębiej. Ból był do zniesienia. Wsadził apteczkę do plecaka i ruszył przez pola w stronę wiejskiej drogi. Stamtąd pozostało mu jeszcze cztery kilometry do furgonetki.

Wszystko szło jak po maśle.

Dopóki Gregory Ray Furlough omal go nie przechytrzył, a ta zakonnica... Kto by pomyślał, że ta potulna kobieta znajdzie w sobie doświadczenie, by go zaatakować? Jak mogło do tego dojść? To on jest geniuszem!

Furgonetka czekała tam, gdzie ją zostawił: przy zajezdni, w którym był czasy

dwadzieścia cztery godziny na dobę; cz sto zatrzymywali się tu na kawę i ciasto kierowcy ciężarówek, wieczorami także na piwo albo coś mocniejszego. Był tu dobrze znany i z pewnośc nie dziwił widok jego samochodu na parkingu. Zawsze zostawiał go w ród innych furgonetek, które podje d ały tu o ka dej porze. Zawsze te starał się by zauwa ony, kiedy przychodził i wychodził; czasem od strony baru na tyłach, czasem od strony restauracji. Kto musiał go widzie przynajmniej raz na dwie godziny. Ludzie s dzili, e jest w dkarzem albo my liwym, cho artowano, e nigdy niczego nie upolował. U miechał się wtedy, stawiał wszystkim kolejk i mawiał, e chodzi mu przede wszystkim o kontakt z natur .

Nikt nie zadawał zbyt wielu pyta . I o to mu wła nie chodziło.

Teraz rozejrzał się dookoła. Było ciemno, cho na wschodzie niebo nieznacznie poja niało. Szybko zrzucił buty i mokry kombinezon i wci gn ł d insy. Dr ał z zimna, a gaza, któr opatrzył ran , była przesi kni ta krwi . Włó ył b ł kitn bawełnian koszul , na wierzch narzucił nylonow granatow kurtk .

Chwil siedział w samochodzie, eby odpocz , a pó niej wysiadł, kupił w kiosku gazet i udaj c zainteresowanie tytułami z pierwszej strony, wszedł do restauracji. Była pełna ludzi, głównie kierowców ciężarówek pij cych porann kaw . Pomachał do rudowłosej kelnerki - wiedział, e wkrótce sko czy zmian - usiadł na stołku i zamówił kaw , tosty i jajka na bekonie. Potem wrócił do gazety.

Zauwa ył, e informacje na temat Pomeroya i Jefferson znajdowały się teraz u dołu pierwszej strony, cho wiadomo o pogrzebie Giermana i jego zdj cie były na samej górze.

- Pieprzony wir - mrukn ł kierowca furgonetki, który dostarczał jajka. Przechodził wła nie obok i wskazał gazet palcem. Do roboczego kombinezonu miał przyczepion plakietk z imieniem Hank. - Nie mog się doczeka , a go złapi i powiesz za jaja.

- Tak - odparł i spojrział na talerz z jajkami na bekonie, który wła nie postawiła przed nim rudowłosa kelnerka.

- Przykro mi, e ółtko się rozlało - powiedziała. - Nowy kucharz. Nie przeszkadza to panu?

Przeszkadza!

- Mogłabym przynie nowe.

Nie rób tego. Nie zwracaj na siebie uwagi. U miechnij się i zachowuj, jakby nic się nie stało.

- Nie ma problemu - odparł.

- Na pewno?

Jezu, kobieto, odczep się wreszcie!

- Na pewno.

- Dobrze, w takim razie przynios panu kawałek ciasta. Na koszt firmy. wie o upieczone.

Kiwn ł głow , a Hank klepn ł go w plecy.

- Smacznego, chłopie.

- Nawzajem - powiedział bez tchu, zaskoczony nagłym bólem. Hank spojrział w dół i zmarszczył brwi.

- A to co? Co ty sobie zrobił, człowieku? - spytał, wskazuj c palcem czerwon plam na niebieskiej koszuli. - Zaci łe się przy goleniu?

Wiedział, e musi coś wymy li , i to szybko.

- Wczoraj cinałem krzewy i ł a cuch się zerwał w pile.

- Chryste, mogłe się zabi . Z tymi urz dzeniami trzeba by bardzo ostro nym.

- Trafiłem w s k - mrukn ł, udaj c zakłopotanie własn niezr czno ci . - Zszyli mi to na pogotowiu, ale chyba b d musiał tam wróci .

- Chyba tak. - Hank zdjął kapelusz, przygładził włosy i z powrotem nasadził go na głowę. - Do zobaczenia - powiedział i w końcu ruszył w stronę swojego stolika.

Zapiął kurtkę i zaczął jeść szybko. Aby sprawić przyjemność tej cholernej kelnerce zjadł nawet spory kawałek ciasta, popił je czarną kawą i zostawił w barze napiwek w wysokości piętnastu procent.

A w duchu cały czas przeklinał Gregory'ego Raya Furlougha.

Cóż, dostał drażnia za swoje.

Wjechało, kiedy zajechał w okolice szpitala. Samochód podskakiwał na zapomnianej, wyboistej drodze, która prowadziła do opuszczonej farmy. Zostawił samochód w stodole, przeszedł przez dziurę w ogrodzeniu i po chwili znalazł się na terenie starego szpitala.

Poszedł od razu do łazienki i przemył ranę zimną wodą z prysznicy, a następnie nałożył na nią rodek dezynfekujący, znaleziony w apteczce pastora. Otworzył kilka opakowań gaz - prezent od starego szpitala - i zakrył nimi ranę. Gaz przykleił plastrem, a potem obwiązał klatkę piersiową bandażem elastycznym, który znalazł w jednej z szuflad. Mogłoby się wydawać, że szpital został zamknięty poprzedniego dnia, a przecież minęło tak wiele lat.

Kiedy skończył, zaniósł plecak do swojego pokoju i zapalił świecę. Otworzył sekretarzyk i wyjął z plecaka nowe skarby. Włożył opleciony skórą rewolwer do jednej z przegródek. Przez chwilę oglądał wczesniejsze zdobycze, zegarek i pierścienie, mały krzyk i spinki do banknotów... jego kolekcja się powiększała, ale nie była jeszcze kompletna. Miał sześć przedmiotów; musi zdobyć jeszcze osiem... każda dy miał należeć do jednej z wybranych osób.

Otworzył album fotograficzny i obejrzał stare zdjęcia - szpital, personel, pacjenci, zakonnice. Nie wszyscy byli na fotografiach - jego zadaniem jest także odnalezienie brakujących zdjęć.

Pomyślał, że dokonał właściwego wyboru. Spędził wiele lat, opracowując swój doskonały plan. Tych czterech osób nie zostało wybranych przypadkowo. W pewnym sensie same się wybrały, prawda?

Przesunął palcem po twarzach zaznaczonych czerwonymi krzykami, a potem podniósł wzrok na portret Faith. Myślał przez chwilę o niej i o swojej wielkiej namiętności.

Potem pomyślał też o innych... delectował się wspomnieniami morderstw, siły, jak wtedy odczuwał, seksualnej ekscytacji...

Teraz musi się ukryć.

Wyliza rany.

Odpocznie kilka godzin, może nawet dni.

- Ale nie dłużej - powiedział, patrząc na zdjęcie Faith. - Nie dłużej.

Rozdział 23

Abby przeciągnęła się i otworzyła oczy. Przez szpary w aluzjach do pokoju wpadały promienie słoneczne, kładąc się długimi pasmami na zmiętej pościeli, w której leżał detektyw Montoya, oddychając głęboko, z jednym ramieniem zarzuconym nad głowę i lekko otwartymi ustami. Czarne włosy były zmierzwiłone, nadając surowej twarzy chłopięcy wyraz.

Umiechnęła się na wspomnienie tego, co wydarzyło się w nocy. Przysunęła się bliżej, objęła go ramieniem i pocałowała w ucho, wyczuwając wargami kolczyk.

- Mamy pół godziny.

- Nie pisz.

- Oczywiście, że nie - odparł niskim, gardłowym głosem, a potem przewrócił sięszy

Zaczł jej całować i pieścił, a kilka sekund później Abby wstała się do gry, na nowo odkrywając namiot, która obudziła się w niej ubiegłej nocy.

Chyba się w tobie zakocham, pomyślała, ale nie wypowiedziała tych słów głośno. Nie. Dobrze się czuła w towarzystwie tego człowieka, seks z nim dostarczył jej wiele radości, ale nie była zakochana. Nie pomyliła pojęcia z miłością. Owszem, zalegała jej na nim. Lubiła go. Bardzo. Ale to nie była miłość.

Później, kiedy leżeli obok siebie, odpoczywając, Montoya spojrzął na kota, który przycupnął na półce z książkami i patrzył na nich z zainteresowaniem.

- Zboczeniec - mruknął.

- Może robi notatki.

Montoya uśmiechnął się, wstał i włożył dżinsy.

- Psujesz mi widok - zaartowała.

- Może później znowu będziesz mogła sobie popatrzeć.

- Trzymam cię za słowo, detektywie.

- Proszę bardzo. - Sięgnął po rewolwer, leżący na nocnym stoliku, i przypiął go do paska. - Zrobi kawę?

- Mmm... - Abby przeciągnęła się leniwie. - Świetny pomysł. I wypuść psa na zewnątrz, dobrze?

- Jasne. Tylko najpierw poleć jeszcze po gazetę i bukiet róży - mruknął i wyszedł z pokoju.

Mogłabym się do tego przyzwyczaić, pomyślała, opadając na poduszki i przypominając sobie chwile namiotu. Potarła oczy i wydała pomruk zadowolenia. Było tak cudownie.

Do sypialni weszła Hershey i bez zaproszenia wskoczyła na łóżko.

- Cześć, mała, co słychać? - Abby usiadła na łóżku i poklepała suczkę. Łóżko zatrząsło się lekko, to Ansel wskoczył na materac. Syknął na Hershey, usadowił się obok Abby na poduszce i zaczął mruczeć.

Usłyszała dźwięki otwieranych i zamykanych szafek kuchennych i zawołała:

- Kawa jest na prawo od kuchenki... na górnej półce.

Drzwiczki trzasnęły jeszcze parę razy.

- Chyba się pogubił. Lepiej pójść mu pomóc, kochani. - Szybko narzuciła szlafrok i bosą zeszła do kuchni, gdzie Montoya właśnie odnalazł kawę i młynek. - Jesteś prawdziwym detektywem.

- Uwaga! - odparł z uśmiechem. - Mam broń.

Abby spowaśniała, przypominając sobie o zaginionym rewolwerze Nicka.

- Pomóc ci? - spytała i usiadła na stołku.

- Chyba dam sobie radę.

- Na pewno?

Ciemne oczy Montoi błysnęły rozbawieniem.

- Wychodziłeś na zewnątrz? - spytała.

Kiwnął głową.

- Sprawdziłem, czy pod oknem pralni nie ma jakichś ładów. Nic nie znalazłem, ale poproszę kogoś z laboratorium, aby przyszedł poszukać odcisków palców i rozejrzył się tu trochę.

- Myślałam, że do tego trzeba najpierw popełnić przestępstwo.

- Zgłosisz kradzież rewolweru, a ja pocięgnę za kilka sznurków. A potem założy tu sobie alarm.

- Już próbowałam - powiedziała. - Najwcześniej za tydzień.

- Spróbuj zadzwonić do All-Security. Powołaj się na mnie.

- Tam te moesz poci gn za sznurki?

- Mój brat Miguel pracuje tam od lat. Myl , e b dzie mógł pomóc.

Montoya zmeł kaw , a kiedy warkot młynka umilkł, Hershey warkn ła krótko i pobiegła do drzwi.

A potem zadzwonił dzwonek.

- Firma? - Montoya spojrział na zegarek. - O ósmej?

- Nie wiem... - Abby zawi zała cia niej pasek szlafroka i podeszła do okna. Przez szpar w aluzjach zobaczyła stoj c na ganku Gin z baga em, a obok mustanga Montoi samochód z wypo yczalni.

- Nareszcie! - powiedziała Gina, wchodz c do domu z walizk , torb podró n i laptopem. Hershey zacz ła j obskakiwa , jakby od miesi cy czekała na t wizyt . - Cze , piesku! - Gina schyliła si , by j pogłaska . - Co to za samochód? - spytała, kiedy wyprostowała si w ko cu. - To nie twój mustang, prawda? Chyba e sprzedała t star hond ? A mo e dostała go w spadku po... - Urwała na widok Montoi, który w samych d insach stał w przej ciu mi dzy salonem i jadalni . - Och... no... - Spojrzała na siostr i chrz kn ła. - M czyzna z broni ?

- Gino. - Abby poczuła, e na twarz wypływa jej rumieniec. - To detektyw Reuben Montoya. Jest policjantem, ma bro i czarnego mustanga. Montoya, to jest moja siostra. Gina.

Gina podeszła bli ej i u cisn ła mu dło .

- Chyba... eee... wpadłam w niewła ciwym momencie.

Montoya spojrział z ukosa na Abby i zmru ył oko.

- Mogło by gorzej.

- Oooch... - Gina wygl dała tak, jakby była zazdrosna. Abby widziała, e jej siostra natychmiast uległa jego czarowi. Tylko tego teraz brakowało... eby Gina zainteresowała si jej nowym m czyzn ... Nie jest twoim m czyzn , upomniała si natychmiast w duchu.

- Myl , e w tej chwili mojej siostrze wystarczy informacje, które ju otrzymała - powiedziała, u miechaj c si z przymusem.

- Pozwól, e si tym zajm . - Montoya chwycił baga e Giny i ruszył bez wahania do pokoju go cinnego, jakby od dawna roznosił walizki go ci po domu Abby.

Gina uniosła brwi i u miechn ła si lekko.

- No, Abby - szepn ła. - On jest...

- Detektywem prowadz cym dochodzenie w sprawie mierci Nicka - doko czyła Abby.

Gina spojrzała na ni zaskoczona.

- I jest tu, z tob ? Z był on ofiary? To chyba sprzeczne z zasadami? Ale nie mog ci wini ...

Abby rzuciła siostrze ostrzegawcze spojrzenie.

- Detektyw Montoya wła nie robił kaw . Pewnie ch tnie si napijesz.

- Owszem, bardzo ch tnie. Lot był koszmarny. Naprawd koszmarny. Najpierw upiorny facet obok, potem problemy techniczne, przesiadka, zero jedzenia... a skoro ju o tym mowa, co masz?

Montoya wrócił i u miechn ł si do Abby. Najwyra niej usłyszał koniec rozmowy.

- Co? - spytała Gina.

- Nic - zapewniła j Abby, ruszaj c do kuchni. - Detektyw Montoya przekonał si ju , e moje mo liwo ci kulinarne s raczej... ograniczone. - Otworzyła szafk . - Mam tosty... i masło orzechowe.

- Bez tłuszczu?

Abby spojrzała na siostr z politowaniem.

- Masło orzechowe, Gino. To głównie tłuszcz i... - popatrzyła na etykiety - ...orzechy.

- Dobra, może być. Po tym, co było w samolocie...

Montoya parsknął miechem.

- Widz, że on już ci zna - mruknęła Gina, czekaj, a Montoya rozleje kawę do kubków. - Zaraz po niadaniu idź spać. Zbudzę cię godzinę przed pogrzebem, żebyś miała czas doprowadzić się do porządku.

- Pogrzeb jest o jedenastej. - Abby wyjęła z zamrażalnika pół bochenka chleba, sprawdziła, że nie ma na nim pleśni, a potem wrzuciła dwie kromki do testera.

- To dobrze. Przepij się trochę przed, a jeżeli będzie mi mało, położę się jeszcze po. - Przez chwilę patrzyła w swój kubek. - Trochę się tego boję - dodała.

Ja też, pomyślała Abby.

W salonie rozległ się dzwonek komórki.

- To moja - powiedział Montoya i poszedł do salonu.

Gina powiodła za nim wzrokiem.

- Ładny tyłeczek. - Przeniosła wzrok na siostrę. - Prawdopodobnie mówi ci, ten facet w ogóle jest niezły. Chyba powinna mi powiedzieć?

- To... zaczęła się niedawno. Naprawdę niedawno.

Gina spojrzała znacząco na rozwichrzone włosy Abby i szlafrok.

- Wyglądasz, jakbyś już była bardzo zaangażowana.

- Naprawdę nie wiem, czy jestem bardzo zaangażowana.

- Daj spokój, Abby, facet jest naprawdę gorczy. Ale policjant... sama nie wiem.

- Nie wychodź za niego za mój, Gino. Jesteśmy tylko... - Czym właściwie ciwieś? Par? Nie. - Po prostu się spotykamy.

- Hm. - Gina upiła łyk kawy. - Nie mam ci tego za złe... ani trochę.

- Co to znaczy „zaginęła”? - spytał Montoya, czując, jak krew cina mu się w żyłach.

Matka przeżyła ona westchnięcie.

- To znaczy, że przeszukali mi wszystko, budynek, ogrody, wszystko. Siostra Maria zaginęła. Widać, że spała w swoim łóżku, ale... nie ma jej. Nie chciałam do ciebie dzwonić, ale ona zawsze wyrażała się o tobie z takim uznaniem i mówiła, żeby z tobą się najpierw skontaktowałam, gdyby coś jej się stało.

Montoya zaczął się szybko ubierać.

- Kto widział ją ostatni?

- Chyba ja.

- Gdzie?

- Przy drzwiach jej pokoju, tu przed wieczorną modlitwą, mijaliśmy się na korytarzu... i...

- Już jadł - powiedział Montoya, usiłując opanować zimny strach. - Proszę nikogo nie wpuszczać do jej pokoju ani nawet na korytarz. Będzie tam za pół godziny.

Narzucił kurtkę i wrócił do kuchni. Abby właśnie nie smarowała tosty masłem orzechowym. Podniosła na niego wzrok.

- Muszylecie. - Nie miał czasu na wyjaśnienia, ale Abby wyglądała tak pociągająco w białym frotowym szlafroku, że nie mógł się powstrzymać. Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. - Zamknij drzwi na klucz - powiedział. - Zadzwoń później.

- W porządku.

Gina siedziała nad nietkni tym tostem na talerzyku.

- No, Abby - powtórzyła. - Naprawd jest gor cy.

- Szukała siostra wsz dzie? - spytał Montoya, staraj c si zachowa spokój. Usiadł na krze le w gabinecie matki przeło onej, wielkim, wyło onym drewnem pokoju z kominkiem, szerokim biurkiem i oknami wychodz cymi na klasztor.

- W klasztorze wsz dzie tam, gdzie zwykle chodzi. - Matka przeło ona miała około osiemdziesi tki i była drobn , niewysok kobiet o pergaminowej skórze i bł kitnych oczach przesłoni tych okularami. Wokół jej ust rysowały si gł bokie bruzdy, ale umysł miała jasny. - Siostra Maria cz sto chodzi na spacer y sama. Nieraz mówiłam, by tego nie robiła, ale... - Westchn ła i prze egnąła si , kr c c głów .

- Przeszukali cie teren?

- Tylko wokół klasztoru, ale poprosiłam ju pana DuLoca, by rozejrzał si po okolicy.

- Lawrence DuLoc, tak? Ogrodnik?

- Tak.

- Od jak dawna tu jest?

- Od... od ponad dziesi ciu lat, na pewno. Musiałabym sprawdzi to w dokumentach.

- Zrobi to siostra?

- Nigdy nie było z nim adnych problemów.

- Czy on mieszka na terenie klasztoru?

- Tak, w małym domku na obrze ach posiadał ci... ale naprawd , pan DuLoc to prawdziwy dar niebios dla nas - powiedziała obronnie i uniosła lekko głów , jakby j uraził.

- Musimy sprawdzi wszystkich zwi zanych z klasztorem, eby odnale siostr Mari . Jestem pewny, e zechce siostra z nami współpracowa .

Zakonnica zacisn ła usta.

- Oczywi cie, detektywie, ale moim obowi zkiem jest tak e chronienie ludzi, którzy tu mieszkaj .

- Oboje b dziemy ich chroni . - Montoya wstał. - Czy mog zobaczy jej pokój?

Matka przeło ona kiwn ła głów , zdj ła okulary na ła cuszku, a potem podniosła si i poprowadziła Montoy na pierwsze pi tro. Zagroziła doj cie do pokoju kilkoma krzesłami, a potem otworzyła drzwi.

- Pokój nie był zamkni ty na klucz?

Podniosła na niego wzrok.

- Nie było takiej potrzeby.

- A do ubiegłej nocy.

Montoya zajrzał do niewielkiej izdebki. W rogu stało łó ko, na którym le ała skł biona po ciel. Kołdra opadała na podłog . Montoi oł dek podszedł do gardła na my l o walce, która tu si odbyła. Drzwi szafy były lekko uchylone, w rodku wisiało kilka habitów i okry wierzchnich. Małe okno tak e było otwarte, do pokoju wpływało przez nie chłodne powietrze.

- Nie dotykała tu siostra niczego?

- Nie. Siostra Rebecca, która zwykle chodziła z Mari na jutrzni , zapukała do jej pokoju, a potem weszła do rodka. Siostry Marii nie było, wi c zawołała mnie. Potem poszły my do kaplicy, w przekonaniu, e siostra Maria do nas doł czy, ale tak si nie stało. Kiedy nie pojawiła si te na niadaniu, zacz ły r

wszystkimi, ale nikt nie spotkał jej po tym, jak ja ją widziałam, czyli po ósmej wieczorem. Jak ją wspominałam, nie sprawiała wrażenia osoby, którą się zna. No i zadzwoniłam do pana. Dała mi kiedyś numer pańskiej komórki, na wszelki wypadek.

Oficjalnie nic nie mógł zrobić do czasu, a od chwili zniknięcia minęło dwadzieścia cztery godziny. Rozejrzał się jednak po klasztorze, porozmawiał z kilkoma zakonnicami, z którymi przyjaźniła się ciotka. Chodził po starym budynku i czuł, jak narasta w nim gniew. Nie była bezpieczna nawet w klasztorze. Tym samym, który stał się jej schronieniem, kiedy wyparła się jej rodzina.

- Znała siostra dobrze moją ciotkę - powiedział, kiedy matka przełożona odprowadzała go do samochodu.

- Jak tak?

- Kiedy wstąpiła do zakonu, siostra już tu była?

Zakonnica kiwnęła głową.

- Tak - odparła, uśmiechając się lekko. - Jestem tu od bardzo dawna. Młodsze zakonnice zapewne uważają mnie za dinozaura.

Montoya spojrzął na stojącego przed nim postać w habitach. Przypominała raczej małego ptaszka.

- A wie pani siostra, czemu ciotka podjęła taką decyzję?

Matka przełożona uniosła brwi.

- Jesteśmy tu wszystkie bardzo blisko siebie. Każda ma jakieś tajemnice.

- Oczywiście.

Zawahała się, a potem powiedziała:

- I powinny nimi pozostać. To sprawy między człowiekiem a Bogiem. Ale... wiem o jej synu.

Dotarli do samochodu. Montoya otworzył drzwi.

- Nie wiem, czy zniknięcie mojej ciotki... siostry Marii... nie ma związku ze starym szpitalem - powiedział - ale chciałbym zobaczyć dokumenty. Potrzebuję informacji o ludziach, którzy tu pracowali, leczyli się, przyjeżdżali w odwiedziny.

Zakonnica spojrzała na niego gniewnie.

- Szpital jest od dawna zamknięty.

- Interesuję mnie dokumenty. Na pewno jeszcze istnieją.

- To informacje poufne.

- Dostanę nakaz sądowy, to tylko kwestia czasu. Ale nie powinniśmy go marnować. - Spojrzął na nią twardo. - Nie wiem, jak i dlaczego, ale sądzę, że te podwójne morderstwa muszą mieć jakiś związek ze szpitalem. Może dokumenty pomogą mi odnaleźć ciotkę. - Na moment o tym, że wkrótce po tym, jak rozmawiał z nią o szpitalu, siostra Maria zniknęła, ogarnęło go poczucie winy. - Prosiłem ją już o pewne informacje i dowiedziałem się tylko, że są objęte tajemnicą lekarską. A teraz ciotka zaginęła. Czy te dwa fakty mają ze sobą jakiś związek? Nie wiem. Ale muszę się dowiedzieć.

- Jakie informacje pana interesują? - zapytała.

- Chcę się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Faith Chastain.

Matka przełożona zmarszczyła brwi.

- Nie wiem...

- I muszę odnaleźć moją ciotkę.

Zakonnica odwróciła na chwilę oczy, a potem najwyraźniej podjęła decyzję.

- Zobacz, co da się zrobić. Może na to nie wyglądać, ale znam współczesny świat.

podobnie jak pan musz przestrzega pewnych zasad.

- Dzi kuj . Wróc niedługo. - Montoya wsiadł do samochodu i ruszył do miasta.

Jechał szybko. Po drodze zadzwonił do matki i poprosił j , by zatelefonowała do wszystkich krewnych i znajomych i dowiedziała si , czy kto z nich widział Mari . Potem zadzwonił do Miguela w sprawie alarmu dla Abby.

- Reu, jeste my zaj ci do ko ca miesi ca - narzekał Miguel. - Otworzyli my now fili , ale ludzie dostali szau, wszyscy chc montowa alarmy. To przez te morderstwa. Kiedy ty masz robot , jak te nie mam czasu usi .

Montoya troch za szybko wszedł w zakr t.

- To bardzo wa ne.

- Wszyscy tak mówi .

- B d twoim dłu nikiem.

Ju jeste . Nigdy si nie wypłacisz. A tak przy okazji, kim jest ta dziewczyna?

- To przyjaciółka, która jest, by mo e, w powa nym niebezpiecze stwie.

Miguel za miał si i zapalił papierosa.

- Nowa przyjaciółka?

- Tak.

- Najwy szy czas, eby znalazł sobie kobiet - mrukn ł Miguel. - W porz dku, zajm si tym w przyszłym tygodniu.

Daj mi jej adres. Zaczekaj... musz poszuka długopisu.

Kiedy wrócił do telefonu, Montoya podał mu wszystkie informacje, a potem powiedział, e Maria znikn ła.

- Z klasztoru? - spytał Miguel.

- Na to wygl da.

- Bo e, człowiek nigdzie nie jest dzi bezpieczny. Znajdziesz j , prawda? Cał i zdrow ?

- Mam nadziej . Ty te pogadaj, z kim trzeba. Z mam ju rozmawiałem. Zadzwoni pó niej. - Rozł czył si i zwolnił przed wiatłami.

Był ciepły sobotni ranek. Sło ce prze wiecało przez rzadk mgł , ulice i chodniki l niły. Montoya opu cił szyb w oknie samochodu i spojrział na zegarek. Min ł Jackson Square i katedr o trzech wie ach, których wierzchołki ton ły jeszcze w porannej mgle. Ulicami ci gn li ludzie, pchali przed sob wózki z dzie mi, spacerowali z psami, mieli si i robili zakupy, jakby nie zdawali sobie sprawy, e w mie cie czai si zabójca, i e spokój poranka to tylko pozory.

Musisz go powstrzyma . Jeste dobrym glin , wiesz, musisz dopa drania uratowa Mari . Nie pozwól, eby ten szaleniec znowu odebrał komu ycie.

Zaparkował w pobl u budynku policji i szybko wszedł do rodka. Na drugim pi trze wpadł na Zaroster.

- Cze - powiedziała, zdejmuj c akiet. - Słyszałe ju ? Gregory Ray Furlough znikn ł.

Montoya zmartwiał.

- artujesz.

- Nie. Jego ona ju zgłosiła zagini cie, cho wygl da na to, e osoba, która widziała go ostatnia, opu ciła jego posiadło koło ósmej wieczorem. Najwyra niej pastor i jego mał onka nie sypiaj razem; on zazwyczaj zostaje na noc w swoim studiu na terenie posiadło ci. Nie min ły jeszcze dwadzie cia cztery godziny, ale ze wzgl du na te morderstwa wszyscy ju nad tym pracuj . Brinkman i Conway pojechali do jego domu z jednym z federalnych.

- Cholera. - Montoi zrobiło si słabo. - Moja ciotka te znikn ła. Z klasztoru.

- Co?

- Moja ciotka jest zakonnice . Ostatnio widziano j wczoraj, koło ósmej wieczorem.

- O Bo e. - Zaroster chwyciła akiet. - Jad tam.

- Ju tam byłem.

- Oszalałe ! Nie mo esz prowadzi dochodzenia w sprawie członków swojej rodziny...

- Pojechałem tam nieoficjalnie - przerwał. - Tak się zło yło, e byłem pierwszym jej krewnym, do którego zadzwonili. Tak, zadałem kilka pyta , zrobiłem notatki, obejrzałem jej pokój, powiedziałem matce przeło onej, eby nikogo tam nie wpuszczala. Domy lam si , e b dziemy musieli współpracowa z biurem szeryfa.

Zaroster zmarszczyła brwi i wło yła r ce w r kawy akietu.

- Podejrzewasz, e znajdziemy twój ciotk z Furloughem.

- *Jin i jang* - odparł Montoya.

Zaroster spojrzała na niego z ukosa.

- Wyja nij mi to.

- Ofiary gin parami, jedna osoba jest całkowitym przeciwie stwem drugiej. Kobieta ma sprawia wra enie, jakby to ona była zabójc , jest ubrana i znajduje si zawsze dokładnie naprzeciw m czynny. - Czuł, e serce podchodzi mu do gardła. - I tak byłoby w przypadku mojej ciotki i Furlougha. Oboje s zwi zani z ko ciołem; on ostentacyjnie, na pokaz, ona to cicha, pokorna zakonnica, która yje z dala od wiata.

- Co to jest? Zasady taoizmu czy jakiej innej wschodniej filozofii?

- Nie wiem.

Zaroster wsun ła rewolwer do kabury.

- Pora wzi si do roboty.

Pogrzeb był rozdzieraj cy. Abby i Gina siedziały w jednej z tylnych ławek z ojcem i Charlene, słuchaj c, jak ksi dz rozwodzi si nad zaletami Nicka. ałobnicy ocierali łzy, kilku bliskich przyjaciół wygłosiło krótkie przemówienia na temat tego, jakim był wspaniałym facetem. Abby rozpoznała jego współpracowników z radia, paru kumpli, z którymi po rozwodzie straciła kontakt, i nielicznych wspólnych znajomych.

Montoya tak e był na pogrzebie, obserwował tłum, a po ceremonii stał przy wej ciu do ko cioła. Tłum zacz ł si rozchodzi , ale dziennikarze z mikrofonami w r kach ci gle mówili co do kamer.

Abby i Gina sp dziły jeszcze kilka godzin z ojcem i Charlene, a w ko cu druga pani Chastain spojrzała znaczo na zegarek i oznajmiła, e czas si po egna . Ruszyła do swojego cadillaca, pchaj c przed sob m a na wózku inwalidzkim. Gina i Abby pomogły jej usadowi Jacques'a w samochodzie, a potem wło y wózek do przepastnego baga nika.

- Uwa ajcie, eby nie zarysowa lakieru - powiedziała Charlene.

Gina zacisn ła z by, a pó niej, kiedy jechały do domu, powiedziała:

- Miałam ochot rozwali tego cholernego cadillaca. Chyba ju zapomniała, kto kupił ten samochód. Co za suka!

- To nie jej wina, e ojciec jest w takim stanie.

- Jasne, ale przecie wiedziała, co mówi, kiedy składała przysi g małe sk . „W zdrowiu i chorobie”, tak? - Abby nie odpowiedziała. Gina westchn ła i dodała: - No dobrze, czepiam si , masz racj . Brak snu odbiera mi zwykły pogod ducha.

Abby za miała si cicho.

- Co? - mrukn ła Gina, opieraj c głow o szyb .

- Pogod ducha? Daj spokój.

- No dobrze, znowu masz rację. - Ziewnęła, sięgnęła po sweter leżący na tylnym siedzeniu i wsunęła go pod głowę. -
No, tak lepiej...
- Zdrzemnij się.
- Nie rozmawiała z tym swoim nowym chłopakiem.
- To nie jest mój chłopak.
- Jasne, prawie mnie nabrała. - Gina ziewnęła znowu. - Zwykle, kiedy facet zostaje na noc, rano robi ci kawę, a przed wyjściem nie może się od ciebie oderwać, oznacza to, że jest twoim chłopakiem.
- Widziała, jak wszystkich obserwował?
- Jak wilk gotowy do ataku. - Gina poprawiła sweter pod głowę i zamknęła oczy. - Abs?
- Tak? - Abby wyjechała na autostradę, zerknęła we wsteczne lustro i przyspieszyła.
- Nigdy nie spałam z Nickiem.
- Gino, to nieprawda i obie o tym wiemy.
- Mam na myśli to, że nigdy nie spałam z nim po waszym lubie. - Gina otworzyła oczy i spojrzała na siostrę. Była miernie poważna. - Nie zrobiłabym czegoś takiego. Nigdy. Wiem, co Nick ci naopowiadał, ale kiedy ty powiedziałaś „tak”, ja powiedziałam sobie „nie, nigdy”. I dotrzymałam słowa. Przed lubem, cóż, o tym wiesz. Ale póki nie.
- Dlaczego teraz mi o tym mówisz?
- Bo teraz Nick nie może już kłamać. Nie może mieszać ci w głowie. - Gina westchnęła. - Ta historia z Nickiem... nie jestem z siebie dumna. Bardzo się z tym czułam. Ale już nic nie mogę z tym zrobić, tylko powiedzcie ci prawdę. Jasne, podobał mi się, ale był moim memem. - Urwała na moment. - Mylisz, że mogłybyśmy... zostawić to już za sobą i zacząć od nowa?

Abby zawahała się i spojrzała na siostrę. Czy to naprawdę jest takie proste?

Gina nie spuszczała z niej wzroku.

- Umowa stoi?

Nick nie wyje. To już skończone. Dlaczego więc nie miałybyśmy zostawić przeszłości za sobą?

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Umowa stoi.

Rozdział 24

Chcąc, żeby dowiedziała się o tym ode mnie - powiedział Montoya w drodze na policję. Nie udało mu się złapać Abby po pogrzebie, zadzwonił więc do niej przy pierwszej okazji. - Siostra Maria zniknęła.

- Co?

Usłyszał napięcie w jej głosie.

- Domyślam się, że jeszcze o niczym nie słyszała.

- Nie.

Jej głos napływał falami, jakby zanikał z zasięgiem.

- Najbardziej niepokojące jest to, że zniknęła te Gregory Ray Furlough.

- O Boże.

- Nie wiemy, czy porwał ich ten sam człowiek, który zamordował tamte cztery osoby, ale sprawa nie wygląda dobrze.

- Nie - szepnęła. - Tak mi przykro.

Montoya zmienił pas.

- Zadzwoniłem do mojego brata Miguela w sprawie alarmu. Spróbuj cię wcisnąć w grafik.

- Dzięki.

- Wpadn do ciebie, tylko nie wiem kiedy. Jest z tob siostra?

- Tak. Ma zamiar zosta kilka dni.

- To dobrze. I dobrze, e masz psa obronnego.

Abby za miała si i Montoya, mimo niepokoju, tak e u miechn ł si lekko.

- Nie zapominaj o Anselu, kocie alarmowym - powiedziała.

- Prawda, mój kumpel. - Skr cił w Chartres Street przy Jackson Square, gdzie grupka turystów słuchała graj cego na ulicy zespołu jazzowego.

- Ansel t skni za tob - dodała Abby.

Montoya parskn ł miechem.

- Powiedz mu, e odwzajemniam jego uczucia. - Przywołał w pami ci jej twarz, zalotnie spojrzenie złotych oczu i poczuł si lepiej po raz pierwszy od czasu zagini cia ciotki. - Nie znalazła rewolweru?

- Nie - odparła, a jej głos spowa niał. Teraz słyszał j do wyra nie. - Prawd mówi c, wcale go nie szukałam.

- Nie podoba mi si to.

- Wiem.

Im dłu ej my lał o zaginionym rewolwerze, tym bardziej martwił si o Abby. Doszedł do wniosku, e kiedy jej siostra wyjedzie, a alarm nie zostanie jeszcze zainstalowany, zaproponuje jej, by zatrzymała si u niego, w mie cie.

Zaparkował przed budynkiem policji. Nie został jeszcze oficjalnie odsuni ty od sprawy, ale była to tylko kwestia czasu. Wiedział, e wkrótce znikni cie jego ciotki zostanie powi zane z morderstwami.

Zamkn ł samochód i wszedł do budynku. Miał zamiar podł czy aparat fotograficzny do komputera i wydrukowa zdj cia zrobione w czasie pogrzebu Giermana. Potem b dzie musiał porówna je ze zdj ciami z uroczysto ci po egalnej Courtney LaBelle. Jej pogrzeb miał si odby nast pnego dnia po południu. Wiedział, e tam równie musi pój . Morderca te si tam z pewno ci pojawi, b dzie napawał si chaosem i cierpieniem, które wywołał, ocierał ramieniem o ałobników i jeszcze raz prze ywał swój zbrodni .

Tak, czekam na ciebie, obł kany draniu, pomy lał, wchodz c na schody. Jestem gotowy.

- Dostała anonimowy list, w którym było napisane: „Wracaj do domu, Patricia ci potrzebuje?” - powtórzyła Abby, patrz c na siostr w osłupieniu. Siedziały w restauracji na St. Charles Avenue.

To Gina, po dwugodzinnej drzemce, wpadła na pomysł, by „uciec od tego całego stresu”. Abby miała ochot zosta w domu. Była wyczerpana po pogrzebie Nicka, ale z drugiej strony chciała w ko cu pozna tajemnic , któr znali jej siostra i ojciec. Tajemnic , dotycz ca dnia, gdy zmarła jej matka. A Gina obiecała, e powie jej wszystko, co wie.

W ko cu pojechały do miasta samochodem Abby, przesiadły si do tramwaju i wyl dowwały w niewielkiej restauracji mieszcz cej si w starym, wiktoria skim domu. Był wczesny wieczór. Zaj ły stolik przy oknie z widokiem na ogród ozdobiony mnóstwem malutkich lampek ukrytych w ród zieleni. Kelnerka postawiła przed nimi wysok szklank z paluszkami grissini, a zaraz potem Gina powiedziała Abby o li cie.

- Mam go przy sobie. - Schyliła si i wyj ła z torebki prost biał kopert . Na znaczku była piecz tka z Nowego Orleanu, nie było jednak nazwiska ani adresu nadawcy.

Cho popołudnie było ciepłe, Abby nagle zrobiło si zimno.

- Nie wydało ci si to dziwne?

- Owszem, troch . - Gina si gn ła do szklanki i wyj ła paluszka.

- Bardzo dziwne. Nikt nigdy nie nazywał mnie Patrici , poza mam .

- Có , ona na pewno nie wysłała tego listu.

- Wła nie. Wi c kto? Kto chciał, eby tu przyjechała?

- My lałam, e mo e ty wysłała ten list.

- artujesz.

- Pomy lałam, e mo e wybrała taki sposób, eby mnie ci gn , nie trac c przy tym twarzy. - Gina nabrała na paluszek odrobin masła.

- Gdybym chciała, eby przyjechała, zadzwoniłabym do ciebie. Wiesz o tym.

- To mo e... sama nie wiem... mo e tata go napisał.

- Tata? - Abby wzi ła list do r ki i potrz sn ła nim przed twarz siostry. - A jak zdołał go wysła ?

- Mo e poprosił Charlene.

- A dlaczego si pod nim nie podpisał? Po co ta szopka rodem z romansu? A w ogóle, czy nie łatwiej byłoby mu po prostu zadzwoni ? Ka dy normalny człowiek tak wła nie by zrobił.

- To ju nie wiem - powiedziała Gina defensywnie. Wydawała si jednak troch zaniepokojona. - Słuchaj, nie martwmy si tym teraz. Porozmawiamy o tym cholernym li cie pó niej. - Wyrwała kartk z r ki Abby i wsun ła j do koperty w chwili, kiedy do stolika podeszła kelnerka.

- Czy mog przyj zamówienie? - spytała uprzejmie. Była pulchna i miała ró owe policzki, w r ce trzymała bloczek. Spojrzała na Abby i dodała: - Mo e potrzebuj panie jeszcze troch czasu?

Gina, która w jaki sposób zd yła przejrze menu, powiedziała:

- Poprosz du sałatk z krewetkami, karmelizowan cebul i sosem serowym.

Kelnerka zwróciła si do Abby, która jednak straciła apetyt. Kiedy wchodziła do restauracji, była głodna jak wilk, ale teraz nie miała ochoty najedzenie. Kto mógł wysła do Giny ten list?

- Abby? - ponagliła j Gina, zerkaj c na kelnerk . - Wiesz ju , co zamawiasz?

Chc , eby to wszystko si sko czyło... wszystkie te zagadki i tajemnice...

Spojrzała na menu, usiłuj c si skupi . Czy jej si wydaje, czy naprawd kilka osób siedz cych przy innych stolikach odwróciło głowy w jej stron ? We si w gar , Abby. Nie rób scen, pomy lała. Ale r ce dr ały jej tak, e w ko cu schowała je pod stolikiem.

- Mo e jednak przyjdzie pani pó niej - powiedziała Gina.

Abby spojrzała na ni ostro, a potem zamówiła pierwsze danie z karty.

- Prosz sałatk ze szpinaku, z krewetkami z grilla i sosem firmowym.

Zaczekała, a kelnerka si oddali, a potem popatrzyła na Gin ze zło ci .

- Powinna powiedzie mi wcze niej o tym li cie.

- Chciałam zrobi to dopiero po pogrzebie.

- Wiedziała , e mnie to zdenerwuje?

- Wiedziałam, e ci to zdenerwuje jeszcze bardziej. - Gina spojrzała na sufit, gdzie skrzydła wentylatora miarowo meły powietrze.

Abby postanowiła zmieni temat.

- A co chcesz mi powiedzie o tym dniu, kiedy zgin ła mama?

Gina wbiła wzrok w blat stolika.

- Gino? - Abby pochyliła si w stron siostry.

Gina zamkn ła oczy i powoli pokr ciła głow . Potem westchn ła i si gn ła po szklan

- W porz dku... miałam ci o tym nie mówi ...

- Dlaczego? Co si stało? Kto powiedział, e nie powinna mi o tym mówi ?

- Lekarze. Twoi lekarze, Abby. Ci, do których chodziła zaraz po mierci mamy.

Abby nagle zakr ciło si w głowie. Zacisn ła palce na kolanach.

- Powiedz mi - za dała.

Widz c jej reakcj . Gina omal nie zmieniła zdania.

- Mo e to nie jest odpowiednie miejsce.

- Powiedz! - powtórzyła Abby z naciskiem.

- Dobrze ju , dobrze... Tego dnia miała zanik pami ci wywołany emocjonalnym urazem. Tatu rozmawiał z lekarzami, którzy ci badali po mierci mamy, i oni powiedzieli, e to si zdarza. To amnezja emocjonalna. Czasami pami wraca po pewnym czasie, a czasami... có , nie wraca.

- Tak jak u mnie.

- Tak.

- I w ci gu ubiegłych dwudziestu lat ani tobie, ani ojcu nie przyszło do głowy, e powinni cie mi powiedzie ?

- Odradzono nam to - odparła Gina z prostot .

- Ale min ło dwadzie cia lat! - Abby ogarn ł gniew, ale opanowała si szybko. - W porz dku, Gino, o co chodzi? Co takiego straszego wyparłam z pami ci? O czym nie pami tam?

- Nie wiem. - Gina patrzyła na ni zaskoczona. - Chodzi o to, e pami ci zawodzi. - Kelnerka podeszła, by dola im mro onej herbaty do szklanek i Gina umilkła. - Nie wysiadała wtedy z samochodu, Abby. Kłóciły my si o to, która z nas zanie sie mamie prezent. W ko cu rzuciły my monet i ja wygrałam. Tata był zły, e kłócimy si o takie drobiazgi... w dniu urodzin mamy... i twoich, wiem. W ka dym razie, kiedy podjechali my pod szpital, ty wysiadła , zanim ojciec zd ył si na dobre zatrzyma , i wbiegła do szpitala. My ci gle jeszcze siedzieli my w samochodzie.

Abby zamrugwała.

- I nie byłam na zewn trz?

- Nie. Kiedy mama wypadła z okna, ty była ju w jej pokoju.

Szum głosów nagle si nasilił, ciany restauracyjnej sali zakołysały si , a wiece na stolikach urosły do rozmiarów gwiazd. A wi c to, co pami tała, nie było prawd . Przypomniała sobie mgli cie, jak wpadła do mrocznego budynku, min ła chłopca na wózku inwalidzkim i piel gniark , a potem stary zegar, który wła nie zacz ł wygrywa kuranty. A pó niej wbiegła na schody.

- Pami tam - mrukn ła, zdumiona. - Naprawd pami tam.

Gina spojrzała na ni niepewnie.

- Naprawd ?

- Tak.

Biegła po schodach, po dwa stopnie naraz. Omal nie zderzyła si przy tym z t zakonnic . Musiała si spieszy . Musiała pierwsza zło y Faith yczenia z okazji urodzin. To był ich dzie , ich szczególny dzie . Nale ał do nich i Abby nie mogła si ju doczeka chwili, kiedy powie matce o pota cówce u Sadie Hawkins.

Na drugim pi trze, dysz c ci ko, pchn ła drzwi pokoju 307 i weszła do rodka.

- Wszystkiego najlepszego... - zacz ła, ale nagle urwała. Faith stała przy oknie, obok nieposłanego łó ka. Bluzk miała rozpi t , stanik te . I nie była sama. Był z ni lekarz, w białym kitlu, ze stetoskopem wisz cym na szyi i rozwichrzonymi włosami. Wyci gał r k w stron Faith, jakby chciał j chwyci .

Odwrócił się gwałtownie. Miał czerwony twarz, na jego skroni pulsowała nabrzmięta żyła. Spojrzał na Abby z wściekłością.

- Nie wiesz, że to prywatny pokój? Powinna pukać!

- Ale... - Abby spojrzała na matkę.

Faith szybko zapinając stanik. Potem zajęła się guzikami bluzki, ale patrzyła na Abby ponad ramieniem lekarza. W jej oczach błyszczały łzy.

- Proszę, nie - powiedziała bezgłośnie.

Matka chciała, by dochowała tajemnicy. I Abby nie powiedziała ani słowa o tym, o czym wiedziała. Nigdy. Nie pamiętała nawet o tym, że była w tym pokoju. Teraz, dręczyła ją cała, pojął ją udręka i rozpacz Faith.

Z zamyślenia wyrwał ją ostry głos Giny.

- Abby!

Wspomnienie odplynęło i Abby znowu znalazła się w restauracji, nad talerzem z sałatką. Gina patrzyła na nią w skupieniu.

- Kelnerka pyta, czy chcesz więcej o mielonego pieprzu do tej sałatki.

- Co? - Abby spojrzała na swój talerz. Ciemnozielone liście szpinaku, kawałki mandarynek, kiełki fasoli i pulchne, różowe krewetki. Boże, zapomniała, że jest w restauracji, w dodatku nie zauważyła nawet, że pojawiło się przed nią zamówione danie. Oszalała! Zupełnie jak mama...

Nie!

Szybko podniosła wzrok na kelnerkę, trzymając w rękach duży młynek do pieprzu, i uśmiechnęła się z przymusem. Nie jest taka słaba na umyśle jak Faith.

- Pieprzu? - spytała kelnerka, zapewne po raz trzeci czy czwarty.

- Nie, dziękuję - wykrztusiła Abby.

Kelnerka spojrzała na nią z zaciekawieniem i w końcu ruszyła do innego stolika.

- Co się z tobą dzieje? - syknęła Gina. - Wejdź się w gar, na lito boska!

- Pamiętam... - szepnęła Abby i pochyliła się nad stolikiem.

Gina nie udawała, że nie rozumie. Powoli odłożyła nóż do masła.

- Co się tam stało?

- Nie była sama.

- Wiem, ty też tam byłaś.

- Nie tylko ja. Był tam lekarz i... O Boże, nie mogłam to uwierzyć, ale myślałam, że on coś jej robił...

- Robił jej? - Gina patrzyła na Abby tak, jakby podejrzewała, że jej siostra straciła rozum.

- Molestował ją.

- Abs!

- Wiem, wiem, ale pamiętam, że miała rozpiętą bluzkę i stanik, i... - zawahała się. - Widz jego twarz, ale... Pamiętasz może, kto leczył mamę? Jak nazywał się ten psychiatra?

- Było tam wielu lekarzy... Nie wiem. Była w tym szpitalu kilka razy. Personel się zmieniał.

- Mówi o jej ostatnim pobycie w szpitalu. Kto zajmował się nią przed śmiercią?

- Nie pamiętam, ale tata by wiedział. - Gina pokręciła głową. - Tylko że on jest taki słaby. Nie chcę go w to wciągać.

- Chyba nie mamy wyboru. Czuję, że ten lekarz, kimkolwiek był, nie tylko molestował:

- Daj spokój... O co oskarżasz tego człowieka? O molestowanie seksualne? Morderstwo? Myślisz, że mógł wypchnąć mamę z okna?

Abby zacisnęła powieki, usiłując się skupić, ale wspomnienie gdzieś umknęło.

- Idź jutro do taty. Dowiedz się, co on wie.

- A co ty zrobisz? - spytała Gina podejrzliwie.

- Był próbowała przypomnieć sobie szczegóły. - Abby przeczesła włosy palcami. - Powinna mi powiedzieć. Nie obchodzi mnie, co mówili lekarze. Miałam prawo wiedzieć. I nadal je mam.

- Chcieliśmy, żeby przestały ci się snuć te koszmary.

- Wierzyły mi się, bo nikt nie był ze mną szczery.

- Dobrze już, dobrze...

Zapadła krępująca cisza, podczas której Abby bez apetytu zjadła trochę sałatki. Wiedziała już, co powinna teraz zrobić, ale nie mogła zwrócić się do siostrze. Gina dostałaby szału.

Musi pojechać do szpitala. Była pewna, że zbrojna w nową wiedzę, przypomni sobie wszystko. Pozna prawdę o śmierci matki. Ale w tym celu musi jeszcze raz wejść do pokoju 307.

Dopiero wtedy dowie się, co naprawdę się tam wydarzyło.

Montoya przesunął stertę zdjęć z pogrzebów na brzeg biurka, odchylił się na oparcie krzesła i potarł oczy palcami. Siedział tu od czterech godzin.

Jeśli nawet ten szaleniaczek pojawił się na którejś z ceremonii, zapewne przyszedł w przebraniu... może nawet przebrał się za kobietę... choć bardzo wysoki.

Sfrustrowany potarł kark, a potem wstał i się przeciągnął. Miał w sobie zbyt dużo energii, by godzinami siedzieć przy biurku. Został jednak odsunięty od linii frontu, dopóki nie wyjaśni się sprawa zniknięcia jego ciotki. Tak, to było naprawdę przynajmniej. Kto bardziej nadaje się do tego, by szukać Marii? Wiedział, że nie jest obiektywny, ale co z tego? Nikomu nie zależało bardziej na odnalezieniu porwaczkiniemu. I nikomu nie zależało bardziej na bezpieczeństwie Abby Chastain.

- Cholera - mruknął.

Jego rodzina była bliska hysterii. Od czasu zniknięcia Marii kiedyś z wujów, ciotek i kuzynów dzwonił do niego przynajmniej dwa razy, by domagać się odpowiedzi na swoje pytania albo po prostu wyrazić niepokój i strach.

A przecie nikt nie bał się bardziej niż on. Z każdą chwilę utwierdzał się w przekonaniu, że Maria i Furlough stali się ofiarami szaleńca. Ile razy dzwonił telefon, spoglądał na aparat z przerażeniem, spodziewając się najgorszego.

Na razie jednak nikt nie zadzwonił.

Montoya westchnął głęboko i po raz kolejny spróbował poskładać fragmenty upiornej układanki w jedną logiczną całość.

Jeszcze raz przeczytał list od mordercy.

AŁUJ

NC

Alowa? Za co? Co Nick Gierman, Courtney LaBelle, Charles Pomeroy i Hannah Jefferson mieli ze sobą wspólnego? Jaki grzech popełnili? I jaki ma to związek ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót?

Jeszcze raz przejrzał zdjęcia z miejsc zbrodni. Dlaczego mężczyzna jest zawsze nagi, a kobieta ubrana? Dlaczego kobieta leży na marmarze czy nie? Psycholog z FBI powiedział to, co zwykle... Seryjny

m czynna w wieku około trzydziestu lat, pochodzący z klasy średniej lub pracujący, który jako dziecko mógł być ofiarą nękania i ... Zaczynał od podpaleń, pobić i zabijania zwierząt... Zdarzało się, że fascynowała go policja albo prawo... Montoya znał to wszystko na pamięć.

Ale ten facet był inny. Ten facet przeniósł seryjne morderstwa na inny poziom.

Odkąd został odsunięty, Bentz i Brinkman zdecydowali się wrócić do klasztoru i złożyli wizytę w domu Furlougha. Federalni zajęli się jego zrozpaczonej rodziną i dziećmi. Sprawdzali też wszystkich jego znajomych członków rodziny i kogoś. Nadal czekali na danię okupu. Montoya wątpił w to, by kiedykolwiek nadeszło.

Otworzył szufladę biurka. Znalazł paczkę gum Nicorette, rozpakował jedną i włożył do ust. Spojrzał w stronę otwartych drzwi biura Bentza, a potem w okno. Znad zatoki nadpływały gęste, szare chmury.

Wkrótce nadejdzie noc.

Montoya bał się, że tej nocy morderca uderzy ponownie.

A jeżeli to ten sukinsyn skradł rewolwer Abby?

Może jednak sama gdzieś go schowała?

Może ukradł go ktoś inny?

Jeżeli jednak to morderca...

Zakłamał pod nosem. Obejrzał na ekranie komputera mapę miasta obejmującą wszystkie miejsca, w których popełniono ostatnie morderstwa. Ale choć studiował ją dłużej chwilę, nie dostrzegł żadnego związku. Żadnego wzoru.

Zmarszczył brwi i pokręcił głową. Nie, nie tędy droga.

Przyjrzał się samemu morderstwu. Dwie osoby, zawsze. *Jin i jang*, ofiary wybrane na zasadzie przeciwieństwa, z których jedna reprezentuje zło, a druga dobro. Układ ciał sugeruje, że „dobro” pokonuje „zło”. No i oczywiście wszystkie te osoby były w ten czy inny sposób związane ze starym szpitalem psychiatrycznym. Nie mógł o tym zapomnieć.

Myślał cięgle o szpitalu, kiedy zadzwonił telefon.

- Montoya - rzucił do słuchawki.

- Witam, tu Maury Taylor, z WSLJ.

Montoya zeszywniał.

- Tak?

- Prosił mnie pan, abym zadzwonił, jeżeli znowu dostanę jakiś list. Dostałem. Dzisiaj.

Montoya już wkładał marynarkę.

- Proszę go nie dotykać - powiedział. - Zaraz tam będzie.

- Pomyślałem, że mógłbym znowu powiedzieć coś do tego gościa w programie... Pociąg go trochę za...

- Nie!

- Zaraz, chyba mam prawo...

- Nie. Zrozumiano? Niech nikt nie dotyka tego listu, nie otwiera go ani...

- Już go otworzyłem. Mały głupi fiucie.

- Musiałem się upewnić, czy to od tego samego faceta. Ale proszę się nie martwić, nie dotykałem go... w każdym razie nie bardzo.

- Słuchaj, Taylor! Nic nie rób! Rozumiesz? Nic! - Montoya rozłączył się, wsunął komórkę do kieszeni i ruszył do drzwi.

Rozdział 25

List brzmiał:

POKUTUJ

N C G

Montoya stał w biurze Eleanor Cavalier z kierownikiem programu i Mauryem Taylorem, trzymając w dłoni w rękawiczce pojedynczy kartkę białego papieru. Sprawdził pieczęć na znaczku. Oba listy nadano w Nowym Orleanie, w tym samym urządzeniu pocztowym. Przeczytał list kilka razy, po czym wsunął go do plastikowego woreczka.

- Nic więcej nie dostaliście? - spytał.

Maury pokręcił głową.

- Może pan przejrze resztę poczty - zaproponowała Eleanor. - Ale tylko ten list wydaje się podejrzany.

Montoya przeczytał list jeszcze raz, tym razem przez przezroczysty plastik. Polecenia miały wyraźnie religijny wydźwięk. Najpierw AŁUJ, podpisane N C. Teraz POKUTUJ, podpisane NCG. Czy to rzeczywiście jest podpis? Wątpliwe. Wyglądało raczej na to, że zabójca chce im coś powiedzieć, ale co?

- Myśli, że powinniśmy wspomnieć na antenie o tym, że morderca kontaktuje się z WSLJ - powiedział Maury, najwyraźniej mając na względzie wzrost popularności radia. - Dla dobra publicznego.

- Zdecydujemy o tym - odparł krótko Montoya.

- Ale te listy przyszły do tego radia, do mojego programu. Powinniśmy z tego skorzystać, aby uwiadomić ludziom, e...

- Co? - spytał Montoya.

- Może ktoś, kto jest blisko mordercy, widział ten list - zasugerował Maury. - I nie domyśla się, że mój najlepszy przyjaciel jest tym maniakiem.

- Maury ma trochę racji. - Eleanor w zamyśleniu przytknęła do ust palec z pomalowanym na czerwono paznokciem. Ona także miała na uwadze wzrost słuchalności.

Montoya opanował złość.

- Dobrze, umówmy się tak: oddam list do analizy. Kryptolodzy i eksperci od charakteru pisma muszą go zbadać. A jeżeli postanowimy podać to do publicznej wiadomości, bóg wie, czy mieli pierwszeństwo.

- Chyba wyłaczno - mruknął Maury.

- Jeżeli FBI wyrazi na to zgodę. - Montoya wzruszył ramionami. Osobiście nie miał ochoty na żadne układy z tym szczerem, ale nie on tu decydował.

- My poszliśmy panu na rękę - przypomniała Eleanor. - Mogłam powiedzieć to wszystko, co usłyszałem pan ode mnie, Melindzie Jaskiel.

- No cóż, już za późno. Stało się.

Zadzwoniła komórka Montoi. Spojrzał na ekranik.

- Jeżeli przyjdą jeszcze jakie listy, proszę dać mi znać. Pogadam z szefem o przyznaniu wam wyłaczności na te informacje. Omówi to z FBI, a potem się z wami skontaktuje.

Maury sprawiał takie wrażenie, jakby miał ochotę zaproponować, ale w tej chwili telefon zadzwonił po raz drugi.

- Montoya - odebrał po trzecim sygnale, otwierając drzwi ramieniem.

- Witam, detektywie - pozdrowiła go matka przełożona i się przedstawiła. - Rozmawiałam z kilkoma detektywami i przekazałam im wszystkie informacje, jakie mam, głównie z tymi dotyczącymi personelu i akt pacjentów.

- To dobrze.

- Ale jest coś, o czym powinien pan wiedzieć, i to sprawa osobista... - powiedziała

panem porozmawia . W cztery oczy.

Montoy znowu ogarn ły złe przeczucia.

- Cóż , ze wzgl du na pokrewie stwo ł cz ce mnie z Mari zostałem odsuni ty od sprawy.

- To, co mam do powiedzenia, tylko pan mo e usłysze . Ta kwestia wymaga absolutnej dyskrecji - odparła stanowczo.

Pomy lał o dochodzeniu. Jego przeło eni nie b d zachwyceni tym brakiem subordynacji, ale teraz nie dbał o to, co si z nim stanie. Mo e nawet straci odznak . Je li tak, to trudno.

Na pewno nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzi ledztwu.

Chyba e dzi ki temu zdoła schwyta tego szale ca. A je li to zrobi, nie b dzie adnych konsekwencji. Sprawiedliwo ci stanie si zado , a stan Luizjana zaoszcz dzi mnóstwo pieni dzy.

- B d za godzin - powiedział.

- Dzi kuj , Pedro.

- Mam na imi Reuben.

- Tak, wiem. Ale pami tam, e siostra Maria zawsze tak ci nazywała. Prosz przyj prosto do mojego biura.

- Najpierw musz jeszcze co załatwi , ale b d tam za godzin lub dwie.

- Doskonale.

Rozł czył si , otworzył samochód i usiadł za kierownic . Czuł, e znowu rozpiera go energia. Mo e ten list oznacza przełom, którego wszyscy oczekuj . Wcisn ł gaz i ruszył do wydziału, cały czas rozmy laj c o listach. Co mog oznacza litery N C G? Czy to istotnie s czyje inicjały? Nie bardzo w to wierzył, wydawało si to zbyt proste. A ten facet na pewno nie jest głupi. Prawd mówi c, musi by bardzo inteligentny, skoro potrafi kra bro , porywa ludzi i nie zostawia ladów na miejscach zbrodni. A je li to nie inicjały? Je li ka da z liter co symbolizuje? Na przykład kolejne ofiary?

N - jak Nick Gierman.

C - jak Charles Pomeroy.

G... jak Gregory. Pastor Gregory Ray Furlough.

Czy to mo liwe? Takie rozwi zanie tak e wydawało si zbyt banalne, a jednak miało sens.

Ogarn ł go zimny strach. Je li ta teoria jest zgodna z prawd , kaznodzieja ju nie yje; w przeciwnym wypadku morderca nie wysłałby listu. A je li jest ju jeden trup, musi by i druga ofiara, kobieta...

Spokojnie.

Nie tra głowy.

Maria mo e jeszcze y .

Zmówił w jej intencji krótk modlitw , parkuj c pod budynkiem wydziału. Na ulicy stało ju mnóstwo furgonetek, opatrzonych logo ró nych stacji telewizyjnych. Kilku dziennikarzy i kamerzystów stało na schodach z drzwiami prowadz cymi do policyjnych pomieszcze w tle.

Montoya przepchn ł si przez tłum, wbiegł na pierwsze pi tro i poło ył plastikow torebk na biurku Zaroster.

- Zdaje si , e nasz korespondencyjny przyjaciel powrócił.

Zaroster spojrzała na list i gwizdn ła cicho.

- Czyli mo emy si spodziewa kolejnego podwójnego morderstwa?

- Chyba e najpierw pisze listy, a pó niej załatwia ofiary.

Policjantka spojrzała na niego wymownie.

- Słuchaj - dodał - musz jeszcze co załatwi . Mogłaby odda to do laboratorium, a

- Skąd to masz? My łałam, e nie zajmujesz si ę ju t spraw .

- Zadzwoił do mnie Maury Taylor z WSLJ. Jeste my starymi kumplami.

- Akurat - mrukn ła Zaroster, ale wzi ła list. - Zanio to do laboratorium. B d musieli go porówna z pierwszym listem.

- A co słycha z reszt dowodów?

- Laboratorium ci gle pracuje nad tym włosem, ale na razie DNA do nikogo nie pasuje. Suknia lubna została rozpoznana w jednym sklepie jako dzieło niejkiej „Nançoise”... Wygl da na ta sz wersj Very Wang, sprawdzamy to jeszcze... Próbuujemy te skontaktowa si z sam Nançoise. Buty to cz sto spotykany wzór, przeznaczone do w drówek i na polowania... wyprodukowane, uwa aj, przez Pomeroy Industries, przez ich fabryk odzie y. Niestety, wzór nie był zmieniany od czterech lat, wi c idzie nam to powoli. Aha, i udało mi si wygrzeba co o tym ogrodniku z klasztoru. Lawrence DuLoc? Jest notowany, ale to stare sprawy, był jeszcze wtedy chłopcem.

- Co znalazła ?

- Oskar enie o napá , ale wycofane. Pó niej przemoc domowa, zgłoszono jeden incydent, ale znowu oskar enie wycofano. - Wzruszyła ramionami. - Niewiele, ale zawsze co . Facet jest wysoki i nosi buty w rozmiarze jedna cie i pół, ale ma alibi na czas obu morderstw. Brinkman je sprawdził. - Westchn ła i pokr ciła głow . - Rozmawiałam z tym DuLokiem. Nie wydaje si do bystry, by wymy li co takiego. - Zmarszczyła brwi. - My lisz, e to mo e by on?

- Raczej nie. Ten facet chce nas przechytrzy , a potem mia nam si w twarz. Nie b dzie udawał półgłówka. Chce, eby my wiedzieli, jaki jest genialny. Na razie zatrzymamy DuLoca na li cie i b dziemy szuka dalej.

- Ty ju nie zajmujesz si t spraw ! - krzykn ła za nim Zaroster, ale Montoya nawet si nie odwrócił.

Ból był irytuj cy.

Zacisn ł palce na kierownicy, czuj c jak pod kombinezonem z neoprenu całe ciało spływa potem. Zaczynał odczuwa zm czenie. Odpocz ł troch , ale organizm domagał si snu. Najbardziej jednak doskwierała mu rana. Bardziej ni si spodziewał. Nie wszystko szło tak gładko jak na pocz tku. A to dlatego, e nie docenił mo liwo ci Furlougha i dra zdołał mu wsadzi nó w ebra.

Zacisn ł z by.

Opu cił miasto i jechał ostro nie w stron lasów. Dobrze mu si prowadziło ten samochód, ale wiedział, e biały lexus za bardzo rzuca si w oczy. I to był powa ny problem. Odwrócił si i spojrział na tylne siedzenie, gdzie jego ostatnia ofiara trz sła si jak li , mrugaj c nerwowo i j cz c niewyra nie przez ta m na ustach. Facet zd ył si ju zsika ze strachu i teraz w samochodzie zalatywało uryń .

Tak, powiniene si ba , leniwy draniu... tylko zaczekaj...

Postanowił, e je li j ki nie ustan , jeszcze raz potraktuje faceta paralizatorem albo u yje eteru.

Wcze niej był na pogrzebie Giermana, cho wiedział, e pojawi si taro policja.

Imbecyle!

Prawie otarł si ramieniem o gliniarza, który robił zdj cia. Kpiny.

Pedro, detektyw z aparatem fotograficznym. Profanator, który zbzcze cił łó ko Abby Chastain.

Na sam my l o tym ogarn ła go w ciekło i samochód omal nie zjechał na drugi pas. Nie! Nie wolno mu zwraca na siebie uwagi. Na szcz cie ruch był niewielki. Wł czył radio, eby si uspokoi , przez chwil słucał jakiej muzyki, a potem udało mu si odszuka WSLJ. Ale nie była to audycja Giermana.

Kolejne potkni cie.

Czy by głupi dyskd okej nie dostał drugiego listu? A je li dostał, dlaczego nie gada o tym na antenie? Spojrzał na zegarek. Było jeszcze wczorne, zmierzch zapadnie dopiero za kilka godzin i to utrudni mu zadanie.

Postawi ten samochód tam, gdzie ukrył furgonetkę. Najpierw jednak zabezpieczy swój zasikany ładunek.

Radio nadawało jak audycję jazzową. Muzyka zirytowała go jeszcze bardziej. Wyłączył odbiornik. Musi zdobyć się na cierpliwość. Czekał dwadzieścia lat. Może zaczeka jeszcze kilka godzin.

Umiechnął się krzywo. Kilka godzin i dojdzie do kulminacji... pięć par z siedmiu zniknie z powierzchni ziemi. Z tymi, których ceniał sobie najbardziej, już się rozprawił. Dwóch innych par nie ma w okolicy, będą musiały zaczekać... Cóż, jemu to przyda się mała przerwa.

Ale dopiero jutro.

Ból w klatce piersiowej zelżał trochę, a po całym ciele rozlało się miłe ciepło oczekiwania. Tak, już wkrótce znowu poczuje to niezwykle, graniczne z ekstatycznego podniecenia. Pomyślał o córce... tak bardzo podobnej do matki...

Jeszcze tylko kilka godzin...

Matka przełamała ona wyglądała na zmęczoną. Jej czoło znaczyły bruzdy, pod oczami miała głębokie cienie.

- To dla mnie bardzo trudne - przyznała, wskazując kopertę z szarego papieru, która leżała na rodku biurka. - Słuchaj, tu dokumenty, o które pan prosił. Siostra Madeline, Bożena błogosławiła jej duszę, wiedziała, gdzie były przechowywane na strychu i poprosiła pana DuLoca, żeby je przyniósł. - Spojrzała na pudła stojące w kącie pokoju. - Mam tu wszystko na wypadek, gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, ale myślę, że to, co pana interesuje, jest tutaj. - Postukała palcem w szarą kopertę, a potem posunęła ją w stronę Montoi. - Kiedy dochowywali my tajemnic, a wiara była radością... kiedy panował wici... porządkiem. Ale teraz... no cóż. - Umiechnęła się słabo. - Myślałam nad tym długo i modliłam się do Boga, by wskazał mi drogę, jak powinnam pójść. W końcu jednak muszę sama dokonać trudnego wyboru.

Wstała i nieco chwiejnie podeszła do okna, za którym widać było kwiatów trzepotał się koliber.

- Może powinnam powiedzieć o tym panu wczorne. Maria zwierzyła mi się, że ma nielegalnego syna. Wstąpiła do zakonu po oddaniu do adopcji.

- Wiem.

Kiwnęła głową, nie odwracając się od okna.

- Chłopiec wyrósł na męczyznę i stał się lokalnie osobistością, sportowcem, uczonym, a w końcu duchownym.

- Gregory Ray Furlough? - spytał Montoya zaskoczony.

- Tak mi powiedziała.

Wiek się zgadza, pomyślał Montoya. Teraz dostrzegł te fizyczne podobieństwo między kaznodzieją a członkami rodziny Montoya - ciemna karnacja, czarne włosy, mocna budowa ciała.

- Kiedy usłyszałam, że pan Furlough zniknął podobnie jak siostra Maria... że najprawdopodobniej został porwany tego samego dnia, doszłam do wniosku, że muszę się z panem skontaktować. Nie chciałam rozmawiać o tym z innymi detektywami, bo wiedziałam, że siostra Maria wolałaby, aby to pan się o tym dowiedział. - Odwróciła się do Montoi. - Jest pan jej ulubionym. Spośród wszystkich siostrzeńców i siostrzenic pana kochała najbardziej.

Montoy ogarnął to poczucie winy. Zastanawiał się, czy morderca wiedział, że porwał matkę i syna. Oczywiście, musiał o tym wiedzieć. Ofiary nie były przypadkowe.

- Co może mi siostra powiedzieć o Lawrencie DuLocu? - zapytał.

- Pan DuLoc oddaje nam nieocenione usługi, bardzo nam pomaga - westchnęła. - Jako młody człowiek był przepełniony złem i wszedł nawet w konflikt z prawem, choć oczywiście nie powinna

nami od bardzo dawna. Osobi cie za niego r cz .

- Wydział musi sprawdzi wszelkie poszlaki.

- Wydaje mi si , e policja ju z nim rozmawiała. - Zakonnica podeszła do biurka, przesun ła dłoni po blacie, a potem dotkn ła ramienia Montoi. - Larry nie jest morderc .

Montoya był skłonny si z ni zgodzi , ale nie dał tego po sobie pozna .

- Jest wysoki, prawda?

- Owszem - przyznała, krzy uj c r ce na piersi. - Mo e pan z nim porozmawia . Lany niczego nie pragnie bardziej ni pomóc wam odnale siostr Mari . Lany DuLoc to bardzo pobo ny człowiek, detektywie. Ma siln wiar . - Wskazała r k okno. - Jest teraz w ogrodzie.

- Dzi kuj . - Montoya si zawahał. - A czy dowiedziała si siostra czego na temat Faith Chastain?

- Có , Faith wypadła z okna swojego pokoju w dniu swoich urodzin - powiedziała, jakby recytowała znan na pami histori . - Szpital został pozwany do s du za zaniedbanie. Okno nie było nale ycie zabezpieczone. Krata była le zamocowana.

- Wypadła przez szyb .

Matka przeło ona kiwn ła głow .

- Gdyby w oknie były metalowe pr ty, do tragedii prawdopodobnie by nie doszło. Tak w ka dym razie sugerował prokurator.

- Kto pozwał szpital? Stan Luizjana?

Zakonnica u miechn ła si cierpliwie.

- Owszem, stan w ko cu został w to wł czony, ale pozew zło yła rodzina Faith, a wła ciwie jej m . Nigdy nie doszło do procesu. Sprawa została załatwiona polubownie.

Montoya patrzył na staruszk i czuł, e ci gle co ukrywa.

- Co jeszcze?

Matka przeło ona zacisn ła palce na krzy yku, który wisiał na jej szyi. Sprawiała wra enie, jakby zmagala si z jakim wewn trznym demonem.

- Có , to chyba ju bez znaczenia - powiedziała w ko cu. - Min ło tyle lat, a je li to pomo e panu odnale siostr Mari ... - Prze egnała si i pochyliła na moment głow , jakby si modliła. - Napomykano co o nadu yciach, o molestowaniu... podobno jeden z naszych lekarzy pozostawał z Faith Chastain w zwi zku o charakterze seksualnym. Na pocz tku ten człowiek wyparł si wszystkiego, ale pó niej inni zacz li mówi ... pracownicy szpitala, którzy co widzieli, ale bali si straci prac i milczeli. Kiedy prawda wyszła na jaw, lekarz twierdził, e na wszystko, co robił, miał przyzwolenie Faith. - Skrzywiła si z niesmakiem. - Przyzwolenie? Przyzwolenie kobiety cierpi cej na chorob psychiczn ? Natychmiast został zwolniony.

- Nie został oskar ony?

Pokr ciła głow .

- Rodzina oskar yła szpital o spowodowanie mierci Faith i na tym si sko czyło. Mo e nie wiedzieli o tej drugiej sprawie. - Spu ciła wzrok. - Nie były to najlepsze czasy dla szpitala.

- Kim był ten człowiek?

Zakonnica spojrzwała mu w oczy.

- Doktor Heller był znakomitym psychiatr . Pod wieloma wzgl dami wyprzedzał swoje czasy. Ale cz sto wybierał drog na skróty, dopuszczał si zaniedba , krótko mówi c, był leniwy. - Wyprostował

tym było dla niej trudne. - Hannah Jefferson, która tu wówczas pracowała, ostro go krytykowała.

- Była wiadkiem molestowania? - spytał Montoya, czując się w końcu na właściwym tropie.

- Nie pamiętam, ale nie przepadała za Hellerem.

- Wie siostra, gdzie on teraz jest?

- Nie... nie utrzymywaliśmy z nim kontaktu. Wyjechał z Luizjany. Przeniósł się gdzieś na zachód... chyba.

- Doktor Leon Heller. Czy ma jakie drugie imię?

- Tak... Pamiętam, że chciał, by umieszczano je na drzwiach jego gabinetu. - Zakonnica zastanawiała się przez chwilę, a Montoya z trudem zachowywał spokój. Jego ciotka i Gregory Ray byliby mu nieprzyjemni, a cała ta sprawa w jakiś sposób ją czyła się z matką Abby. To ona była wspólnym mianownikiem. - Leon T. Heller, tak było napisane na jego drzwiach. Nie pamiętam tylko, co oznaczała litera „T”. Chyba Theodor albo Thaddeus, czy jakoś tak.

- Tu jest jego nazwisko i numer polisy ubezpieczeniowej? - spytał Montoya, podnosząc szary kopert.

- Tak. I zdjęcie, jak się działo.

Montoya nie tracił czasu. Otworzył kopertę i wysunął z niej połówkę kartki.

- Czy Heller był potężnym mężczyzną?

- Był wysoki, ale nie potężny. Przypominał raczej stracha na wróble. Miał bardzo długie nogi i nosił wielkie okulary.

Montoya spojrział na fotografię doł czon do starego podania o pracę. Kolory już trochę spłowiały, ale twarz na zdjęciu była wyraźna. Czarne włosy, gładki nos, surowe spojrzenie oczu za szklanymi okularami w drucianych oprawkach.

- Był jeszcze młody.

- Tak, przyszedł do nas zaraz po studiach - przyznała matka przełożona. - Nie miał wtedy trzydziestu lat.

- Pamięta siostra coś jeszcze na jego temat?

- Był dumnym człowiekiem, miał poczucie wyższości w stosunku do innych, choć starał się to maskować. Ale rzadko mu się to udawało. Był typem samotnika... No i biegał, wietnie biegał! Chyba startował w maratonach, ale... nie jestem pewna. Minęło tyle lat.

Montoya obracał w palcach wyblakłe zdjęcie.

- Przechowujecie zdjęcie wszystkich, którzy tu mieszkali?

- Tylko członków personelu.

- Heller pracował tu w czasie, kiedy zginęła Faith?

- Był z nią wtedy w pokoju - odparła. - Widział, jak wypadła, ale nie potrafił jej uratować. Kwestia molestowania wypłynęła już po jej śmierci. Wtedy poproszono go, by złożył rezygnację.

Montoya spojrział na twarz na zdjęciu. Surowy i poważny wyraz twarzy człowieka, który nie potrafił ukryć arogancji. Przypomniał sobie portret Faith w domu Abby - portret pięknej kobiety o zalotnym uśmiechu. Ten uśmiech odziedziczyła po niej córka. A więc Faith wbrew swej woli została kochanką Hellera. Zrobiło mu się niedobrze. Co naprawdę wydarzyło się w dniu, kiedy zginęła Faith Chastain? Czy to istotnie był wypadek? A może Heller, czując się, że zostanie oskarżony o molestowanie, wypchnął ją z okna?

Matka przełożona chrząknęła.

- Córka Faith tak się była wiadkiem tego wypadku. Wbiegła do pokoju na chwilę przed tym, jak to się stało.

- Która córka? - spytał Montoya, choć znał już odpowiedź. Pamiętał o nocnych koszmarach Abby.

- Ta młodsza...

- Abby.

- Tak, tak ma na imi . Abigail, cho Faith cz sto nazywała j Patrici .

- Wie matka, dlaczego?

- No, to było tak dawno temu, pracowałam wtedy w szpitalu, ale nie pami tam. Ona miała zaledwie pi tna cie lat. To był dzie jej urodzin i dzie urodzin Faith. Wbiegła do pokoju i zobaczyła doktora Hellera... tylko tyle wiemy. Zaraz potem Faith w jaki sposób wypadła z okna. Patrici doznała takiego wstrz su, e zemdląa. Kiedy doszła do siebie, pami tała niewiele. - Matka przeło ona, wyra nie wytr cona z równowagi swoj opowie ci , wstała i podeszła do biurka. - Obawiam si , e nic wi cej nie mog panu powiedzie .

- Prawdopodobnie to wystarczy - odparł Montoya i naprawd tak my lał. Leon Heller. Teraz wiedział ju , czego szuka . Miał tylko nadziej , e nie jest jeszcze za pó no, by zapobiec kolejnemu morderstwu.

Rozdział 26

Ukryty w g stych zaro lach obserwował dom. Zmierzch jeszcze nie zapadł, było pó ne popołudnie, trzymał si wi c z daleka i uwa ał, by wiatło sło ca nie odbijało si w szklach jego lornetki. Sprawdził te , sk d wieje wiatr, eby głupi pies nie wyczuł jego obecno ci.

Co za ból.

Wszystko było przygotowane. Teraz czekał tylko na chwil , kiedy aktorki pojawi si na scenie. Obie siedziały w domu. Miał zamiar zaczeka , a zasn , ale wiedział, e nast pi to dopiero za par godzin.

Cierpliwio ci, nie przyspieszaj niczego. Czekale tak długo, e kilka godzin nie robi ró nicy.

Ale był niespokojny.

I podniecony.

Ból w klatce piersiowej narastał, jakby rana została zainfekowana. Głowa tak e pulsowała bólem.

Był niewyspany, ale zbyt podniecony, by odpoczywa . Czekał i patrzył.

Siostra pólle ała na kanapie z nogami przerzuconymi przez oparcie i pilotem do telewizora w dłoni. Obok na stoliku stał kieliszek wina. Dobrze. Pij, siostru. Niech wino przyt pi ci umysł, rozlu ni ciało. Za nij wcze nie... o tak...

Z ni poradzi sobie bez wi kszych problemów.

Ale Abby... była czujna, czuł to. Patrzył, jak pakowała jakie rzeczy w kuchni i w gara u, a potem zaniósła je do samochodu. Zaniepokoiło go to. Sprawiała wra enie, jakby miała zamiar wyjecha . Zabrała skrzynk z narz dziami i latarki.

Po co?

Ból głowy narastał. Z roztargnieniem zacz ł si drapa po klatce piersiowej, a w ko cu zdał sobie spraw , co robi. Uspokój si . Patrz. Nie mo e wyjecha daleko. Nie widziałe walizki, prawda? Ani torby podró nej?

Ale przecie mogła je spakowa , zanim zacz ł obserwowa dom. Czy by wybierała si na wycieczk ? Z tym policjantem? Na my l o tym ogarn ł go gniew, zamrugał i zmusił si do zachowania spokoju. Nie mo e pozwoli , by mu si wymkn ła, nie teraz. I nie mo e pozwoli , by go przyłapali. Czy powinien wzi je obie? A pies? Ma u y paralizatora czy eteru? Nie chciał im grozi paralizatorem, były dwie, a on nie czuł si dobrze. Obie s młode, sprawne, wysportowane i je li nie wystraszy ich dostatecznie, mog zacz si broni .

Znalazł proste rozwi zanie.

Unieruchomił jej samochód.

Cicho ruszył przez las, płosz c ptaki i zaj ca, który nagle wyskoczył mu spod stóp. Wyj ł z plecaka mały, u yteczny przyrz d, który przysporzył mu tylu cierpie , a potem zostawił plecak, klucze i lornetl

cz ci domu. Wyci gn ł rewolwer i podszedł do uchylonych drzwi gara u. Przez szpar widział tył małej hondy. Drzwi prowadz ce z gara u do domu tak e były uchylone, nie był wi c pewny, czy pies go nie wyczuje. Cholerna bestia. Z mocno bij cym sercem w lizn ł si do rodka, ostro nie omijaj c łopat , opart o stoj ce w k cie taczki.

Cicho wyj ł swój przyrz d i nacisn ł przycisk, zwalniaj c jedno z ostrzy. Ju miał wbi je w opon jednego z przednich kół, kiedy usłyszał zbli aj ce si kroki. Cholera!

Pochylił si jeszcze bardziej, kryj c mi dzy samochodem a cian gara u. Serce biło mu jak oszalałe.

eby tylko nie przyszedł tu pies. Zacisn ł palce na trzonku scyzoryka, czuj c, e pot zalewa mu oczy. Zauwa ył paj ka, który tkwił w paj czynie tu nad podłog . Prawie nie oddychaj c, zobaczył pod podwoziem samochodu poruszaj ce si szybko stopy. Otworzyła drzwi. Usłyszał głuchoe klapni cie i domy lił si , e rzuciła co na siedzenie.

Torebk ?

Ogarn ła go panika.

A je li odjedzie teraz? Je li usi dzie za kierownic i sekund pó niej ruszy z miejsca? Wrzuci wsteczny i wycofa wóz, a wtedy na pewno go zobaczy.

Nie miał si gdzie ukry .

W jednej r ce ciskał rewolwer, w drugiej nó . Miał nadziej , e nie b dzie musiał u y adnego z nich. Jeszcze nie. Od tak dawna planował dla niej doskonał , powoln mier . Powinien przewidzie , e co takiego mo e si sta .

Tracił ostro umysłu. Zacz ł popętnia bł dy.

Ale miał szcz cie. Wróciła do domu. Widział jej stopy w adidasach i wystrz pione brzegi nogawek d insów. Po chwili drzwi zamkn ły si za ni z cichym trzaskiem.

Szybko przedziurawił opon , po czym przesun ł si w stron drugiego koła. Jedno nie wystarczy. Jest do zaradna, by je zmieni ... Ju miał wbi nó w drug opon , ale nagle si powstrzymał... mogłaby nabra podejrze . Nie, nie mo e na to pozwoli .

Ruszył do wyj cia, kiedy przypomniało mu si , e wrzuciła co do samochodu.

Podszedł do auto, spojrział przez szyb i zobaczył plecak. Zmartwił. Czy to telefon komórkowy wystaje z kieszeni? Czy naprawd ma a tyle szcz cia?

Cicho otworzył drzwi. Tak! Telefon! Ostro nie wysun ł go z otwartego plecaka i szybko wyszedł z gara u. Dopiero w lesie odwa ył si odetchn gł biej.

Na razie szło mu całkiem nie le.

Pomy lał o małym samochodzie, który oka e si niesprawny. Je li si pospieszy, mo e uda mu si j dogoni i odegra rol samarytanina.

Nie przeci gaj struny...

Najpierw siostra, potem Abby.

Wszystko znowu idzie zgodnie z planem.

Popołudnie min ło nie wiadomo kiedy. Abby miała zamiar zostawi Gin w domu, a nast pnie, w wietle dnia, pojecha do szpitala, włama si do rodka i za pomoc łomu, który zapakowała do samochodu, otworzy drzwi do pokoju 307.

Ale najpierw zadzwonił brat Montoi w sprawie monta u instalacji alarmowej, potem Charlene, donosz c, e ojciec „odpoczywa”, a pó niej trzy osoby, które chciały zobaczyć dom i które umówiła na nast pny dzie , oraz kilku klientów. W ko cu zadzwoniła te Alicia, a poniewa nie rozmawiały ze sob od tygodnia, Abby

Przez ten czas Gina leżała na kanapie z kieliszkiem wina i zmieniała kanały w telewizorze, oglądając wszystkie programy na temat morderstw i pogrzebu Nicka.

- Myślałam, że nas tego pokona. W końcu jesteś jego byłym.

- To chore.

- Nie bardziej chore, niż pomysł, żeby znowu jechać do tego szpitala. A skoro już o tym mowa - powiedziała, popijając Rieslinga - jestem temu przeciwna.

- Musz to zrobić.

- Czy Montoya wie?

- Nie.

- Zadzwońisz do niego?

- A co miałabym mu powiedzieć? Nie muszę wrócić tam, gdzie się to wszystko zaczęło? Nie muszę stawiać czoła demonom przeszłości i nie mogę ruszyć do przodu, zanim tego nie zrobi?

Gina wzruszyła ramionami.

- To jaki psychologiczny bełkot.

- Musz to zrobić - odparła Abby.

- No to jedź. - Gina wyrzuciła ręce do góry w geście rezygnacji.

Abby westchnęła.

- Ty i tata okłamywali mnie przez dwadzieścia lat. To bardzo długo. W końcu należałoby mi się choć kilka godzin, bym mogła się z tym uporać i...

Gina jednym haustem dopiła wino.

- Jedź już. Rozpraw się ze swoimi demonami.

- Jadę.

Gina poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła butelkę i wyciągnęła z niej korek.

- Moje wrócić do domu następnym samolotem.

Abby spojrzała w stronę zachodzącego słońca.

- Naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowy. Kiedy wrócę, spędzimy razem trochę czasu, napijemy się wina, dobrze? Będziemy piły i oglądały stare filmy w telewizji, jeżeli uda nam się znaleźć kanał, na którym nie będzie gadał o tych morderstwach.

Gina napełniła kieliszek i zakorkowała butelkę.

- Jeżeli czujesz, że musisz to zrobić, to trudno. Przepraszam, że tak się czepiam. Ci głębiej odczuwam skutki zmiany czasu i chyba cię mnie rozbiera. Baba, która siedziała za mną w samolocie, tak strasznie kaszlała, myślałam, że wypluje z siebie płuca. To pewnie grypa.

- W szafce w łazience jest ibuprofen.

- Na razie to mi wystarczy. - Gina podniosła kieliszek i upiła łyk wina. - A może chcesz, abym z tobą pojechała? - spytała bez entuzjazmu.

- Nie martw się, myślałam, że to coś, co powinnam zrobić sama.

- Może pojedź z tobą i zaczekam w samochodzie?

- Dam sobie radę.

- W porządku, ale weź ze sobą mój brat.

- Twój brat?

- Tak, zazwyczaj nosz j w torebce, ale przed podró samolotem musiałam j spakowa do бага u. Zaczekaj. - Postawiła kieliszek na kuchennym blacie, wyszła do holu i po chwili wróciła z dziwnym no em w r ce.

- Co to jest?

- Ta sza wersja Pomeroy Stiletto. Rozkłada si , kiedy naci niesz ten mały przycisk, o tak... - Zademonstrowała, naciskaj c mały czerwony guziczek.

- Czy takie rzeczy nie s zabronione?

- Wiem tylko, e nie wolno ich wnosi na pokład samolotu. - Zamkn ła ostrze i wcisn ła nó w dło Abby.

- Dobrze - powiedziała Abby troch niepewnie i wsun ła nó do kieszeni. Była gotowa, wszystko zostało spakowane i czekało w samochodzie. - Do zobaczenia pó niej. Rozpal na kominku i napij si jeszcze wina. Je li nie wróc w ci gu trzech godzin, wy lij posiłki.

- Zadzwoń do Montoi.

- Dobrze. - Abby sama my ła o tym, eby do niego zadzwoni . Ale gdyby mu powiedziała, co ma zamiar zrobi , dostałby pewnie szału. Nie zrozumiałby tak jak Gina. Jeszcze bardziej stanowczo domagałby si , eby została w domu. Poza tym był zaj ty - usiłował rozwikła seri morderstw, a w dodatku jego własna ciotka wła nie zagin ła.

Wsiadła do samochodu i wyjechała z gara u. Jak to mówi ? Dzi jest pierwszy dzie reszty twojego ycia.

Dla niej było dokładnie odwrotnie. Dzi był ostatni dzie jej trzydziestu pi ciu lat.

Jutro rozpocznie nowe ycie.

- ...zgadza si . Sprawdź alibi tego DuLoca i dowiedz si jak najwi cej na temat Leona Hellera. Mam numer jego polisy - powiedział Montoya do Zaroster, trzymaj c kierownic jedn r k . - Miał romans z Faith Chastain, kiedy była pacjentk w Szpitalu Naszej Pani od Cnót. Z tego powodu został stamt d zwolniony. Potem wyjechał na Zachód, najprawdopodobniej. Sprawdź w FBI, oni mog mie lepszy dost p do jego danych.

- Jasne - powiedziała Zaroster i si rozł czyła.

Montoya uchylił okno samochodu. Czy Heller wrócił? Czy to on m ci si na osobach, kiedy blisko zwi zanych z Faith Chastain? A je li tak, dlaczego zabił te Charlesa Pomeroya i Nicka Giermana? Mo e chodziło o jakie lu ne powi zania? Syn Pomeroya leczył si w tym szpitalu, a Gierman oenił si z córk Faith, która była wiadkiem mierci matki. Mary LaBelle była córk ludzi, którzy pracowali w szpitalu. Hannah Jefferson była pracownikiem socjalnym.

W czasie, kiedy Heller był tam lekarzem.

A DuLoc był pacjentem.

Był ju coraz bli ej, wiedział o tym, ale prawda ci gle pozostawała poza jego zasi giem.

Doje d ał do miasta, kiedy telefon zadzwonił. Odebrał pół czenie, wje d aj c z wiejskiej drogi na autostrad .

- Montoya.

- Zaroster.

- Szybko ci poszło.

- Nie chodzi o Hellera ani DuLoca. Na razie niczego si o nich nie dowiedziałam. - Zawahała si . - Słuchaj, wiem, e nie pracujesz ju nad t spraw , ale pomy łałam, e powiniene wiedzie . Znale li samochód Pomeroya, stał na moczarach, na południe od miasta.

Montoya zacisn ł z by. Wiedział, czego powinien si spodziewa .

- Zauwa ył go facet, który organizuje dla turystów loty helikoptrem nad miastem. Zobaczył samochód, zorientował si , e stoi w dziwnym miejscu, i zadzwonił na policj . Pierwsi byli tam ludzie z

Znaleźli dwa ciała, mężczyźni i kobiety, zidentyfikowane jako Gregory Ray Furlough i siostra Maria Montoya.

Zaciśnięte palce na kierownicy. Spodziewał się tego, a jednak odczuł straszny cios.

- Bardzo mi przykro.

- Pieprzony drań. - Ogarnęła go zimna w ciemności, do oczu napłynęły łzy. Przypomniawszy sobie ciotkę jako młodą kobietę, pełną nadziei, pracującą z dziećmi, miał nadzieję na wybryki swoich siostrzeńców. Był w niej zawsze jakiś smutek, a jednak zdawała się czerpać radość z życia w klasztorze.

- Dostaniemy go - powiedziała Zaroster.

Montoya nie miał co do tego wątpliwości. Jeśli będzie trzeba, spędzi resztę życia na ciganii tego psychologa. Nic go nie powstrzyma. Dorwie potwora.

- Daj mi adres. - Wcisnął gaz, włączył światła i ruszył z piskiem opon, jakby gonił go sam Lucyfer.

Przebita opona?

Akurat teraz?

- Wskazując - mruknęła Abby, patrząc na przednie koło swojej małej hondy. Potem podniosła wzrok na niebo i zorientowała się, że wkrótce zacznie zmierzchać. Wskazując. Nie ma wyjścia, musi zmienić koło. Jeśli się pośpieszy może dotrzeć do szpitala przed zmrokiem. Albo zmieni koło sama - zajmie to co najmniej pół godziny, jeśli zapasowe jest w porządku - albo będzie musiała wezwać pomoc drogową. Wtedy wszystko zabierze pewnie więcej czasu. Mogłaby też pójść pieszo. Od szpitala dzieliło ją osiem kilometrów drogi, ale gdyby poszła na przelaj przez pola, to półtora kilometra. Wtedy jednak musiałaby wziąć plecak, a nie wszystko się do niego zmieści.

- Krok pierwszy - powiedziała do siebie, biorąc lewarek i broszurę z instrukcją użycia.

Może lepiej wezwać pomoc i wracać do domu - może to jeden z tych znaków, w które tak wierzy Gina? Może jednak nie powinna jechać do szpitala?

- Nie - powiedziała głośno. Mowy nie ma. Musi poznać prawdę. Dzisiaj.

Powinna pojechać z Abby.

Przy trzecim kieliszku wina, oglądając film, który widziała już kilka razy, Gina doszła do wniosku, że popełniła wielki błąd. Jak mogła pozwolić Abby wrócić samotnie do tego strasznego szpitala? Powinna z nią pojechać.

Ale nie miała na to najmniejszej ochoty. To miejsce ją przerażało. Nigdy go nie lubiła. Nigdy nie chciała tam wrócić.

Pies, leżący przy kominku, podniósł głowę i warknął cicho.

Gina także z nadzieją podniosła wzrok. Może Abby zastanowiła się i jednak wróciła?

Hershey wstała i zawarczała głucho.

Nie... to nie Abby. Ginie nagle zrobiło się zimno.

- Co to? - spytała, cisząc telewizor. Pies, że zje on sierści, chodził od okna do okna, wyglądając na zewnątrz. - Wskazując. Idź na dwór! Rób, co chcesz. - Gina wstała i poczuła, że jest już trochę wstawiona. Nie pijana, oczywiście, ale z pewnością ci i nie całkiem trzeźwa. Na pewno nie mogłaby prowadzić. I nie powinna już więcej pić. Prawdę mówiąc, wci była zmęczona, a wino wzmogło przykre skutki zmiany czasu.

Teraz cholerna suka drapała w ciekłe w tylne drzwi.

- Do tego - mruknęła Gina. - Żadna wiewiórka nie jest tego warta. - Otworzyła drzwi i pies, warcząc i szczekając, wypadł na zewnątrz. Ansel, siedzący na jednym ze stołków, syknął przeciwległo. Gina omal nie dostała zawału. - Daj spokój. - Serce waliło jej jak młotem.

Wtedy usłyszała ten dźwięk. Dobiegał od strony przedpokoju. Znieruchomiała. Czy to telewizor? Chyba nie...

Ansel wydał kolejny syk i pobiegł do jadalni.

Cholerne zoo, pomyślała wytręcona z równowagi. Nasłuchiwała przez chwilę, ale teraz nie słyszała już nic poza szczekaniem psa i telewizorem.

Wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić.

Pies nie przestawał szczekać. Gina spojrzała przez szybki w drzwiach i zobaczyła Hershey, która podskakiwała nerwowo pod oknem pralni. Zapewne zwiędziała tam jakieś zwierzę.

Wiednie. A je li to skunks?

Wróciła do salonu i zaczęła grzebać w torebce, zerkając na telewizor. Na ekranie był akurat papież, stał na balkonie i machał ręką do tłumu ludzi zgromadzonych na placu.

Znalazła telefon.

Skrzyknęła.

Co to było, do diabła? Drzwi się otworzyły?

Wystukała szybko numer Abby. Nie stchórzy. W jakimś wypadku!

Usłyszała dźwięk sygnału, sekundę później gdzieś w domu rozległa się znajoma melodia. Czy by Abby zapomniała zabrać komórkę? O nie... Ze słuchawką przy uchu przeszła do holu. Melodia dobiegała z pralni.

- Abby - westchnęła i weszła do małego pomieszczenia. Komórka leżała na parapecie otwartego okna...

Otwarte okno?

Pod tym oknem warczała Hershey... o Boże.

Gina poczuła gęsią skórę. Wyłączyła telefon, odwróciła się i niemal nie zemdlała.

W drzwiach stał potężny, czarno ubrany mężczyzna.

Zobaczyła jakiś dziwny rewolwer w jego ręce i zaczęła krzyczeć.

Chce cię zabić!

Instynktownie odwróciła się, skoczyła na pralkę i dalej, w otwarte okno. Upadła w błoto, pozbierała się szybko i nie oglądając się za siebie, zaczęła uciekać.

Ale dokąd? Dokąd może uciec?

Wynajdź samochód! Zostawiła kluczyki pod siedzeniem. Biegła jak oszalała w stronę frontowej części domu, kiedy zorientowała się nagle, że trzyma w ręce swoją komórkę. Wystukała 911.

Usłyszała, jak za jej plecami otwierają się drzwi.

Biegnij, Gino! Biegnij!

Wypadła zza węgła, z Hershey podskakując u jej boku.

Samochód stał na podjeździe. Za nim zaczął dzwonić telefon.

Odbierz, myślała gorzko, chryszcząc bosymi stopami po wirze. O Boże, gdzie on jest? Odwróciła się i zobaczyła, że był blisko, nie dalej niż kilkanaście metrów za nią.

Ogarnij panikę.

- Dziewięćset jedna cie. O co...

- On tu jest! Morderca! W Cambrai. Jestem u Abby Chastain...

Była już przy samochodzie, kiedy znowu podniósł broń.

- Szybko! - rzuciła jeszcze i chwyciła za klamkę.

Wtedy nacisnął spust.

Montoya zaparkował samochód przy końcu drogi, gdzie dwóch ludzi szeryfa, których nie znał, stawiało już policyjną barykadę. Pokazał im odznak i ruszył między stojącymi tam samochodami, wśród których były pierwsze telewizyjne furgonetki. Mimo że do zachodu słońca została jeszcze co najmniej godzina, tu, w lesie, panował ponury półmrok.

Wiedział, że oberwie mu się za to, że przyszedł, ale szedł przed siebie, jakby miał pełne prawo tu być. Jeśli ktoś go zaczepi, da sobie radę. Chciał to tylko zobaczyć. Nic więcej.

Wierzył, że jego ciotka nie wyje, ale czuł, że musi na własne oczy zobaczyć, co zrobił szaleniec. To wszystko.

Przy jaguarze Charlesa Pomeroya stał Brinkman, rozmawiając z kilkoma ludźmi z departamentu szeryfa; paru innych badało już ścieżkę prowadzącą do starej przystani. Wyglądało na to, że FBI jeszcze się tu nie pojawiło, ale była to tylko kwestia czasu.

W tej chwili panował chaos.

A więc teraz albo nigdy.

Wbiegł na stopnie chaty i wszedł w otwarte drzwi piekła.

Wnętrze zalewało upiorne, błękitne światło policyjnych lamp, ukazując dwa ciała leżące na brudnej podłodze, upozowane tak, jak poprzednie ofiary: siostra Maria, w zakonnym habicie, zakrywała częściowo nagie ciało Gregory'ego Raya Furlougha. Krew, jeśli była, została dokładnie zalana czerwonym i czarnym farbami, które zbrzydzano ciałami. Na jednej z ciał, wypisany jaskrawoczerwonymi farbami, widniał napis:

CEN GRZECHU JEST MIER

Bonita Washington, w rękawiczkach, pochylona nad ciałami obejrzała się przez ramię.

- Proszę się podpiść... Montoya? - otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Co ty tu robisz?

Nie odpowiedział, po prostu odwrócił się i wyszedł. Wyszedł już na drogę, kiedy dogonił go Bentz.

- Zaczekaj! - rzucił, a w jego głosie brzmiała ostra nuta, która nie spodobała się Montoi.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na starszego policjanta.

- Co?

- Wiesz, co - odparł Bentz. - Co sobie wyobrażasz? - Montoya milczał, a Bentz ze złości zmrużył oczy. - A niech cię...

Bentz musiał to zgłosić.

- Wiadco zrób to. Rób, co do ciebie należy.

- Do diabła, Montoya, nie rób tego! Musimy trzymać się procedur, żeby przygwoździć wirusa. Wydawało mi się, że to jasne.

- Jak słowo.

- Wiadco wynoś się stąd i nie wracaj - rzucił Bentz przez zęby. - Słuchaj - dodał - wiem, że to trudne, ale daruj sobie.

Złapiemy go.

Chyba że ja dostanę go pierwszy, pomyślał Montoya. Przed oczami miał martwą, woskową twarz ciotki, zalane farbami ciało.

Wrócił do samochodu, powtarzając w myślach słowa wypisane na ścianie. Cen grzechu jest mier.

Słusznie, ty popieprzony draniu.

Lepiej się przygotuj.

Rozdział 27

Boże, pomóż mi. - Abby poczuła, jak ogarnia ją nagły, przenikliwy chłód.

Zapadał zmierzch, drzewa rzucały głęboke cienie, w powietrzu słychać było coraz gło-

d wi ki cykad. Abby stała przy pop kanej fontannie z postaciami płacz cych aniołów i patrzyła na stary szpital. Miała wra enie, e budynek jest yw istot , przepełnion złem, które spogl da na ni z góry.

To tylko wyobra nia...

A jednak serce biło jej bardzo mocno.

To tutaj wszystko si zacz ło, pomy lała, spogl daj c na sp kany asfalt podjazdu, gdzie zako czyła ycie matka.

Id . Ju . Nie odkładaj tego dłu ej.

Prze egnała si szybko, przrzuciła plecak przez rami i ruszyła przed siebie zaro ni tym trawnikiem. Wyszła zza rogu i zmówiła krótk modlitw za dusz swej nieszcz snej matki.

- Tak mi przykro mam... - powiedziała gło no, z ci kim sercem.

Wybaczam ci... Słowa Faith zdawały si spływa z niebios i Abby stan ła jak wryta. Id c chodnikiem, my lała o potworze, który gwałcił jej matk ; o lekarzu, który wchodził do jej pokoju pod pozorem niesienia pomocy, a przynosił ze sob tylko przemoc i ból.

- Mam nadziej , e spłoniesz w piekle - mrukn ła pod nosem w g stniej cym mroku.

Sło ce skryło si za drzewami, a niebo zasnuły ciemne chmury. Zanościło si na deszcz. Abby doszła do drzwi na tyłach budynku. Były zamkni te na klucz, tak jak poprzednio. Ale okno, przez które wtedy weszła do rodka, zostało niedomkni te. Siostra Maria najwyra niej tego nie dopilnowała. Ale zapewne nie starczyło jej ju na to czasu, pomy lała Abby ze smutkiem. Nie miała w tpliwo ci, e siostra Maria ju nie yje.

Spojrzała na okno.

Łut szcz cia?

A mo e zły omen?

W gł bi duszy ci gle si bała. Ci gle nie była pewna, czy powinna zrobi to, co zamierzała.

Przypomniało si jej ulubione powiedzenie ojca. Kiedy ycie staje si twarde...

- Tak, tak, wiem. Do tego!

Otrzn ła si ze strachu, dr cymi ze zdenerwowania r kami przrzuciła plecak przez parapet, a potem sama wspi ła si na okno i zeskoczyła na szpitaln podłog .

Była tutaj!

Ukryty w swoim sanktuarium, słyszał nad sob jej lekkie kroki. Serce zabiło mu mocniej. Wiedział, e tu wróci. Wiedział, e córka Faith, zwabiona wspomnieniami, wróci do miejsca, w którym zacz ło si jej cierpienie. Oblizwał wargi i zamrugał.

Jego cierpienie zacz ło si znacznie wcze niej.

Spojrzał na ciany, które od dawna pokrywał starannie napisami. Słowami wielkich filozofów na temat natury grzechu i własnymi, pochodz cymi od matki, przekonaniemi. Utwierdził si w nich jeszcze w surowych katolickich szkołach, z których w ko cu nieodmiennie go wyrzucano.

Nasłuchiwał.

Kroki. Kroki córki.

W gł bi jego ciała znowu obudziła si dza, pragnienie Faith, i gniew, który dr czył go od chwili, gdy poj ł, e oddawała si tak e temu lekarzowi.

Cen grzechu jest mier .

Ile to razy słyszał te słowa z ust matki. Siedziała przy oknie, z otwart Bibli na

dopalał się w popielniczce, w szklance topniały kostki lodu.

- Zapłaci za to - mówiła do swojego jedyne go syna. - Twój ojciec i ta kurwa, jego nowa ona, oboje za to zapłac . - Brała szklankę do ręki i pocięła łyk. - Wszyscy b dziemy musieli zapłaci . - Spoglądała na niego zimno, bez cienia miłości. - Ty też . W twoich żyłach płynie jego krew. - Na jej twarz wypływał okrutny, drwinowy uśmiech. - Ale ty już za to płacisz, nie? Zakonnice ze szkoły mi powiedziały.

Teraz tego ogarniało go obezwładniają ce uczucie wstydu na wspomnienie tego, co mówiła o grzechu, co wbijała mu do głowy przez całe dzieci stwo. Brała do dróg rękę papierosa i rozwodziła się nad jego występkami. Zakonnice powiedziały jej, że oszukiwał w szkole, co oczywiście było kłamstwem. Ale ona im wierzyła i musiała go ukarać, zmusiła do zastanowienia nad jego grzesznym życiem. W tym celu zamykała go w szafie.

Nieraz.

Kiedy przyłapano go, jak całował koleżankę ze szkoły. Wrócił do domu, gdzie zastał rozgniewaną matkę, za enowaną. Tym razem został rozebrany do naga i zamknięty na trzy dni. Siedział tam, w swoich fekaliach i urynie, bez kropli wody. Za karę miał napisać na ścianie: „Cena grzechu jest śmierć”. Był pewien, że umrze w tej szafie, w której kiedyś jego ojciec przechowywał strzelby.

Wypuściła go w końcu, oczywiście. Matka, zalutując alkoholem, uznała wreszcie, że jego kara dobiegła końca. I jak zwykle kochała swego surowo, płakała, błagała, by jej wybaczył, kupowała nowe ubrania, drogie zabawki... i całowała go... po całym ciele... kiedy go myła i opatrywała rany i zadrapania.

Wtedy była czuła, przemawiała do niego pieszczotliwie i zapewniała, że jeśli tylko będzie kochał za grzechy i okaleczenia, on tak ją znajdzie łaskę Boga. I u niej.

Kiedy, gdy siedział zamknięty w szafie wyjątkowo długo, z jego przerażenia zaczął kiełkować gniew. Kiedy go w końcu wypuściła, wyszedł i minął ją bez słowa. Nie pozwolił, by go dotykała, rzucił jej w twarz prezenty, którymi chciała go przebłagać. Zagroził, że odejdzie i opowie ojcu, co robiła. Drżała ze strachu i płakała, ale wyznała, że człowiek, który go spłodził, nigdy go nie chciał. Dał jej pieniądze na aborcję, ale odmówiła. A później, kiedy już urodziła, czy został z nimi? Tak, kilka lat. Małżeństwo rozpadło się, a jego ojciec odszedł i porzucił ich oboje.

Kiedy mu o tym opowiadała, zapłakana, z papierosem w drżących palcach, zrozumiał, że tym razem mówiła prawdę. Jego ojciec rzeczywiście porzucił ich dla tej dziwki.

Zrozumiał też, że jego zadaniem jest to naprawić. I z zapalem podjął dzieło zemsty.

Czy nowa ona ojca nie zginęła?

Czy nie patrzono na niego podejrzliwie?

Czy nie trafił w końcu tutaj... gdzie pozostawał w zamknięciu aż do czasu, kiedy szpital został zlikwidowany. Później odsyłano go z jednego szpitala do drugiego. Zawsze były to prywatne placówki, prowadzone przez księży lub zakonnice, pełne różańców i krucyfiksów. Wiedział, że obserwuj go tam bezustannie, że jeden z jego grzechów nie mógł umknąć ich uwadze, że jeden nie dostał zapomniany ani wybaczony. Starał się pozostać wierny swej misji i nie ulegał popodom.

A jednak... dla Faith... zaryzykował wszystko, skazał swoją duszę na piekielne ciemności, byle tylko móc ją dotykać i pieścić, by czuć przy sobie jej rozgrzane, słodkie ciało.

A teraz jej córka, tak bardzo do niej podobna, zjawiała się tutaj.

Spojrzał jeszcze raz na wyryte na ścianie zdania. Nad nimi umieścił czternaste prostych słów, z których każde przyporządkowane było jednej z czternastu ofiar, grzesznikom i w tym, tym, którzy zostaną ukarani, i tym, którzy karę wymierz.

Gdyby tylko Faith tu z nim była... Ona by zrozumiała. Kołoby jego ból. Kochałaby ;

nierób, ten lekarz, j zabił. Pieprzył j , a pó niej, kiedy odkryła to jej córka, wypchn ł Faith, pi kn Faith, przez okno.

Na wspomnienie jej krzyku znowu skurczył si w sobie i poczuł łzy pod powiekami. Ogarn ł go pal cy gniew.

mier Faith nie była wypadkiem, cho wielu w to wierzyło.

On wiedział.

Był tam.

Lekarz zapłaci za swój grzech.

Jeszcze dzi .

W szpitalu wszystko było mroczne i nieruchome, przez okna, dot d niezabite deskami, s czyło si szare, wieczorne wiatło. Powietrze, przepojone mdłym zapachem st chlizny, zdawało si sta w miejscu. Abby miała wra enie, e temperatura z ka d chwil spada, a atmosfera g stnieje.

Przesta , to tylko twoja fantazja. Id dalej!

Otworzyła plecak i wyj ła latark . W gł bi serca czuła, e to, co robi, jest szale stwem, e jest równie obł kana jak ludzie, którzy tu kiedy przebywali, e gdyby pozostało jej cho troch rozumu, natychmiast opu ciłaby to miejsce.

Dlaczego nie mogła tu przyj za dnia?

Z psem, Montoy i rewolwerem?

Bo chciała pozna prawd teraz.

Bo nie mogła ju dłu ej czeka .

Bo nie zniosłaby tej niepewno ci ani chwili dłu ej.

Teraz albo nigdy.

Zarzuciła plecak na rami . Nigdy w yciu nie czuła si tak samotna.

Ale nigdy te nie była równie zdeterminowana.

Musisz to zrobi . Musisz.

Budynek zaj czał cicho.

Abby stłumiła krzyk przera enia.

To nic, to tylko te stare deski tak skrzypi . Jak u niej w domu.

Weszła do kuchni i usłyszała jaki inny d wi k. Serce stan ło jej w piersi.

Ciche skrobanie pazurów.

Szczury?

Serce biło jej jak oszalałe.

Odetchn ła gł boko i zacisn ła palce na łomie, jakby tylko na nim mogła teraz polega . Przełkn ła lin i powoli ruszyła dalej, ale mogłaby przysi c, e słyszy stłumione j ki rozpaczy ludzi, którzy tu kiedy cierpieli.

Przesta . Nikogo tu nie ma, nikt nie płacze ani nie j czy! Ruszaj, no dalej! Jest ju prawie ciemno. No, Abby, rozpraw si z tym raz na zawsze!

Montoya wcisn ł gaz, nie zwracaj c uwagi na znaki ograniczenia pr dko ci. Zacisn ł z by i wyprzedził kilka samochodów, ale przed oczami ci gle miał ciała ciotki i Furlougha. A je li ten potwór poluje teraz na Abby?

- Cholera - mrukn ł, wyprzedzaj c ci arówk . Spod kół prysn ł wir.

Na prostym odcinku drogi wyj ł komórk , wystukał domowy numer Abby i zacz ł liczy sygnały.

- No, odbierz! - ponaglał j szeptem.

Ale nikt nie odebrał.

Ogarn ł go strach.

I co z tego? Mo e po prostu wyszła z domu.

Szybko wystukał numer jej komórki. Natychmiast odezwała si poczta głosowa.

Nie podobało mu si to. Mogło by oczywi cie wiele powodów, dla których nie odbiera telefonów, ale jako go to nie uspokajało.

Czuł, e to mier Faith Chastain doprowadziła do serii tajemniczych morderstw. Nie wiedział tylko jak. Był jednak pewny, e Abby tak e jest w to zamieszana.

Co, u diabła, ł czy tragiczn mier Faith Chastain z koszmarnymi wydarzeniami ostatnich dni?

Cen grzechu jest mier .

Co to znaczy?

Zmru ył oczy, spogl daj c przez przedni szyb na ciemne chmury, które zaczynały gromadzi si na horyzoncie. A listy, które przyszły do radia?

ałuj.

Za co? Za grzech? Jaki?

Pokutuj.

Czyli zapła ? Za co? Za wyst pki? Jakie wyst pki? Sk d te religijne odniesienia? My !! Musisz to rozwikła . Musisz. Czasu jest coraz mniej. A morderca chce ci co powiedzie ... to ma co wspólnego z grzechem...

Dlaczego gin dwie osoby?

Czym zgrzeszyły?

My lał tak intensywnie, e zacz ła go bole głowa. Wiedział, e jest ju blisko odkrycia prawdy, czuł to. Ofiary zostały wybrane z konkretnego powodu... mo e ze wzgl du na swoje wyst pki. Ale przeciw komu zgrzeszyły? Przeciw mordercy? Ludzko ci? Bogu?

Te listy... nie potrafił przesta o nich my le . Podpisane NCG. To co znaczy, to jest wskazówka. Na pewno. Co morderca chce im przekaza ?

Najprostsza odpowied :

N oznacza Nicka.

C oznacza Charlesa.

G oznacza Gregory'ego.

Ale dlaczego nie ma inicjałów kobiet? C - jak Courtney, H - jak Hannah, M - jak Maria.

Dlaczego Mary miała na sobie sukni lubn ? Dlaczego Charles Pomeroy i Hannah Jefferson zostali obsypani banknotami? Dlaczego tam, gdzie zgin li Gregory i Maria, syn i jego matka, wszystko zostało zalane czarn i czerwón farb , a na cianie pojawił si ten napis?

Czym zgrzeszyli?

I dlaczego na miejscu ostatniej zbrodni było tyle oznak gniewu, a nawet w ciekło ci? Tylko tam?

- Do diabła z tym wszystkim - mrukn ł Montoya i zmienił pas, wyprzedzaj c furgonetk z nalepk na tylnym zderzaku, która głosiła; **ZATR B, JE LI KOCHASZ JEZUSA.**

Wrócił na swój pas i jeszcze raz spróbował dodzwóni si do Abby. Chciał usłysze jej głos, upewni si , e jest cała i zdrowa. Wystukał numer, ci gle usiłuj c rozwi za t koszmarn zagadk .

Dlaczego ofiary s zawsze dwie? Kobieta i m czyzna... *jin i jang?* wiatło i ciemno

Nie!

Wi c mo e... grzesznik i wi ty?

Przyhamował i zjechał na pobocze. Serce waliło mu jak młotem. Grzesznik i wi ty... czy raczej wi ta. Nick Gierman, obrazoburczy rozpustnik, i Courtney LaBelle, dziewczica. Charles Pomeroy, chciwy przemysłowiec, i Hannah Jefferson, filantropka. Gregory Ray Furlough... syn Marii, ale nie o to tu chodzi, to była dla mordercy tylko warto dodana. Furlough był pełen złości, ci głę gadał o gniewie bo ym, a Maria była cicha, skromna zakonnica, która wierzyła w Boga i miłosierdzie.

Czy to mo liwe?

Czy to naprawdę takie proste?

Znowu poł czył się z poczty głosowej Abby. Bóg, miał tylko nadzieję, że jest bezpieczna. Ci głę miał wrażenie, że ona też jest związana z tym horrorem. Zostawił wiadomość, prosząc, by jak najszybciej do niego zadzwoniła, rozłączył się i zadzwonił do wydziału.

Minęło kilka sekund.

- Zaroster. - Lynn odebrała po drugim sygnale.

- Montoya. Masz pod ręką komputer? - spytał. Na przedni szyb samochodu spadły pierwsze krople deszczu.

- Owszem. O co chodzi?

- Chciałbym, żeby poszukała czegoś w Internecie.

- Jasne... chwileczkę.

Usłyszał, jak stuka w klawisze.

- Już - odezwała się znowu. - Czego mam szukać?

- Zacznij od siedmiu grzechów głównych.

- Siedem grzechów głównych... dobra.

Deszcz przybrał na sile, Montoya włączył wycieraczkę.

- Tak, wyskoczyło mi tu mnóstwo linków.

- Wystarczy mi lista... wejdź na jakieś katolickie strony, jeżeli możesz, i przeczytaj mi te grzechy.

- Co tylko chcesz. - Stukanie. - Tak, mam.

Montoya zacisnął palce na kierownicy.

- Zobaczmy - powiedziała. - Co my tu mamy... Pycha, gniew, zawiść, nieczystość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, lenistwo i chciwość.

- W porządku - powiedział, słysząc w uszach dudnienie własnego serca. Jeżeli się nie mylił, jeżeli istotnie w końcu pojął, co się dzieje, najgorsze było jeszcze przed nim. - Wiele lat temu, kiedy uczyłem się katechizmu, uczyłem się tych grzechów. Ale było tego więcej.

- Przykro mi, jest tylko siedem.

- Nie, chodzi o to, że są jeszcze jakieś... cnoty, przeciwstawne grzechom?

- Cnoty? - powtórzyła. - O co ci właściwie chodzi?

- Sam musisz się dowiedzieć - mruknął Montoya. Znowu usłyszał stłumiony stuk klawiszy. - Ich też powinno być siedem.

- Cnoty... jak w „Naszej Pani od Cnót”? - spytała Lynn, a Montoya oblał zimny pot.

- Tak.

- Zaraz... O, jest. A niech mnie. Nie wiedziałam o tym. Cholera... Posłuchaj tylko.

- Tak?

- Mam tu list siedmiu głównych cnót, z których każda jest przeciwstawna jednemu z grzechów.

- Przeczytaj.

- Pysze przeciwstawia się pokora, gniewowi cierpliwość, zawiść miłość, a nieczystość, oczywiście, czystość. Nieumiarkowaniu umiarkowanie, lenistwu gorliwość, a hojność jest przeciwieństwem...

- Chciwość - dokończył, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Te litery... N, C, G? Nieczystość? Chciwość? Gniew?

- O rany.

Dlaczego nie domyślił się tego wcześniej? Miał to czarno na białym, litery oznaczały nie tylko imiona ofiar, ale te grzechy, jakich dopuszczali się ci mężczyźni.

- Byłem właśnie na miejscu ostatniej zbrodni... gniew był tam widoczny w każdym szczególe. Wcześniej nie było żadnej emocji, wręcz przeciwnie. Ten morderca działał na zimno, więc skąd nagle taka zmiana? Myślałem, że zaczął się rozkręcać, ale potem przypomniałem sobie, że Furlough i jego kazania były pełne gniewu. Miał na imię Gregory. A moja ciotka była uosobieniem spokoju i cierpliwości, a zanim wstąpiła do klasztoru, nosiła imię Cecilia...

- C - wtręciła Zaroster. - Courtney LaBelle, której imię zaczyna się na literę C, miała uosabiać czystość, przeciwstawnie nieczystości. Czyli Nickowi Germanowi.

- Grzechem Charlesa Pomeroya była chciwość - powiedział Montoya - A Hannah Jefferson była wcieleniem hojności.

- C i H - szepnęła Zaroster. - Jeśli się nie mylisz, to szalowiec nie wykonał jeszcze nawet połowy planu. Siedem grzechów, siedem cnót...

- Czternaście ofiar. - Montoya włączył się do ruchu i natychmiast przyspieszył. - A wszystko zaczęło się w Szpitalu Naszej Pani od Cnót.

- Tam pracował Leon Heller - powiedziała. - To musi być on. Właśnie nie dostałam potwierdzenia jego adresu. Wiesz co? Heller przeprowadził się do Nowego Orleanu trzy miesiące temu. Wynajmuje coś w Garden District.

Montoi krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

- Wyłiz tam kogoś.

Może zdołaj powstrzymać łajdaka, zanim będzie za późno.

- Już jad - odparła Lynn.

- Weź jeszcze kogoś. I powiedz Bentzowi, co jest grane.

- Dobra.

- Bądź ostrożna, Lynn, ten facet jest niebezpieczny.

- Nie martw się - odparła. - Ja też.

Deszcz dudnił w dach starego szpitala.

Abby, napięta jak struna, minęła witraż na podłogę, i nuciła słabo ostatnim wiatrem dnia. Miało sucho w ustach, serce biło jej szybko. Wytężyła słuch i mrużyła oczy w mroku, którego jej latarka nie była w stanie rozproszyć.

Znowu schody.

A potem ciemny korytarz na drugim piętrze.

Tu mieszkała jej matka.

Tu zakochała się.

Abby omiotła snopem wiatru ciany korytarza. Wszystkie drzwi były albo szeroko otwarte, albo przynajmniej uchylone... z wyjątkiem drzwi pokoju 307. Te zamknięto.

To nic nie znaczy, powiedziała sobie, idę powoli korytarzem. Po prostu je otwórz!

Drucymi ze zdenerwowania rękami wsadziła łom pod pachę i chwyciła za gałkę. Zamknęła oczy i przekręciła. Gałka się obróciła.

Gładko.

Serce Abby przyspieszyło. Ostatnim razem drzwi były zamknięte na klucz.

Pchnęła je.

Otworzyły się bez trudu, szybko i bezgłośnie, jakby ktoś niedawno naoliwił zawiasy.

Ogarnął ją strach.

Co tu było nie tak, na pewno. Weszła jednak do rodzka i poczuła lekki zapach rodków dezynfekujących. Omiotła wzrokiem światłem latarki i zmartwiła.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała.

Ściany, pomalowane na biało łóżko.

Nocny stolik i wazon z wieńcami kwiatami.

Podwójna ramka ze spłowiałymi zdjęciami córek Faith.

Patchworkowa narzuta w odcieniach różu i moreli, którą własnoręcznie uszyła babka Abby.

Krzyknęła cicho.

W pokoju 307 zatrzymał się czas.

- Nie - szepnęła Abby, ruszając w głąb pokoju. Czy naprawdę poczuła ten zapach perfum matki?

To niemożliwe.

Jej matki tu nie ma...

Znowu wróciła myśleniami do tamtego wieczoru, kiedy jej życie zmieniło się na zawsze.

Wbiegła do pokoju, podekscytowana, nie mogąc się doczekać, a opowie matce o potacie córce i Treyu Hilliardzie...

- Mamo? - wpadła bez tchu do pokoju matki. - Mamo? Zgadnij, co się stało...

Matka stała przy wysokim oknie, na tle zapadającego zmierzchu. Miała odzież w nieładzie... i nie była sama. Lekarz, doktor Leon Heller, stał tu przy niej.

Abby stanęła jak wryta.

- Mamo?

Czy Heller chciał ją wypchnąć przez okno, czy próbował ją uratować?

- Co to ma znaczyć?

Odwrócił się szybko. Miał czerwone, nabiegłe krwią twarz, w kciukach ust zebrała się ślina.

- Nie wiesz, czy to prywatny pokój? - spytał ze złości. - Powinna pukać!

- Ale... - Abby patrzyła na matkę, która wyraźnie zakłopotana poprawiała rozchełstany bluzkę. Nie potrafiła ukryć wstydu. W oczach miała łzy, na policzkach czerwone wypieki. Spojrzała na Abby ponad ramieniem Hellera.

- Proszę, nie - powiedziała bezgłośnie. A potem dodała głośno: - Abby Patricio, tak mi przykro.

A póki nie, zanim Abby zdążyła odpowiedzieć, odwróciła się gwałtownie, jakby pchnęła przez Hellera, i uderzyła w szybę, która rozprysła się w tysiąc kawałków.

- Nie! - Abby rzuciła się ku niej, ale Heller chwycił ją za ramiona.

Czy nie chciał, by ją uratowała? A może nie chciał, by sama wypadła?

- Wybaczam ci... - krzyknęła jej matka.

- Nie! Mamo! Nie! - Abby usiłowała wyrwać się z uścisku Hellera. Usłyszała coś, jakby ktoś z sykaniem wciągnął powietrze. Ciało jej matki z głuchym stukaniem upadło na beton.

Przerała ona, z twarzą zalaną łzami, patrzyła na niego przez rozbitą szybę. Pod głową Faith rosła kałuża krwi, niewiele oczu patrzyło w niebo. W ciszy nagle rozległy się głosy, krzyki, kroki, ale matka Abby już nie była.

Łkając, cofnęła się od okna. Znowu usłyszała ten dźwięk - prawie niedosłyszalny głos gdzieś za nią. Odwróciła się i zobaczyła, że drzwi szafy są uchylone, lekko, na kilka milimetrów. A tam, w ciemności... złowrogo lśniły jej oczy.

Kto to wszystko obserwował? Jaki podglądacz, czerpiący podniecie z nieprawości, do jakich zmuszał matkę doktor Heller?

Te oczy, zimne i twarde, przez krótką chwilę patrzyły na nią porozumiewawczo...

Dobry Boże, pomyślała teraz, z mocno bijącym sercem. To wspomnienie było tak realne, tak wyraźne, że czuła niemal lekki upał tamtego gorącego wieczoru.

Latarka poruszyła się w jej drugiej dłoni, snop światła zataczył po pokoju. Abby powoli odwróciła głowę w stronę szafy. Drzwi były lekko uchylone... i w środku, tak jak wtedy, lśniły pełne nienawiści oczy.

Rozdział 28

Krzyk uwił jej w gardle.

Z mocno bijącym sercem skierowała latarkę w stronę szafy. W słabym świetle zobaczyła starego mężczyznę, który patrzył na nią przez szparę. Ręce miał związane na plecach, nogi w kostkach skrępowane taśmą. Ta ma zaklejała mu takież usta.

Miała wrażenie, że już go kiedyś widziała. Podeszła bliżej i poczuła mdły zapach potu i uryny. Miał szeroko otwarte oczy i krzyczał coś, choć przez knebel z jego ust dobywały się tylko niezrozumiałe, stłumione dźwięki.

Abby sięgnęła w tę stronę, ale nagle cofnęła rękę.

Oczywiście, że go już widziała.

Posiadał w ciągu tych dwudziestu lat, na twarzy przybyło mu zmarszczek, ale była to cięgle ta sama twarz o mocno zarysowanej szczęce, ostrym nosie i gęstych brwiach. Pod Abby ugięły się nogi. Zrozumiała, że patrzy w przerażoną, nabiegłą twarz lekarza Leona Hellera.

Lekarza, który molestował jej matkę.

Zmarszczyła brwi z obrzydzeniem.

- Ty zboczony sukkinsynu - powiedziała. - Morderco!

Heller gorzko pokręcił głową, mamrocąc coś niewyraźnie.

Dra...

- Powinnaś tu zostawić! - rzuciła, ale przyszło jej do głowy pytanie, kto go tak urządził. Kto go związał i zakneblował... Kto zostawił go tu samego... Znowu ogarnął ją strach. Chwyliła taśmę na ustach mężczyzny i szarpnęła mocno, wyrывая kilka włosów. Cóż, zasługiwał na znacznie gorsze rzeczy. Heller pisał z bólu. Ale poprzez ten pisk i szum wiatru za oknem Abby usłyszała jeszcze inny dźwięk.

Dziwnie znajomy.

Skrzypienie desek podłogowych?

Kroki?

Chwyliła łom, ale było już późno.

- Uwa aj! - wrzasn ł Heller.

Odwróciła si i zamachn ła łomem, ale w tej samej chwili poczuła dotyk zimnego metalu na szyi.

Łom uderzył w nog m czynny z głuchym odgłosem.

- Dziwka! - napastnik nacisn ł spust i ciałem Abby wstrz sn ły tysi ce wolt. Upadła na podłog , łom wypadł z jej dłoni i potoczył si w k t pokoju.

Le ała na podłodze, patrz c na gniewn , czerwon twarz m czynny, którego, czuła to, tak e powinna rozpozna .

- Ty mała, wredna dziwko - warkn ł. Jeszcze raz przyło ył do niej paralizator i nacisn ł spust, a potem zacz ł rozciera sobie gole .

Abby gwałtownie zakr ciło si głowie. Straciła władz w ko czynach. Ale mimo ogarniaj cej j ciemno ci rozpoznała w skie, błyszcz ce nienawi ci oczy, te same, które widziała dawno temu... Nale ały do chłopca, zbli aj cego si wówczas do wieku m skiego, który siedział na werandzie szpitala albo w holu i uciskał w dłoniach gumowe piłeczki. I to on ukrywał si wtedy w szafie, kiedy nakryła Hellera w pokoju matki.

Ty zбочony draniu, chciała powiedzie , ale z jej ust wydobyły si tylko jakie niezrozumiałe d wi ki.

Spojrzał na ni z szata skim u miechem. W jego oczach czaił si błysk szale stwa. Tak, pami tała, jak ciskał te mi kkie gumowe piłeczki z tak sił , jakby chciał je udusi .

Nagle zaschło jej w ustach.

Christian Pomeroy!

Syn Charlesa.

Jak mogła zapomnie ?

O Bo e, zabije j , i w dodatku zrobi to powoli tak, by cierpiała, a on mógł zaspokoi swoje chore seksualne fantazje.

Wyci gn ł r k , eby pogłaska j po głowie. Chciała si odwróci i ugry go w dło , ale nie była w stanie si ruszy .

Wiedział o tym.

- Witaj w domu, Faith - wyszeptał.

Faith? Nie!

- Czekałem na to od bardzo, bardzo dawna.

O czym on mówi?

- Moje oczekiwanie dobiegło ko ca.

Pochylił si , jakby chciał j pocałowa w usta, i Abby ogarn ły mdło ci. Ale on tylko jeszcze raz poraził j pr dem.

Kap.

Kap.

Kap.

Wyra ny d wi k kropli rytmicznie spadaj cych na podłog .

Gdzie ja jestem? Gina powoli dochodziła do siebie. Bolały j wszystkie mi nie. Było zimno i ciemno, w k cie niewielkiego pomieszczenia paliła si tylko lampa naftowa.

Miała r ce zwi zane na plecach, nogi skr powane w kostkach. Nie mogła si ruszy .

Ogarn łoj przera enie.

Jezu, co tu si dzieje? Zamrugwała i przypomniała sobie wysokiego, muskularnego m czynn , który dopadł j pod domem Abby, kiedy próbowała wsi do samochodu. Poraził j pr dem, a potem wrz

toyoty. Był potny, ale kiedy ją podnosił, jąknął z bólu i zaklął. Może naderwał sobie mięsień.

Oby.

Ale dlaczego ją porwał? Po co przywiózł ją tutaj... w to koszmarnie miejsce?

Rozejrzała się dookoła w panice, szukając drogi ucieczki.

Kap.

Na pewno jest stąd jakieś wyjście, ale Gina ci głębiej jeszcze była otępiała. Skoncentrowała się z wysiłkiem. W pomieszczeniu nie było okna, tylko w drzwiach. Posadzka była betonowa, ściany pokrywały stare, brudne kafelki.

Skąd kapie ta woda? Spojrzała na sufit i zobaczyła wystający z niego fragment jakiejś bezużytecznej instalacji.

Czy to celiwna? A może jakieś podziemia? Przypomniała jej się Abby i jej fascynacja starym szpitalem i śmiercią matki.

Kap.

Nagle zrozumiała, gdzie jest, i oblał ją zimny pot.

Musi być gdzieś na terenie klasztoru Naszej Pani od Cnót... Może nawet w samym szpitalu... choć nie pamiętała tak małych pomieszczeń.

Bo jesteście w podziemiach! W piwnicy!

Ogarnij panikę.

Musi się stąd wydostać! Gina nie znosiła podziemi ani żadnych zamkniętych miejsc. A ten szaleńiec na pewno tu wróci. Ucieka! Natychmiast!

Usłyszała jakieś mroczne kroki w korytarzach, mamrotanie i zorientowała się, że sama wydaje tę decyzję. Zaciśnięta zębami starała się opanować paraliżujący strach.

Bo e, pomóż mi.

Spokojnie. Bywałaś już w gorszych sytuacjach.

Ale nie z obłąkanym mordercą!

Nie miała wątpliwości, że porwał ją ten sam człowiek, który terroryzował Nowy Orlean, zabił Nicka i innych...

Abby! Gdzie ona jest? Przecież wybierała się do szpitala! Bo e, czy ten potwór już ją zabił? Gina nie potrafiła opanować drżenia. Miała tylko nadzieję, że Abby udało się jakoś przechytryć szaleńca, uciekła i sprowadzi pomoc.

Ale w głębi duszy wiedziała, że to mało prawdopodobne.

Może już nie żyje.

Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o siostrze. Zaczęła szarpać wiązki. Musi się stąd uciec! Nie podda się bez walki. Mocując się z krępującymi ją mackami, rozglądała się podejrzliwie po niewielkim pomieszczeniu, pewna, że za chwilę z cienia wynurzy się porywacz.

Ale była sama.

To dobrze. Bardzo dobrze. Masz czas. Wykorzystaj go jak najlepiej.

Ale dopiero po dłuższej chwili udało jej się usiąść. Była bliska płaczu ze strachu i wyczerpania. Dlaczego spotkało ją coś takiego? To niesprawiedliwe.

Natychmiast skarciła się w duchu. Rozczulanie się nad sobą na pewno jej nie pomoże! Musi działać! Szybko!

Z trudem przysunęła się do metalowych drzwi. Były zamknięte. Pomyślała, że gdyby udało jej się wstać i stanąć do nich tyłem, mogłaby dosięgnąć klamki. Bolały jej ręce związane w nadgarstkach i ramiona, ale nie miała żadnego innego pomysłu. Te ciężkie elazne drzwi były jedyną drogą ucieczki.

Powoli zaczęła przesuwając się w ich stronę, nie zwracając uwagi na brud na podłogę.

Spróbowała się podnieść, ustawiając stopy przed sobą i opierając się o cianę. Upadła i poczuła przeszywający ból w ramieniu.

Zakłamała cicho i spróbowała jeszcze raz.

Dalej. Nie poddawaj się.

Miała bosa stopy, podwinęła więc palce, usiłując oprzeć je w parkiet w betonie. W końcu udało jej się wstać. Chciała otworzyć drzwi, ale bez skutku. Były zamknięte na klucz.

Cholera, cholera, cholera. Prawie płakała.

Szaleniec albo zostawi ją tu, by umierała powoli, strasznie śmierci, albo wróci, żeby ją zabił.

Nie, nie może się poddać. Doszła do wniosku, że jedyną nadzieją jest lampa. Kiedy on wróci, kopnie lampę z naftą i płonącym knotem na człowieka, który stanie w drzwiach.

Jeśli jej się nie uda, poegną się zyciem.

- Do diabła z tobą, Montoya! - warknął Bentz, wkładając broń do kabury. Co on sobie wyobraża? I w ogóle gdzie jest?

Po telefonie od Zaroster Bentz opuścił miejsce zbrodni, zostawiając tam Brinkmana, i przyjechał do domu Leona Hellera. Był to dwupiętrowy dom w stylu greckim, z wielkimi białymi kolumnami i werandą.

Bentz wpadł do rodzaka, krzyknął: „Policja!”, ale zastał tam tylko Lynn Zaroster.

- Co się tu wydarzyło - powiedziała i zaprowadziła go do gabinetu na dole.

Krzesło było przewrócone, monitor komputera leżał na podłodze ze stłuczonym ekranem. Na skórzanym fotelu widać było lądzie krwi. Ktoś musiał tu siedzieć i rozwiżywał krzyżówki, bo na podłodze leżała gazeta, a pod marmurowym kominkiem ołówki. Na stronie z rozwiżanymi krzyżówkami leżały rozbite okulary.

Zaroster sprawdziła resztę domu, ale Bentz tak obszedł wszystkie pomieszczenia. W pozostałych pokojach, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wszystko wydawało się w porządku. Posłane łóżka, umyte naczynia. Zniknął samochód Hellera, biały Lexus SUV z kalifornijskim numerem rejestracyjnym. W garażu, na podjeździe ani na ulicy przed domem nie było żadnego samochodu,

Skąd Montoya wiedział o Hellerze?

- Gdzie jest teraz Montoya? - spytał Bentz, kiedy wrócił do gabinetu.

- W Szpitalu Naszej Pani od Cnot - odparła Zaroster i szybko powtórzyła mu swoją rozmowę z Reubenem oraz jego teorię o morderstwie z siedmioma grzechami głównymi i siedmioma cnotami. - To nie wszystko - ciągnęła. - Montoya sędzi, że wszyscy ci ludzie są w jakiś sposób powiązani z tym starym szpitalem. Myślimy, że Heller jest mordercą, ale - rozejrzała się po gabinecie - wygląda na to, że jest raczej ofiarą.

- Uwagaś wić, że ofiary są wybierane ze względu na swoje imiona i grzechy albo...

- Przeciwstawne im cnoty. Założę się, że grzechem Leona Hellera jest lenistwo.

Bentz rozejrzał się po domu. Poza gabinetem panował w nim wzorowy porządek.

- Nie wygląda na lenia.

Zaroster wzruszyła ramionami.

- Tak mi się wydaje.

- Wiem.

- Poza tym facet może mieć żonę, dziewczynę czy chłopaka... albo po prostu sprzątaczkę, która robi tu porządek.

- Albo ta teoria to kompletna bzdura - powiedział Bentz, choć sam zaczynał w nią wierzyć. Heller pracował w szpitalu. Rzeczywiście, wszystko wydawało się układać w logiczną całość. Ale tak czy

działa samowolnie i nagina zasad. Mógł nawet zaszkodzi sprawie.

- Je li Montoya ma racj , nasz morderca jeszcze nie sko czył.

- To prawda. Chod my. - Zaroster ruszyła do samochodu.

- Czekaj! Ty zostaniesz tutaj. Zabezpiecz wszystko i wezwij chłopaków. Ja pojad do szpitala. Zadzwono do Montoi i powiedz mu, co i jak. Nie odbiera moich telefonów, ale nie ma mowy, eby tam wszedł. Zwłaszcza sam!

- My lisz, e uda mi si go przekona ?

- Lepiej si postaraj. - Bentz ruszył przez wypiel gnowany trawnik Hellera do samochodu stoj cego po drugiej stronie ulicy. - Znasz zasady, prawda? - zawołał, otwieraj c drzwi.

Zaroster, z telefonem komórkowym przyci ni tym do ucha, spojrziała na niego wyczekuj co.

- Chyba nie, ale nie martw si , przeczytam ci stosowne przepisy, kiedy wróc . Wiedziała , co ma zamiar zrobi Montoya, i je li co spieprzy, ty tak e poniesiesz za to odpowiedzialno . Tu nie ma miejsca, rozumiesz, nie ma miejsca na tak samowol !

Gina przesuwiała si powoli w stron lampy, kiedy usłyszała za drzwiami jaki d wi k. Kroki!

Bo e, spraw, eby to była policja! Albo kto , kto mnie uratuje!

Rozległ si zgrzyt klucza w zamku i drzwi otworzyły si z gło nym skrzypieniem. Na progu stan ła pot na, ciemna posta , jak wcielenie szatana.

O Bo e, pomó mi!

Gina zacz ła si odsuwa od drzwi, a w ko cu oparła si o wyło on kaflami cian .

Patrzył na ni przez chwil z okrutnym u miechem, a potem wszedł do rodka. Gina omal nie zemdłała.

- Przypuszczałem, e si w ko cu obudzisz - powiedział spokojnie. - To dobrze, bo chc , eby wiedziała, co si dzieje.

To nie wró yło nic dobrego. Gina przygotowała si na kolejne kilka tysi cy wolt, ale on podszedł do niej szybko, brutalnie poderwał j na nogi, a potem przerzucił j sobie przez rami , przytrzymuj c jej nogi w kostkach. Znowu sykn ł przy tym z bólu. Czuła, e co go boli. Musi tylko odkry , co to jest. I wykorzysta to.

Szedł chwiejnie, jakby to tak e sprawiało mu ból. Gina wierciła si i wyrywała, ale bez skutku. Trzymał j mocno i niósł na ramieniu, strackim sposobem, przez mroczne korytarze. Mijali uchylone drzwi sal, w których paliły si lampy. Przez opadaj ce na twarz włosy Gina widziała narz dzia tortur - ostre skalpele, narz dzia chirurgiczne, igły, kaftany bezpiecze stwa.

To miejsce było jedn wielk scen ka ni.

A wi c miała racj . Szaleniec przywiózł j do szpitala, w którym Faith zgin ła straszn mierci .

Zaczynała nabiera pewno ci, e teraz nadeszła jej kolej.

Montoya zatrzymał samochód na parkingu przez klasztorem, tu obok nale cej do Abby hondy.

Zlecił ju poszukiwania tego samochodu, ale jak dot d nikt nie zagl dał na prywatny klasztorny parking. Montoya nie zadzwonił po wsparcie i nie odbierał telefonów od Bentza. Nie potrzebował teraz poucze ani rozkazów, których i tak nie mógłby posłucha .

Ch tnie zwierzyłyby si swojemu partnerowi, ale czuł, e nie powinien go w to wci ga do czasu, a sam nabierze pewno ci. Bentz b dzie musiał poczeka .

Samochód Abby był bardzo wa n wskazówk .

Najwa niejsz .

Montoya wysiadł z wozu i przypię do nogi w kostce drugi rewolwer. Ze schowka na r kaviczki zabrał jeszcze spray z pieprzem i latark . Tak uzbrojony ruszył biegiem w stron szpitala.

Zadzwoniła komórka. Spojrzał na ekranik. Zaroster.

Zrobiło mu si zimno ze strachu. A je li to jakie wie ci na temat Abby? A je li przyjechał za pó no? Odebrał.

- Montoya.

- Dom Hellera jest pusty, ale s tam lady walki - powiedziała Zaroster.

- A co z jego samochodem?

- Znikn ł. Biały lexus SUV. Bior c pod uwag dom, samochód i tak dalej, mo na przypuszcza , e los jest dla pana doktora łaskawy. Albo był. Bentz ju tu był i doszli my do wniosku, e Heller mo e by kolejn ofiar . W przeciwnym wypadku nie byłoby chyba ładów walki w jego własnym domu. Zdaje si , e kto go zaatakował, kiedy siedział w swoim gabinecie. Jest tam krew i rozbite okulary. Takie same ma na zdj ciu, które stoi na kominku.

Nie podobało mu si to. Był pewien, e Heller jest morderc . Bo je li nie on, to kto?

- Bentz jest ju w drodze - ci gn ła Zaroster, kiedy Montoya dotarł do bramy. - Ze wsparciem. Ale w kiepskim nastroju. Mam ci powtórzy , eby nie wchodził do szpitala.

- Za pó no, ju tu jestem. Pod szpitalem stoi samochód Abby Chastain, a co mi mówi, e nie przyjechała tu po to, by wst pi do klasztoru. Dzwoniłem do niej kilka razy, ale nie odbiera. Czy kto u niej był? Sprawdził, czy wszystko w porz dku?

- Jeszcze nie, przynajmniej nic o tym nie wiem.

Montoya wiedział, co si stało. Samochód stał pod szpitalem. Abby była tutaj. Modlił si tylko, by była tu sama, a nie z tym obł kanym morderc , który zabił ju tylu ludzi. Wiedzieli o sze ciu ofiarach. Abby Chastain... jaki grzech czy cnot miałyby uosabia ? Jej imi zaczyna si na liter A. Nic z tego... Ale mo e chodzi o nazwisko? Chastain. C jak czysto ... ale czysto symbolizowała Courtney LaBelle...

- ...szeryf mo e przysła kogo za kilka minut - ci gn ła Zaroster.

Montoya uznał, e wie ju do .

- Przy lij ich tutaj. Szybko. Ale ja nie b d czekał. Je li Bentzowi si to nie spodoba, trudno!

- Wyra nie powiedział, e...

- Niech si wypcha. Wiem, co powiedział. Ostrzegła mnie. Nic ci nie robi .

- Nie o to chodzi.

Nie czekał na dalsze wyja nienia. Nie dbał ju o nic.

- Zadzwoni , gdy tylko si zorientuj , co tu jest grane - rzucił i rozł czył si , a potem przeł czył komórka na wibracje, wsun ł j do kieszeni i ruszył biegiem mokr cie k . Stopy zapadały mu si w błoto, czuł zapach wilgotnej ziemi. Strach dodawał mu sił. Nie mógł przesta my le o Abby. Czy przyjechał za pó no? Czy morderca przybył tu przed nim? A mo e to fałszywy alarm?

C jak czysto ... C jak Chastain...

Nie!

Jak ona ma na drugie imi ? Słyszał je kiedy albo widział... Abigail Patricia Chastain! P jak pokora! Cholera!

Miał nadziej , e tym razem intuicja go zawodzi. Czy jeszcze kiedy zobaczy Abby yw ? Nie, nie chce o tym my le .

Nie mo e jej straci !

Zabij tego drania, je li b dziesz musiał!

Zabij go, nawet je li nie b dziesz musiał...

Wyszedł spomi dzy drzew i spojrział na ponury, rozsypuj cy si budynek.

Jakie okropno ci skrywał w swoim wn trzu?

Podszedł do drzwi i nacisn ł klamk .

Zamkni te na klucz.

Sprawdził okna. Zamkni te albo zabite deskami.

A jednak wiedział, e w rodku kto jest.

Do diabła z tym wszystkim.

Czas uciekał. Montoya wiedział, e z ka d chwil malej szanse Abby na prze ycie. Musi j odnale . Musi. Jeszcze raz spojrział na budynek.

Nie, nie odwa y si wybi okna. Nie powinien zwraca na siebie uwagi, w ten sposób b dzie mógł wykorzysta element zaskoczenia.

Obszedł szpital i dotarł w ko cu do drzwi, prowadz cych niegdy do szpitalnej kuchni. Były zamkni te, ale tu obok znajdowało si lekko uchylone okno.

A pod nim lady stóp... Małych stóp...

Abby!

Bez wahania wspi ł si na parapet i wskoczył do rodka.

Rozdział 29

Abby prawie nie była w stanie oddycha . Zamkni ta w szafie, z ustami zaklejonymi ta m i skr powanymi r kami i nogami patrzyła przez szpar w drzwiach, tak jak młody Pomeroy wiele lat temu.

Dlaczego siedział wtedy w szafie?

I dlaczego go nie zapami tała?

Bo wyparła to wszystko... nie pami tała o Hellerze i nie pami tała o Christianie Pomeroyu... A teraz zacznij my le o tym, jak ocali własn skór !

W pokoju zapadła ciemno . Pomeroy, przed wyj ciem, zaci gn ł w oknach grube, nieprzepuszczaj ce wiatła zasłony. Na kominku paliła si jedna lampa, rzucaj c na pokój słaby, chybotliwy blask.

Abby nie była sama. Pomeroy rozci gn ł na łó ku Leona Hellera i przykuł go tam ł a cuchami.

Poruszyła si , w ramionach eksplodował ból. Nie miała zbyt wielkiego pola manewru. Pomeroy przywi zał j do haczyka na ubrania tkwi cego w tylnej ciance szafy w taki sposób, e im bardziej si wierciła, tym bardziej wykr cała sobie ramiona do tyłu.

Przypomniała sobie o sprayu z pieprzem, który schowała w plecaku, i łomie. Jedno i drugie było niedost pne. Cholera!

Nie poddawaj si . My ! Teraz go tu nie ma. To twoja szansa!

Obmacała wn trze szafy zwi zanyymi r kami. Haczyk był tylko jeden, ale w poprzek tylnej cianki biegła cienka wystaj ca listwa, na której kiedy zapewne opierała si półka. Miała do ostr kraw d . Gdyby Abby wspi ła si na palce i zacz ła pociera o ni ta m , mo e udałoby si j przeci . Mo e.

Wiedziała, e to bardzo trudne, ale nie miała innych mo liwo ci.

Nie zwracaj c uwagi na ból w ramionach i dr ce z wysiłku łydki, wspi ła si na p

Mocno. Czuła na rękach ciepło tarcia.

Dalej.

Nie poddawaj się.

Dasz rad.

Ale nagle poprzez bicie własnego serca i wyjście za oknem wiatr usłyszała kroki na schodach.

Och nie!

Spiesz się! Trzyj!

Czy ta ma obłuzowała się trochę? Czy to tylko jej podsycana nadzieja wyobraźnia?

Poruszała rękami coraz szybciej. Ramiona paliły ją żywym ogniem, palce u stóp zdrętwiały. Czuła, że zdarła sobie skórę z nadgarstków.

Kroki były coraz bliżej, a w końcu zatrzymały się pod drzwiami pokoju.

Nie! Jeszcze nie! Prosz!

Zazgrzytał klucz w zamku, zaraz potem drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Przez szparę widziała, jak Pomeroy wchodzi do pokoju. Niósł coś... nie, kogo... innych kobiet...

O Boże!

Straciła resztki nadziei.

To była jej siostra. Gina.

Bentz gnał jak wariat w ulewnym, zacinającym deszczu.

Montoya dotychczas nie odezwał.

Oczywiście.

Bentz zaalarmował już biuro szeryfa. Problem tkwił jednak w tym, że akurat nie było tam ludzi, zajętych karambolem na jednej z lokalnych dróg. Policja miała pełne ręce roboty.

Skręcił w stronę klasztoru. Wiał silny wiatr, w koronach drzew brzęczały moskity. Nie zwolnił, ale wyłczył syreny i wiatła.

Miał złe przeczucia co do tego starego szpitala i uznał, że będzie lepiej, jeśli pojawi się tam pierwszy i spróbuje wykorzystać element zaskoczenia.

Kolejny zakręcił i znalazł się na rozwidleniu dróg. Jedna prowadziła do zabudowa klasztornych, druga do starego szpitala. Skręcił w stronę szpitala, a po chwili zatrzymał się, wziął broń i wysiadł z samochodu.

Brama była zamknięta, ale nie dookoła wysoka, by nie można było na nią wspiąć się. Za młodu Bentz trenował zapasy i należał do drużyny futbolowej. Co z tego, że pada deszcz i metalowe pręty są śliskie? To tylko głupia brama. Dwa, może dwa i pół metra.

Bułka z masłem.

Na widok siostry Abby omal nie zemdląca.

Co chce zrobić ten potwór?

Nie miała wątpliwości, że Pomeroy jest mordercą, który zabił już kilka osób, w parach, pozorując jakieś rytualne morderstwa samobójstwa.

Jak mogłaby ocalić siebie, swojej siostry i Hellera? Spojrzała na łóżko, w którym dwadzieścia lat temu sypiała jej matka. Psychiatra leżał na plecach, z ustami znów zaklejonymi taśmą, z szeroko otwartymi

spodniach, kwil c co niewyra nie, jak jagni prowadzone na rze . Nienawidziła go, ale czuła, e nie mo e zostawi go tu na pewn mier . Je li znajdzie jaki sposób ucieczki, b dzie musiała spróbow a uratowa go, a pó niej zaprowadzi przed s d.

Pomeroy, utykaj c lekko, rzucił Gin bezceremonialnie na podłog . Le ała i nie mogła si ruszy . Jej oczy były wywrócone białkami do góry i Abby zrozumiała, e siostra została potraktowana paralizatorem albo znajduje si pod wpływem rodków odurzaj cych.

Dra ! Widziała satysfakcj w oczach Pomeroya, kiedy spogl dał w stron szafy. Delektował si t sytuacj . Podniecała go bezsilno ofiar, ich przera enie.

Gina nie b dzie mogła ci pomóc. Jeste sama. Jest silniejszy od ciebie, a wi c musisz go przechytrzy ... B d czujna...

Wiedziała o nim niewiele poza tym, e przebywał w szpitalu w tym samym czasie, co jej matka. Był pierworodnym synem Charlesa Pomeroya, niemal zupełnie zapomnianym od czasu kiedy Charles porzucił swój pierwsz on Karen, dla drugiej ony i drugiego syna, Jeremy'ego.

Pomeroy skrzywił si lekko, potarł pier i popatrzył na Abby tak intensywnie, e dostała g siej skórki. Nazywał j imieniem jej matki w sposób, z którego wynikało, e musiała by mu bliska. Mo e nawet bardzo bliska. Kiedy mówił: „Witaj w domu, Faith”, w jego oczach były t sknota i dza.

Na my l o tym, co robił jej matce, Abby ogarn ły mdło ci. A mo e robił to za jej przyzwoleniem? O Bo e...

Wykorzystaj to, co wiesz. Udawaj, e jeste Faith. Rozbud jego fantazj. Pomeroy nie b dzie chciał straci Faith po raz drugi. Udawaj, e ni jeste . Pami taj, to nie on j zabił... Zrobił to Heller!

K tem oka spojrziała na morderc matki, skutego ła cuchami i oszalałego ze strachu, i nagle z pora aj c jasno ci przypomniała sobie, jak wypchn ł Faith przez okno. Udawał tylko, e chce j ratowa . Powstrzymał Abby, by tak e nie wypadła, ale z cał pewno ci wypchn ł z okna jej matk .

Le ca na podłodze Gina j kn ła, a Pomeroy podszedł do nocnej szafki, wysun ł gór n szuflad i wyj ł z niej dwa rewolwery.

Pierwszy nale ał kiedy do Nicka.

O słodki Jezu. Ten szalenciec był u niej w domu, chodził po pokojach, w lizn ł si do jej sypialni, mo e nawet dotykał poduszki i le ał na jej łó ku. Znowu zrobiło jej si niedobrze. Zacz ła si gwałtownie trz .

Trzymaj si . Mo e uda ci si przeci t ta m .

Ale nie była w stanie oderwa wzroku od Pomeroya, który wzi ł drugi rewolwer, wi kszy i z dłu sz luf , i podsun ł go pod nos przera onego lekarza. Heller próbował si odsun , naci gaj c ła cuchy, brz cz c kajdankami jak lis schwytany we wnyki. Nadgarstki i kostki miał otarte do krwi. Rzucił si na łó ku, krzycz c co przez ta m na ustach.

- Nie wyrwiesz si - powiedział Pomeroy. - Twój los jest przypiecz towany.

Heller pokr cił głow .

- Ty j zabiłe .

Rozpaczliwe zaprzeczanie głow . Oczy wielkie jak spodki.

- Widziałem. Wypchn ła j przez okno.

Przez ce j ki.

- A nawet je li jej nie zabiłe , podawała jej leki, które były dla niej wyrokiem; sprawiały, e stała si uległa i pozwoiliła, by robił z ni , co chcesz. - Pomeroy patrzył na swój ofiar z pogard . - Jeste chorym człowiekiem, Heller. I leniwym. Zamiast wykorzysta swój wiedz jak nale y, zamiast stara si uleczy t kobiet , ty wolałe folgowa swoim dzom.

Heller si rozplakał. Z zaklejonych tam ust wydobywał si urywany, j kliwy szloch.

- I zapłacisz za to, doktorze. Jeste wcieleniem lenistwa, a lenistwo mo e pokona tylko cnota gorliwo ci.

Heller znieruchomiał.

Lenistwo i gorliwo ? Abby zmarszczyła brwi. O czym on mówi?

- Przywiodłem wi c do ciebie anioła miłosierdzia. Kogo , kto pokona twój grzech, grzech lenistwa cnot gorliwo ci. -

Pomeroy spojrział znaczo na Gin . - Przyznaj , straciła ostatnio nieco ze swej energii, ale tylko chwilowo i za moją spraw .

Gina sprawiła wra enie oszołomionej. Usiłowała podnie głow , ale nie była w stanie. Wyczerpana opadła znowu na podłog .

Jak makabryczn sztuk miał zamiar odegra tu ten szaleniec?

Zamkni ta w szafie Abby gor czkowo próbowała przeci tam na nadgarstkach. Nie zwracała uwagi na ból; wiedziała, e pozostało jej niewiele czasu.

Słyszał co . Głosy. J ki. Stłumione krzyki.

Robiło mu si słabo na my l, co mo e za chwil zobaczy , ale wiedział przynajmniej, e ofiary jeszcze yj . Abby? Heller?

Ostro nie, niemal bezszelestnie, wchodził na schody. Od czasu do czasu o wietlał je latark , eby si nie potkn . W drugiej r ce trzymał odbezpieczony rewolwer.

Deszcz i wiatr uderzały z furi w zabite deskami okna, korytarze były ciemne jak noc. Dobiegaj ce z drugiego pi tra odgłosy przybrały na sile, kiedy mijał upiorny witra na pode cie. Ale zatrzymał si dopiero wtedy, gdy wspi ł si do wysoko, by widzie podłog korytarza. Pod jednymi drzwiami dostrzegł w ski pas słabego wiatła.

Bez w tpienia był to pokój 307.

Pokój, w którym sko czyło si ycie Faith Chastain.

To z tego pokoju dobywał si brz kła cucha i stłumione, pełne przera enia krzyki.

Nie było czasu, by czeka na wsparcie.

Montoya wiedział, e musi tam natychmiast wej .

Ta ma ust powała powoli, zaczynała si strz pi na brzegach. Daleko, przez deszcz i wiatr, Abby słyszała odległe, słabe wycie syren. Prosz . Prosz . Przesuwała szybko r kami tam i powrotem, tr c tam o ostr kraw d .

Zmartwiała, widz c, e Pomeroy si ga po le cy na stole nó . Podniósł go długie ostrze zal niło w złotym wietle lampy.

Była pewna, e poder nie Hellerowi gardło, ale on odwrócił si do Giny.

Nie! Nie!

Zacz ła porusza r kami jeszcze szybciej w nadziei, e ta ma p knie na czas. Ale Pomeroy był szybki. Pochylił si i jednym ruchem przeci ł tam na nadgarstkach, a zaraz potem na kostkach Giny.

Po co?

Czy chciał j wypu ci ? Poniewa ma teraz j , Abby? Córk bardziej podobn do matki?

Ju miała odetchn z ulg , kiedy zorientowała si , e Pomeroy wcale nie ma zamiaru uwolni jej siostry. Nie, Gina tak e była cz ci tego chorego planu.

- Czas zapłaci za grzechy, doktorze - powiedział Pomeroy zimno.

Le cy na łó ku Heller dostał szału. Krzyczał co niewyra nie, rzucał si jak w malignie, skopuj c po ciel i brz cz c metalow ram łó ka.

Pomeroy poderwał Gin na nogi.

- Leonie Heller - powiedział ze zło ci - zostało pot piony. Mieniłe si lekarzem, przysi gałe pomaga i leczy . Zamiast tego dogadzałe sobie. Krzywdziłe swoich pacjentów i grzeszyłe lenistwem, a lenistwo to jeden z siedmiu grzechów głównych.

Abby nie wierzyła własnym uszom. Siedem grzechów głównych? Lenistwo? To jest wyja nienie tych zbrodni? Pomeroy odgrywa rol Boga... musi by naprawd szalony.

Patrzyła, przera ona, jak Pomeroy obejmuje Gin w pasie jedn r k . Brutalnie przycisn ł krocze do jej po ladek, wcisn ł do jej r ki rewolwer z dług luf . U miechn ł si , jakby dotyk ciała Giny sprawiał mu przyjemno .

Abby poczuła, e ogarniaj j mdło ci. Zboczeniec! Chory, obł kany zboczeniec!

Gina podniosła nagle oczy i Abby dostrzegła, e siostra nie jest wcale tak oszołomiona, jak si wydaje. Udawała. Ale co mogła zrobi ?

Nic! Ty musisz jej pomóc!

Abby gor czkowo pocierała ta m o desk . Bolały j ramiona i stopy, ale nagle poczuła, e ta ma znowu obluzowała si nieco.

- Gino Chastain - ci gn ł Pomeroy - ty, pierworodna Faith, odznaczasz si cnot gorliwo ci, jest wi c twój powinno ci oczy ci wiat z grzechu lenistwa.

Heller znieruchomiał.

Pomeroy spojrział na Abby, która zmartwiała z przera enia. Czy zauwa ył, e próbowała si uwolni ? Serce tukało si w jej piersi jak oszalały ptak.

- I twoja kolej wkrótce nadejdzie, Patricio, upokarzana latami przez folguj cego swojej nienasyconej dzy m a... - Przekrzywił głow na bok i zmarszczył brwi. Jego oczy zaszyły mgł . - Faith? - wyszeptał, zdezorientowany. - Faith?

Kiwn ła głow w nadziei, e jej uwierzy, ale on tylko zamrugał. Jego oczy znów były przytomne.

- Nie... nie Faith. Patricia... Pokora... - U miechn ł si nagle, jakby odzyskał równowag . - Pycha bez w tpienia jest ju w drodze.

Pycha? Pokora? Lenistwo? Gorliwo ? Grzechy i cnoty? O co tu chodzi? I kto ma symbolizowa pych ? Zapewne kto , czyje imi zaczyna si na liter P... Pami tała wszystkie grzechy i cnoty z lekcji w katolickiej szkole. Ale co to wszystko ma wspólnego z jej matk ?

Cnoty?

Nasza Pani od Cnót!

Czy to jest wyja nienie? Zreszt , to nie ma ju znaczenia. Wa na jest tylko ucieczka. Musi jako przechytry tego potwora. Musi co zrobi . Nie mo e przecie sta z boku i patrze jak z zimn krwi morduje dwoje ludzi.

- Wiesz, o kim mówi - powiedział Pomeroy, pocieraj c krocze o po ladki Giny i nie spuszcza c wzroku z szafy. Musiał by naprawd powa nie zaburzony. - Pycha... twój kochanek. Pedro.

Pedro! Abby nagle zrozumiała. Montoya wspominał, e jego ciotka nazywała go Pedro.

- Ten gliniarz - prychn ł Pomeroy.

O Bo e, wi c ma zamiar zamordowa równie Montoy .

- Teraz. - Pomeroy skierował rewolwer w klatk piersiow Hellera. - Nadszedł czas.

Gina ledwo trzymała si na nogach, wydawała si zupełnie nieprzytomna. Ale przez

spojrzała znacząc w stronę Abby.

Pomeroy wycelował. Heller zaczął krzyczeć. Morderca nacisnął spust i w tej samej chwili Gina z całej siły uderzyła łokciem w jego pierś.

Rewolwer wystrzelił.

Heller wydał stłumiony krzyk i opadł bezwładnie na łóżko. Na jego piersi pojawiła się czerwona plama krwi. Gina jeszcze raz uderzyła mordercę łokciem. Pomeroy syknął z bólu i na chwilę zabrakło mu tchu w piersi. Gina wykorzystwała to i kopnęła go w głowę.

- Ty dziwko... Ty wredna, nadgorliwa dziwko! - Pomeroy wyrwał jej z dłoni rewolwer i przytknął lufę do jej skroni. - Teraz twoja kolej!

Korytarzem wstrząsnął odgłos wystrzału, w pokoju rozległy się stłumione krzyki.

Jezu, nie! Abby?

Montoya zmartwił z przerażenia.

Przybył za późno!

Z rewolwerem w dłoni naparł ramieniem na drzwi pokoju 307.

Stary zamek ustąpił z trzaskiem, Montoya wpadł do korytarza w chwili, gdy Pomeroy przyłożył rewolwer do skroni Giny.

- Policja! - krzyknął Montoya. - Rzuć broń!

Wystrzał!

Bentz nie tracił czasu.

Rozbił szybę rewolwerem, wspiął się na parapet, kładąc dłonie kawałkami szkła, i wskoczył do wnętrza opuszczonego szpitala.

Potem natychmiast wyjął telefon i wystukał 911.

- Dziewięć set jedna cie. O co...

- Mówi Rick Bentz. Departament Policji Nowego Orleanu. - Podał numer odznaki i adres i zażądał wsparcia. - Strzały w starym Szpitalu Naszej Pani od Cnót.

Rozłączył się, wsunął telefon do kieszeni i z rewolwerem w ręce ruszył przez stary, ciemny budynek.

Kiedy Montoya wpadł do pokoju, Abby całym ciężarem ciała naparła na krawędź deski. Ta ma popękania trochę.

- Nie zbliżaj się! - rzucił ostrzegawczo Pomeroy, usiłując utrzymać w uścisku Ginę. Ciężko przyciskał rewolwer do jej skroni.

Oczy Giny były okrągłe ze strachu.

- Rzuć broń! - rozkazał Montoya. - Już!

- Łosny do końca - prychnął Pomeroy.

Heller jęczał cicho na łóżku, jego oczy gały.

Abby nie przestawała trześć o deskę. W tej chwili nie odczuwała już strachu.

- To powinna być ty - powiedział Pomeroy, spoglądając w stronę szafy. Cofnął się powoli w stronę okna, używając Giny jako swojej tarczy.

- Stój! - rzucił Montoya.

Ale Pomeroy patrzył na Abby. Jego wargi drżały lekko.

- Taka piękna.

- Stój albo strzelam! - Twarz Montoi była ciemna, z białymi oczami wbite w twarz Pomeroya, rewolwer wycelowany w jego głowę. - To już koniec.

- I tu się mylisz, Pedro - odparł Pomeroy ze spokojem, który cił krew w żyłach Abby. - Bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, to dopiero początek.

- Idziesz na dno.

- Ty też.

Gina poruszyła się gwałtownie, odrzuciła głowę do tyłu i znowu wzięła łokcie w pierś mordercy. Pomeroy syknął. Rewolwer w jego dłoni zadrażał.

Montoya wypalił.

Kula trafiła Pomeroya w ramię w chwili, kiedy naciskał spust.

Gina osunęła się na ziemi. Spod jej głowy zaczęła wypływać krew.

Tamta w końcu puściła. Abby wypadła z szafy i rzuciła się na podłogę obok siostry.

Montoya wystrzelił ponownie. I jeszcze raz.

Kule utkwily w klatce piersiowej Pomeroya. Trysnęła krew.

Pomeroy uderzył w zasłonięte kocem okno. Szybko pękła i szalenie runął w ciemność.

Abby krzyknęła.

Rozległ się głuchy odgłos uderzenia i trzask łamanych klocków. Pomeroy spadł na beton pod oknem.

Abby klęczała przy siostrze. Z rany pod okiem Giny płynęła krew.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła przez tamtą. - Wyjdiesz z tego... na pewno. Trzymaj się...

Montoya przyklęknął i sprawdził puls u nasady szyi Giny, a potem rozciął tamtą na kostkach Abby. Później wyjął telefon, wystukał numer i zaczął wydawać rozkazy.

Abby była zupełnie oszołomiona. Bolały ją wszystkie mięśnie, kręciło jej się w głowie, jakby zaraz miała zemdleć. Przez rozbite okno do pokoju wpadał deszcz, wiatr niósł zapachy odległej zatoki.

Teraz wyraźnie już słyszała wycie syren, na ścianach pokoju pojawiły się migające, błękitne odbłyski. Na schodach rozległy się kroki, do pokoju wpadł jakiś człowiek... Abby wydawało się, że go poznaje. To chyba ten drugi detektyw? Bentz? Ale wszystko było takie nierealne... wszystko wirowało dookoła Giny, która leżała bez ruchu na podłodze, z krwią spływającą z twarzy.

- Abby? Abby? - usłyszała jego głos i spojrzała w ciemne jak obsydian oczy... Montoya! Poczula ucisk w gardle. Przyszedł po nią! Umiechnęła się słabo. - Jest w szoku.

Objął ją.

- Będzie bolało - powiedział i jednym ruchem zerwał tamtą z jej ust. Podrażniona skóra paliła ją żywym ogniem, ale Abby nie zwracała na to uwagi. Nic się nie liczyło, dopóki on tulił ją do siebie nad nieruchomym ciałem jej siostry.

- Gina...

- Karetka jest już w drodze - powiedział, przytulając ją do siebie mocniej. Czula jego zapach, czula ciepło bijące od jego ciała.

- Gina... tylko nie Gina...

- Wszystko w porządku - wyszeptał jej do ucha. Chciała mu wierzyć, ale w tym pokoju nigdy nic nie było w porządku.

I nie będzie.

- Wiesz, kim był morderca?

Zamrugła.

- To Christian Pomeroy - szepnęła ochryple.

- Syn Charlesa? - spytał Bentz.

- Leczył się tu kiedyś. Widziałem go na liście pacjentów - powiedział Montoya.

Gdzieś na dole rozległy się trzaski wyważanych drzwi i po chwili w szpitalu zaroilo się od ludzi. Ich kroki odbijały się echem od ścian korytarzy. Wysoko, w górze, narastał warkot helikoptera.

- Ambulans - powiedział Bentz.

Do pokoju wpadli policjanci i sanitariusze.

- Prosz się odsunąć - powiedział jeden z nich do Montoi. Pochylił się nad Gina, sprawdził jej odruchy i przystąpił do tamowania krwi.

Inna sanitariuszka, drobna kobieta, spojrzała na Abby.

- Z nią wszystko w porządku?

- Tak - odparła stanowczo Abby, tuląc się do Montoi. Modliła się w duchu o życie siostry. Gina ułożyła się na noszach, ciało Hellera zniknęło w czarnym, zapinanym na zamek worku.

- Co z nią? - Abby wskazała głową na Gina. - Co z moją siostrą?

- Na razie nic nie możemy powiedzieć - odparł sanitariusz. - Ale jest stabilna. - Spojrzał na Abby i dodał: - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Facet na dole? Na podjeździe? - spytał Montoya.

- Nie, nie - odparł jakiś policjant i odwrócił się w stronę worka. - Tak jak ten.

Abby zadrżała. A więc w końcu będzie mogła pogrzebać przeszłość, by nie zasłaniała jej przyszłość jak ciemna chmura... A może nie? Pomeroy powiedział coś tak tajemniczo, jakby miał jeszcze jakiś sekret, którym jeszcze się z nikim nie podzielił...

Zmarszczyła brwi. Na pewno kłamał. To już koniec... A jednak w uszach cięgle brzmiały jej słowa, które morderca wypowiedział z takim przekonaniem.

To dopiero początek...

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Montoya, pomagając jej wstać. Powoli wyszli z pokoju, gdzie wydarzyło się tyle nieszczęść.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Pocałował ją w czubek głowy. - Zaufaj mi.

Epilog

Nie będzie już tego potrzebowała. - Montoya wyjął z ziemi słupek z tabliczką z napisem NA SPRZEDAŻ i rzucił go na kupki przy pojemniku na śmieci.

- Nie chcesz, abym się wyprowadziła? - spytała Abby artobliwie.

- Nie - objął ją ramionami. - W każdym razie niedaleko.

Wiedział, co mówi. Od czasu, kiedy zginął Christian Pomeroy, Abby straciła ochotę na przeprowadzkę.

Gina spędziła w szpitalu cały tydzień, a później jeszcze trzy dni u Abby, w końcu oznajmiła, że wraca do Seattle. Cięgle wyglądała, jakby została cięko pobita, i miała siniaczną twarz, ale chirurgom plastycznym udało się zrekonstruować brakujący fragment policzka. Czekało ją jeszcze kilka operacji i wizyt u dentysty, ale była i chciała już być u siebie w domu.

Abby nie miała jej tego za złe. Obiecała, że ją odwiedzi i spędzi u niej trochę czasu, kiedy nadejdzie czas kolejnej operacji.

- Kiedy się to wszystko skończy, będzie ci kniejsza niż przedtem - stwierdziła Gina wesoło. - Hollywood zapuka do moich drzwi. Możliwe, że nawet dostanę pracę w telewizji! - Zaczęła się śmiać, ale zaraz ją przetrząsnął ból. - No cóż, to w przyszłości ci.

Abby nie miała zamiaru wyjechać. Nie chciała opuszczać Montoi, który nie odstąpił jej dniem i nocą. Hershey była zachwycona faktem, że niemal zamieszkał u Abby, choć Ansel cięgle jeszcze patrzył na niego nieufnie.

Słowo przebiegało przez gałązki nad ich głowami, lśniło w jego włosach, błyszczało w oczach. Serce Abby zabiło szybciej. Nie walczyła już z uczuciem.

Po rozwodzie z Nickiem była pewna, że nigdy więcej się nie zakocha. Myliła się jednak. To, co czuła do Reubena Montoi, nie było płytkim zauroczeniem. Starła się nie ulegać euforii, ale doszła do wniosku, że nadszedł czas, by znowu kogoś pokochała, by znowu odważyła się komuś zaufać. Montoya poprosił ją tego dnia, kiedy zginął Christian Pomeroy, by mu zaufała. Uznała, że jest tego wart.

- Wiesz, może popełniłem błąd - powiedział, obejmując ją ramieniem, kiedy ruszyli w stronę domu, z Hershey płaczącą pod nogami. - Może jednak zechcesz się stąd wyprowadzić?

- O? - Abby uniosła brwi. Ten facet nie przestawał jej zaskakiwać. - Pięć minut po zdjęciu tabletki jesteś gotów powiesić się znowu, żeby się mnie pozbyć?

Montoya pokazał w uśmiechu bardzo białe zęby.

- Tego nie powiedziałem.

Abby przekrzywiła głowę.

- A może to takie zawoalowane o wiadczyny?

- Tego tak nie powiedziałem! - Roześmiała się i uśmiechnęła lekko. - Ale z pewnościami wiesz, jak zgasić faceta.

Abby czekała. Do czego on zmierza?

- W porządku, powiem ci: mogę kupić dom przylegający do mojego. Pani Alexander wyjechała do dzieci na północ. Zaproponowała mi kupno swojego domu. To prawdziwa okazja. Pomyślałem, że może na by z dwóch małych zrobić jeden duży dom. I może chciałaby się tam przeprowadzić.

- Może - odparła, rozglądając się wokół. - Ale wiesz, lubi tutaj mieszkać.

- Samotnie?

- Nie, niekoniecznie. - Mrugnęła do niego. - Dlaczego ty nie miałbyś wprowadzić się tutaj?

- No cóż, z mnóstwa powodów... Po pierwsze, oboje pracujemy w mieście i moglibyśmy mieszkać bliżej pracy, nocnego życia i przyjaciół... Ale moglibyśmy też zachować twój dom i przyjechać tutaj, kiedy będziemy chcieli uciec od miasta.

- Daleko nie uciekniemy.

Montoya przyciągnął ją do siebie. Złoty kolczyk w jego uchu zamigotał w popołudniowym słońcu.

- To by było idealnie - powiedział, patrząc na nią w taki sposób, że serce jej i znowu przyspieszyło.

- O tak, w ten sposób mogłabym tu wrócić, gdyby nam się nie udało.

- Uda się nam. - Wydawał się taki pewny. Może rzeczywiście grzeszył pychą? - Słyszałem, że moi koledzy już się zakładają. Bentz powiedział, że jest dwa do jednego, że pobierzemy się przed końcem roku.

- Doprawdy? W takim razie będziesz musiał się szybko zdecydować, detektywie.

- Jestem znany z szybkości.

- Mam ciemną przeszłość - ostrzegła go Abby. - I nie mówi o tym, co się stało w

przeszło ci.

- Wi c jest co jeszcze?

- Tak. Ansel i Hershey.

Montoya j kn 1.

- Sam nie wiem... Pies i podejrzliwy kocur...

- I gorliwa siostra.

Za miał si .

- To wszystko? No dalej, Chastain, wyrzu to z siebie. Co jeszcze tam skrywasz?

- Jeste niemo liwy. - Abby zachichotała. Od lat nie było jej tak lekko na duszy.

- Cz sto to słysz .

- Zastanowi si nad przewodzk - powiedziała, kiedy wchodzili na schody wiod ce na ganek. - Ale niczego nie obiecuj .

Czuła si z nim dobrze, ale ostatnie dwa tygodnie były dla niej trudne. Dziennikarze bez przerwy do niej wydzwaniali, Sean Erwin był w ciekły, bo odmówiła, kiedy chciał kupi jej dom o kilka tysi cy poni ej warto ci, Maury Taylor ci gle wykorzystywał do swoich celów mier Nicka. Poza tym klientela Abby znacznie wzrosła z powodu jej niespodziewanej sławy.

Na jaw wyszła te historia Christiana Pomeroya, bogatego, chorego psychicznie syna miejscowego milionera, któremu udało si wymkn systemowi opieki psychiatrycznej.

W ciekły na ojca, który opu cił go w dzieci stwie, Christian u ył produkowanej przez niego broni, by pozbawi go ycia. Od dziecka cierpiał na ostr neuroz , b d c nast pstwem zaburze osobowo ci i religijnego fanatyzmu, który zaszczepliła w nim matka. Pod jej wpływem Christian prawdopodobnie zabił drug pani Pomeroy.

Nie trafił jednak do wi zienia, lecz do Szpitala Naszej Pani od Cnót, gdzie zbratał si z grup młodych socjopatów. Tam te poznał i zakochał si w Faith Chastain, z któr , jak podejrzewano, miał romans.

Dwadzie cia lat pó niej rozpocz ł krwawy odwet.

Christian zgin ł w szpitalu, wypadł z okna, tak jak wiele lat wcz e niej jego kochanka. W podziemiach szpitala policja odkryła jego kryjówk , dawn sal operacyjn , przerobion pó niej na kilka małych pokoi dla pacjentów.

Odniesienia do grzechu i pokuty, cytaty z Pisma wi tego i innych tekstów religijnych pokrywały cał cian . Fluorescencyjn farb , l ni c upiornie w wietle naftowej lampy, Pomeroy wypisał siedem grzechów głównych i siedem przeciwstawnych im cnót. Poza tym znaleziono tam łó ko ze piworem i stary sekretarzyk, w którym morderca przechowywał swoje zdobycze.

Pier cionek Mary LaBelle i rolex Nicka Giermana; spink do banknotów Charlesa Pomeroya i ła cuszek z krzy ykiem nale cy do Hannah Jefferson; kosztowny rewolwer Gregory'ego Furlougha i ró aniec siostry Marii...

Wygl dało na to, e planował swój zemst od lat. Specyficzna, pełna agresji posta psychozy, pod której wpływem zacz ł w ko cu mordowa , powstała u niego mi dzy innymi za spraw fanatycznych pogl dów jego matki na kwestie grzechu i zbawienia. Jak si okazało, to w sukni lubn matki ubrał Courtney LaBelle. Projektantka j rozpoznała.

Policja znalazła te czterna cie imion i nazwisk jego potencjalnych ofiar, wraz z przypisywanymi im grzechami i cnotami. Były wypisane na kawałku papieru w sekretarzyku. Sze z nich wykre lił; sze nazwisk nale cych do osób, które zgin ły podczas trzech pierwszych ataków mordercy. W ród pozostałych znajdowali si Pedro Montoya, Patricia Chastain, Leon Heller i Gina Chastain. Pycha, pokora, lenistwo i gorliwo . Cztery ostatnie nazwiska, zupełnie Abby nieznan e, były zwi zane z zazdro ci , miło ci , ob arstwem i nieumiarkowaniem. 5

koszmaru. Tak w każdym razie mogło się wydawać. Policja nadal ich poszukiwała.

A jednak ostatnie słowa Pomeroya ci gdzieś wiły się w uszach.

To dopiero poczekaj...

Nie! Pomeroy zginął. I nie mógł zmartwychwstać.

A więc dlaczego na myśl o nim wciąż odczuwała niepokój? Dlaczego teraz jego widywała w nocnych koszmarach?

- Co ci trapi? - spytał Montoya, zamykając za sobą drzwi.

- To, co zawsze - przyznała, ale nie chciała rozmawiać o Pomeroyu i koszmarze, jaki zgotował tylu ludziom. To już skończono. - Może otworzy ci piwo?

- Dobre pytanie.

Poszli do kuchni i Abby otworzyła lodówkę. W tej chwili zadzwoniła komórka Montoi. Wyjął telefon z kieszeni i spojrzał na numer.

- Obowiązkowo wzywaj. To Bentz - mruknął z uśmiechem. - Montoya - rzucił do telefonu.

Abby otworzyła dwie butelki i podała mu jedną. Zmarszczył brwi.

- Nie, nie mam pojęcia - powiedział do Bentza. - Pierwsze słyszysz. - Pociągnął łyk piwa z butelki i znowu słuchał przez chwilę, patrząc na Abby.

Nagle zrobiło jej się zimno. Co było nie tak.

- Tak, jest tu... Dobrze, zaraz ją zapytam i oddzwonię.

- O co? - spytała, kiedy się rozłączył, i zacisnęła palce na butelce.

- Chodzi o twoją matkę.

Abby miała wrażenie, że temperatura w kuchni spadła o kilka stopni.

- To znaczy?

- Poza tobą i Gina nie miała więcej dzieci, prawda?

- Nie. - Co to za pytanie? Postawiła butelkę na kuchennym blacie.

- Urodziła się przez cesarskie cięcie?

- Nie! - Abby pokręciła głową.

- A Gina?

- Nie, jestem pewna, że nie. Mama i tata opowiadali nam o naszych narodzinach, a poza tym kiedy weszłam do łazienki i widziałam mamę bez ubrania nie miała żadnej blizny. Dlaczego o to pytasz?

- Bentz właśnie nie przejrzał dokumentacji, dotyczącej twojej matki i zgodnie z raportem koronera. - Montoya podrapał się pod brodzie. - Wygląda na to, że miała cesarkę. Bentz sprawdził wcześniejsze akta, ale nie znalazł tam nic na temat ciąży ani porodu.

- Niemożliwe.

Abby uświadomiła sobie nagle, jak mało wiedziała o kobiecie, która wydała ją na świat, a kiedy podciągnęła sobie włosy i spójrzała lata w szpitalu psychiatrycznym...

- Niemożliwe - powtórzyła. - Mama i tata nawet nie... - Urwała, przerażona tym, co nagle przyszło jej do głowy. Czy Faith nie miała romansu z Hellerem i Pomeroyem? Może liwe wie, że urodziła dziecko któregoś z nich... Abby ma gdzieś przyrodniego brata lub siostrę. Dziecko spłodzone przez mordercę... Ogarnął ją przerażenie. - Nie wiem - przyznała szepem. - Nie sądzę, ale tak naprawdę nie mogłoby tego być pewna. - Odchrząknęła, choć miała raczej ochotę zacząć krzycze. - Chyba... chyba wszystko jest możliwe.

- Może Pomeroy to właśnie nie miał na myśli, kiedy powiedział, że „to dopiero poczekaj”

Wzdrygn ła si gwałtownie.

- O Bo e... lepiej to sprawd my. - Powiedziała to z ci kim sercem, bo tak bardzo chciała pogrzeba przesz ło . Najwyra niej nie było to jeszcze mo liwe. Westchn ła gł boko i spojrz ła w zatroskane oczy Montoi. - A wi c, detektywie, od czego zaczniemy?

Zmarszczył brwi, poci gn ł łyk piwa i postawił butelk na blacie.

- Od pocz tku - odparł. - Tam, gdzie si to wszystko zacz ło. Od Szpitala Naszej Pani od Cnót.

- Dobry Bo e, czy to si nigdy nie sko czy?

- Oczywiście, e si sko czy - powiedział, obejmuj c j . - Przejdziemy przez to razem, ty i ja. - Pocałował j delikatnie w usta. - Wiesz, kocha mam przeczucie, e Bentz mo e jednak wygra ten zakład.

- Naprawd ? - spytała i mimo smutku nie mogła powstrzyma u miechu Była w ko cu z człowiekiem, którego kochała.

- Zdecydowanie. S dz , e zanim nadejdzie nowy rok, b d człowiekiem onatym.

- O, a kim jest ta szcz ciara? - spytała filuternie.

Pu cił do niej oko.

- Nie chcesz zgadywa ?

- O nie, detektywie, adnych zgadywanek. Interesuje mnie tylko to co jest pewne.

- W takim razie, Abby, nie rozczarujesz si .

- Ty te , detektywie - odparła. - Ty te .

Nota

Na potrzeby tej powie ci nagi łam kilka zasad nale cych do policyjnej procedury; stworzyłam te własny fikcyjny departament policji.

Ksi ka ta powstała, zanim huragan Katrina zniszczył Nowy Orlean i wybrze e zatoki. Mam nadziej , e udało mi si uchwyci atmosfer tego wspaniałego miasta, takiego jakim było i jakim znowu b dzie.

Podzi kowania

Do powstania tej ksi ki przyczyniło si wiele osób. Ich wkład był nieoceniony. Chc wi c podzi kowa mojemu wydawcy, Johnowi Sconamiglio, za jego wnikliwe uwagi, wizj , wsparcie i cierpliwo . Napracował si przy tym. Podobnie jak moja siostra, Nancy Bush, która nie tylko mobilizowała mnie do pracy i była moim osobistym redaktorem, ale pomagała mi te w innych sferach mojego ycia, nigdy nie trac c przy tym zimnej krwi. Dzi ki, Nan.

Musz te podzi kowa mojej wspaniałej agentce Robin Rue i wszystkim w Kensington Books, zwłaszcza Laurie Parkin, która w ła w t ksi k wiele pracy.

Ponadto chc wspomnie wszystkich, którzy mi pomagali: Kena Busha, Kelly Bush, Matthew Crose'a, Michaela Crose'a, Alexis Harrington, Danielle Katcher, Marilyn Katcher, Kena Meluna, Roz Noonan, Kathy Okano, Samanth Santistewan, Mike'a Siedle'a i Larry'ego Sparksa.

Je li o kim zapomniałam, prosz o wybaczenie. Wszyscy byli cie wspaniali.